



Jaume Cabré

J A Ś N I E P A N





J A Ś N I E P A N

Jaume
Cabré

J A Ś N I E P A N

Przełożyła z języka katalońskiego ANNA SAWICKA

WYDAWNICTWO MARGINESY

W powieści *Jaśnie pan* Jaume Cabré daje się poznać czytelnikom jako autor historycznego kryminału. Czas akcji – rok 1799, miejsce – Barcelona. W tle echa rewolucji francuskiej. Artystyczna młodzież bez żalu pożegnała neoklasycyzm i pod patronatem Goethego i Novalisa wypatruje pierwszych zwiastunów romantyzmu. Melomani dyskutują o przewadze włoskiego belcanto nad niemieckimi operami Mozarta (albo odwrotnie) i oswajają się powoli z nazwiskiem niejakiego Ludwiga van Beethovena.

W Hiszpanii od jedenastu lat panuje piąty już monarcha z dynastii Burbonów, Karol IV. Barcelona wie dzie swój pracowity żywot w cieniu ponurej Cytadeli, ukończonej w 1718 roku w samym centrum miasta, na miejscu dawnej dzielnicy Ribera. Cytadela przypomina Katalończykom o militarnej sile absolutyzmu oświeconego. Mimo że od 1794 roku trwają starania o wyburzenie tych anachronicznych już w momencie powstania koszar połączonych z więzieniem, których jedynym celem było uzmysłowienie miejscowej ludności, że żyje pod okupacją wojskową, minie jeszcze prawie sto lat, zanim na ich miejscu powstanie park, a w nim wzniesione zostaną pawilony wystawy światowej, zorganizowanej w 1888 roku, wyznaczającym w Katalonii początek modernizmu.

Cofnijmy się jeszcze głębiej w przeszłość. Przed wojną sukcesyjną (1702–1714), która wybuchła po bezpotomnej śmierci Karola II, ostatniego Habsburga na hiszpańskim tronie, Katalonia, a właściwie Korona Aragonii i Katalonii, była równym Kastylii królestwem mającym własny parlament i rząd, królestwem cieszącym się dużą autonomią w sprawach fiskalnych i administracyjnych. Nic więc dziwnego, że wspólnie z Walencją poparła w konflikcie dynastycznym tego kandydata, który dawał większe gwarancje zachowania lokalnych praw i przywilejów. Jednak kiedy arcyksiążę Karol nieoczekiwanie został cesarzem Austrii, wielki sojusz Holandii, Portugalii i Sabaudii przestał go popierać i Filip V z dynastii Burbonów po podpisaniu traktatu w Rastatt (1714) zasiadł na hiszpańskim tronie, wyrzekając się na zawsze praw do francuskiej korony. Ostatnim epizodem toczącej się na Półwyspie Iberyjskim krwawej wojny domowej było trwające czternaście miesięcy oblężenie Barcelony. Miasto poddało się 11 września 1714 roku, a bohaterska obrona mieszkańców stała się mitem założycielskim nowej tożsamości Katalończyków – w ten symboliczny sposób zareagowali na środki odwetowe, które nowy monarcha zastosował wobec zbuntowanych poddanych. W powieści Jaume Cabré wspomina o wypędzonych bądź pozbawionych majątku arystokratkach ze stronnictwa habsburskiego.

Na polu kultury szczególnie upokarzające dla Katalończyków było zamknięcie wszystkich wyższych uczelni – w Barcelonie, Gironie, Tarragonie, Lleidzie i w Palmie – i zastąpienie ich nowo powołanym uniwersytetem w małej, położonej na uboczu miejscowości Cervera (1717), kierowanym przez lojalnych wobec Burbonów jezuitów. Powoli, ale skutecznie, eliminowano z życia publicznego język kataloński, zaczynając od sądownictwa i stopniowo rozszerzając nakaz posługiwania się wyłącznie językiem hiszpańskim na administrację i szkolnictwo.

Nowy król na początku swojego panowania oprócz działań odwetowych podjął kilka ważnych kroków, których celem była centralizacja władzy w Hiszpanii. Najpoważniejsze konsekwencje miał obowiązujący od 1716 do 1833 roku Dekret o Nowym Porządku (*Decreto de Nueva Planta*). Mimo że szereg przepisów lokalnego prawa cywilnego przetrwało, na mocy tego dekretu Katalonia straciła najważniejsze polityczne instytucje samorządowe, ustanowione jeszcze w średniowieczu. Tym samym Korona Aragonii i Katalonii definitywnie przeszła do historii.

Władza skoncentrowała się w rękach wojskowego komendanta, czyli kapitana generalnego (*capitán*

general), którego kompetencje – głównie militarne – czyniły go namiestnikiem króla w prowincji. Równy mu rangą był Trybunał Królewski (*Real Audiencia*), najwyższy lokalny organ prawa cywilnego, karnego oraz administracyjnego, wraz ze ściśle przestrzeganą hierarchią audytorów (czyli sędziów, *oidores*), prokuratorów (*fiscales*) i urzędników. Na jego czele stał prezes (*regente*), który nieustannie czuł nad sobą ciężką rękę kapitana generalnego. Do tego ostatniego należało rozstrzygające słowo w każdej sprawie. Często między tymi dwoma kadencyjnymi urzędnikami państwowymi najwyższej rangi dochodziło do konfliktów, ponieważ granice ich kompetencji nie zostały wyraźnie określone. Dodajmy, że trzecim, niezależnym od pozostałych filarem lokalnych struktur władzy była Nadintendentura (*Superintendencia*), która zajmowała się ściąganiem podatków. O ile cywilny prezes i kapitan generalny odgrywają dużą rolę w powieści, ta ostatnia, prozaiczna instytucja, nie zasłużyła na uwagę autora, tym bardziej że faktycznie nie stała się częścią tak zwanej Królewskiej Umowy (*Real Acuerdo*), określającej relacje polityczne pomiędzy stolicą i prowincją.

Artyści, karierowicze, rozpustna arystokracja i... dewotki. W akcję powieści zręcznie zostały wplecione dwie inne, skromniejsze instytucje, jednak bardzo ważne w kraju o silnych tradycjach religijnych, nadające niepowtarzalny koloryt tej powieści kryminalnej: Arcybractwo Najświętszej Krwi Pana Naszego Jezusa Chrystusa, potocznie zwane Bractwem Krwi, oraz Arcybractwo Matki Bożej Opuszczonych. Oba te bractwa pełniły uczynki miłosierdzia w stosunku do kryminalistów. Zadaniem pierwszego z nich było asystowanie skazańcowi przed egzekucją i w jej trakcie, to drugie zajmowało się jego zwłokami po zdjęciu z szubienicy czy garroty. Jeszcze przed egzekucją „Opuszczeni” zbierali na ulicach miasta jałmużnę, z której pokrywano koszty trumny, całunu, pochówku oraz, jeżeli zebrano więcej, zamawiano msze za duszę zmarłego. Sam skazaniec mógł wydać dyspozycje co do wykorzystania jednej trzeciej uzyskanej sumy. Po zapewnieniu opieki duchowej w noc przed egzekucją – spowiedzi, mszy żałobnej, wspólnej modlitwy i czuwania – o poranku Bractwo Krwi odprowadzało skazańca w procesji na miejsce kaźni. Na czele procesji zakapturzeni bracia nieśli krzyż przechowywany w swojej kaplicy w Parafii Matki Bożej Sosnowej – mniejszy, jeśli skazaniec był jeden, większy, jeśli było ich kilku. Ten zwyczaj przeszedł do języka potocznego. Mało kto ze współczesnych Katalończyków pamięta, że wyciąganie największego krzyża – ostatecznego, najsilniejszego argumentu – wzięło się z czarnych procesji, które jeszcze na początku XX wieku przechodziły przez miasto ze świecami, śpiewając po łacinie hymny, by zatrwożyć gapiów i nawrócić przynajmniej jednego zatwardziałego grzesznika, który oczywiście do ostatniej chwili będzie się upierał, że jest niewinny. Osąd nad największą w tej powieści zbrodnią pisarz pozostawia czytelnikowi.

Anna Sawicka

ANNA SAWICKA – iberystka, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, redaktor „Studiów Iberystycznych”, tłumaczy z języka katalońskiego i hiszpańskiego. Przez pięć lat była lektorem języka polskiego i wykładowcą literatury polskiej na Uniwersytecie Barcelońskim. Zajmuje się m.in. literaturą i kulturą katalońską (*Paryż–Barcelona–Sitges. Modernistyczny „genius loci” w Katalonii z perspektywy Santiago Rusiñola*, 2003, *Drogi i rozdroża kultury katalońskiej*, 2007). Ma w dorobku przekłady kilku katalońskich dramatów (Sergi Belbel, Josep Maria Benet i Jornet, Carles Batlle, Josep Pere Peyró, Lluïsa Cunillé, Guillem Clua) oraz opowiadania Pere Caldersa i Javiera Tomeo (*Minihistorie*, 2009), średniowieczny brewiarz mistyczny Ramona Llulla (*Księga Przyjaciela i Umiłowanego*, 2003), a także powieści Alberta Sancheza Piñola (*Chłodny dotyk*, 2006), Lluïsa-Antona Baulenasa (*Za worek kości*, 2008), Marii Àngels Anglady (*Skrzypce z Auschwitz*, 2010) i Eduarda Mendozy (*Miasto cudów*, 2010). W 2013 roku ukazała się w jej przekładzie pierwsza tłumaczona na język polski powieść Jaume Cabrégo, *Wyznaję*, w 2014 kolejna – *Głosy Pamano*.

KSIAŻKA UHONOROWANA

Nagrodą Krytyki Katalońskiej, 1992

Nagrodą Joan Crexells, przyznawaną przez Ateneum w Barcelonie, 1991

Nagrodą pisma „Serra d’Or”, 1992

Nagrodą czytelników pisma „El Temps”, 1991

Nagrodą Prudenci Bertrana, przyznawaną przez czytelników i krytyków, 1992

AUTOR NAGRODZONY TYTUŁEM

Premi d’Honor de les Lletres Catalanes

dla najlepszego pisarza katalońskiego, 2010

ORAZ

Krzyżem Świętego Jerzego,

najwyższym katalońskim odznaczeniem, 2014

Dla Margaridy

Za plecami Społeczeństwa drzemało Prawo.^[1]

E.M. FORSTER

Prawo to zbiór arbitralnych decyzji spisanych w Kodeksie i uświęconych zwyczajem każdej epoki. To wymysł profesjonalistów.

RAFEL MASSÓ

Tam, gdzie prawo, tam i bezprawie.

Pod znakiem Oriona

Konstelacja Oriona cieszy się przywilejem bycia uznawaną za najpiękniejszą na nieboskłonie. Tworzy ją ogromny czworobok, szerszy z północy na południe i węższy ze wschodu na zachód. Wyróżnia się w niej sześć wielkich gwiazd, a wśród nich alfa Orionis, czyli Betelgeza. Jej nazwa pochodzi z języka arabskiego. W tym języku Ibt-al-jauzà znaczy plecy olbrzyma. To gwiazda czerwona, świecąca bardzo jasno. Beta Orionis, którą ochrzczono imieniem Rigel, jest białoniebieska, podobnie jak gamma Orionis, nazywana Bellatrix, czyli wojowniczką. Ale prawdziwe klejnoty tej katedry na firmamencie, gwiazdy tworzące układ podwójny, usytuowane są w okolicach Pasa olbrzyma Oriona oraz w jego szpadzie. Trudno oderwać wzrok od tajemniczej galaktyki czy też mgławicy odkrytej przez Huygensa. Starożytni, ze swoją przysłowiową fantazją, dostrzegli w tym gwiazdozbiorze mitologiczną figurę legendarnego myśliwego, który ściga Plejady. Kiedy patrzymy na usiane gwiazdami niebo, rozciągające się w jesienne noce nad Barceloną, możemy zobaczyć oczyma wyobraźni, jak Orion uciekający przed Skorpionem osacza Plejady, po czym sam zostaje zaatakowany przez Byka. Czy podobna wymyślić bardziej czarowną opowieść? Ale w rzeczywistości wszystko to poetyckie mrzonki: całość konstelacji tworzą oczywiście gwiazdy giganty, i najprawdopodobniej nie mają ze sobą nic wspólnego. Całkiem możliwe, że ta piękna historia to zwykłe złudzenie optyczne. Ale czasami wyobraźnia pozwala uczynić rzeczywistość znośniejszą.

*Traktat o podstawach obserwacji niebieskich,
Jacint Dalmasés, Barcelona 1778.*

Uśmiechnął się. Od dwóch długich lat się nie uśmiechał. Jaśnie pan się uśmiechnął, zasłaniając lewe oko ręką, z prawym przyklejonym do teleskopu. Jakby spotkał starego znajomego. To była pierwsza nocna sesja tej deszczowej jesieni, poświęcona badaniu nieba, które tego wieczoru jakimś cudem pozostawało bezchmurne. Już od roku nie obserwował Mgławicy Oriona i stęsknił się za tym magicznym jądrem utworzonym przez cztery gwiazdy. Monsieur Halley twierdził, że uciekały od siebie w zawrotnym tempie, jakby się nienawidziły. Jakby i na firmamencie istniała nienawiść. Don Rafel Massó i Pujades, cywilny prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie, za każdym razem, gdy oglądał niebo, ulegał uczuciu niemocy, stawał się mały, znikomy, ogarniał go lęk przed nieznanym, ponieważ tamte gwiazdy, tamte delikatne obłoki, dzięki soczewce teleskopu niemal na wyciągnięcie ręki, pozostawały absurdalnie odległe, samotne, milczące, nieosiągalne i nierozpoznane. Nagle zaatakowało go wspomnienie nieszczęsnej Elviry i uśmiech na twarzy don Rafaela zgasł. Potrząsnął głową, żeby odpędzić czarne myśli, popatrzył na ciemny ogród i westchnął. Wyprostował się i wyciągnął z rękawa koronkową chusteczkę. Wysmarkał się dyskretnie. Zawsze, kiedy wychodził do ogrodu oglądać niebo, łapał katar, mimo że zakładał perukę, trójgraniasty kapelusz i pelerynę. Popatrzył gołym okiem na gwiazdozbiór Oriona jak na starego znajomego. Schował chusteczkę do rękawa, a kiedy się pochylił, żeby wznowić obserwację ukochanej mgławicy, zaklął pod nosem, bo tymczasem obraz znalazł się poza zasięgiem teleskopu. Z wysuniętym koniuszkiem języka walczył całą minutę, by odnaleźć uciekającą mgławicę. Doña Marianna ostrzegła go, że się przeziębii, i jak zwykle miała rację, ale on nie chciał przepuścić tak rzadkiej okazji. Niebo nad Barceloną, w tym momencie akurat jasne i bezchmurne, bezwstydnie wystawiało na pokaz całą paletę gwiazd ze swojego jesiennego repertuaru, po wielu zasnutych chmurami dniami, które są prawdziwym utrapieniem astronomów. Don Rafel nie czuł się jednym z nich. W młodości, kiedy zaczął sobie nabijać głowę pokrętną, dziwną i tajemniczą dziedziną prawa, z ciekawością chłonał wszystko, co go otaczało, i wtedy nawiązał kontakt ze znanymi fizykami, jak don Jacint Dalmases, a oni go wtajemniczyli w arkana astronomii. Przez wiele bezsennych nocy usiłował bezskutecznie podpatrzeć podwójny system gwiazdozbioru Lutni – jak trudno jest obserwować tę Lutnię, prawie zawsze w zenicie! – czy zmienne, swawolne wyścigi Ganimedesa, Io, Europy i Kallisto – wydaje się, że się bawią w berka wokół gigantycznego, leniwego Jowisza, ich wieczystej niańki, z tajemniczym, błyszczącym okiem na brzuchu, na podobieństwo kosmicznego Polifema. Don Rafel w młodości śledził z zainteresowaniem publikacje monsieur Halleya i przez jakiś czas opowiadał znajomym, że chce zostać astronomem. Musiał się jednak liczyć z rzeczywistością: otwierała się przed nim kariera adwokata i nie mógł ot tak przekreślić lat poświęconych na studiowanie kodeksów, paragrafów, praw i precedensów. Don Rafel uzyskał tytuł, ożenił się i przestał trawić noce na badaniu tajemnic milczących gwiazd. Od czasu do czasu ustawiał teleskop w ogrodzie i śnił na jawie, rekompensując sobie w ten sposób wieczne niezadowolenie malkontenta, zazdrozczącego innym pozycji, bogactwa oraz urodziwych dam; niektórym, nielicznym, mądrości; paru osobnikom przezorności; zazdrościłby też szczęścia, choć nim akurat prawie nikt nie mógł się pochwalić. Z tego to powodu jego życiem kierowało bezustanne drżenie nienasyconego serca. To ono sprawiało, że marzył, mimo że nie był poetą, zakochiwał się, mimo że daleko mu było do Don Juana, i bezustannie piał się w górę ponad innych, starając się wierzyć, że na tym polega szczęście. A dzięki swojej inteligencji, na przekór zawiści i nienawiści innych utrzymywał zdobytą pozycję. W tym wszystkim chodziło tylko o szukanie szczęścia, desperacko i po omacku. Niestety, cel ciągle pozostawał

nieosiągalny. W chwilach szczerości musiał przyznać, że jest najwyżej w połowie drogi. Dokładnie jak Jowisz. Don Rafel miał coś z Jowisza: za duży, za ambitny, za bardzo nadęty jak na solidną planetę; za mały, za słaby, by stać się gwiazdą z ogniem, energią i własnym światłem. Jednakże, podobnie jak Jowisz, dysponował satelitami.

– Cholera, znów mi ucieka! – Don Rafel adresował swoje pretensje do nieskończoności. W tym samym momencie usłyszał kroki i zobaczył pełgające światło. – Hipolicie, natychmiast zgaś lampę! – zaprotestował w kierunku ruchomej, jasnej smugi, która się do niego zbliżała.

– Pani mówi, żebym panu powiedział, że już czas – usłyszał głos niewidocznego sługi.

– Spokojnie, człowieku, przecież idę! – I ponownie pochylił się nad teleskopem. Zdegustowany skonstatował, że oczywiście znów stracił mgławicę z pola widzenia.

– Pani mówi – nie dawał za wygraną Hipolit ukryty w ciemności – żebym panu powiedział, że już wybiła ósma. I że musi pan zmienić perukę przed koncertem.

– Zostaw mnie w spokoju – odburknął niezadowolony. I nie ruszył się ze swego stanowiska obserwacyjnego przed teleskopem, dopóki nie przeszła mu złość na impertynenckiego sługę. A tymczasem rozwiał się wewnętrzny spokój, niezbędny podczas obserwacji nieba. Nadąsany poszedł w końcu do domu, potykając się w ciemności o kamienne ławki w ogrodzie i o własne myśli, bo przez chwilę, przelotnie, pamięć mu podsunęła obraz Elviry.

W pałacu markiza de Dosrius przy ulicy Ample spotykała się zazwyczaj burbońska śmietanka towarzyska Barcelony: oficerowie, prawnicy, inżynierowie, urzędnicy państwowi, najzamożniejsi kupcy, miejscowi i napływowi politycy, a między nimi plątał się jakiś przypadkowy Francuz, ofiara smutnych czasów. Uciekł, biedak, przed rewolucją w jednej koszuli, by się schronić w zastraszonej i nieufnym sąsiednim kraju. Całe to towarzystwo, ludzie kulturalni, zbierało się pod pretekstem obcowania z muzyką (choć na muzyce się nie znali, a wysiłek konieczny do jej uważnego słuchania uważali za zbyteczny) lub żeby ziewać w rytm aleksandrynów („Moje serce zemstą wyłącznie oddycha...”), łaskawie tolerując zaproszonego poetę.

Don Rafel z przyjemnością przyjmował zaproszenia do domu markiza de Dosrius, bo przestrzegano tam ciągle dobrych obyczajów, nakazujących majordomowi głośne anonsowanie gości. Don Rafel z przyjemnością wsłuchiwał się w słowa jaśnie pan Rafel Massó i Pujades, cywilny prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie, z małżonką. Prezes odruchowo spojrział na żonę, doña Marianna na niego, i oboje weszli do ogromnego salonu, najbardziej okazałego ze wszystkich przy ulicy Ample. Salon reprezentacyjny w pałacu markiza de Dosrius wzbudzał zazdrość całej barcelońskiej śmietanki. Grupkom zaproszonych, które dla zabicia czasu dyskretnie krytykowały się nawzajem, pojawienie się małżeństwa Massó dostarczyło nowego tematu. (Widzicie? don Rafel ciągle chudnie i coraz bardziej się garbi, wygląda jak znak zapytania; ale praca mu służy; co do tego nie mam wątpliwości; co chcecie przez to powiedzieć; oj, dużo by można mówić...) A tymczasem małżeństwo Massó, przechodząc obok, rozdawało uśmiechy na prawo i lewo i zmierzało w stronę kominka, gdzie wiekowy don Ramon Renau, markiz de Dosrius, w srebrzystej peruce (najnowszy wiedeński model), z pledem na bezużytecznych nogach pełnił honory domu, usadowiony na sprytnie pomyślanym fotelu, którym mógł swobodnie się przemieszczać dzięki kółkom. Za starym markizem, w oczekiwaniu na rozkazy, stał niewzruszony i nieodgadniony Mateu. Markiz chełpił się, że wśród barcelońskiej arystokracji to on jest największym impertynentem, więc burknął coś na widok dwojga nowych gości i wycelował w brzuch jaśnie pana czubek swojej

nieodłącznej łaski.

– Powodzi ci się, co, don Rafelu?

– O tak, panie markizie. – Małżonkowie nisko się uklonili.

– Dołączcie do tamtych, oni na pewno o mnie teraz plotkują – machnął łaską w kierunku zebranych, po paru sekundach rozmowy – ja muszę witać nowych gości.

Małżeństwo Massó posłusznie poszło przerwać rozmowę grupki, która, wnioskuje po nagłej zmianie tematu, właśnie ich obgadywała. Dobry wieczór, panie baronie, pani baronowo, panie prezesie, don Rafelu, uśmiechy, pozdrowienia, całując rączki, westchnienia, co słyszać? nie wiecie, czy przyjdzie Kapitan Generalny? wydaje mi się, że tak, panie baronie, i przelotne spojrzenie don Rafela na imponujący biust doñi Gaietany, aż dech zapiera... Don Rafel skwapliwie korzysta, że tak popularne jeszcze do niedawna krynoliny wyszły z mody, można więc podejść bliżej damy i zajrzeć jej w dekolt, co za emocje, aż mu się dłonie spociły z wrażenia. Ostatnio regularnie mu się to przytrafiało w obecności doñi Gaietany. Taki znalazł sposób, by wyrzucić z pamięci obraz nieszczęsnej Elviry.

– Słyszałem – zabrał głos baron de Xerta, nieświadomy cudzołożnych myśli jaśnie pana – że ta kobieta ma nadzwyczajny głos. – Zaczął się rozglądać niespokojnie w poszukiwaniu kogoś, kto podzieli jego opinię.

– Poczekamy, zobaczymy – upomniała się o obiektywność doña Gaietana, zupełna ignorantka w dziedzinie muzyki.

– Chyba raczej usłyszymy. – Don Rafel wygłosił tę uwagę z ukłonem, starając się ukryć drżenie głosu. Grupa taktownie zareagowała śmiechem i atmosfera nieco się rozluźniła. Nowi goście, szepty po kątach, dyskretny ukłon wybitnego uczonego don Jacinta Dalmasesa, ten to się wszędzie wkręci bez zaproszenia; ręka, która o sekundę dłużej, niż wypada, trzyma całowaną dłoń powabnej damy, i znów westchnienie don Rafela, że biust każdej kobiety wyglądał o wiele bardziej obiecująco niż piersi doñi Marianny. Ach, Elviro! Dlaczego?... Myśli don Rafela rozprysnęły się na tysiąc kawałków, ponieważ doktor Pere Malla, doprawdy, wszędzie go pełno, właśnie dołączył do nich z informacją z dobrego źródła, że mademoiselle Desflors śpiewała przed samym monsieur Cherubinim i że bardzo go poruszyła swoim śpiewem.

– Przecież mówiłem – przypomniał de Xerta. – To wybitna śpiewaczka.

– Nie mogę się doczekać jej występu – skłamał don Rafel, który tego wieczoru, kiedy już został siłą oderwany od obserwacji gwiazd, jeśli w ogóle czymkolwiek był zainteresowany, to chyba tylko cyczkami dam, zwłaszcza młodej baronowej.

– A właśnie! – Niecierpliwie tupnął nogą jeden z ważnych gości. – Kiedy to się zacznie?

– Kiedy staremu Renau się zechce – odparł de Xerta z porozumiewawczym uśmiechem adresowanym do pań. A don Rafel, pomyślał Xerta, ależ z ciebie dureń. Nie zasługujesz na nią. Bo don Rafel słuchał, ale tak naprawdę skupiał się tylko na pięknych zębach i wilgotnych, uśmiechniętych wargach doñi Gaietany, która całkiem zawróciła mu w głowie i kiedy próbował zdobyć się przed sobą samym na szczerłość, tylko się denerwował, bo fascynująca go kobieta z niesłychaną łatwością wywoływała uśmiech na twarzy wielu mężczyzn, pod lekko zezowatym spojrzeniem tego ciamajdy swojego męża. O moja ukochana Gaietano, szaleję za tobą.

– Jestem pewien – don Rafel ukradkiem spoglądał za siebie, ukrywając nos w koronkowej chusteczce – że ten stary dziad Dosrius czeka, aż nabierzemy apetytu, zanim rzuci nam... mięso.

– Żeby się nie przeliczył – wypowiedział się baron.

Grupa przeszła w kierunku ściany. Nad oknami wychodzącymi na ulicę Ample wisiał obraz przedstawiający drugiego markiza de Dosrius u boku kobiety kształtów tak obfitych, że wydawała się bezkresna. Dama ta miała symbolizować monarchię burbońską. Panowie pozostawili pod obrazem damy usadowione na krzesłach, pogrążone w rozmowach o szmatkach i fryzurach, a sami wrócili na środek salonu, żeby posłuchać komentarzy doktora Dalmasesa, najbardziej z nich wykształconego i najbardziej lekceważonego w towarzystwie: nie mógł się pochwalić żadnym tytułem, a kręcił się wśród arystokracji i podobno sympatyzował z rewolucjonistami francuskimi czy z jakimiś innymi oświeceniowcami, i coś musi być na rzeczy, kiedy się mówi, że no, że on sam musi należeć do masonerii, wiem to z dobrego źródła. Tak więc doktor Dalmases głośno się zastanawiał i przekonywał, że ludzki głos jest najdoskonalszym z instrumentów.

– Otrzymałym od Boga – uściślił don Rafel.

– Naturalnie, don Rafelu – zgodził się doktor Dalmases. W Boga raczej nie wierzył, ale nie chciał się wdawać w religijną dysputę. – Czy bawili może panowie na koncercie w dniu Wszystkich Świętych?

Okazało się, że nie, nikt się nie wybrał, bo do teatru, żeby posłuchać muzyki, chodzili tylko ci, którzy naprawdę ją przeżywali, a do domu markiza de Dosrius czy markiza de Cartellà, czy nawet do pałacu chodziło się po to, by pod pretekstem muzyki posłuchać o czymś innym. Tak więc doktor Dalmases poczuł się w obowiązku opowiedzieć znużonemu gronu o koncercie w Dniu Wszystkich Świętych, wiedzą panowie? dwa utwory monsieur Cherubiniego na kwartet smyczkowy, a potem jeden utwór niejakiego van Beethovena, z pewnością ucznia monsieur Haydna, bo bardzo mi go przypomina. A właśnie, słyszeli panowie o nim?

– Co proszę? – rozkojarzony don Rafel dał się przyłapać na nieuwadze.

– O tym Holendrze, Van Beethovenie.

– Nie. Pierwsze słyszę.

Chirurg, doktor Malla, odprowadził małżonkę do innych kobiet i z szerokim uśmiechem dołączył do grupy. Uśmiechnął się jeszcze szerzej na widok zniechęconego cywilnego prezesa. Bo z całą pewnością ze wszystkich obecnych w tym kółku don Rafel był przedmiotem największej nienawiści, zawiści i lęku, jako osoba wpływowa, pewna siebie i skorumpowana. Te trzy cechy zazwyczaj wpisywały się w życiorys ludzi mających coś do powiedzenia w Barcelonie tamtego roku Pańskiego. Doktor Malla, ciągle się uśmiechając, pozdrowił skinieniem głowy resztę towarzystwa i też musiał się przyznać, że nie, słowo honoru, nie obilo mu się o uszy nazwisko tego Van Beethovena. Nikt go nie kojarzył i doktor Dalmases, który z jakiegoś powodu trochę lepiej niż inni znał się na muzyce, podsumował, że ten Holender miał parę dobrych kompozycji, ale w sumie to tylko naśladowca takich geniuszy jak Cherubini czy Salieri, z czym wszyscy się skwapliwie zgodzili, też mi coś, ten Fanbetolen czy jak mu tam.

Prawdę mówiąc, nikt już nie zwracał uwagi na doktora, bo w tej właśnie chwili wszedł Kapitan Generalny i spłoszone spojrzenia wszystkich, również don Rafela, rzuciły się na niego niczym rój os, by zapuścić żądło zawiści. Teraz już można było zaczynać. Salon się wypełnił i czterech czy pięciu lokajów rozstawiało krzesła i fotele, aby trzydziścioro gości mogło się wygodnie rozsiąść. Markiz de Dosrius w towarzystwie eleganckiego Kapitana zajął miejsce tuż obok fortepianu w kolorze zielonego jabłuszka i stuknął laską w podłogę, żeby uciszyć zgromadzonych. Paru groźnie wyglądających młodych entuzjastów, z pewną nonszalancją w ubiorze – wystarczy powiedzieć, że żaden z nich nie nosił peruki –

podpierało przeciwną ścianę. Na przykład ten rozglądający się wokół blondyn z kręconymi włosami, ubrany ubogo, jak byle mieszczuch. Pewnie wprowadził go tu jego towarzysz, elegancki niski brunet z garbatym nosem, z jakimś pakiecikiem w ręce. Ten z włosami jak aniołek trącił łokciem kolegę:

– Czemu im nie zagrasz, Nando? Mam cię zapowiedzieć?

– Ani mi się waź.

W drzwiach po drugiej stronie pojawiła się kobieta obfitych kształtów, majestatyczna, bezkresna nie tyle z powodu dosłownej objętości, co raczej z racji aureoli i ostentacyjnej postawy. Marie de l’Aube Desflors, słowik z Orleanu, pozdrowiła tego starego zrzęde, aussi grincheux markiza głębokim ukłonem, później dedykowała koniunkturalny ukłon Kapitanowi Generalnemu i jeszcze jeden, zdawkowy, pozostałej publiczności. Żeby było jasne, kto płaci. Dopiero wtedy niektórzy zauważyli, że za tą budzącą respekt damą pojawił się nie wiadomo skąd jakiś niepozorny jegomość o smutnym spojrzeniu, w szarym ubraniu, z wianuszkami zarostu okalającym twarz, i nikogo nie obchodziło, że nazywa się monsieur Vidal. Niepewnym krokiem podszedł do fortepianu; dyskretnie czekał na rozkazy. Powoli goście markiza przestali klaskać i śpiewaczka, kiedy już wycodziła przez zęby kilka groźnych słów w stronę akompaniatora, uśmiechnęła się do publiczności, przepłukała dyskretnie gardło, nabrała w płuca powietrza i przymknęła oczy, czekając na pierwsze takty.

Reprezentacyjny salon pałacu markiza de Dosrius wypełniła muzyka. Jej magia okiełznała ruchliwych gości. Jak na obrazie Tremullesa czy Bayeu: mężczyźni stoją nieruchomo, starsi w perukach, młodszy z gołą głową, kobiety usadowione wygodnie w fotelach; wszystkie oczy utkwione w jednym punkcie. Panienkom pierś faluje z emocji; w oczach mają łzy. Markiz, pochylając się lekko do przodu w swoim fotelu na kółkach, opierał się na lasce ze srebrną rękojęścią. Kapitanowi Generalnemu szczęśliwie udało się powstrzymać ziewnięcie, a teraz szacował wielkość piersi śpiewaczki. W głębi, obok męskiej młodzieży podpierającej ścianę, stał nieruchomy jak posąg lokaj w barokowej liberii. Na konsoli pod lustrem, tuż przy drzwiach, tace z kanapkami i napojami czekały na odpowiedni moment. Stojąc na tle środkowego okna, z jedną ręką od niechcienia opartą na fortepianie, a drugą spoczywającą na piersi, jakby chciała dłonią zatrzymać popędliwe serce, by nie wyskoczyło na środek salonu w pogoni za miłością, Marie de l’Aube Desflors raczyła publiczność rewelacyjnym głosem, jakiego od lat nie słyszano w Barcelonie, w popisowej arii je parlerai de mon tourment. Maestro Vidal, namiętnie pieszcząc klawisze, miał łzy w oczach, kto wie, czy z powodów czysto zawodowych, czy dlatego, że ten ciepły, zmysłowy głos poruszał go nie mniej niż Andreu, młodzieńca z kręconymi włosami. Andreu wierzył, że za magią urokliwego głosu kryło się czysto zmysłowe pożądanie. Oszołomiony pieśnią, natychmiast zakochał się w mademoiselle Desflors. Uścisnął rękę przyjaciela, a ten się uśmiechnął, bo znał go na tyle, żeby wiedzieć, co przeżywa.

Po ostatnim utworze recitalu mademoiselle Desflors zapadła niezręczna cisza, jakby publiczność odczuwała niedosyt. Goście czekali, aż markiz da znak do oklasków, ale ten, zauroczony głosem, ani drgnął. Wsparty na lasce, patrzył przed siebie rozpalonym wzrokiem. Bo markiz de Dosrius zapominał o swojej impertynencji tylko wtedy, kiedy słuchał muzyki. Obok niego, Kapitan Generalny, który przysypiał między czwartą i piątą pieśnią, teraz dokonywał tytanicznych wysiłków, żeby nie przejąć inicjatywy, bo mimo iż według protokołu on był, mhm, najwyższy rangą w tym salonie, choćby nie wiem ilu się tu plątało markizów, hrabiów i baronów, w końcu Kapitan Generalny to Sama Esencja Władzy, pisana dużymi literami, jednakże tu rządził inny protokół i według niego pierwszy miał złożyć ręce do

oklasków markiz, i Kapitan Generalny przestrzegał go niczym regulaminu wojskowego. Mademoiselle Desflors, nieco zdezorientowana, nieprzyzwyczajona do ciszy po występie, westchnęła, żeby dać do zrozumienia, że to już koniec. To westchnienie wyrwało markiza ze stanu rozmarzenia. Uderzył laską w podłogę i wtedy wszyscy odetchnęli z ulgą, że wolno już klaskać. To były bardzo długie trzy czy cztery sekundy.

– Podobało ci się, Nando?

– Chcę więcej.

– Zaproponuj, że będziesz jej akompaniować na gitarze.

– Nie, zaraz by się obraził maestro Vidal. Poza tym lepiej brzmi z fortepianem.

Mademoiselle Desflors po kolejnym ukłonie i przesłaniu trzydziestu całusów nabrała powietrza w płuca i mieszając koszmarne francuski z włoskim i z katalońskim podsłuchanym u maestra Vidala oraz z domniemaną hiszpańszczyzną, oświadczyła, że chciałaby jeszcze coś zaśpiewać do akompaniamentu *privilegié compositeur local*, Ferdinanda Florsa, obecnego w tym salonie. Ludzie zaczęli się rozglądać, bo jako żywo nikt nie znał *privilegié compositeur local*, Ferdinanda Florsa. Kapitan Generalny spytał, co mówi ta żabojadka? bo ja nie bardzo rozumiem francuski. Markiz de Dosrius wzruszył ramionami i niecierpliwie stuknął laską w podłogę.

Zanim konsternacja zdążyła przejść w szemranie, Andreu podskoczył i krzyknął tu, tu jest, i trącił łokciem przyjaciela, Nando, o tobie mowa. Nie pytając o zgodę, już chwycił Sortsa pod rękę i pociągnął do śpiewaczki. Na to publiczność, o, o, to jest młody Sorts, ach tak. *Privilegié compositeur*? Przecież on jeszcze ma mleko pod nosem, ach, och. Czy ten młokos nie wybierał się gdzieś w podróż? Gdy tylko mademoiselle Desflors zobaczyła zbliżających się w jej stronę dwóch młodzieńców, natychmiast zagięła parol na tego blondyna z lokami, prawdziwy cukiereczek. Ale monsieur Ferdinand Flors to ten drugi: chudy, śniady, zarośnięty i brzydki. I wcale się nie nazywał Flors. Słowiczka z Orleanu ukryła swoje rozczarowanie pod grzecznym ukłonem. Pozwoliła ucałować swoją dłoń zachwyconemu Ferranowi Sortsowi, a jednocześnie słuchała męskiego, świeżego promiennego głosu cukiereczka. Sprostował, że ten drugi nie nazywa się Flors, tylko Sorts. Mademoiselle Desflors ostentacyjnie zmierzyła Andreu wzrokiem od góry do dołu i jakby przestała się nim interesować. Ten i ów kręcił nosem, że jakiś Andreu, nikomu nieznany młokos, który nawet nie umie stosownie się ubrać (mówcie, co chcecie, ale nie rozumiem, kto go tu wpuścił), wparadował sobie w najlepsze na środek salonu. Cztery nieorientowane w sytuacji damy nagrodziły oklaskami *privilegié compositeur*, uspokojone, ach, chciała powiedzieć Nando Sorts; trudno zrozumieć tę kobietę. Trzeba było od razu tak mówić. A mademoiselle Desflors zwróciła się do swojego akompaniatora:

– Nie ma pan nic przeciwko, monsieur Vidal?

– Wprost przeciwnie – muzyk przełknął żółć i wstał.

– To dla mnie zaszczyt – wymamrotał Sorts, bardzo zdenerwowany, i podał pakiecik Andreu, tylko nie zgub, mam to komuś przekazać. Andreu ścisnął jego łokieć, no, Nando, pokaż, co potrafisz. I ku rozpaczy mademoiselle Desflors usunął się na drugi koniec salonu, z pakiecikiem powierzonym przez przyjaciela. Sorts zasiadł do fortepianu i Marie de l’Aube Desflors zapowiedziała D’abord, l’amour, uznając za oczywiste, że jeśli ktoś chce jej akompaniować, musi znać cały jej repertuar na pamięć. Maestro Vidal ze złośliwą satysfakcją pokazał mu nuty leżące na fortepianie. Życzliwie puścił do niego oko i wyszeptał na ucho przyjacielską radę:

– Adagio molto lento.

Ferran Sorts zdążył tylko rzucić okiem na pierwszą stronę nut, udając, że musi się wygodnie usadowić przy klawiaturze, ale to mu wystarczyło, żeby uświadomić sobie absurdalność sugestii akompaniatora. Co za kreatura, wycedził przez zęby, i rozpoczął zdecydowanym, mocnym vivace. Przy piątym takcie był już pewien, że miał rację. Poszło jak z płotka. Właściwie chyba nawet lepiej niż z monsieur Vidalem. Kiedy utwór się skończył, Sorts wstał, zdziwiony otrzymał dwa całusy od śpiewaczki, najwyraźniej przeznaczone dla jego przyjaciela, i usunął się na bok, słuchając braw. Obok niego stał monsieur Vidal. Wykorzystał okazję i z uśmiechem posłał go do diabła.

– Słucham? Co proszę?

– Obłudny zasraniec.

Zanim pianista zdążył zareagować, mademoiselle Desflors wywołała compositore local, żeby ukłonił się publiczności i odebrał należne mu brawa.

– Dobry z pana muzyk, mon cher – usłyszał.

Lokaje od jakiegoś czasu zajmowali się wymianą tych spośród dwustu świec w dwudziestu pięciu kandelabrach, które już zdążyły się wypalić. Marie de l’Aube Desflors dobrze się bawiła w towarzystwie młodego Sortsa i Andreu. Ten ostatni wpatrywał się w nią jak w obrazek. Wszyscy troje, milczący pianista i grupki gości, między innymi doktor Dalmases, degustowali apetyczne przekąski, ponieważ markiz postanowił ugościć uczestników koncertu, aby pokazać, że nie jest gorszy od markizy de Polastron i stać go na wystawne przyjęcie. Marie de l’Aube Desflors, wkładając do ust ciepłego krokiecika, pożerała wzrokiem rozemocjonowanego Andreu, podczas gdy młody Sorts rozglądał się i wypatrywał wśród zebranych adwokata Terradelllesa, melomana, który nie opuszcza żadnego koncertu. Zrezygnowany, przyjął do wiadomości, że trudno, musi nosić ze sobą pakiecik przez całą noc.

Kapitan Generalny, wytrawny strateg żywo zainteresowany rowkiem między piersiami śpiewaczki, obliczył sobie, jak ma się przemieszczać z kieliszkiem w dłoni od grupy do grupy, żeby się zbliżyć do celu. Ale było oczywiste, że mademoiselle Desflors go unika, przedkładając nad jego osobę towarzystwo tego chudego mydłka bez jaj i charakteru. Ponieważ jednak nie wypadało mu wywoływać skandalu, najwyższy godnością reprezentant Burbonów w Katalonii musiał dostosować się do wymogów salonowej etykiety. Ten wyrafinowany degustator egzotycznych kobiet tym razem musiał się obejść smakiem i udawać, że wysłuchuje prośby jakiegoś natręta, który podszedł do niego z kieliszkiem i zawracał mu głowę, że coś tam, ktoś tam, ekscelencjo. Niby zastanawiał się nad odpowiedzią, a tymczasem obiecywał sobie, że jutro, najpóźniej pojutrze pokonana żabojadka będzie leżeć u jego stóp. To znaczy w łóżku. Bo jak on mówił białe, to musiało być białe, do kroćset.

Tymczasem jasnie pan don Rafel Massó miał inny problem. Już w połowie recitalu zachciało mu się sikać i musiał jak najszybciej udać się za potrzebą. Kierując się ogólnikowymi wskazówkami lokaja, wszedł do ciemnego korytarza. Po dochodzącym z głębi smrodzie zorientował się, że wybawienie już blisko. Znalazł się w słabo oświetlonym pomieszczeniu, gdzie stało około tuzina nocników. Don Rafel mógł wreszcie sobie ulżyć, kiedy już udało mu się, szarpiąc nerwowo, uporać ze skomplikowanym systemem zapinania cullotów. Uspokojony, stał jeszcze chwilę beczynnym, trzymając członek w dłoni, jakby kwaśny odór pomieszczenia nastroił go refleksyjnie. Ostatnio coś za często don Rafel stawiał sobie bardzo niebezpieczne dla zdrowia pytanie, czy aby na pewno jest szczęśliwy. I za każdym razem dochodził do wniosków raczej pesymistycznych. Kiedy życie poprzez zrównoważony bilans sukcesów

i porażek daje poczucie wewnętrznego spokoju, człowiek może uznać, że jest szczęśliwy, jednak jeżeli normą w każdej chwili są dokuczliwy niepokój, drzenie serca, przeświadczenie, że wróg się czai za każdym rogiem, to znak, że szczęście rozwiało się jak dym, na zawsze, że zostało nieodwracalnie stracone. Jaśnie pan otrząsnął członek i ze smutnym westchnieniem uznał, że dość już medytowania. Gdy zapinał culloty, do pomieszczenia wpadł baron de Xerta, najwyraźniej z przepełnionym pęcherzem.

– Człowiekowi zbiera się na sikanie od tego śpiewania – wygłosił sentencję na widok don Rafaela.

Ten odparł lakonicznym owszem, owszem i baron ciągnął dalej:

– Myślę, że będziemy musieli tu siedzieć, dopóki Kapitanowi Generalnemu nie uda się zbałamucić żabojadki.

Don Rafael najchętniej by mu powiedział i co z tego, że jesteś baronem, ty stary przyku. A najgorsze, że i mnie to czeka. Kiedy baron de Xerta stanął do niego tyłem, żeby się wysikać, don Rafael wzgardził nim jeszcze bardziej, bo nie zasługiwał na taką żonę; świat źle jest urządzony, o moja Gaietano! Cywilny prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie, zaprzątnięty cudzołożnymi myślami i wizją przerażonych oczu Elviry, zignorował obfity, dźwięczny, wesoły i przede wszystkim beztroski strumień moczu barona de Xerta.

– Nie wiesz, młodzieńcze, czym jest życie – oświadczyła Marie de l’Aube Desflors, podwijając spódnicę, żeby odpiąć podwiązki i ściągnąć białą pończochę z naturalnością, która Andreu wydała się obsceniczną.

– A pani?

Zamiast odpowiedzi usłyszał śmiech. Przerwała ściągnięcie pończoch i z jedną obnażoną nogą opartą na taborecie zalotnie zwróciła się do chłopca:

– Jak pan sądzi, ile mam lat, co? No, proszę zgadywać.

Andreu podrapał się po kręconych włosach, skąd mam wiedzieć, proszę pani... nie jestem dobry w zgadywaniu... i uśmiechnął się zakłopotany, a tymczasem myślał, uważaj, Andreu, żebyś nie popełnił gafy. Ale mademoiselle Desflors nie bawiła się w subtelności. Upolowała go, podobał się jej i już go miała w swoim pokoju w hotelu. Należała się jej odpowiedź.

– Co to, to nie, ej, żadnych uników! Ile mi pan daje, no już! Proszę się nie krygować. – Zdjęła stopę z taboretu i przytknęła oczy, podchodząc do młodzieńca. – Przyzwyczajona jestem do gorzkich rozczarowań. – Położyła mu dłonie na ramionach. – No, ile?

– Nie mam pojęcia, najdroższa!...

– Nie zaryzykuje pan?

– Trzydzieści – zaryzykował i zamknął oczy, uwięziony w swoim kłamstwie.

Marie de l’Aube Desflors westchnęła i dwukrotnie go pocałowała, tak głośno, że natychmiast wydedukował, że ta pani obdarzona anielskim głosem dawno, oj dawno, przekroczyła czterdziestkę.

– Moglibyśmy przejść na ty, nie sądzisz? – zaryzykował.

Roześmiała się wesoło jak kanarek i odwróciła się do niego tyłem. Tykanie ma coś wspólnego z obnażaniem.

– Proszę, rozepnij mi suknię.

Zrobił to tak zręcznie, że zasłużył na następnego całusa. Kiedy suknia opadła do stóp, a piersi rozsadały gorset, Marie de l’Aube Desflors, słowiczka z Orleanu, odwróciła się do chłopca.

– Pozwól, że teraz ja cię rozbiorę. Co to takiego?

– Medalion.

– Zdejmij go.

– Nigdy się z nim nie rozstaję.

– Dzisiaj tak. Chcę cię nagiego od stóp do głów. – I Andreu ściągnął medalion Teresy.

Miało się wrażenie, że tej kobiecie do miłości wystarcza wyobraźnia. Robiła takie miny, jakby samo obnażanie Andreu dostarczało jej pełnej rozkoszy. Wiedziała, że w samych kalesonach Andreu poczuje się bezbronny.

– Pozwól, że ci je ściągnę, mon cher.

Przy zdejmowaniu kalesonów pochyliła się i delikatnie sprawdziła, na co może liczyć.

– A ty... ty się nie rozbierasz? – zająknął się Andreu.

– Owszem... ale lubię sobie popatrzeć na nagiego mężczyznę. – Westchnęła. – W salonach to nie do pomyślenia...

– Och! – Andreu inaczej to sobie wyobrażał. – We Francji...

– We Francji, we Francji – przedrzeźniała go lekceważąco. – Nie wierz w to, co się mówi o Francji.

Chwyła Andreu w pasie i pociągnęła w stronę dużego lustra u stóp łoża. Ustawili się przed nim niczym w pracowni Tremullesa.

– Nie chciałbyś, żeby nas tak sportretowano, mon chouchou?

– Mon quoi? – Andreu zawstydzony, bo już zaczynał się podniecać. Ona była zachwycona.

– Mon quiquoi – powiedziała i zaczęła z wprawą go pieścić. – Rozbierz mnie, quiquoi. – Teraz jej się spieszyło.

Nie zgasili żadnego z trzech kinkietów oświetlających sypialnię, bo tej nocy mademoiselle chciała nasycić kochankiem i ciało, i wzrok. Quiquoi mógł się przekonać, że Marie de l’Aube Desflors to nie tylko wybitna śpiewaczka, która ma głos jak anioł, delikatny i silny, ale też pieprzy się jak wszyscy diabli.

– Co to za jeden, ten młokos?

– Kogo ma pan na myśli, monsieur Vidal? – Pan Arcs, pomocnik impresaria teatralnego, miał za zadanie zapewnić wszelkie wygody artystom przybywającym do Barcelony. Nie czuł się swobodnie w towarzystwie pianisty marnującego życie na włóczeniu się z tą Desflors po błotnistych drogach królestwa Pana Boga i Jego Królewskiej Mości, bo słyszał to i owo o jego wrednym charakterze.

– Tego wyrostka, który zajął dziś moje miejsce.

– Ach, Nando Sorts! To pan Josep Ferran Sorts, kompozytor. Świetnie gra na gitarze.

– I na fortepianie. – Monsieur Vidal opróżnił kieliszek, a pan Arcs natychmiast go napełnił, żeby tylko nie patrzeć mu w oczy.

– Dużo państwo podróżują pod koniec roku?

– Bardzo jest młody? Ile może mieć lat? Ze dwadzieścia?

– Kto taki, monsieur Vidal?

– No, ten chłopak. Ten cały Sorts.

– Ach, nie mam pojęcia. Ale owszem, faktycznie bardzo młody. A z Barcelony dokąd się udajecie?

– Widać, że się zna na muzyce. Powiedział pan, że jest kompozytorem?

– Eee... No tak, tak... Ma sporo kompozycji na gitarę... I parę lat temu wystawił operę... Nie pamiętam

tytułu, wie pan, jakieś obce nazwiska.

– Ooo, to bardzo interesujące!... Na pewno wierzy, że jest drugim Mozartem.

Podniósł kieliszek do ust i wypił do dna. Arcs skorzystał z przerwy, żeby zmienić temat rozmowy, och, monsieur Vidal, jakże bym chciał zobaczyć Paryż!

– Ten młodzieniec to jakiś okropny typ!... Na pewno woda sodowa uderzyła mu do głowy!

– Ach, Paryż!... – Arcs po raz kolejny napełnił kieliszek monsieur Vidala, który już zaczynał patrzeć szklanym wzrokiem. Rozejrzał się wokół siebie. Wszystkie stoliki były puste, poza tym zajęty przez nich. W salonie usytuowanym obok holu w Hotelu Czterech Narodów panowała cisza. Kelner, ukrywający twarz za przesadnie wybujałymi wąsami, gasił po kolei kinkiety, aż zostały tylko te obok nich. Od czasu do czasu z ulicy wchodził do środka jakiś gość. Przez szybki w drzwiach salonu dało się dostrzec jego oddech w postaci obłoku pary, kiedy otrząsał z butów zimne błoto z ulicy. Monsieur Vidal przez dłuższą chwilę się nie odzywał i w skupieniu obserwował dno kieliszka, jakby tam szukał prawdy.

– Mam już powyżej uszu akompaniowania tej ładacznicy.

– Co proszę?

– Pan i ja – kontynuował pianista – pijemy tu i przełykamy gorycz, prawda? A wie pan, gdzie jest teraz ta... ta... – z szyderstwem w głosie – madama?... Wielka śpiewaczka? – Potrząsał kieliszkiem nad głową i wpatrywał się w pana Arcsa.

– Ja... Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym.

– Pieprzy się w swoim pokoju.

– Eee...

– A wie pan z kim? Z tym pańskim Sortsem, jarmarcznym grajkiem. – Głośno stuknął kieliszkiem o marmur stołu.

– Skąd pan wie? Chce pan powiedzieć, że nie...

– Skąd wiem? – Zaśmiał się ponuro. Odsunął krzesło od stołu i wymierzył palec w Boga ducha winnego Arcsa. – Ta cała Desflors bez przerwy się z kimś pieprzy, tak, proszę pana. I tylko się rozgląda za coraz to innym, młodym, nowym, świeżym mięsem. – Znów przysunął krzesło i ścisnął kieliszek tak mocno, jakby chciał go skruszyć. – Na takich starych jak pan i ja nawet nie spojrz.

Pan Arcs pomyślał, że najwyższy czas dyskretnie się wycofać. Problem w tym, że otrzymał wyraźne polecenie, by dotrzymywać towarzystwa artystom, dopóki nie zamkną się w swoich pokojach. A monsieur Vidal był już wystarczająco wstawiony i powinien iść do łóżka.

– Z pieprzenia czerpie energię do śpiewu – teoretyzował tamten.

Po tym oświadczeniu z trudem podniósł się z krzesła. Pan Arcs z ulgą poszedł w jego ślady. Ale okazało się, że sprawa nie jest wcale taka prosta.

– Chce się pan przekonać? – Wskazał głową sufit. – Chce pan sam zobaczyć, że ma teraz na talerzu... o przepraszam... – czknął głośno – chciałem powiedzieć, w łóżku tego młokosa, Sortsa?... – Pokręcił głową. – Pewnie oboje uprawiają muzykę najlepszą na świecie. – I zaśmiał się ze swojego dowcipu.

Pan Arcs wykorzystał moment, żeby przejść do ataku, monsieur Vidal, wierzę, wierzę, ale, człowieku, niechże pan siada! Gdzie panu będzie lepiej niż tu, wśród przyjaciół, przy kieliszku? Posadził go i dolał mu wina, zanim tamten zdążył zareagować. Jednak pianista znów się poderwał zdumiony i wskazał drzwi salonu, jakby zobaczył zjawę. Duch przyszedł z ulicy i właśnie wycierał w holu zabłocone buty. To był młody Sorts. Zobaczył przez okno dwóch samotnych pijaków i postanowił do nich dołączyć. Wszedł do

salonu, rozcierając zmarznięte ręce. Ubrany w mundur porucznika, trzymał pod pachą cienki, starannie zawiązany pakiecik. Zanim dotarł do stołu nocnych marków, zatrzymał się zaskoczony: monsieur Vidal wskazywał go oskarżycielskim gestem, proszę spojrzeć, proszę spojrzeć! Widzi pan? a nie mówiłem? Chwiał się na nogach, ale mimo wszystko próbował podejść do Sortsa.

– Dobry wieczór, panowie – przywitał się. Chciał zapytać o Andreu, ale monsieur Vidal dmuchnął mu w twarz oparami wina.

– Jak poszło? Udało się zaspokoić nienasyconą? – Teatralny krok do tyłu, żeby wzmocnić efekt. – Ugasił pan ogień tamtego rozpalonego ciała, monsieur?

To przemówienie chyba go wyczerpało, bo pianista opadł na krzesło, zupełnie jak ktoś, z kogo spuszczone powietrze. Ferran Sorts kręcił głową to w jedną, to w drugą stronę, a później, pytająco, spojrział na pana Arcsa, jakby chciał go zapytać panie Arcs, o co chodzi temu żabojadowi? Spił się jak bela, co? Wie pan, o czym on mówi? Żabojad na swoim krześle trochę się opamiętał; mówił teraz powoli, jakby to, co chciał powiedzieć, wynikało z głębokiej, przemyślanej refleksji:

– Wiecie, jak wspaniałe jest jej ciało?... Kiedyś przypadkiem zobaczyłem ją nagą... To było w Cremonie... Miał ją pan w swoich ramionach? Przeleciał ją pan teraz, prawda?

– Jeśli ma pan na myśli damę, której pan i ja akompaniowaliśmy przy fortepianie – odpowiedział Sorts z bardzo obrażoną miną – to nie widziałem jej, od kiedy wyszliśmy z domu markiza. Poszedłem do siebie się przebrać, bo wyruszam w podróż. Idę prosto z domu.

– Wykrętne kłamstwo. Po co niby pan tu przyszedł, do hotelu?

– Mam tu poczekać na przyjaciela. I nie pozwolę, żeby pan...

– Dobrze, już dobrze! – uciął tamten, rozkładając ramiona. – Nie musi się pan przede mną tłumaczyć.

Mnie to wystarczy. Proszę usiąść. Zapraszam pana na...

Sorts popatrzył na Arcsa, wzruszył ramionami, położył pakiecik na stole i przysiadł się do nich.

– Jeśli ktoś miałby się tłumaczyć, to chyba raczej pan – odciął się.

– Jestem pijany. A właśnie, dowiedziałem się, że wystawił pan operę.

– Tellemaco nell'isola di Calipso – potwierdził Sorts z dumą w głosie. Już mu przeszła cała złość.

– A nie mówiłem? – potwierdził Arcs i westchnął z ulgą, że rozmowa przybrała inny obrót. – Widzi pan, same obce nazwiska.

– Mozart porzucił włoski dla niemieckiego.

– A ja nie – bronił się Sorts, pewny siebie. – Włoski jest językiem opery.

– Chce pan powiedzieć, że Mozart się myli?

– Na Mozarcie świat się nie kończy. Taki na przykład Lesueur... czy Cherubini...

– Cherubini! Król Paryża! Niech mnie pan nie rozśmiesza, monsieur Sorts! Cherubini to mason, no i proszę, mimo że jest Włochem, napisał operę po francusku.

– Naprawdę?

– Médée. Okropna.

Sorts milczał. Nalał sobie wina z butelki na stole. Z pełnym kieliszkiem w dłoni przyglądał się rozmówcy.

– Co pan do mnie ma, monsieur Vidal?

Pianista spojrział na niego i uśmiechnął się. Kelner skończył pracę i już nikt nie krzątał się w salonie. Kinkiet nieopodal stołu był jedynym światłem w całej sali. W holu wreszcie skończył się ruch i przestali

wchodzić goście, bo o tej porze przyzwyczajeni ludzie już śpią. Za kontuarem jakiś mężczyzna w przekrzywionej, nadgryzionej przez mole peruce spał smacznie. Nocny stróż. Hotel Czterech Narodów pogrążał się w ciszy, z wyjątkiem tych trzech nocnych marków w salonie.

– Opowiem panom historię, którą przeżyłem prawie czterdzieści lat temu – tajemniczym tonem monsieur Vidal rozpoczął odpowiedź na pytanie Sortsa. – Słyszeliście kiedyś o monsieur Jeanie Marie Leclairze?

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Arcs i Sorts milczeli skonsternowani, a pianista ciągle popijał.

– Nie, nigdy o nim nie słyszałem. A pan?

Sorts przecząco pokręcił głową.

– Tak myślałem! Czego innego mogłem się spodziewać? – Znow pociągnął z kieliszka i rzucił okiem na sufit, jakby chciał przewiercić wzrokiem swoją chlebobawczynię. – Wiecie, dlaczego unika towarzystwa?

Spojrzeni na siebie skonsternowani: kto? Leclair? Desflors?

– Ta podła dziwka wynajmuje do towarzystwa odpowiednio leciwe damy i trzyma je na dystans. Nie chce mieć świadków swoich... – Położył dłoń na genitaliach i wymownie spojrzał na Arcsa i Sortsa. – Sami panowie rozumiecie.

Monsieur Vidal znow się podniósł. Ledwie trzymał się na nogach. Z kieliszkiem w dłoni próbował zrobić parę kroków. Upił się w sztok.

– Byłem wtedy bardzo młody, smarkacz, można powiedzieć. Nie upadłem jeszcze tak nisko jak teraz...

– Co też pan mówi... – zareagował Sorts, ale tamten nie pozwolił im na współczucie.

Spieszyło mu się, by jak najszybciej opowiedzieć swoją historię.

– W tamtych czasach uczyłem się muzyki. – Wzniósł kieliszek. – Och, czas młodości; złote czasy poznawania tajemnic życia... bo później... – Wychylił kieliszek na cześć złotych lat i stuknął nim głośno o blat stołu, aż stróż w holu podskoczył w fotelu w połowie chrapnięcia, ale się nie obudził, tylko przełknął ślinę i spał dalej. – Szlag by trafił tę rewolucję. Złamała nam życie – ciągnął dalej monsieur Vidal. Usiadł i teraz zwracał się tylko do Sortsa: – Nauczyłem się tylko jednego: że życie jest nudne. Rozumiecie? Nudne!

– A co nam pan chciał opowiedzieć o panu... panu... – podniósł palec Arcs.

– Leclairze?

– Tak.

– Widziałem, jak go zabili. – Zamroczony alkoholem obserwował ich, żeby sprawdzić, jaki efekt wywarły jego słowa. – To przez zawiść: pewien niespełniony muzyk nie mógł ścierpieć, że tamten stworzył tyle piękna...

Przesunął się z krzesłem do tyłu, żeby zażądać od ciemności w salonie więcej wina. Ale efekt był taki, że z hukiem wylądował na ziemi. Podniósł się z pomocą usłużnego Arcsa, który z goryczą westchnął w duchu, że jest tu po to, by artysta mógł spędzić przyjemnie czas. Monsieur Vidal otrzepał ubranie, chcąc jak najszybciej zapomnieć o upokorzeniu tak pospolitym upadkiem, i wrócił na swoje miejsce. Nie podziękował Arcsowi za pomoc.

– Zostawił go rozciągniętego na ziemi cios noża wymierzony prosto w serce. – Tragicznym gestem wskazał na swoją wątrobę i ciągnął dalej: – Kiedy już leżał na ziemi, morderca wbił nóż w lewą rękę... – Ilustrował opowieść, patetycznym gestem wskazując swoją prawicę.

– A to wszystko z jakiego powodu? – zdziwił się Sorts.

– Morderstwo rytualne, przyjacielu. Leclair za dobrze grał na skrzypcach. Rozumiecie? Serce, bo tworzył muzykę, i dłoń, bo ją wykonywał.

– No dobrze – odezwał się ni w pięć, ni w dziewięć Arcs. Marzył tylko o tym, by w miarę przyzwoicie dobrnąć do kresu tego długiego dnia.

– Dobrze? – krzyknął monsieur. – Tylko dobrze? Przecież to cudowne!

– Co? – odezwał się Arcs zbity z tropu.

– Tamten niespełniony muzyk, proszę pana, osiągnął coś wielkiego.

– Tak?

– Tak! Prawdziwe dzieło sztuki. Artystyczne morderstwo! Z pewnością jedyne dzieło sztuki, na jakie go było stać w całym życiu.

Wpatrywał się z zainteresowaniem w dno kieliszka. Chyba tam spodziewał się znaleźć odpowiedź na liczne pytania, jakie zadaje człowiekowi życie.

– Dzieło sztuki! – powtórzył, jakby próbował przekonać sam siebie. Potem się roześmiał.

– Ale... ale ty... ty myślałeś, że...

Marie de l'Aube Desflors wybuchła śmiechem. Jej śmiech, trele i jodłowanie, przypomniały Andreu początek arii Dorindy i bardzo go to zraniło. Kobieta nagle spowaźniała.

– No, rozchmurz się, nie bądź śmieszny!

Andreu został dotkliwie upokorzony. Gdy wkładał ubranie, poczuł się żałosny przy tej nadmiernej kobiecie, która świetnie się bawiła, wystawiając nagie ciało na jego zachwycone spojrzenie. Spuścił oczy. Mademoiselle Desflors wykorzystała ten moment i udzieliła mu reprimendy stosownej do okoliczności. Zimnym, bezlitosnym tonem nazwała rzeczy po imieniu i proklamowała wolność ducha i czynu. Co ty sobie wyobrażasz, gówniarzu, że chwila zabawy w łóżku daje ci do mnie jakieś prawa?

Ponieważ powiedziała to wzburzona i na dodatek po francusku, Andreu prawie nic nie rozumiał. Ale ton głosu nie pozostawiał wątpliwości. Nie trzeba brać poważnie burzy zmysłów, dobrze ci radzę: jeśli się we mnie zakochałeś, musisz nabrać dystansu. Za trzy dni jadę do Madrytu występować przed królem.

To akurat zrozumiał.

– A jeśli za tobą pojedę? – zapytał, żeby coś powiedzieć.

– Mon quoiquoi!... – Podeszła do niego i uszczypnęła go w barbinette. Nie mógł oderwać wzroku od jej ogromnych piersi. – Jesteś bardzo chouchou, mon gamin, ale to tylko gesty. Poszukaj sobie młodych dziełatek i zapomnij o mnie, tak jak ja zapominam...

Pocałowała go w oba policzki i w ucho i podziękowała za miłe chwile, jakie razem spędzili. Ani on, ani ona nie pamiętali o medalionie pozostawionym na krześle pod ubraniem damy. Może, gdyby choć raz pomyślał o Teresie, nie zapomniałby o nim tak łatwo.

– Madame. – Andreu się uklonił. – À jamais – powiedział zamierającym głosem. Kiedy całował ją w rękę, odruchowo zakryła piersi. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Andreu zamykał już za sobą drzwi ze łzami w oczach. Sam nie wiedział, kiedy pokonał ciemne, ciche schody hotelu. Łzy popłynęły mu z oczu, kiedy znalazł się w holu. Nie zwrócił uwagi na stróża przysypiającego w fotelu ani na światło sugerujące, że w salonie siedzieli jeszcze ludzie, którym się nie spieszy do łóżka. Andreu zastanawiał się, czy warto teraz szukać przyjaciela. To, co na początku miało być żartem, okupił łzami. Nie chciał wysłuchiwać pytań w stylu no jak, Andreu, jak poszło? Jest nienasycona? Jest subtelna? No, opowiadaj, Andreu... A on

musiałby powiedzieć nie mam pojęcia, Nando; Nando, wiem tylko, że strasznie się ośmieszyłem. Powiedziałem, że jestem w niej zakochany, a ona roześmiała mi się w nos. A na to Nando, naprawdę się zakochałeś? Co? A to dopiero! I usłyszałyby ten aż za dobrze mu znany śmiech, na który nie miał teraz ochoty. I musiałby się tłumaczyć... sam nie wiem, Nando, poczułem coś takiego w środku... Bo ona tak pięknie śpiewa... Wtedy Sorts, bo on jak się do czegoś przyczepi, to nie odpuści, drażyłby temat dalej Andreu, to już wiem, że dobrze śpiewa. Teraz chcę się dowiedzieć, czy jest dobra w łóżku. A on musiałby odpowiedzieć jak wszyscy diabli, Nando.

Na Rambli panowały ciemności i Andreu, czekając na przyjaciela pod Hotelem Czterech Narodów, zaczął się przechadzać prawie po omacku. Jak łatwo dało się przewidzieć, wdepnął w kałużę i zaklął pod nosem, a Nanda jak nie było, tak nie ma. Jeśli sobie wyobraża, że pozwolę mu wyjechać do Malagi bez pożegnania, to się myli. Nieco dalej, bliżej ulicy Portaferriisa, pochodnie rzucały trochę światła. Andreu poszedł w tamtą stronę. Ciągnął jak ćma do ognia, a może z zamiarem wyjścia naprzeciw przyjacielowi, który stamtąd powinien nadejść. Zatrzymał się nagle na środku ciemnej Rambli. Dlaczego musiał się zakochiwać we wszystkich napotykanym kobietach? Wyobraził sobie minę przyjaciela, jak wymienia wady kolejnej damy jego serca, żeby łatwiej mu było przetrwać złe chwile takie jak ta, i obaj świetnie się przy tym bawią, no jak tam, Andreu, prawda, że mademoiselle Desflors wcale nie ma biustu, sprawdziłeś, i co? Jak to? On by mu odpowiedział, jak to nie ma biustu? Wtedy Nando, do kroćset, Andreu: mademoiselle Desflors ma z przodu nie biust, tylko dwie montgolfiery, i w śmiech. Ale nie było Nanda i nie miał z kim żartować. Szedł dalej przed siebie, myśląc zobaczymy, czy znajdzie go na Portaferriisie. I wtedy przyszło mu do głowy, że nie zakochał się w piersiach mademoiselle Desflors ani w całej reszcie jej ciała, z którym obcował przed chwilą. Nie zakochał się nawet w tajemniczym, niepokojącym zapachu jej perfum. Zakochał się w głosie. Zakochał się, teraz to dla niego stało się jasne, kiedy usłyszał ją w domu markiza, kiedy jeszcze była przyzwoicie ubrana. Andreu chwycił kamień i rzucił go z furią w stronę ciemnej Rambli. Czyli że oczarowały go jak jakiegoś durnia struny głosowe i powietrze... Otworzył szeroko oczy i już nie czuł chłodu: ekscytował się figurą poetycką. Zakochał się w powietrzu! To odkrycie zasługiwało na sonet! Na rogu ulicy Portaferriisa uznał za oczywiste, że zakochał się w czymś najbardziej eterycznym, ulotnym, niematerialnym, nieuchwytnym, co kiedykolwiek istniało... W czymś najszlachetniejszym, najbardziej lirycznym, co tylko taki jak on wrażliwy człowiek umiał docenić... Na pewno nie przyszło mu do głowy, że nie chodziło o mademoiselle Desflors ani o powietrze, ani o jakąś strunę głosową. Andreu zakochał się we własnej metaforze.

W salonie Hotelu Czterech Narodów stan upojenia alkoholowego maestra Vidala przekroczył już wszystkie granice, a cierpliwość pana Arcsa też była na wyczerpaniu. I właśnie wtedy, kiedy monsieur Vidal zaczął śpiewać półgłosem arię jąkały Papagena, pan Arcs wstał i powiedział panie Sorts, Bóg z nim; ja – położył rękę na piersi – otrzymałem od pana Banyulsa zadanie, by osobiście dotrzymać towarzystwa artystom.

– Papa, papa, papa! Papageno...

– Mówił, że mam towarzyszyć artystom, tymczasem ona bez żenady idzie do łóżka z pańskim przyjacielem, a on upija się jak bela na moich oczach...

– Pa-pa-pa-pa-pa-pa-pa!

– Co sobie wyobraża, ten Banyuls? Że będę im robił za przyzwoitkę przez całą noc?

– Papa, papa, papa, Papageno.

– Dość już tego. Dość już tego!

Sorts wstał, niezadowolony, że Andreu nie potrafił się odkleić od mademoiselle Desflors, a przecież mu obiecał, że o północy, Nando, umówimy się na ostatni przed twoim wyjazdem spacer po Rambli, zgoda?

– Kiedy pan wyjeżdża, panie Sorts?

– Wyruszamy o świcie.

– Papa, papa! Pa-pa-ge-no.

– Nie chce pan się przespać?

– Zdrzemnę się po drodze. – Rzucił okiem na śpiewającego pianistę i dodał po cichu: – Niech pan wykorzysta ten moment, żeby sobie pójść. Jak Andreu zejdzie na dół, we dwóch zaciągniemy go do łóżka.

Pan Arcs wyjął zegarek z kamizelki, wrzucił ramionami i podszedł do wieszaka po płaszcz. Zza ozdobnych roślin już nie wyłaniali się kelnerzy, jak w ciągu dnia. W Hotelu Czterech Narodów po północy spał nawet nocny stróż.

– Jestem panu bardzo wdzięczny, panie Sorts. Życzę szczęśliwej podróży i miłego pobytu w Maladze.

– Papageno.

Podali sobie ręce i Arcs szybko wyszedł na spotkanie nocy, zadowolony, że tak łatwo pozbył się ciężaru, monsieur Papagena i tej dziwki Desflors, dobrana z nich para, nie ma co! Gdyby nie słaby wzrok pana Arcsa, może by się zorientował, że ten młodzieniec, który wdepnął w kałużę, powiedział cholera i starał się opuścić jak najszybciej krąg słabego światła przy wejściu do hotelu, to Andreu. Jeżeli w ogóle go poznał. Ale on go po prostu nie zauważył.

– Papageno.

Barcelona podczas tej uciążliwej listopadowej nocy, nocy świętego Marcina, zatonała w gęstej, niemal namacalnej mgłę. To był pierwszy dzień bez opadów po całotygodniowych ulewach. Przeliczyły się te dylizanse i ekspedycje, które chciały wykorzystać słabe światło księżycy w ostatniej kwadrze do rozpoczęcia podróży. A kiedy mgła zawładnęła już całym miastem, od Studium Generale przy Rambli aż po przedmieścia Hort de Sant Francesc, od teatru po plac Blat i jeszcze dalej, w stronę Bòrii, od pałacu Virreina po ulicę Argenteria, kościół Santa Maria del Mar i plac Palau, kiedy nieliczne płonące pochodnie stały się całkiem bezużyteczne; kiedy zadrżeli z zimna marynarze, pełniący właśnie wachtę na statku, w ciszy urozmaiconej tylko przytłumionym, powolnym szumem fal uderzających o burtę, kiedy Sants, woźnica, po załadowaniu na odprawiany do Madrytu dylizans kufrów, walizek i nadziei, obudził pasażerów, przy akompaniamencie niecierpliwego rżenia koni przebiegających nogami, żeby jak najszybciej wyruszyć w stronę Creu Coberta, kiedy góra Montjuïc, wystawiając głowę ponad mgłę, popatrzyła obojętnie na prześcieradło z waty rozciągające się u jej stóp... Nagle Vicenta z kościoła Matki Bożej Sosnowej wybiła trzecią nad ranem, aż wzdrygnął się jakiś kot na dachu pałacu Fivaller. W gęstej mgłę rozmywał się głos dzwonu, jego aksamitny dźwięk brzmiał tajemniczo, jakby zapowiadał nieszczęście. Do zabawy w echo włączył się trzykrotnym uderzeniem dzwon Tomasa z katedry, a zaraz po nim Agustina z kościoła Świętego Sewera i dzwon najsubtelniejszy ze wszystkich, sygnaturka od Świętego Justa i Pastora, zwana Pastoretą. Spóźniony dokładnie o dwie minuty dzwon z kościoła Świętej Moniki, tuż obok koszar, zapowiadał to, o czym wszystkie dachowce zdążyły już zapomnieć. Na ulicę Ample wrócił spokój, gdy odjechali ostatni maruderzy, ci, którym trudno się rozstać, gdy przychodzi pora pożegnania, i fasada pałacu markiza de Dosrius znów pograżyła się w ciemności... A cztery przecznice

dalej, w nieco mniej okazałej posiadłości rodziny Massó, jaśnie pan leżał nieruchomo, żeby nie obudzić doñi Marianny, i szeroko otwartymi oczami oglądał powracający obsesyjnie obraz odpychającego, dumnego uśmiechu nieosiągalnej doñi Gaietany, na przemian z niczego niepojmującym, pełnym bólu spojrzeniem Elviry, mojego biedactwa, a to już doprawdy było prawdziwą torturą.

– Nando! Gdzie się podziewałeś?

– No coś ty, Andreu! To ty się zapadłeś pod ziemię!

Ferran Sorts denerwował się. Wybiła trzecia i sto kroków dalej, w koszarach, dostrzegął ruch zwiastujący przygotowania do wymarszu.

– Na mnie już czas, Andreu.

– Dziś się nie wyśpisz.

– Co tam. Mogę uciąć drzemkę na końskim grzbiecie. Przykro mi ze względu na ciebie: nasz ostatni spacer po Rambli spełził na niczym.

– No trudno, Nando. Pospacerujemy, jak wrócisz.

– Ejże, opowiadaj! Jak ci poszło ze słowiczkiem z Orleanu? Wiesz, że kiedy na ciebie czekałem w hotelu, mademoiselle Desflors zjawiała się na dole, w pełnej krasie?

– I co?... Pytała może o mnie?

– Była wściekła na służącą o jakiś problem ze świecznikiem. No, stary! Opowiedz o przygodzie z mademoiselle Desflors!

O Matko Przenajświętsza, jak w ciągu niespełna pięciu minut opowiedzieć, że się zakochał w głosie, że dał się pochłonąć ciału, że potwornie się ośmieszył, kiedy ją poprosił, żeby za niego wyszła, bo wydawało mu się, że skoro z nim obcowała, to coś znaczy, no a potem musiał uciekać jak niepyszny?...

– Wszystko dobrze, Nando – streścił. – Ale wiesz co? Napiszę ci o tym.

– Aha. Obiecanki cacanki. Ty i te twoje pomysły. Masz, to dla ciebie. – Wyciągnął kartkę z kieszeni wojskowej kurtki. – Kiedy dotrzymywałem w hotelu towarzystwa jakiemuś pijaczynie, czekając na ciebie, napisałem to.

– Co to jest?

– Skomponowałem muzykę do twojego wiersza na śmierć słowika. Możesz poprosić ojca, żeby ci zagrał.

– Dziękuję, Nando. To będzie piękna pamiątka... A wiesz, że do twarzy ci w mundurze?

Obaj przyjaciele roześmiali się; czasem człowiek się śmieje, żeby się nie rozpłakać. W ciemności uścisnęli się wzruszeni.

– Idiota z ciebie, że dałeś się zaciągnąć do wojska. Goethe ci tego nie wybaczy.

– Tradycja rodzinna to siła, z którą nie sposób walczyć. Ale wrócę niebawem i wtedy nadrobimy stracony czas. Już czuję zew przygody, a to przecież szlachetny poryw.

– Stracisz premierę Galupiego.

– Opowiesz mi, jak wrócę. Stawię się z nową operą pod pachą.

– Oby Bóg cię wysłuchał. Ale umówiliśmy się, że ja ci napiszę libretto.

– Będziesz mi je przysyłał w listach. Chyba że się zabierzesz ze mną.

– Słuchaj, Nando: do wojska nie zaciągną mnie nawet siłą. To gorsze niż więzienie. – Sorts parsknął śmiechem i podał mu kopertę, którą nosił przez całą noc. – To jakieś papiery wicehrabiego de Rocabruna. Znasz go?

– Nie.

– Nieważne. Miałem je przekazać adwokatowi Terradellesowi. Wiesz, o kogo chodzi?

– Nie.

– No ładnie. Nie wiem, jak ci się udaje nikogo nie znać.

– Jestem największym samotnikiem w Barcelonie – roześmiał się Andreu. – Ciebie znam.

– Aha. Słuchaj: ten Terradelles mieszka przy ulicy Cucurulla. Zaniesiesz mu to, dobrze? Wiesz, myślałem, że go dziś spotkam na koncercie.

– W porządku.

– Będziesz pamiętał?

– Jutro na pewno się tym zajmę. Wiesz, jak jest Andreu po francusku?

– Jak?

– Kłakła.

– Sam jesteś niezły Kłakła, Andreu. Chciałbym móc was podglądać przez dziurkę od klucza.

Roześmiali się i jeszcze raz uścisnęli. Para ich oddechów utworzyła obłok w świetle pochodni na rogu koszar i zmieszała się z mgłą.

– Och, już późno.

Ferran Sorts odszedł, nie oglądając się za siebie, z mieszanymi uczuciami z powodu wyjazdu. Nie chodziło o rodzinę. Przykro było zostawić przyjaciela, koncerty, znajome ulice. Mimo to ani przez moment nie zaświtała mu myśl, że mógłby zrezygnować z wojska. Kiedy człowiek jest młody, ma prawo się pokręcić tu i tam. Trochę nostalgii nie zaszkodzi. Andreu patrzył za nim, aż sylwetka przyjaciela wtopiła się w ciemną mgłę. Westchnął i szybko się odwrócił, zdecydowany ukryć wzruszenie we mgle i w ciemności. Obawiał się niechcianej łzy, oby tylko nie pojawiła się wbrew jego woli.

– Będę do ciebie często pisał, Andreu! – Nie był pewien, czy to słyszał, czy mu się tylko wydawało. Uśmiechnął się, bo wiedział, że jednego na pewno nie może się spodziewać po przyjacielu: systematycznej korespondencji.

Po drugiej stronie Rambli, przy ulicy Ample, don Rafel, zmęczony uporczywą bezsennością, właśnie usypiał z głową osaczoną przez dwie czy trzy napierające z różnych stron senne wizje. Rano znów będzie miał podkrążone oczy.

Zanim Nando Sorts przekroczył bramę koszar i nagle poczuł lęk, czy nie była błędem jego ekstrawagancka decyzja, by spędzić życie w służbie Jego Wysokości, zanim Andreu, egzaltowany poeta, zagubiony stosownie do obowiązującej konwencji na bezdrożach życia, z którym był skłócony, skręcił w uliczkę prowadzącą do domu, zanim w świadomości don Rafela Massó zatarły się i zlały w jedno kontury dwóch kobiet, na punkcie których miał obsesję, bo w końcu zmorzył go niespokojny sen, w tym samym momencie gdy dylizans do Madrytu wyruszył wśród krzyków, parskania i rżenia koni, szorując kołami o bruk, o tej samej godzinie, tylko dziesięć dni wcześniej, około czwartej nad ranem w Zaduszki, daleko od Barcelony, w odległości ponad trzech dni niewygodnej podróży, w miejscowości Mura, zapomnianej przez Boga i ludzi, Ciset z domu Peric siedział na brzegu łóżka i płakał. Przeżywał pierwszą samotną noc po trzydziestu latach sypiania u boku nieodżałowanej Remei, a kiedy przyzwyczajenie przeniknie do środka przez skórę, staje się silniejsze od ciebie i w końcu uwierzysz, że nie da się żyć i spać bez tej nieszczęsnej kobiety. Obchodził swoje własne nocne Zaduszki. Ciset płakał i kaszłał; już od paru dni kaszel zapuścił szpony w jego płuca, a teraz jeszcze na dodatek mieszał się z jego cierpieniem. Nigdy nie przypuszczał, że aż tak kocha Remei, to znaczy nie tyle ją kochał, co jej potrzebował. Nigdy nie przypuszczał, że aż tak będzie za nią tęsknił. Było mu zimno, mimo że otulił się kocem. Na zewnątrz padało tak obficie, jakby jeszcze przed świętym Marcinem niebo postanowiło pozbyć się zapasów, żeby ludzie umieli docenić prawdziwe babie lato, jak im się przytrafi. Ciset wpatrywał się w mdłe światło zapalanej przed chwilą świecy. Poczuł dreszcz i szczerzej otulił się kocem. Kolejny atak kaszlu, nowe ukłucie w płucach, z prawej strony. Ten kaszel przyczepił się do mnie właśnie wtedy, gdy się przeprowadziliśmy do domu Peric, obyśmy tu nigdy nie przyjeżdżali, o Panie Boże i apostołowie święci, a to wszystko przez owe straszne plaf, jeszcze teraz słyszał je w głowie: plaf! A teraz Remei nie żyła... ona, której nic nie dolegało. Ona, która jeszcze w sobotę mówiła, że powinien uważać na ten kaszel, może trzeba sprowadzić lekarza, Ciset, żeby cię porządnie zbadał, a on między jednym kaszlnięciem a drugim odpowiedział chyba weterynarza, Remei, skąd ty tu weźmiesz lekarza, niech będzie przekłeta godzina, kiedy tu przyjechaliśmy, Remei, a ona milczała i spuszczała wzrok, jak zawsze wtedy, gdy Ciset przeklinał ów czarny dzień, z powodu którego znaleźli się tam, gdzie diabeł mówi dobranoc... Bo w sobotę Remei jeszcze żyła i dobrze się miała. Ugotowała mięso z warzywami, jak zwykle przesadziła z kapustą, i słyszał jej dyskusję z Galaną o jakimś problemie z drobiem, kiedy on, korzystając z tego, że akurat nie padało, wyszedł przyciąć wczesne róże, bo te późne odmiany jeszcze kwitły, prawdziwy dar boży, te krzewy, gdyby nie one, gdyby nie one. A po południu, kiedy Galana sobie poszła, siedziała jeszcze z robótką przy kominku, a on przy niej, pokasłując. Wtedy powiedziała mu to o lekarzu. To znaczy, jeszcze wtedy Remei była pełna życia. A teraz, w Zaduszki, już ją ze wszystkim pochowali. Remei zmarła na jego oczach, na podwórku domu Peric, kiedy on, pokasłując, obserwował, jak się przyjmuje nowy szczep róży chińskiej, i myślał z dumą, że wkrótce, zaraz po zimie, powstanie z niego nowa odmiana kwiatu... Remei zmarła w niedzielę. Przyszła powiedzieć, że już czas się zbierać do kościoła, tak jak mówiła co tydzień. Biedna Remei, chyba za życia nie dość ją kochałem, wyszła na podwórko i powiedziała Ciset, już czas. I nagle zamilkła. Ja się odwróciłem, a ona tam stała

wyprostowana, z książeczką do nabożeństwa w ręce, pewnie już była martwa, ale jeszcze stała. Ciset zobaczył, jak się osuwa na ziemię, bezwolna niczym tłumok szmat, cicho i delikatnie, i zawołał Remei, a potem pospieszył do niej, ciągle kaszląc, z niepokojem w sercu, i krzyknął Galana, Galana! A teraz leżała w grobie. Ciset nigdy nie przypuszczał, że aż tak go zaboli ta śmierć. Rozpłakał się i znów zaniósł się kaszlem. Kiedy ucichło echo jego pokasływań, usłyszał uporczywy szum deszczu na dachu i na podwórku opuszczonego domu i wtedy zrozumiał, że pierwsza samotna noc będzie bardzo długa. Świeca, którą tylko co zapalił, jeszcze nie zaczęła się topić. To była noc zaduszna, deszczowa i zimna w Murze i wszędzie w górach, wilgotna na płaskowyżu Feixes i mglista na równinie Barcelony, tamta jesienna noc roku Pańskiego tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego, dwunastego roku panowania Don Carlosa IV, którego niech Bóg strzeże lub przed nim strzeże, co kto woli. Plaf.

Z jednej strony Vicenta, z drugiej Nelson i Ricarda; z Parafii Świętego Justa sygnaturka zwana Pastoretą; z kościoła Świętego Sewera wyszczerbiona Agustina, z katedry – Tomasa, Pasquala z parafii Felipons i dwie minuty później Carlota, sygnaturka z wieży Świętej Moniki – wszystkie wzywały wiernych dźwięcznym, niezmiennym krzykiem dumnych samotników z wysokości dzwonnicy, niezbyt zainteresowane dramatami, które przez całe życie były chlebem powszednim i powietrzem ludzi tam na dole. Uporczywy głos dzwonów docierał do ulicy Ample i przenikał przez zamknięty balkon i okiennice pałacu don Rafela Massó i Pujades, cywilnego prezesa Trybunału Królewskiego w Barcelonie. Pałac to może za dużo powiedziane, ale tak się utarło i jaśnie panu jak najbardziej odpowiadało nazywanie swojego domu pałacem, bo język tworzy rzeczywistość. A ponieważ na prawo i lewo, z przodu i z tyłu, wzdłuż całej ulicy ciągnęły się same pałace, więc dom don Rafela też nosił to miano.

Doña Marianna przykryła głowę mantylką, wzięła gruby modlitewnik i nadłożyła drogi, żeby ominąć Turka, który spał zmęczony nadmiarem snu, przechodząc przed małą jadalnią, gdzie zwykle jadali śniadanie. Oznajmiła prezesowi, delektującemu się właśnie biszkoptem maczanym w czekoladzie, idę na mszę. A lekką przyganę w jej głosie należało odczytać jako: ciekawe, kiedy wreszcie zdecydujesz się podjąć odpowiednie kroki, aby uzyskać zgodę na sprawowanie mszy w naszej kaplicy, o co cię proszę od lat. Z pełnymi ustami jaśnie pan odpowiedział tylko mhm, co znaczyło do diabła z tobą, Marianno. Jak tylko zniknęła z jego pola widzenia, zadzwonił na Hipolita, żeby mu przyniósł więcej biszkoptów.

– I więcej czekolady, Hipolicie.

– Nie ma więcej, jaśnie panie.

– Jak to nie ma więcej?

– Jaśnie pan sam powiedział, żebyśmy tyle nie robili, jaśnie panie.

– Dlaczego? – Don Rafel się zirytował.

– Dlatego że... – Stary Hipolit, po szesnastu latach wiernej służby u rodziny Massó, po zużyciu dziesięciu liberii i czterech peruk wyłysiałych od nieustannej czołobitności, nie wiedział, co odpowiedzieć. – Dlatego że... dlatego... dlatego...

– Dobrze, Hipolicie. Zrozumiałem.

Don Rafel machnął ręką, dając znak majordomowi, żeby sobie poszedł. Zawsze kiedy się zdenerwował, pociła mu się łysina. Wyciągnął jedwabną chusteczkę i przetaił czoło; zamiast mnożyć msze i pokuty, jego żona mogłaby mu podwoić rację czekolady.

– Za pozwoleniem, jaśnie panie – ukłonił się Hipolit i wyszedł z jadalni.

To dyskretne wyjście przypomniało mu, ile musiał pracować nad Hipolitem, żeby zaczął go tytułować jaśnie panem. Służący ciągle mówił don Rafelu, a poprawiany na jaśnie panie pytał, co takiego, don Rafelu? On mu na to, co takiego, jaśnie panie. Wtedy Hipolit się cieszył, ach, o to chodzi, mam mówić jaśnie pan, tak, don Rafelu, jaśnie panie. On na to: nie, wystarczy jaśnie panie, rozumiesz? A Hipolit: tak, don Rafelu. On znowu: jaśnie panie. Hipolit: jaśnie panie. I jeszcze raz on sam, żeby już nie było wątpliwości: jaśnie panie. Hipolit: jaśnie panie. Ucieszył się: no, to mi się podoba. A teraz poinstruujesz resztę służby. Na to Hipolit: tak, don Rafelu. Wtedy on: Hipolicie! Na to Hipolit: Tak, don Rafelu? I znowu on: och, nie mam do ciebie siły! A Hipolit: ach, chciałem powiedzieć, jaśnie panie. Na to on, dobrze już, możesz odejść. A Hipolit: tak, don Rafelu, chciałem powiedzieć, jaśnie panie. I tak przez parę tygodni, zanim służbie weszło w nawyk tytułować go jaśnie panem w sposób naturalny, a trzeba wziąć

pod uwagę, że dobre chęci dońi Marianny też nie ułatwiały zadania – tak się cieszyła z nominacji męża na stanowisko cywilnego prezesa i z czterokrotnie wyższej pensji (czterokrotnie!), że na początku zwracała się do służących powiadom mnie, Hipolicie, jak jaśnie pan wróci, a kiedy to dotarło do uszu jaśnie pana, musiał jej zwrócić uwagę, ależ kobieto, Marianno, zachowujesz się jak wieśniaczka z Sarrià, co by powiedziała żona Kapitana Generalnego, gdyby cię usłyszała? Wtedy ona: no to w końcu jak mam mówić? Na to on: no więc, zaraz przyjdzie pan. A ona: a nie mówiłeś, że mamy cię tytułować jaśnie panie? Na to on, ze świętą cierpliwością, bo w tych sprawach don Rafel był prawdziwym świętym, słuchaj, Marianno: oni mają do mnie mówić jaśnie panie, kiedy się do mnie zwracają, rozumiesz, o co chodzi? Dam ci przykład: kiedy mnie pytają – teatralne zawieszenie głosu – czy miał pan dobrą podróż, jaśnie panie? albo kiedy mi odpowiadają tak, jaśnie panie, nie, jaśnie panie, rozumiesz? Na to ona: tak, jaśnie panie. A na to jaśnie pan: ależ Marianno, na litość boską! Kobieto, ty się tak do mnie nie zwracaj! A teraz posłuchaj! – Podniósł palec, nakazując, żeby świat się zatrzymał, bo on właśnie chce powiedzieć coś ważnego. – Załóżmy, że jestem królem, tak? Gdybym był królem... wtedy owszem, ty też musiałabyś się do mnie zwracać wasza wysokość... – Ale don Rafel Massó nie był Jego Wysokością; był tylko wiernym poddanym króla, właśnie pozbawionym czekolady, bo żona, gorsza niż lekarze, zdecydowała, że szkodzi mu na wątrobę. I kiedy jaśnie pan pogrążony w tych rozmyślaniach wycierał resztki czekolady ze ścianek filiżanki ostatnim biskopem, wszedł Rovira, bez pukania, a za nim przestraszony Hipolit z niewyraźną miną, bez formułki za pozwoleniem, jaśnie panie.

– Rovira, co to ma znaczyć?

Ręka don Rafaela zastygła z biskopem nasączonym czekoladą w połowie drogi do ust.

– No więc, jaśnie panie – dukał zdyszany sekretarz z przerażeniem w oczach. – Jaśnie panie, bo... właśnie idę z ulicy i... tam już wszyscy o tym mówią, jaśnie panie...

– O czym wszyscy mówią?

– Że zabito tę francuską śpiewaczkę, jaśnie panie.

Na cześć tej doniosłej informacji biskopt przełamał się na pół i część nasączona czekoladą spadła na culloty jaśnie pana.

– Możesz mi to powtórzyć?

Prezes wstał, zapominając o plamie. Sekretarz już trochę ochłonął i zaczął normalnie oddychać.

– Francuską śpiewaczkę, jaśnie panie. Słowik skądś tam, jaśnie panie. Zabili ją. Ponoć została poszatkowana nożem na kawałki. Prawdziwa masakra, jaśnie panie. Potworność, jak mówią.

Tymczasem Hipolit pochylił się przed prezesem i próbował wilgotną ścierką zmyć niestosowną plamę na cullotach.

– Człowieku, zostaw mnie w spokoju! – zdenerwował się don Rafel. – Tu się mówi o zabójstwie, a Hipolit przejmuje się jakąś plamą. Mój Boże!

– Mówią, że ta nieszczęsna kobieta...

Ale jaśnie pan, nie zważając na gwałtowne bicie serca, już zniknął w korytarzu, roztrzęsiony, dręczony wspomnieniami, jakie podsuwała mu pamięć. Ani przez moment nie pomyślał jaka szkoda, że nigdy już nie usłyszę tego anielskiego śpiewu. Również nie zadawał sobie pytań typowych dla kogoś, kto zawodowo zajmuje się cudzą śmiercią: kto, jak, kiedy, gdzie, dlaczego, cui prodest, czy są świadkowie, a narzędzie zbrodni, zwłaszcza czy znaleziono narzędzie zbrodni. I podejrzani. Wszyscy podejrzani. Pomyślał tylko o mój Boże, martwa kobieta, martwa kobieta, i powtarzał te słowa, biegnąc korytarzem,

a łysina, ręce i dusza znów zaczynały mu się pocić. Nie myślał o motywach, dowodach, poszlakach, ponieważ, mimo że to on rządził w Trybunale Królewskim, zawsze patrzył na śmierć z grymasem obrzydzenia i zlecał prowadzenie dochodzeń swoim podwładnym.

– Poćwiartowana, jaśnie panie – nie przestawał powtarzać sekretarz. Deptał mu po piętach w wąskim korytarzu. – Pan prokurator już czeka na dole.

– Don Manuel?

– Tak, jaśnie panie.

Z trudem ukrył irytację. Wszyscy na posterunku, a on robi z siebie idiotę z powodu czekolady. Don Rafel panicznie bał się jednej rzeczy, zwłaszcza po tym, co się stało z Elvirą – niewiedzy o poczynaniach innych. Że też coś podobnego mogło się wydarzyć w takim spokojnym mieście... Pokręcił głową, zakładając frak przed dużym lustrem w holu. Don Rafel uznał, że jego żona i ta Desflors przeszkodziły mu w śniadaniu i znieawidził je obie. Niezadowolony sprawdzał w lustrze, czy wszystko w porządku. Podczas gdy Hipolit oglądał z profesjonalnym niezadowoleniem plamę na cullochach, don Rafel krzyknął przerażony, bo przez te nerwy mało brakowało, a wyszedłby na ulicę prawie nagi:

– Hipolicie – rozkazał. – Peruka, szybko!

Przed drzwiami Hotelu Czterech Narodów, w centralnym punkcie Rambli, zbiegowisko gapiów obserwowało fasadę budynku i filozofowało. Nowina była tak gorąca, że nikt nie zwracał uwagi na zimno przenikające do szpiku kości. Mimo że już od paru minut nie padało, mgła wisiała nad ziemią i ludzie brodzili w błocie, które z nadmiaru wilgoci w powietrzu w ogóle nie schło. Ale to bez znaczenia dla pospólstwa, spragnionego świeżych, a choćby i odgrzewanych nowości, bo już coś tam gdzieś zasłyszeli. Wieść gminna głosiła, że ta śpiewająca żabojadka; o, to żabojady śpiewają? Tak. No i właśnie ją pocięli na kawałki. Do diaska! Daję słowo! Coś takiego! Gdzie? Tutaj. Tutaj? Tak, w hotelu. Cholera! A co ona tu robiła, ta żabojadka? No, do kroćset, przecież mówiłem: śpiewała. Ach, tak. W hotelu? Co ona mówi? No, że podobno pocięli na kawałki jakąś śpiewającą żabojadkę. A to ci dopiero! A ty skąd to wiesz, Mariona? Jeroni mi powiedział, on tu pracuje. Ach, więc to w hotelu się wydarzyło? Tak. Muszę to zobaczyć na własne oczy. Akurat! nie wpuszczą cię, nie widzisz żołnierzy? Ale heca... Zmasakrowana? Na kawałki?... Oj, bo ci uwierzę! Ależ tak, przysięgam! Co ona mówi? Że pocięli na kawałki jakąś śpiewaczkę z Kastylii. Z Francji! Chciałem powiedzieć z Francji. Cholera, ale kto? Nie wiadomo. Już się zebrało szesnastu czy dwudziestu, a może dwudziestu pięciu amatorów zapalenia płuc, którzy wierzyli i nie wierzyli, ale musieli się wypowiedzieć, nie wnosząc do sprawy niczego nowego poza uwagami bez znaczenia, na przykład jak to teraz poskładać, skoro jest tyle kawałków. Mówią, że morderca uciekł. A ty niby skąd wiesz? Ja słyszałem, że było ich dwóch, tych zbrodniarzy, i że już ich złapali. Dwóch marynarzy. No jasne: to na pewno złodzieje, wiadomo, taka zagraniczna śpiewaczka musi mieć przy sobie kupę forsy, nie? To nie złodzieje, tylko marynarze. O matko! No i do czego ją doprowadziły te pieniądze? No, ale widzisz, jak przyjdzie na człowieka czas, nic nie poradzisz. Tak, kobieto, z losem nie wygrasz. No, to ja się zbieram. Dokąd idziesz? Na targ, do Boquerii. Kobieto, poczekaj trochę i pójdziemy razem. Kto mówił, że ją okradli? Ja. Aha, naprawdę? Pewnie, człowieku, inaczej bym nie mówił. Dwaj marynarze z Majorki. Co za czasy, mój Boże, aż strach wyjść nocą na ulicę! Tak, ale popatrz, ją zabili w środku. Jeszcze gorzej! No, nigdzie człowiek nie może czuć się bezpieczny. Teraz się z tobą zgadzam. Ja, jak byłem mały, mogłem chodzić po całym mieście... Wszystko przez to, że burzą mury. Skądże! Złodziei mamy w środku. Mówisz, że to żabojadka? Kto? No, ta kobieta, którą pocięli na kawałki. Co?

Pocięli na kawałki jakąś kobietę? Gdzie? W tym momencie niezmordowani naprawiacze świata przed hotelem w centralnym punkcie Rambli, ponad trzydzieści osób, za zabójców uznali trzech marynarzy z Majorki, Wyspy Nieujarzmionej. Nie, nie, nie całkiem na kawałki, nie. Eulàlia mówi, że... Jaka Eulàlia? Ta z domu Poc. Ach! Patrzcie, przecież ona tu jest. Witaj, Eulàlio, serdecznie, co powiesz o tym nieszczęściu? Że nie pocięli jej na kawałki. To co one tu bredzą? A właśnie, że na kawałki! Do czego to ludzie są zdolni... No, ale jak do tego doszło? Chyba jej obcięli tylko ręce i nogi. A mnie mówili, że i głowę. Tak, słusznie: głowę też. Kobieto, to chyba wystarczy, żeby mówić o kawałkach... Podczas gdy oni dyskutowali, czy z technicznego punktu widzenia można uznać efekt tej rzeźni za kawałki, czy nie, czarny powóz ciągnięty przez starego, astmatycznego konia takiej samej barwy jak ołowiane niebo wiszące nad miastem wyjechał z bramy Ollers i pokonał krótki odcinek Rambli, by się zatrzymać przed hotelem. Nie przestrzegając żadnego protokołu, chuda powłoka cielesna don Rafaela Massó, cywilnego prezesa, wyskoczyła tak energicznie, aż zadrżały resory. Tymi samymi drzwiami do kompletu dołączył inny dostojnik, Manuel d'Alòs, korpulentny prokurator Departamentu Kryminalnego, i wdepnął prosto w kałużę. Natychmiast wyłonili się z mgły sekretarz Rovira z woźnym sądowym i dołączyli do przełożonych. Wszyscy czterej obrzucili pogardliwym spojrzeniem teraz już prawie czterdziestu poddanych Jego Królewskiej Mości, rozprawiających przed hotelem, i pokonali trzy schodki prowadzące do Czterech Narodów, ej, ej, Marion, co to za jedni, co? To pewnie dowódcy patrolu. Skądże! Ten gruby jest z sądu. To sędziowie, tak? Skąd mam wiedzieć, dla mnie oni wszyscy są do siebie podobni. A moim zdaniem oni muszą być z policji. Widzieliście tych, którzy weszli? Właśnie o nich rozmawiamy.

Jego Ekscelencja pan prezes wchodził po schodach zadyszany, ze spuszczoną głową, jakby zamiast peruki miał na czole rogi gotowe do ataku. Prokurator, ze względu na różnicę wieku, był w lepszej kondycji, ale musiał się zatrzymać w połowie pierwszego piętra i poczekać, aż don Rafael Massó odzyska siły. Targany mieszanymi uczuciami, niezdrową ciekawością z jednej strony a szacunkiem dla zwierzchnika z drugiej, znienawidzonego, ale jednak zwierzchnika, prokurator czekał, gryząc paznokcie, dopóki pan prezes nie złapie oddechu.

– No, co tam? – zagadnął żołnierza z patrolu, nudzącego się na schodach.

Młody człowiek stanął na baczność i odpowiedział:

– Nie wiem. Ja jej nie widziałem, proszę pana. Mówią, że odcięli jej głowę.

– Czyli to dekapitacja.

– Że jej odcięli dekapitację.

Prokurator nie zadał sobie trudu, by wyjaśnić nieporozumienie. Usłyszał za plecami, że dostojny oddech już się uspokoił i spieszno mu było przystąpić do dzieła. Ważne, żeby się znaleźć przed innymi na miejscu zdarzenia, dobrze o tym wiedział.

– Gdzie to się stało, żołnierzu? – zapytał sekretarz sądowy.

– W tamtą stronę, proszę pana.

Czterej mężczyźni, podążając w kierunku wskazanym rusznicą, przemierzali długi, ciemny korytarz aż do drzwi, przy których kolejny żołnierz, taki sam jak poprzedni, również stał beczynnym. Kiedy ich zobaczył, zaszalutował nieporadnie. Obaj przedstawiciele władzy nie zwrócili na niego uwagi. Weszli do obszernego apartamentu, wynajętego przez Marie de l'Aube Desflors na pięciodniowy pobyt w Barcelonie. Woźny sądowy i prokurator, spragnieni krwi, od razu rzucili się w stronę łóżka. Natomiast don Rafael, zanim zaczął się rozglądać, musiał opanować dławiącą go złość i nawet zaklął w duchu, choć

wykrzywił twarz w uśmiechu, kiedy zdał sobie sprawę, że ten grubas, szef policji, już tu jest i przejął kontrolę nad sytuacją. Obmierzły komisarz, który wyrósł jak spod ziemi, obnosił się z dwoma imionami i czterema dziwnymi nazwiskami: don Jerónimo Manuel Cascal de los Rosales y Cortés de Setúbal. Don Rafelowi wydawała się podejrzana szybkość działania tego szemranego Portugalczyka. Krok za krokiem zdobywał teren i zyskiwał coraz większe wpływy. Don Jerónimo, nie mając pojęcia o morderczych myślach don Rafaela, grzebał czubkiem laski w zawiniątku odzieży na podłodze.

– Co za niestosowne morderstwo, jaśnie panie – powiedział zamiast powitania. Wiedział, co mówi, i don Rafael też wiedział, że don Jerónimo wie, że on wie. Zabójstwo znanego cudzoziemca, zwłaszcza gdy chodziło o Francuza, zawsze pociągało za sobą komplikacje. Jakby tego było mało, zaledwie dziesięć godzin temu ta kobieta śpiewała przed całym barcelońskim dworem bez króla. I przed Kapitanem Generalnym, który, jak ktoś mówił, napalił się na piersi zabojadki i za wszelką cenę chciał ją zaciągnąć do łóżka. Niestosowne morderstwo, bo skoro i bez tego stosunki z Kapitanatem były napięte, to kto teraz odważy się stanąć przed Kapitanem Generalnym, nie znając odpowiedzi na którekolwiek z nasuwających się pytań. To wszystko i na pewno dużo więcej miał na myśli ten suchy syn Setúbal, mówiąc o niestosownym morderstwie. Don Rafael podniósł głowę i jego spojrzenie napotkało zimny, wyrachowany wzrok Portugalczyka; natychmiast spuścił oczy, jakby się poczuł oskarżony przez tamtego dziwnego człowieka. Zainteresował się ubraniem rozrzuconym na ziemi, jakby to było najważniejsze w pomieszczeniu. Nawet nie patrząc w tamtą stronę, wiedział, że don Jerónimo Manuel Cascal de los Rosales się uśmiecha. Oskarżał go o wiele rzeczy. Najchętniej by stamtąd uciekł, nie chciał tam być, wszystko przez tego Rovirę, bo właściwie co ja tu robię, w tym apartamencie; to robota dla policji, prokuratora i sędziów audytorów, nie dla prezesa...; dałem się ponieść nerwom. Ale takie jest życie, nieprzewidywalne jak śmierć, więc trzeba nadrabiać miną. Prezes czekał, aż don Jerónimo podejdzie.

– Jaśnie panie.

– Dzień dobry, don Jerónimo – powiedział, siłąc się na swobodny ton. – No, to co się tu właściwie wydarzyło?

Don Rafael wiedział, że trup leżał w lewym rogu, tam gdzie panowała martwa cisza, niechybny zwiastun śmierci, ale oglądanie go było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Don Jerónimo jakby czytał w jego myślach.

– Proszę podejść, sam pan zobaczy. Mam nadzieję, że pan się nie brzydzi.

– Nie, skądże... – Don Rafael chwiał się na nogach, nie z powodu masakry, nie z powodu nienawiści do zmarłych, którzy tylko po to umierają, żeby narobić mu kłopotów, ale dlatego, że wróciły wspomnienia, a on absolutnie sobie tego nie życzył. Wziął głęboki oddech i poszedł za szefem policji. Kiedy ten prowadził go do zwłok, przez myśl jak błyskawica przemknęła mu uśmiechnięta twarz nieszczęsnej Elviry. Przy łożu dwaj ludzie Setúbala krzatali się przy czymś dużym; pomagał im lekarz sądowy, a przeszkadzali na wszelkie sposoby sekretarz Rovira, starszy woźny sądowy i prokurator don Manuel. Za nic nie chcieli stracić widoku nagiej kobiety, na dodatek cudzoziemki, i to jeszcze całkiem za darmo. Don Rafael, siłąc się na obojętność, powtórzył nie, skądże i dodał zobaczmy, zobaczmy, co tu się stało.

Marie de l’Aube Desflors, urodzona w Narbonie, aż do października roku dziewięćdziesiątego trzeciego znana jako słowik z Paryża, kiedy musiała uciekać gdzie pieprz rośnie, przechrzczona przez Bonapartego na słowika z Orleanu, leżała teraz na łożu wykrwawiona. Ani pokrojona na kawałki, ani

poćwiartowana. Nawet jej nie odcięto dekapitacji. Jedna czysta rana zadana nożem na wysokości serca i przerażające cięcie na szyi – niczym ponury uśmiech – jakby ktoś próbował wyszarpać jej struny głosowe. Don Rafel westchnął z ulgą. Nie było to aż takie straszne. A na dodatek przyjemnie się oglądało obnażoną kobietę, co się będziemy oszukiwać.

– Przepraszam, zamyśliłem się – usprawiedliwił swoje roztargnienie.

– Mam wrażenie, że tu chodzi o mord rytualny. – Szef policji odsunął się z don Rafelem od miejsca zbrodni. Tamten wyciągnął z kieszeni tabakierkę, żeby zająć czymś ręce. Wziął szczyptę i przez chwilę trzymał tabakę w palcach, prowadząc rozmowę:

– Jakie morderstwo? – zapytał przestraszony. Zawsze kiedy coś się nie zgadzało z jego schematami, uprzedzał się do rozmówcy...

– Chcę powiedzieć, że morderca działał tak, jakby ta śmierć stanowiła część ceremonii. Doktor twierdzi, że już po pierwszym pchnięciu kobieta była martwa.

– Coś takiego... – Spojrzał na łóżko, odetchnął głęboko i dokonał tytanicznego wysiłku, by wrócić do roli cywilnego prezesa Trybunału Królewskiego. – Chcę mieć winnego czy winnych jeszcze dziś. – Wciągnął tabakę przez nos, nadržabiając miną. – Mam nadzieję, że to do pana prokuratora dotarło.

– Ależ jaśnie panie! – zaprotestował d'Alòs, stojący przy łożu. Wtedy don Rafel poczuł się lepiej.

– Widzę, że pan mnie zrozumiał... Pana to też dotyczy, don Jerónimo – zdecydował się dodać. I głośno zatrzasnął tabakierkę. – Wiecie, dokąd się wybierała z Barcelony ta Desflors?

– Nie, szczerze mówiąc... – Prokurator chciał powiedzieć, że nawet nie wiedział o jej przyjeździe do Barcelony.

– Do stolicy. Miała wystąpić przed królem.

I wszystko stało się jasne. Don Rafel Massó wsunął tabakierkę do kieszeni kamizelki i wyciągnął chustkę, bo kichnięcie zapowiadało się na iście orgiastyczne. Ale niestety nic z tego nie wyszło, bo kiedy pochylał głowę, napotkał kpiące spojrzenie znieawidzonego Portugalczyka Setúbala, syna wielkiej kurwy.

– Policja zrobi wszystko, co możliwe, by spełnić pańskie życzenie, jaśnie panie – powiedział don Jerónimo.

I faktycznie. Wzorowa, szybka, skuteczna i stanowcza akcja policji doprowadziła do wykrycia i aresztowania mordercy w parę godzin po tym, jak Antònia, Tomasa, Nelson i Ricarda ogłosiły południe.

Stojąc na środku sali, Andreu nie zwrócił uwagi na bezkresne malowidło, pokrywające jedną z bocznych ścian, ufundowane jednogłośnie decyzją pierwszej rady miejskiej, jaka się ukonstytuowała po wejściu w życie Nowej Ustawy już osiemdziesiąt lat temu. Przedstawiało w żywych, radosnych barwach pierwszego Burbona, który położył łapę na Barcelonie, usadowionego na galopującym koniu. W lewej ręce trzymał lejce, a w prawej mocno dzierżył buławę, symbol władzy, i wpatrywał się uważnie w obiektyw, pewny siebie, zwycięski, z niemodną peruką à la Ludwik XIV na głowie, sięgającą mu prawie do królewskiego pasa. Nad nim, wśród obłoków, kilka grających na trąbach aniołów podtrzymywało wspianiałą szarfę, na której niebiańskim atramentem zapisane zostały słowa: philippus V hispaniarum rex, et ipse nominatus inter tres robustus, z tym że pozostali dwaj na swoje nieszczęście nie byli tak robusti jak ów philippus. Pod kopytami konia lew w agonii, z wyrazem obrzydzenia na pysku – Niemcy to czy perfidny Albion? – kontemplował apoteozę hispaniarum rex, podczas gdy zwycięskie wojska maszerowały w głębi obrazu, dyskretnie relegowane do roli tła. Nie w głowie mu było

podziwianie detali malarskiego hołdu dla króla, ponieważ w tym właśnie momencie i w tej właśnie sali, należącej do Trzeciego Departamentu, czyli Departamentu Kryminalnego Trybunału Królewskiego w Barcelonie, Andreu został oficjalnie oskarżony o zamordowanie francuskiej śpiewaczki magidelop deflogs, zbrodni dokonanej tej nocy między północą a czwartą nad ranem. Jeżeli oskarżony nie ma nic na swoją obronę, zostaje aresztowany aż do rozprawy. Audytor Departamentu Kryminalnego odczekał parę sekund, spojrzął na Andreu ze znużoną miną, a ponieważ ten tylko otwierał i zamykał usta, nie wydając żadnego dźwięku, uznał przesłuchanie za zakończone i nakazał starszemu woźnemu, by odprowadził oskarżonego do więzienia, po dopełnieniu odpowiednich formalności.

Andreu, z rękami związanymi na plecach, dał się odprowadzić, nie rozumiejąc, co się z nim dzieje, przez dwóch żołnierzy do jakiegoś brudnego pomieszczenia, w którym były tylko gołe ściany, stół, dwa krzesła i smród.

– Masz tu czekać i nie robić żadnych głupot, rozumiesz?

Dopiero kiedy woźny zostawił go z dwoma żołnierzami, Andreu się ocknął, nie, nie! czyście powariowali? ale żołnierze wpatrywali się w ścianę, wiadomo, strażnicy sądowi to najgorsze skurwysyny, zdemoralizowani przez ciągły kontakt ze skazanymi na szubienicę. I kiedy już Andreu zdecydował się zapytać, czemu milczycie, otworzyły się drzwi i wtargnął gęsty, zawiesisty, wymiotny odór brudnego, mokrego filcu, a w ślad za nim zjawiał się wysoki, chudy mężczyzna, ubrany w staroświecki płaszcz przemoczony do suchej nitki, bo już od godziny w Barcelonie lał deszcz. Przybysz nieprzyjemnie kaszłał. Nie ściągnął trójgraniastego kapelusza, nasadzonego na perukę à la Karol III, nieco nadgryzioną przez mole. Cały jego wygląd, nawet biorąc poprawkę na miejsce, w którym się znajdowali, był absurdalnie anachroniczny. Przyniósł opasłą teczkę; położył ją na stole i odezwał się zmęczonym głosem. Najwyraźniej smród mokrego filcu jemu nie przeszkadzał. Nawet sobie pozwolił bez skrępowania głośno, obrzydliwie się wysmarkać.

– Andreu Perramon?

– Ja nic nie zrobiłem.

– Jasne, jasne. Andreu Perramon?

– Tak.

– Urodzony i zamieszkały w Barcelonie? Przy ulicy Capellans?

– Tak, ale ja...

– Czym się zajmujesz?

– No więc, niczym konkretnym... Piszę... Jestem poetą.

– Ale jakoś musisz zarabiać na życie!

– Ach!... No, tak... Uczę dzieci śpiewu... Ale niech mnie pan wysłucha, ja nic nie zrobiłem.

– Jasne, jasne. A teraz bądź tak uprzejmy i opowiedz mi wszystko po kolei.

– Co mam opowiedzieć?

– Cholera, no, jak ją zabiłeś. Musimy znaleźć jakiś punkt zaczepienia dla obrony.

Andreu prychnął ze zniecierpliwienia i oburzenia. Nos go swędziało, a ręce miał związane na plecach.

– Czy naprawdę nikt mi tu nie wierzy?

Na twarzy adwokata pojawił się znużony uśmiech. Nie przestając się uśmiechać, wziął teczkę i otworzył. Teraz całą swoją wyobraźnię skupił na mozolnym wymyślaniu następnego pytania.

– Odmawiasz współpracy?

– Ależ... ale... ja nic nie zrobiłem! Jak mam się do czegośkolwiek przyznawać...

Kiedy adwokat usłyszał te słowa, hałaśliwie pociągnął nosem i głośno zatrzasnął teczkę.

– Zgoda, młodzieńcze. Zobaczymy się w sądzie.

Pstryknął palcami i wyszedł. Andreu został sam na sam z burzą myśli, pogrążony w smrodzie wilgotnego filcu, który zostawił po sobie urzędowy najmimorda.

Z dawnego pałacu Generalitat, gdzie obecnie mieścił się Trybunał Królewski, Andreu został odprowadzony pod eskortą ulicą Baixada de la Presó aż do złowieszczonego budynku przy placu Blat, miejsca, z którym siebie nie kojarzył nawet w najgorszych koszmarach. On i dwaj towarzyszący mu żołnierze ze stoickim spokojem mokli na deszczu. Dobrze mu zrobiło świeże powietrze; w każdym razie kiedy Andreu odetchnął pełną piersią, już nie widział sprawy tak ponuro: to nieporozumienie wkrótce się wyjaśni. Co za szczęście, że padało i na ulicy było mało ludzi, dzięki temu na tej krótkiej trasie nikt go nie zobaczy i nie powie: popatrz, jaki młody człowiek, co też on mógł przeskrobać.

W więzieniu, kiedy już minęli coś w rodzaju nędznej stróżówki, gdzie jakiś nieszczęśnik łapał pchły, stanęli przed grubą kratą.

– Jeszcze jeden? – usłyszeli głos ze środka. Otworzył im uśmiechnięty mężczyzna z długimi białymi włosami, i wpuścił Andreu i żołnierzy. Dziwne, ale starzec ani na chwilę nie przestawał się uśmiechać.

– Muszę porozmawiać z tym, kto tu rządzi – oświadczył Andreu, chcąc jak najszybciej wyjaśnić nieporozumienie.

– Z naczelnikiem? – upewnił się stary.

– No właśnie.

– A ja chciałbym zobaczyć papieża w Rzymie – znów się uśmiechnął. – Proszę za mną.

– Nie, ja nie żartuję.

– To dobrze. Ale teraz masz iść za mną.

W tych ścianach, jakby świadomych swojej roli, wszystko wydzielało woń więzienia. Długi, ciemny korytarz, strażnik dzwoniący pękiem kluczy, z latarnią w dłoni, schody w dół, które nie wiadomo dokąd prowadziły, maleńkie, zakratowane okienka, o mój Boże, to się dzieje naprawdę!

– Powiedziałem, że chcę rozmawiać z naczelnikiem! Oskarża się mnie o coś, czego nie popełniłem!

– Tędy. Wy dwaj nie możecie iść dalej.

Kiedy milczący żołnierze zostali po drugiej stronie kolejnej kraty, Andreu poczuł się przerażająco samotny, jakby to przypadkowe towarzystwo stanowiło ostatnią więź ze światem zewnętrznym. O mój Boże, co tu się dzieje?

Za zakratowanymi drzwiami zaczęły się kolejne schody, spiralne, prowadzące w dół, choć trudno było uwierzyć, że to jeszcze nie dno tej studni nieszczęścia. Dolne piętro, pozbawione naturalnego światła, okazało się królestwem cieni. Graniczyło z cudem, że klucznik nie zderzył się z żadnym z nich i poruszał się sprawnie w tej jamie, aż zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami. Otworzył. Od zaduchu, jaki wyszedł im naprzeciw po przekręceniu klucza, Andreu nieomal zemdlał. Smród był niewyobrażalny.

– O mój Boże, co tu tak śmierdzi?

Klucznik, przyzwyczajony do wszystkich możliwych kombinacji woni, uznał ten komentarz za nieciekawą. Zamiast odpowiedzi popchnął go i Andreu znalazł się w środku, w miejscu, gdzie królował rozkład materii. W ciemności, powstrzymując siłą woli odruch wymiotny, Andreu usłyszał za sobą szczęk

rygła. Nie ruszał się z miejsca i czekał, aż oczy oswoją się z ciemnością. Chyba się bał, że jeśli zrobi krok, wdepnie w źródło tego smrodu. Znów mu wszystko podeszło do gardła, a po wymownym geście i odgłosie można było poznać, że wymiotuje. W głębi tego wywołującego mdłości smrodu rozległ się śmiech i głos przesiąknięty czarną wilgocią:

– Oj, chyba ci to miejsce nie służy.

Andreu się przestraszył. Nie wyobrażał sobie, że ktoś jeszcze może tu być. Jak ktoś mógłby tu przebywać, w takiej ciemności i... och, w tym potwornym smrodzie, który zapierał dech i wiercił w nosie...

– Kto tu jest? – zapytał ostrożnie. Głos znów się roześmiał.

– Kto tu jest? Pięciu czy sześciu ludzi szczęśliwych, że mogą cię poznać – ciągnął dalej przegniły głos.

– Pięciu czy sześciu?

– Jest tu taki jeden, który... – Słysząc było uderzenie. – Ej, ty, młody! – Głos znów podjął dialog z Andreu. – Jest taki jeden, co to i jest, i nie jest. Nie przeżyje dzisiejszego dnia.

Andreu zasłonił sobie twarz koszulą jak tarczą. Znów usłyszał ten sam głos i śmiech:

– Pewnie byś sobie życzył pojedynczą celę?

Andreu nie odpowiedział. Bał się zaczerpnąć powietrza, żeby nie napełnić płuc całym tym świństwem. Głos ciągnął dalej swój monolog:

– Wybij to sobie z głowy. Już lepiej znosić cudze gówna niż walić głową w mur.

Z jednego rogu dochodziło, dopiero teraz to zauważył, słabe światło. Jego źródłem okazało się maleńkie okienko, wysoko w górze, za którym można było się domyślać listopadowego wieczoru. Podeszedł do tego kąta z nadzieją, jakby oczekiwał, że tam będzie mógł oddychać bez przeszkód.

– Od jak dawna tu jesteś? – rzucił pytanie w ciemność.

Głos znów się roześmiał. Najwyraźniej rozbawiło go to pytanie. A potem zapadła cisza. Po kilku sekundach usłyszał ochryple, martwe słowa:

– Co za różnica. Nie wiem. Ponad dziesięć lat.

– Co chcesz robić w ogrodzie, przecież pada! – gderała doña Marianna. – Nie rozstawisz tam swojego teleskopu, Rafel!

Don Rafel, nie wdając się w dyskusję z żoną, otworzył drzwi. Podniósł kołnierz fraka. Doña Marianna miała rację: padało i było zimno; nie mógł wynieść na zewnątrz teleskopu, by podglądać magiczną Mgławicę Oriona. Ale on chciał rozmyślać o doñi Gaietanie, a cudzołożne myśli potrzebują otwartej przestrzeni, żeby nabrać rozmachu. Faktycznie, prawdziwa ulewa, pomyślał. Na razie stał oparty o ścianę, chroniąc się pod balkonem. W pogrążonym w ciemnościach ogrodzie dało się słyszeć tylko szum kropel, delikatny, uspokajający szmer, całkowicie obojętny na jego niebotyczne pragnienia, o moja Gaietano. Doña Gaietana była kobietą bezapelacyjnie nieosiągalną: bo mieszkała po drugiej stronie ulicy, bo była baronową, bo była wyzywająco piękna, olśniewająca, bo była damą trzymającą innych na dystans, bo miała tylko dwadzieścia lat, a on był już po pięćdziesiątce, łysy, chory na wątrobę, bogaty i ustosunkowany, ale bez tytułu. Don Rafel cierpiał, bo był bardzo kochliwy i z tego powodu spotykało go wiele przykrości. Szkoda gadać. I żeby sobie nie zaprzętać głowy ciągle tym samym, wszedł do ogrodu i wystawił się na zimne, nieprzyjemne strugi. Od razu wdepnął w kałużę i nie minęło nawet pół minuty, a już musiał przyznać, że doña Marianna jak zwykle miała rację, i jak zwykle postanowił dokonać

bohaterskiego czynu i postawić na swoim, żeby zrobić jej na złość. Podeszedł do klombu usytuowanego na środku, najbardziej okazałego ze wszystkich, obsadzonego gęsto odpornymi na zimno begoniami, na którym nowy ogrodnik koniecznie chciał teraz posadzić tulipany z Holandii, taki rodzaj cebulki dającej ponoć bardzo ciekawy kwiat. Odruchowo podniósł głowę. Nie ma co marzyć o gwiazdach! Krople deszczu wpadły mu do oczu, jakby chciały zaoszczędzić łez teraz, kiedy znów przypomniał sobie o nieszczęsnej Elvirze. Nie żeby don Rafel zrobił się mazgajem. Ale podobnie jak już od dwóch lat się nie uśmiechał, tak samo bardziej był teraz skłonny do płaczu. Patrzył na ciemną bryłę swojego pałacu i ciężko wzdychał ze zmęczenia, daleki od dumy. Poczł, mimo deszczu, powiew morskiej bryzy. Kiedy uznał, że jest już wystarczająco przemoknięty i że będzie oczywiste dla służby i dla pani, że nie wziął sobie do serca dobrej rady doñi Marianny, wrócił do domu, gotów spędzić kolejną noc z otwartymi oczami. Jak tyle innych.

Collbató, 12 listopada 1799

Kochany Ziomku, odstępując od mojej zdecydowanej niechęci do pisania, którą tak krytykowałeś, podjąłem męską decyzję i zabieram się do spełnienia złożonej Ci przeze mnie ryzykownej obietnicy. Nasz regiment zatrzymał się w Collbató. Mogę podziwiać sobie do woli górę Montserrat. Mimo że w dzieciństwie spędziłem pięć długich, owocnych, muzycznych lat w chórze Escolania w tym klasztorze, pejzaż górski oglądany z daleka wywołuje we mnie całkiem inne emocje. To bardzo dziwna góra. Wygląda tak, jakby się składała z loków jakiejś panienki czy z bagietek, tych małych bagietek wypiekanych przez Domingę przy ulicy Rec. Tak, tak, zdaję sobie z tego sprawę, Andreu, że już tęsknię; choć Ty mnie uważasz za poszukiwacza przygód, który nie potrafi usiedzieć w miejscu, mam miękkie serce, jestem sentymentalny i zawsze wracam. Pewnego dnia przedstawię Ci moją teorię tęsknoty i nostalgii: ma wiele wspólnego z tym, że ni z tego, ni z owego nagle zabierasz się do komponowania muzyki lub pisania poezji... No, opowiem Ci innym razem. To skojarzenie z lokami dedykuję Twojej mademoiselle. Obiecałeś mi szczegółową relację z Waszego romansu. Słuchaj, zrobimy tak: napisz do mnie do Madrytu, na adres Koszary Główny w... cholera, nie wiem dokładnie gdzie, później Ci podam adres. Jak dobrze pójdzie, Twój list dotrze do celu przede mną. Powiedzieli nam, że będziemy tam stacjonować przez miesiąc, zanim się uformuje konwój do Malagi. Zgoda? Opisz mi ze szczegółami wszystkie wspaniałości panny Desflors. Wiesz, że nigdy jeszcze nie przespałem się z żadną cudzoziemką? Czy mają wszystko na swoim miejscu? Jak się z nimi dogadać? Dobrze, nie przejmuj się... Jest ósma wieczór, ciemno, pada deszcz, słyszę kap-kap na dachu namiotu i zastanawiam się, jak mogłem być tak głupi, żeby się znaleźć tu, w Collbató, vis-à-vis Montserratu, w samym sercu regimentu, któremu wcale się nie spieszy do Saragossy, po forsownym dniu w drodze, jakby goniło nas sto diabłów. Rozumiesz mnie?

Drogi Andreu, nie wiem, czy wytrwam do jutra w postanowieniu pisania do Ciebie codziennie, choćby paru linijek. Wiem, Tobie pisanie przychodzi łatwo... Doceń moje poświęcenie. Czego się nie robi dla przyjaciół. W następnym liście mam zamiar mówić o Twoich wierszach, których Ty nie doceniasz, i o Twoim niezrozumiałym uporze, żeby się uważać za marnego poetę. Stary, może faktycznie jesteś marny, ale nie aż tak! (Ej, to był żart!) Skomponowałem piosenkę, fandango, do śpiewania przy akompaniamencie gitary. Pomysł przyszedł mi do głowy w Molins de Rei, a skończyłem ją w Esparreguerze. Teraz, kiedy Cię zostawię, zapiszę nuty. Kończę, bo jutro musimy wcześniej wstać i porucznik Casares, mój współtowarzysz z namiotu, zaczyna protestować. Ej, czort z nim, z tym całym Casaresem! Wiesz co? Kiedy wrócę z Malagi z operą pod pachą, jeśli wytrwam w postanowieniu, będę miał też gotową powieść epistolarną (no, pod warunkiem, że zachowasz moje listy!). Jak widzisz, nie tracę czasu.

Żegnaj, przyjacielu, mój Ty samotniku. Powiedz Twojemu ojcu, że o nim myślę. Poproś, żeby Ci zagrał Na śmierć słowika. Hej, jest tu może gdzieś wieśniaczka skłonna dzielić ze mną pryczę...? Oj, coś mi się widzi, że nie, drogi Andreu. Zostaje mi tylko słuchanie chrapania Casaresa. Nie mam

pojęcia, kiedy będę miał okazję wysłać ten list. Na razie go sobie zatrzymam.

Twój przyjaciel Nando

Nando, drogi chłopcze. Przyjedź. Wracaj. Mój syn siedzi w więzieniu. Oskarżają go o zabicie śpiewaczki Desflors. Staram się o widzenie od tygodnia, ale jeszcze nie udało mi się z nim porozmawiać, bo nie wolno. Nie wiem, co robić. Teresa pomaga mi jak może, ale też odchodzi od zmysłów. Tylko ty możesz nam pomóc. U was w domu nikogo nie zastałem. Sam nie wiem, do kogo mógłbym się zwrócić. Wiem, że to nie od ciebie zależy, ale ty znasz ważnych ludzi. Przyjedź, Nando. Wyobrażam sobie, co teraz przeżywa Andreu. Nie pozwalają nam się z nim zobaczyć. Nie mam jak wykazać jego niewinności, żadnego dowodu! Mistrz Perramon nawet nie pomyślał, gdy pisał ten rozpaczliwy list, że jedyną osobą mogącą poświadczyć, iż Andreu Perramon nie jest mordercą, był właśnie Ferran Sorts. Mistrz Perramon nie wiedział, że młody Sorts widział żywą Desflors, która, kiedy Andreu uciekł zawstydzony, chcąc się zapaść pod ziemię w przyjaznych ciemnościach Rambli, wyszła odziana w fantazyjny szlafrok z żądaniem naprawienia kinkietu. Ponieważ nocny stróż spał, pijany maestro Vidal chrapał, a pan Arcs wziął nogi za pas, sam Sorts pomógł jej rozwiązać problem, wymieniając zepsuty świecznik na jeden z tych, które stały na dole, już pogaszone. Ona odwdzieczyła mu się za przysługę głośnym całusem w oba policzki. Oczywiście, dobre wychowanie nie pozwoliło mu zapytać o Andreu. Ale mógł poświadczyć, że o północy jeszcze żyła. O północy, kiedy Andreu znajdował się już poza hotelem. Mademoiselle Desflors powiedziała, co myśli o maestro Vidalu i o swojej pokojówce, tak bezczelnej, jakby w jej zawodzie też dało się odczuć demoralizujące skutki rewolucji, dorzuciła mu kolejne dwa całusy i poszła na górę. Oczywiście młody Sorts nie wiedział, że to były ostatnie całusy w życiu śpiewaczki. Mistrz Perramon też nie miał o tym wszystkim zielonego pojęcia. Jednak wczesnym rankiem, kiedy mgła lizała wilgotne ściany domów, owego dwudziestego listopada roku Pańskiego tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego, poszedł na pocztę przy ulicy Bòria i wynajął umyślnego posłańca, by dogonił regiment, który o tej porze powinien zbliżać się do Saragossy, niech przeczyta przy tobie ten list, który pisał zrozpaczony w nocy, razem z Teresą, zniechęcony całymi dniami beznadziejnego szlifowania bruku przed Trybunałem Królewskim, i powiedz mu, niech wraca natychmiast... On jest jedyną osobą, która może się poruszać stosunkowo swobodnie w kręgach władzy, by ocalić Andreu, Nando, pošlą go na szubienicę, przyjedź, na litość boską, porozmawiaj ze znajomymi oficerami. Nando, chcą nam go zabić, a ja nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić, o, ja nieszczęsny. Mam nadzieję, że w ciągu dwóch dni list dotrze do ciebie do Saragossy.

– Och, bardzo mi przykro... Ale doprawdy nie wiem, jak mógłbym panu pomóc.

Ksiądz Prats poczuł się niezręcznie w obecności smutnego mężczyzny, który przyszedł do niego, bo chciał ocalić swojego syna, jakby był Bóg wie kim. Odchrząknął, zdjął okulary, znów je założył i zaczął głośno myśleć.

– Proszę mnie zrozumieć, mistrzu: opowiada mi tu mistrz jakąś skandaliczną historię... która może się przydarzyć... proszę mnie źle nie zrozumieć... tylko komuś, kto źle się prowadzi.

– Mój syn źle zrobił, zadając się z tą kobietą, proszę księdza... Ale on jej nie zabił. A za to go uwięziono.

– Jeśli więc pański syn jest niewinny, wyjdzie z tego bez uszczerbku na ciele i duszy. Ale gdyby się okazało, że jest...

– Ja wiem, że on jest niewinny, proszę księdza.

– Skąd pan wie?

– On jest niezdolny zrobić coś złego.

– Aha. Rozmawiał pan z adwokatem?

– Tak, proszę księdza. Jak grochem o ścianę. Mam wrażenie, że ta sprawa w ogóle go nie obchodzi.

A ja nie mam pieniędzy, żeby wynająć innego.

– Musi pan wierzyć w sprawiedliwość.

– Ale tu chodzi o mojego syna!

W ciągu kilku sekund ciszy ściany kancelarii w Parafii Matki Bożej Sosnowej chłoneły słowa zdesperowanego starca. Było oczywiste, że Andreu jest tylko jego synem, bo poza nim i Teresą nikogo nie obchodził jego los.

– Proszę księdza, proszę mi pomóc.

– A cóż ja biedny mogę... Nie wiem, co...

– Proszę księdza, ja nie mam żadnych znajomości. Nie wiem, co zrobić, żeby ktoś wpływowo zainteresował się losem Andreu... Zostaje mi już tylko wyjść na ulicę i krzyczeć.

– Chwileczkę...

Ksiądz Prats otworzył szufladę biurka, celebrując każdy gest, żeby sytuacja nabrała uroczystego charakteru. Trzeba jakoś uspokoić tego nieszczęśnika i uciszyć własne sumienie. Namoczył pióro w kałamarzu i nabazgrał kilka linijek swoim drobnym pismem.

– Otwieram przed panem drzwi katedry – oświadczył, kiedy skończył pisać, zadowolony, że udało mu się sformułować takie okrągłe zdanie. – Oto list polecający do kanonika Cascante... – Postukał palcem w kartkę. – Sugeruję mu, żeby pana polecił kanonikowi Pujalsowi, z którym wszyscy się liczą, rozumie pan? Kanonik Cascante to mój kolega z seminarium; nie odmówi mi drobnej przysługi, rozumie pan?

Wręczył mu bilecik, zadowolony, że pozbył się natręta. W gruncie rzeczy ksiądz Prats był święcie przekonany, że każdy ma, na co zasłużył, ale jak tu nakłonić zrozpaczonego ojca, żeby zrezygnował, bo skoro jego synowi grozi szubienica, to coś musiał przeskrobać, nie ma się co oszukiwać.

– Jestem księdzu bardzo wdzięczny – powiedział mistrz Perramon, chwytając list niczym ostatnią deskę ratunku dla syna. – Bardzo księdzu dziękuję – powtórzył, pochylając głowę.

Z bilecikiem w dłoni przeszedł do wyjścia ciemną nawą główną kościoła Matki Bożej Sosnowej. Czuł niesmak po rozmowie z księdzem Pratsem. To oczywiste, że chciał się go pozbyć, że przerastały go problemy, z którymi do niego przyszedł. Ale przede wszystkim było mu przykro, że zachował się tak, jakby nie pamiętał, że mistrz Perramon przez trzynaście lat sprawował u Matki Bożej Sosnowej funkcję dyrygenta chóru, że pracował w tej parafii, jeszcze zanim zjawił się tu ksiądz Prats. Znał wszystkie ściany, centymetr po centymetrze, każdy kąt bazyliki, skomponował motet na cześć i chwałę czcigodnego Josepa Oriola i Bogunyà, na prośbę tegoż księdza Pratsa, wniósł swój czas i entuzjazm w szlachetne dzieło zainicjowania procesu beatyfikacji czcigodnego Josepa Oriola; uczył przez trzynaście lat trzynaście roczników dzieciaków, co to takiego pięciolinia, stał się ulubieńcem księdza Boladeresa, poprzedniego proboszcza, a szkoła muzyczna, którą prowadził, była ceniona w środowisku, to znaczy, prawdę mówiąc, nie była, ale ksiądz nie musiał o tym wiedzieć, że stu dwudziestu trzech jego utworów (sześćdziesiąt dziewięć procent o charakterze religijnym) lwia część została skomponowana na organach kościoła Matki Boskiej Sosnowej... Mistrz Perramon był rozżalony z tych wszystkich powodów i martwił się, że ta kartka jest zbyt słabą pomocą, by mogła odnieść skutek. Jasne, że pójdzie do katedry, jakże by

nie! Porozmawia, z kim trzeba, jakże by nie! Ale nie wierzył w skuteczność takich gestów, prawdopodobnie z powodu głęboko zakorzenionej nieufności zwykłych poddanych wobec wszystkiego, co się wiązało ze światem władzy. Kroki mistrza Perramona obudziły echo w pustej nawie bazyliki i poczuł się wtedy mizerny jak robak i niemile widziany jak zawrót głowy.

Kiedy już znalazł się na zewnątrz, na placu Pi, czyli placu Sosnowym, łagodna mżawka zrosiła jego twarz łzami. Podniósł wzrok i pierwsze, co mu się rzuciło w oczy, był budynek Arcybractwa Najświętszej Krwi Pana Naszego Jezusa Chrystusa, potocznie zwanego Bractwem Krwi. Odwrócił głowę jak rażony piorunem, jakby sam widok siedziby tej ponurej konfraterni zwiastował nieszczęście jego synowi. Z balkonu na pierwszym piętrze pewna ciemno ubrana dama spoglądała na plac. Zauważyła wychodzącego środkowymi drzwiami bazyliki kościstego mężczyznę z papierem w dłoni. Obrzuciła go nieuważnym spojrzeniem, skupiona na rękawiczkach, którymi niecierpliwie uderzała się po ręce. Odwróciła się z nadzieją: faktycznie, drzwi się otworzyły i Josep Coll uśmiechnął się półgębkiem, co znaczyło, że zaprasza ją do środka.

– Kochana doño Marianno, co za radość – powitał ją niezbyt wylewnie dożywotni brat starszy Świętego Bractwa Krwi, instytucji specjalizującej się od niepamiętnych czasów w asystowaniu skazanym na stryczek, w sensie ludzkim i duchowym, z chrześcijańską ofiarnością, która zakładała nieczynienie różnicy ze względu na rasę, płeć, kulturę, status majątkowy, poglądy polityczne, życiowe perypetie i pochodzenie skazańca. Co znaczyło, że z taką samą religijną gorliwością towarzyszyli zarówno kobiecie oskarżonej o kradzież sześciu worków pszenicy z wojskowego ekonomatu, której udowodniono winę, jak i Holendrowi gnijącemu w więzieniu przy placu Błat za zamordowanie dwóch czy trzech portowych dziwek, na których nikomu nie zależało. A może chodziło o jakichś marynarzy? Mężczyzna i kobieta stali na środku gabinetu. Ani on jej nie zaproponował krzesła, ani ona nie zamierzała się rozsiadać. Byli na wojennej stopie, więc nie silili się na uprzejmość, na nic, czego by nie narzucało dobre wychowanie.

– Jestem przekonana, że się dogadamy – mówiła doña Marianna, idealnie naśladowując styl negocjacji swojego męża – i nie będę ukrywać, że moim celem jest taka zmiana statusu, abym z Przełożonej Sympatyków Niezrzeszonych mogła awansować na czynną siostrę bracką. Mój... mój religijny zapal każe mi podejmować tego rodzaju miłosierne czyny.

– Nie wątpię – don Josep Coll był wybitnym mówcą, tak w działalności publicznej, jak w życiu prywatnym – że duchowa gorliwość, jaka panią powoduje, pochodzi z pobożnej inspiracji. Nie wątpię, gdyż nie mam powodu, by wątpić. – Wyszło mu okrągłe zdanie.

– No więc?

– Więc... nigdy żadna dama nie została... siostrą w męskim Bractwie. Nigdy. To jest... coś, co dopiero trzeba by stworzyć.

– Najwyższy czas na zmiany.

– Ależ doño Marianno! Stawia mnie pani w niezręcznej sytuacji... Całe Bractwo się zbuntuje... Poza tym, szanowna pani, śmierć to widowisko, którego lepiej oszczędzić damskim oczom..

– Ach, więc o to chodzi: Boi się Pan Konfrontacji z Zarządem Bractwa. – Doña Marianna w momentach uroczystych miała zwyczaj mówić wielkimi literami. Zbierając się do wyjścia, energicznie wciągnęła rękawiczkę. – Proszę Więc się Przygotować na Konfrontację z Autorytetem Mojego Męża.

– Doño Marianno! Nie sądzę, żeby trzeba było się uciekać do tak radykalnych środków!

– Wcale tego nie chcę. To pan mnie zmusza. – Założyła drugą rękawiczkę, dając do zrozumienia, że

jest gotowa opuścić gabinet. – Powinien pan wiedzieć, don Josepie, że ja nigdy nie bałam się śmierci.

– Zawsze można skorygować statut... – lawirował don Josep z zawrotem głowy, przerażony perspektywą interwencji tego lisa, cywilnego prezesa.

– Jestem przekonana, że można dokonać takiej korekty.

– A ja mogę pani zagwarantować, droga doña Marianno, że w ciągu sześciu–siedmiu lat uda się problem rozwiązać ku ogólnemu zadowoleniu.

– Kto wie, co z nami będzie za sześć czy siedem lat. Nie chcę czekać sześć czy siedem lat, najwyżej sześć czy siedem dni. I mogę panu jeszcze podać nazwiska kolejnych pięciu dam, które wyraziły tę samą wolę.

– Ależ... ja się muszę naradzić...

– To proszę tego nie odkładać. – Skinęła głową na pożegnanie. – Miło się z panem gawędziło, don Josepie. Proszę pozdrowić małżonkę.

Odwróciła się na pięcie, z podniesioną głową i sercem przepelnionym dumą.

– Nie omieszkałam przekazać – podziękował ogłupiały don Josep, który od dwóch lat był wdowcem. Kiedy tylko żona cywilnego prezesa znikła mu z oczu, natychmiast zaczął się zastanawiać, jak ma przekonać starszyznę, że na mocy królewskiego dekretu kobiety są już pełnoprawnymi członkami męskiego Bractwa. Tylko mnie mogło się coś takiego przytrafić, niech szlag trafi wszystkie szubienice świata.

W drodze powrotnej doña Marianna zatopiona w myślach zносиła z rezygnacją wstrząsy powozu podskakującego na wybojach. Miała powody do irytacji: w końcu była jedną z najważniejszych dam w mieście, zarówno ze względu na pozycję męża, jak i na majątek. Nie mogła znieść, żeby taki pajac, ten cały Coll, stawał jej na drodze. Ona zawsze mierzyła wysoko, a od kiedy mąż został mianowany cywilnym prezesem (po tygodniach niepewności i sprzecznych pogłosek), zapaliła świecę czcigodnemu Josepowi Oriolowi, a następnie postanowiła, że osobiście włączy się do działalności Bractwa Krwi. W jej ślady poszło kolejnych osiem czy dziesięć pań: uzyskanie statusu sióstr brackich było już tylko kwestią czasu.

Co ją skłoniło do podjęcia tej doniosłej decyzji? Może chciała w ten sposób zrekompensować działanie swojego szacownego męża, który z tytułu sprawowanej funkcji stał się bezpośrednim dostawcą szubienicznego mięsa, a może liczyła na atrakcyjne, godne odpusty, którymi nagradzano działalność w Bractwie (zupełny, jeśli towarzyszyło się skazańcom aż na miejsce kaźni), a te zawsze mogą się przydać w chwili niebiańskich rozliczeń. A może chciała w ten sposób wypełnić ciągnące się bez końca godziny, bo ileż można przyjmować wizyty i chodzić z rewizytą. Już od dawna doña Marianna podporządkowywała swój rozkład dnia uderzeniom brązu blisko trzydziestu okolicznych dzwonów: wstawiała na głos sygnaturki Aurory od Świętego Franciszka, kościoła w najbliższym sąsiedztwie. Podczas gdy przemywała twarz jak kot łapką i szukała książeczki do nabożeństwa i mantylki, słyszała lament Glorii, dzwonu kapucynów, a z domu wychodziła, dopiero gdy zabrzmiały radosne uderzenia Charlotty od Świętej Moniki. Z pokorą i pobożnością słuchała mszy o siódmej rano u Świętego Franciszka, przy akompaniamencie delikatnego, kobiecego pobrzękiwania dzwonków, które małżeństwo Massó podarowało Świętemu Franciszkowi, kiedy sprowadzili się na ulicę Ample, gdy wszystko się zaczęło układać po ich myśli. Kiedy doña Marianna wracała do domu, jej mąż, jak zwykle rano w złym humorze, kręcił się po pokojach, po całym domu, i szukał Turka, gdzie się podział Turek, a ona na to po co ci teraz

Turek, albo krzyczał czemu tu nie ma Hipolita ani nikogo, nie wiem, po co mamy tyle służby, i kaszłał, i kichał, zmarznięty bez peruki na głowie. Śniadanie jedli osobno, bo ona już zdążyła zapomnieć, co jadła, gdy don Rafel jeszcze się zastanawiał, na co ma ochotę. Wydając polecenia w kuchni i sprawdzając, czy wszystko w pałacu świeci czystością, wsłuchiwała się w radosny dźwięk dzwonów chrzcielnych, no proszę, dziewczynka, chyba w kościele Santa Maria del Mar, lub w poważny, uroczysty ton Antòni z kościoła Matki Bożej Sosnowej, oznajmujący, że właśnie zmarł pięćdziesięciosiedmioletni mężczyzna, wdowiec, a ona przybiegała z tą nowiną, żeby popsuć przyjemność picia czekolady mężowi; zmarł don Ramon, biedaczek, a on na to: skąd wiesz? Na to ona, właśnie jego śmierć oznajmiła Antònia. Don Rafel oponował, że równie dobrze mogło chodzić o kogokolwiek innego, ale nie dało się dyskutować z dołą Marianną. W kwestii nowinek z Parafii Matki Bożej Sosnowej ona była zawsze najlepiej poinformowana, bo możesz mi wierzyć na słowo, nie mieliśmy w parafii żadnego innego chorego w takim wieku, wiem, co mówię, a don Rafel z biskopem w ustach nie musiał odpowiadać, bo w tych sprawach, jak we wszystkich innych, jego żona zawsze musiała mieć rację. I niezwłocznie schodziła do domowej kapliczki, bo w pałacu Massó mieściła się kapliczka, odziedziczona po poprzednich właścicielach, rodzinie Rocamora, a kiedy dom przeszedł na ich własność, doña Marianna nie zgodziła się, żeby ją zlikwidować. To było małe, ciemne i zimne narożne pomieszczenie, z jednym oknem witrażowym, przedstawiającym, ku utrapieniu don Rafaela, herb rodu Rocamora. (Trzeba jak najszybciej wstawić tam nasz herb. Ależ Rafaelu, my nie mamy herbu. Trudno, coś wymyślimy.) Znajdowało się na parterze, obok obszernego holu i drzwi do ogrodu. Mały ołtarzyk, raczej symboliczny, nigdy jeszcze nie służył do odprawiania mszy, dwa ciemne obrazy szkoły walenckiej, których prawdziwej wartości właściciele nie potrafili ocenić, jeden przedstawiający świętego Hieronima podczas pokuty, a drugi ze świętą Eulalią, natomiast nad ołtarzem wisiał obraz cieszący się największą czcią doñi Marianny, namalowany przez Tremullesa (siedemnaście durów, nie licząc ramy, chwaliła się przed gośćmi z artystycznym znanstwem doña Marianna, a wtedy don Rafel chciał się zapaść pod ziemię), przedstawiający veraikon czcigodnego Josepa Oriola i Bogunyà, przed którym doña Marianna wzdychała, płakała i niejednokrotnie znajdowała pociechę. Tym razem też doña Marianna, gdy tylko usłyszała, że Antònia z kościoła Matki Bożej Sosnowej ogłasza śmierć don Ramona Creusa z ulicy Banyes Nous; zmarł w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, po długiej i ciężkiej chorobie, opatrzony sakramentami, natychmiast pospieszyła do domowej kapliczki, by zapalić lampkę przed czcigodnym Josepem Oriolem i odmówić Ojczy nasz za duszę don Ramona oraz w intencji konklawe, które ponoć ciągle nie może wybrać Ojca Świętego. Kiedy odmawiała Ojczy nasz, a potem jeszcze Zdrowaś Mario i Chwała Ojcu, poczuła niemal zmysłową błogość, jak zawsze, gdy modliła się przed świętym wizerunkiem doktora Chleb-i-woda. Kościół, z przysłowiową opieszałością, ciągle nie zdecydował się go beatyfikować, mimo że cieszył się powszechną opinią świętości. Zauważyła, że zużyły się wszystkie knoty, i natychmiast wysłała Celdoniego do sklepu ze świecami, tylko na jednej nodze, bo to pilne.

W południe dzwony na Anioł Pański znów wypełniały brązem niebo nad Barceloną i tworząc trudną do zidentyfikowania poszczególnych głosów kakofonię spotęgowaną echem, wdzierały się przez okna, otwarte czy zamknięte, do pałacu Massó: najśłodszy głos Świętej Moniki, uroczysty i majestatyczny dzwon z katedry; najgłośniejszy, bo dobiegający z najbliższej położonego kościoła Świętego Franciszka oraz zawsze miły dla ucha, aksamitny dźwięk Vicenty z kościoła Matki Bożej Sosnowej. Doña Marianna w odpowiedzi na ten świergot przerywała najbardziej absorbujące zajęcie (porządkowanie zawartości

szaf, sprawdzanie rachunków z Gertrudis, haftowanie nowych ręczników) i odmawiała Angelus Domini nuntiavit Mariae, a później klaskała w dłonie i wołała, jasnie pan zaraz przyjdzie na obiad, a stół jeszcze nienakryty.

W domu Massó obiad jadało się w dużej jadalni, tej od strony ulicy Ample. Na sześciometrowym stole, który za czasów państwa Rocamora z rzadka tylko ożywiał dziecięcy szczebiot i uwijanie się służby, państwo Massó rozkładali lniane obrusy, ustawiali kandelabry z brązu i zasiadali u szczytu, jedno naprzeciw drugiego, jak podpatrzyli u markiza de Creixells; tak samo zasiadał markiz de Dosrius, zanim owdowiał, i podobno również Kapitan Generalny i hrabia de Poitins, który kupił dom przy placu Sant Sebastià; ponoć po odnowieniu zrobił z niego prawdziwe cacko, pewnego dnia musimy pójść z wizytą. W domu Massó, w pałacu Massó, nie dyskutowało się, czy taki lub inny zwyczaj ma sens. Po prostu jeśli coś wypadało robić, to się robiło, i koniec. Wiadomo, że awans do stanu szlacheckiego, nawet z poziomu bardzo zamożnego mieszczaństwa, to nie same przyjemności. Doña Marianna jadła obiad w towarzystwie milczącego na ogół don Rafela, obsługiwana przez troje służących, nadzorowanych przez Hipolita. Po obiedzie małżonkowie przechodzili do salonu, tam on przez chwilę drzemał, zanim zamknął się w gabinecie, gdzie coś tam miał do roboty, a ona zajmowała się robótką, a później kładła się na chwilę, czekając, aż dzwony Świętej Moniki wezwą wiernych na różaniec; wiedziała, że w tamtym kościele dzwoniли kwadrans wcześniej niż u Matki Bożej Sosnowej, i dzięki temu zawsze zdążyła się ogarnąć, przygotować, bo zostawały jej dwa kwadransy do rozpoczęcia różańca w Parafii Matki Bożej Sosnowej, dokąd uczęszczała ze względu na księdza Pratsa, który odprawiał nabożeństwo różańcowe z wielkim namaszczeniem. A jeśli to była środa czy piątek ileś tam miesięcy temu, don Rafel wymykał się w tym czasie do swego gniazdka miłości. O czym doña Marianna nie wiedziała, bo kiedy wracała z różańca, musiała się zająć życiem towarzyskim, gdyż jej obowiązki nigdy się nie kończyły. Natomiast nie zastanawiała się, może z braku czasu, nad taką ewentualnością, czy przypadkiem do jej obowiązków nie należy miłość do własnego męża. Ona zrobiła swoje, a że nie doczekali się dzieci, bo Bóg tak chciał, temat uważała za zamknięty. Koniec kropka. A ponieważ jej potrzeby ograniczały się do paraliturgicznej pobożności, zajęć miała w nadmiarze i wcale nie odczuwała braku uczuć w swoim życiu. Wystarczyło, że Pan Bóg ją kocha i Matka Najświętsza. Oraz apostołowie i wszyscy święci. Czego chcieć więcej? A do zwierzeń wystarczał jej ksiądz Prats od Matki Bożej Sosnowej, jej spowiednik, i najbliższe przyjaciółki, te, które zawsze obiecują będą milczeć jak grób, mów, mów, Marianno. Można by więc zapytać, po co wyszła za don Rafela. Ale to absurdałne pytanie, bo większość małżeństw z upływem lat nie potrafi na nie odpowiedzieć. Jakoś się żyje, byle do przodu. Od dwudziestu pięciu lat doña Marianna tak żyła i nic nie wskazywało, że w ciągu następnych dwudziestu pięciu lat coś się zmieni. Co ona mogła wiedzieć o brudnych sprawkach swojego męża.

Siódmy cywilny prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie, drugi wśród prezesów, który nie zawdzięczał stanowiska kolorowi krwi, tylko własnym zasługom, pierwszy cywilny prezes Trybunału Królewskiego zakochany w doñi Gaietanie, baronowej de Xerta, swojej sąsiadce, westchnął smutno i wydmuchał nos. Postanowił zaczekać na zewnątrz na spotkanie z doktorem Dalmasesem, a robotę zostawił sekretarzowi Trybunału, Rovirze, ten zaś nie mógł protestować. Jasnie pan wyjeżdżał incognito za miasto w towarzystwie woźnicy i Hipolita, lokaja, podczas gdy dziesięć metrów za nimi, błotnistymi ulicami, typowymi dla zimnego, szarego i smutnego końca listopada, sadził długimi, zgrabnymi susami jego wielki wyżeł duński, którego podziwiała i zazdrościło mu wielu barcelończyków. Powóz wyjechał

z miasta przez bramę Ollers i od razu skierował się w stronę skalistej drogi na Montjuïc. Don Rafel kazał woźnicy zatrzymać się w połowie wysokości góry i tam na siebie zaczekać. Dalej poszedł pieszo, z Turkiem przy nodze. Dotarł do punktu widokowego Miramar, skąd rozpościerała się panorama równiny Barcelony i morza. Miejsce było odludne; słyszał tylko dyszenie psa i szczebiotanie zięb i rudzików, dziwnym trafem odpornych na to zimno. Słońce także przybyło tu incognito, ukryte za gęstą warstwą smutnych chmur. Wszystko zdawało się szanować ciszę pejzażu. Delikatna, chłodna bryza też nie zakłócała ciszy. Don Rafel poczuł dreszcz i podniósł kołnierz surduta, żeby osłonić uszy.

– A ty co o tym sądzisz, Turku?

– Aaaaauuuuuu – ziewnął uprzejmie wyżej. Prawdopodobnie nie zrozumiał intencji pytania. W rzeczywistości pytanie jaśnie pana co o tym sądzisz, Turku znaczyło mniej więcej tyle, popatrz no, jakie wielkie miasto, jeśli je porównać z Sant Adrià lub Badaloną, zarysowującymi się na horyzoncie. Miasto, które już dwukrotnie przebiło się przez opasający je pierścień murów i powoli, nieubłagane, zbliżało się do Montjuïc; miasto ludne (sto dwadzieścia pięć tysięcy dwustu czterdziestu trzech mieszkańców, według raportu głównego audytora Drugiego Departamentu), miasto duszące się od nadmiaru nędznego plebsu, tłuszczy gotowej w każdej chwili podnieść bunt przeciw królewskiemu majestatowi, miasto pełne sprytnych kupców, którzy wychodzili na swoje, oszukując na wadze i cenie produktów i utrzymując kontakty handlowe z połową świata, miasto duszące się od nadmiaru fabrykantów tysiąca najróżniejszych produktów, którzy bez ustanku, wytrwale, dzień za dniem, pomnażają swój majątek w niemal obscenicznym tempie, miasto, które przyciąga tak zwaną nową krew ze wszystkich majątków ziemskich w kraju, młodsze rodzeństwo pierworodnych, bez prawa do dziedziczenia, szukające szczęścia w seminarium duchownym lub w Studium Generale, albo zasilających rzesze plebsu przyszłych buntowników; miasto przepelnionych szpitali, gdzie cierpienie walczyło o pierwszeństwo z nędzą. Miasto nędzy, z błotem i brudem na ulicach, i miasto bogactwa, bo tych sto dwadzieścia pięć tysięcy dwustu czterdziestu trzech mieszkańców pracowało bez wytchnienia, miasto zapatrzone w morze, od kiedy zniesiono zakaz handlu z obiema Amerykami... No właśnie: w głowie się nie mieści, że to miasto wydało tak spektakularny owoc jak doña Gaietana. To właśnie miał na myśli, pytając co o tym sądzisz, Turku. Wyżej, szanując rozmarzenie swojego pana, oddalił się i parę kroków dalej obsikiwał pień wiązowca. Don Rafel podziwiał teraz maszty statków przycumowanych przy molu. Wprawdzie stąd tego nie mógł dostrzec, ale domyślał się, że kołyszą się na falach. Z tego miejsca widział ulicę Ample, swój dom oraz gniazdko doñi Gaietany. Jaśnie pan znów westchnął i odsunął od siebie te zdrożne myśli, bo ciężko mu było przyznać się przed sobą samym, że zakochał się, jakby to powiedzieć, w podlotku. W jego wieku. Z jego pozycją... Miał trudności z odczytaniem godziny na zegarku, ale nie chciał nosić okularów. Jeżeli teraz wyruszy, nie spiesząc się, dotrze do Barcelony akurat w chwili, gdy doktor Dalmases będzie wychodził ze szpitala. Podniósł głowę: zaczynało padać.

Rok składa się z trzystu sześćdziesięciu pięciu dni. Jeżeli weźmiemy pod uwagę pięćdziesiąt dwa piątki i pięćdziesiąt trzy niedziele, które trzeba wykluczyć, ponieważ te pierwsze są wspomnieniem Męki Pańskiej, a niedziela, jak wiadomo, to dzień Pański, zostaje nam dwieście sześćdziesiąt dni. Z tego trzeba od razu odliczyć wszystkie dni Wielkiego Postu, których, jak wiadomo, jest czterdzieści, ale ponieważ już wcześniej wykluczaliśmy wszystkie piątki i niedziele, teraz zostaje nam do odliczenia dni trzydzieści. Jeżeli je odejmiemy od dwustu sześćdziesięciu pozostałych z poprzedniego rachunku, otrzymamy dwieście trzydzieści całkiem ekscytujących możliwości. Ale bezlitosny kalendarz każe nam jeszcze

wykluczyć świętego Józefa, świętego Jana, świętego Piotra, świętego Jakuba, Matkę Boską Zielną w sierpniu i świętą Eulalię; dyponujemy więc dwustu dwudziestu czterema dniami. Jednakże, ponieważ zdrowy obyczaj nakazuje zdrowe zasady postępowania, natura od niepamiętnych czasów narzuciła barierę sześciu dni ochronnych, macierzyńskich czy cierpiętniczych, wokół cyklu menstruacyjnego. Jeżeli przyjmiemy, że przeciętna kobieta miesiączkuje trzynastą przecinek zero trzydzieści pięć tysięcznych razy w ciągu roku (zakładając, że cykl trwa dwadzieścia osiem dni), mnożąc ilość menstruacji przez sześć dni ochronnych, macierzyńskich i tak dalej, otrzymujemy siedemdziesiąt osiem przecinek dwadzieścia jeden setnych (co redukujemy dla uproszczenia rachunku do siedemdziesięciu ośmiu dni). Jeżeli teraz odliczymy je od dwustu dwudziestu czterech, don Rafaelowi zostawała całkiem sensowna różnica stu czterdziestu sześciu dni, przynajmniej w teorii odpowiednich do uświęconych i czystych aktów małżeńskich z dołą Marianną. Ale wiadomo z doświadczenia, że nie z wszystkich dobrych dni da się skorzystać; a to migrena, a to zmęczenie nie w porę, a to przedłużone nocne czuwanie na modlitwie, niespodziewany wyjazd lub lekka, mniej lekka, średnia lub całkiem poważna niedyspozycja (grypa sycylijska, angina, przeziębienie, niestrawność). To ograniczało możliwości do jakichś stu dwudziestu dni w roku, więc jak dobrze policzyć, wychodzi raz na dwa przecinek dziewięć dziesiątych dnia. Wcale nie tak źle, co trzy dni. Mieściło się w granicach zdrowego rozsądku i na ogół wystarczałoby aż nadto. Co trzy dni. Ciekawe. Ale sprawy nie układają się, jak powinny, tylko całkiem inaczej, wszak człowiek nie maszyna. O ile mężczyzna natury i postury don Rafaela mógłby oczekiwać satysfakcji seksualnej dwa razy w tygodniu, zawsze okazywało się, że niefortunnie przegapiał dni dobre i właściwe, a umizgiwał się do żony właśnie wtedy, gdy było to absolutnie niemożliwe, ależ Rafael, co się z tobą dzieje, ty zawsze myślisz tylko o jednym. On na to, ależ Marianno, na litość boską, po co się pobieraliśmy, skoro nic z tych rzeczy. Wtedy ją ogarniał święty gniew, skoro Pan Bóg nie zechciał dać nam potomstwa, tamto wcale nie jest potrzebne. A poza tym dowiedz się, że to nie jest celem małżeństwa. Ach, nie? Ach, nie. Na skutek tego ach, nie don Rafael wymyślił sobie Elvirę. W gruncie rzeczy wszystkim to wychodziło na dobre, ponieważ doña Marianna nie musiała się opędać przed tym satyrem, swoim mężem, a don Rafael miał zagwarantowane sto pięć śród i piątków w roku na rozładowanie napięcia, i to na dodatek z dreszczykiem emocji, bo potajemnie. Natomiast Elvira, dzięki tej umowie, z modystki w sklepie pani Assumpció stała się luksusową utrzymanką audytora Massó, przyszłego cywilnego prezesa. I życie w domu państwa Massó nadal toczyło się miło i spokojnie. Do momentu, kiedy don Rafael zakochał się w Elvirze. Niestety, pechowo dla biedulki. A teraz przyszła kolej na niedostępną dołą Gaietanę. Tymczasem dojechali do szpitala, gdzie wybitny astronom zarabiał na przysłowiową miskę soczewicy, pracując w charakterze chirurga, i tam kazał woźnicy się zatrzymać.

Teraz powóz jaśnie pana posuwał się powoli ulicą Rec. Woźnica robił, co mógł, żeby wyminąć licznych przechodniów, którzy szwendali się po mieście o tej porze. Po drodze don Rafael przedstawił swój problem doktorowi Jacintowi Dalmasesowi.

– Nie przypuszczałem, don Rafaelu, że nadal interesuje się pan astronomią.

– Jestem ignorantem w tej materii, doktorze – powiedział z fałszywą skromnością. – Ale jeszcze nie straciłem zamiłowania do nocnych obserwacji.

– Niebo... Księżyc, gwiazdy, planety, mgławice galaktyczne – ekscytował się doktor Dalmases. – Firmament jest miejscem bogatym w niespodzianki. Możemy na nim dokonywać niezwykłych podróży... Wiele razy myślałem, że nie muszę się przemieszczać, by poznawać nowe światy... Wystarczy poczekać,

aż zapadnie noc, byle tylko niebo nie było zachmurzone. Nie sądzi pan?

– Och... Tak! Jak długo może potrwać ta niepogoda?

– Wieśniacy mówią, że trzeba się nastawić na parę tygodni. Że się nam jeszcze przeje ten nadmiar wody... – Doktor Dalmases podrapał się po nosie, zamyślony, jakby refleksja o obfitych opadach warta była jego intelektualnej troski. – Ale wracając do tematu, don Rafelu, nie sądzę, żeby potrzebował pan inwersora obrazu. Ciała niebieskie nie mają góry i dołu, ani lewej i prawej, są przedmiotami absolutnymi... Zresztą podobnie jak Ziemia... Ale już się przyzwyczailiśmy mówić, że tam jest północ...

– No dobrze, ale północ zawsze była na północy, tam w górze, prawda? – don Rafel szedł w zaparte.
– Nie możemy sobie wyobrazić północy, patrząc w stronę Afryki. To byłaby północ-południe.

– Proszę wziąć kulę ziemską i przekręcić – uśmiechnął się uczony. – Teraz północ jest w Afryce. A ziemia jest ciągle taka sama.

– Odwrócona do góry nogami. – Jakież to upokarzające, robić z siebie idiotę.

– Drogie don Rafelu, niech pan przynajmniej na chwilę zapomni o mentalności prawnika i zrobi użytek z krytycznego umysłu. Mam na myśli to, że pojęcie prawej i lewej czy południa i północy jest względne. Chyba nie chce pan mi powiedzieć, że został pan zwolennikiem niewiarygodnych teorii Fèlix Amata.

Don Rafel z trudem powstrzymywał niecierpliwe parsknięcie. Oburzyło go porównanie z don Fèlixem Amatem i jego teorią sfer krystalicznych. Jednakże w tym momencie naprawdę była mu całkowicie obojętna względność północy i południa. Co za pieprzony nudziarz z tego Dalmasesa, nie bez powodu mówi się, że jest wolnomularzem, więc lepiej niech uważa, żeby było jasne. Przecież mu powiedziałem wyraźnie, że interesuje mnie inwersor obrazu, i nic więcej. Niestety, okazał się jedyną znaną mu osobą, która dysponowała takim urządzeniem.

– No dobrze, może pan dla mnie zdobyć inwersor obrazu?

– Straci pan na ostrości: im więcej soczewek i lusterek postawimy na drodze między obiektem a okiem...

– Nie chcę oglądać Księżyca do góry nogami...

Doktor Dalmases zamilkł przez grzeczność i wyglądał przez okienko powozu. Ten obmierzły don Rafel działał mu na nerwy. Ale nie było rozsądne, żeby się z tą awersją afiszować. Po prostu denerwowało go, jak można się upierać przy odwracaniu obrazu. Nawet początkujący nie popełniają takiego błędu. Chyba że instrument jest mu potrzebny do innych celów.

– No dobrze – westchnął. – Jeśli podwiezie mnie pan pod dom, dam panu taki inwersor... Mam nadzieję, że będzie pasował do pańskiego teleskopu.

– Jestem panu niezmiernie wdzięczny. – Cholera, wreszcie się zdecydował, pomyślał. – Ale wolałbym go od pana odkupić. Dzięki temu mógłbym go używać, kiedy będę chciał.

– Źle mnie pan zrozumiał: daję go panu w prezencie.

– Wykluczone.

– Ja nalegam.

Daj mi chleb i mów, zem kiej, pomyślał don Rafel. Właśnie wjeżdżali na plac Traginers.

– W porządku, doktorze Dalmases. Poddaję się.

Stuknął w dach pojazdu i woźnica zatrzymał się na środku placu. Jakieś dziecko, które akurat wciągało smarki, zafascynowane obserwowało kłęby pary uchodzące z nozdrzy konia. Doktor Jacint Dalmases wysiadł, zapewniając, że zajmie mu to najwyżej minutę, i don Rafel uśmiechnął się

zadowolony. Kiedy służący profesora przyniósł paczkę, zasmarkane dziecko ciągle się zastanawiało, czy ten koń ma ogień w środku. Powóz jaśnie pana ruszył z hałasem, prosto w kałużę na placu. Don Rafel miał swój inwensor, a dziecko stojące blisko kół powozu zostało opryskane błotem. Oj, będzie się miało z pyszna, jak je zobaczy matka.

Don Rafel zamknął książkę, której nie czytał, i ziewnął. Lubił to poobiednie słodkie nieróbstwo. Zwykle ucinał sobie drzemkę w fotelu tuż przy kominku; o tej porze dnia wydawało się, że życie jest piękne. Kiedy doña Marianna skończyła besztać służących i służące (tylko Hipolita nie dosięgnął gniew pani), dołączyła do męża z robótką i usiadła w drugim fotelu.

– Czy już coś wiadomo w sprawie tej Desflors?

– Już go złapali. Jakiś chory człowiek.

– Och, to straszne! Kto to taki?

– Nie znasz go. A poza tym to tajemnica sub judice. – To był jego ulubiony wykręt, kiedy nie chciał rozmawiać z żoną lub kiedy miał ochotę się z nią droczyć. Don Rafel westchnął. W zasadzie czekał, aż doña Marianna powie dobrze, idę się na chwilę położyć, bo wtedy on będzie swobodny.

– Ale możesz mi chyba powiedzieć, co to za jeden?

– Mężczyzna, Marianno!

– Specjalnie tak robisz, żeby mnie zdenerwować.

– No i bardzo dobrze!... Tak, właśnie po to! – Don Rafel wiedział już, że po tej sprzeczce bezpowrotnie minie senny błogostan. – A więc najwyższy autorytet w dziedzinie prawa w Katalonii, cywilny prezes, chce zdenerwować swoją żonę, ponieważ...

– Skoro tak, to dobrze. – Zerwała się szybko jak błyskawica, głęboko urażona. – Idę się na chwilę położyć. Jeżeli w twoim wieku masz jeszcze jakieś sekrety przed żoną...

– W porządku, Marianno – odpowiedział, nie ruszając się z miejsca, jakby nie rezygnował z drzemki. – Nie mówiłaś, że idziesz się położyć? A ja muszę się zamknąć w gabinecie, bo powinienem popracować nad tym przypadkiem.

Doña Marianna opuściła salon wściekła jak furia.

Don Rafel westchnął, odczekał, aż ostatni fałd oburzonej sukni zniknie za drzwiami, i dopiero wtedy się podniósł. Ziewnął szeroko i udał się do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie miał coś w rodzaju gabinetu, z paroma książkami z dziedziny prawa i portretem namalowanym przez Tremullesa. Zamknął drzwi na klucz, po czym westchnął uszczęśliwiony. Wyciągnął teleskop, a następnie ustawił go w odpowiedniej pozycji. Odsunął nieco cienką firankę. Usiadł i ostrożnie rozwinął inwensor obrazu, żeby go zainstalować. Po uregulowaniu obiektywu cmoknął zadowolony. W życiu trzeba mieć szczęście... Okno jego gabinetu wychodziło, z matematyczną precyzją, dokładnie na łóżko baronowej de Xerta. Pałac baronostwa, po drugiej stronie ulicy, miał dach nieco niższy i widok z jednego mieszkania na drugie był zdecydowanie korzystniejszy dla jaśnie pana. Dlatego udało mu się ustalić, że doña Gaietana zazwyczaj udawała się na poobiednią drzemkę, że nie spuszczała żaluzji, że była raczej bezwstydną, bo firanek też nie zaciągała do końca, że na sjęstę rozbierała się z kolejnych warstw ubrania, aż do skąpej koszuliny. Że dnia dwudziestego siódmego września, w czasie sjęsty, przyprawiła porządne rogi temu głupiemu mężowi z jakimś młodzieńcem, którego don Rafel nie zidentyfikował. Że wtedy, kiedy ją podglądał w trakcie przyprawiania rogów, wydawało mu się, że rozebrała się do naga. Od tamtego dnia zaczął przemyśliwać nad wykorzystaniem teleskopu. Zakochał się w niej... Trzymał straż przy oknie

z bezgraniczną wiernością. Upokarzał go fakt, że wszystkie urządzenia optyczne dawały obraz odwrócony, ale całą duszą czekał z nadzieją w sercu na dzień, kiedy doña Gaietana zdecyduje się na sjęstę w porze, kiedy on będzie na czatach. Och! Och! Tak! Don Rafel z entuzjazmem przyłożył oko do obiektywu. Tak, faktycznie otwierały się drzwi i och! doña Gaietana wchodziła do swojej sypialni z ziewnięciem, o mój ty rozkoszny leniuszku, co za piersi, jak jabłuszka... Nie krępuj się, odważnie, ty dziwko, przecież nikt cię nie widzi... Aj, aj... Doña Gaietana zaczęła rozpinąć spódnicę, a don Rafel przeklinał powietrze, które ich dzieliło. Och, och, och, jakaż, och! Don Rafel aż się ślinił, moja Gaietano, wydaje się, że jesteś na wyciągnięcie ręki, co za ekstaza... Dlaczego nie rozbierzesz się do naga, najdroższa? No już, przecież jesteśmy sami, ty i ja, sam na sam... No, dalej, najdroższa... szybko, nie bój się!...

– Jaśnie panie.

Dyskretne pukanie do drzwi i głos Hipolita.

– Czego znowu? – odpowiedział don Rafel zirytowany. – Nie wiesz, że o tej porze pracuję?

– Pilna depesza z sądu.

Don Rafel przestawił teleskop, odstawił krzesło na miejsce, pospiesznie rozrzucił papiery na biurku i zasiadł w fotelu.

– Już otwieram – powiedział, wstając. Że też w tym domu nie szanuje się nawet godzin pracy. – Przekreślił klucz w zamku i otworzył drzwi. – Co? Co to za pilna sprawa?

Za Hipolitem pojawiła się postać znienawidzonego naczelnego komisarza policji, tego jak mu tam, kto by spamiętał te wszystkie jego nazwiska, jakiś portugalski port na końcu, ach, no tak, Setúbal, którego wolałby z bliska nie oglądać. Don Rafel uśmiechnął się i nie dopuszczając do głosu Hipolita, sam zaprosił gościa do środka: ależ proszę, proszę, panie komisarzu, co za niespodzianka! i don Jerónimo Manuel Cascas de los Rosales y Cortés de Setúbal wszedł do gabinetu don Rafaela, nie reagując na jego uśmiech.

– To bardzo delikatna sprawa, jaśnie panie. – Komisarz czekał w milczeniu, aż tamten zamknie drzwi, obejdzie w koło biurko, usiądzie i jemu wskaże krzesło. Wtedy wyciągnął z kieszeni byle jak związany pakiecik i położył na stole.

– Poszliśmy na rewizję domu zatrzymanego w sprawie Desflors. I znaleźliśmy to.

Don Rafel, zaintrygowany, z niepokojem otworzył kopertę drżącymi palcami. Natychmiast się zorientował, co to takiego. Wpadł w panikę, cała krew spłynęła mu do nóg i zakręciło mu się w głowie.

– Skąd ten osobnik to wziął? – wyjąkał.

– Jeszcze nie wiemy. Musimy go przesłuchać.

– Nie! – Faktycznie, don Rafel źle to rozegrał. Bo po tym krzyku komisarz Setúbal podwoił w myśli sumę, jakiej może się domagać za dyskrecję. W każdym razie po krótkiej rozmowie obaj mężczyźni doszli do porozumienia. Jeden obiecał zapomnieć o pakiecie i o całej sprawie; drugi obiecał pamiętać o przysłudze. Do tego don Rafel musiał wręczyć z ręki do ręki temu półportugalskiemu komisarzowi sześć tysięcy reali, wyrwanych spod serca. Sam Setúbal zasugerował, by do materiałów dowodowych włączyć paszkwile znieważające króla, by jeszcze bardziej pogrążyć zatrzymanego, a moi ludzie, którzy to znaleźli, będą milczeć jak grób, jaśnie panie, ręczę za nich, jaśnie panie. Na okrasę wilczy uśmiech na twarzy komisarza. Sen o doñi Gaietanie rozwiął się bezpowrotnie, bo o czwartej po południu w połowie listopada, jak to się mówi, robi się coraz ciemniej, zwłaszcza w duszy jaśnie pana.

O ile w innych pomieszczeniach budynku ciemność o ósmej wieczorem była zupełna, o tyle w smrodliwym podziemiu, gdzie wydrążono lochy, ta sama ciemność stawała się gęsta, twarda i nieodwołalna. Andreu, oparty o wilgotny mur, oddychał niespokojnie. Nie wiedział, która jest godzina, czy już jest jutro, czy przedwczoraj. Podczas godzin dzielonej samotności zorientował się, że znajdująca się przed nim milcząca bryła to holenderski marynarz. Uwięziony za skręcenie karku swojemu genueńskiemu koledze w sprzeczce o kobietę i najwyraźniej wyzbyty ochoty do mówienia czy rozumienia. Andreu wiedział już, że ten gaduła, który go tu przywitał, przestawał się odzywać, kiedy robiło się całkiem ciemno, i wtedy naprawdę nie dało się tego wszystkiego znieść. I nic więcej; chociaż podobno było tam jeszcze trzech czy czterech, Andreu słyszał tylko od czasu do czasu kaszel, przekleństwa lub westchnienie pośród beznadziei panującej w celi. Oparty o ścianę nieustannie myślał, jak to się stało. W głębi duszy wierzył, że lada moment otworzą się drzwi celi i ktoś go wypuści, mamrocząc przez zęby parę słów przeprosin, a on je przyjmie, i po krzyku. Aż trudno uwierzyć, że tyle czasu upłynęło od momentu, kiedy żołnierze przyszlę po niego do domu, i ciągle nic się nie wyjaśniło. Kto o tym wiedział? Kto... kto mógł teraz czynić starania, żeby wyjaśnić jego sytuację? Ten cudaczny najmimorda, który powinien go bronić, a był przekonany o jego winie? Kto jeszcze? Gdyby Nando nie wyjechał... Andreu nie pomyślał o swoim ojcu, bo nie wyobrażał sobie w tej roli człowieka, który w życiu nie zrobił nic praktycznego. Nikt więcej nie przychodził mu do głowy... Nie bez powodu przechwalał się, że jest największym samotnikiem w Barcelonie. W gruncie rzeczy wiedział, że ludzie, na których mógłby liczyć, są bezsilni. Ale głównym powodem jego desperacji była niemożność sprawdzenia, kto i jak działał na zewnątrz, by wyjaśnić tę absurdalną sytuację. Poza Nandem przyjaźnił się jeszcze z czterema młokosami, niezbyt zasobnymi w dobra materialne, o wygórowanych ambicjach literackich i muzycznych. Z definicji podchodzili nieufnie do dorobku barcelońskich Nieufnych Akademików z instytucji Acadèmia dels Desconfiats, i do jej spadkobierców, przekonani, że to, co oni tworzą, jest nieodwołalne i ostateczne, co trzeba złożyć na karb młodości. Andreu nie należał do żadnego koła, które mogłoby się o niego upomnieć. W pewnym momencie tego wlokącego się bez końca tygodnia w lochu, spędzonego na przeżuwananiu własnego nieszczęścia, poczuł się tak, jakby został pogrzebany za życia, bo nikt w świecie żywych nie wiedział, że umieszczono go w tym grobowcu, a ci, którzy wiedzieli, nie mogą zrobić prawie nic... A pani Roseta? Nic. A Teresa... Czy po raz pierwszy pomyślał o Teresie? Nie. Na pewno nie. Ale tym razem miał świadomość, że o niej myśli i wspomnienie dziewczyny stawało się coraz bardziej konkretne, prawie namacalne. Andreu, oparty o wilgotny mur, oddychał niespokojnie. Pragnął, żeby ktoś, ktokolwiek, zajął się jego sprawą, i jego pragnienie wznosiło się jak dym pod sufit tej nory i stapiało się z tysiącami innych pragnień, wydychanych przez wielu zdesperowanych ludzi, płaczących tu w środku. I być może ulatniało się przez zakratowane okienko w stronę deszczowej nocy na placu Błat. Całe miasto, zmęczone wysiłkiem ciągłego moknięcia, milczało w ciemności i pozwalało, by deszcz przemoczył je do szczytu, chyba zasmucone nadmiarem nagromadzonego smutku.

20 listopada 1799

Kochany Andreu, Synu boskiej Fortuny,

Przypisuję Ci to pochodzenie nie dlatego, by Twoje pojawienie się wśród śmiertelników było owiane tajemnicą (synu roztargnionego, poczciwego muzyka i nieodgadnionej, przynajmniej dla mnie, kobiety), ale dlatego, że jesteś jedyną osobą na świecie, naprawdę, do której napisałem dwa listy z rządu. Piszę do Ciebie z jakiegoś dzikiego miejsca, zwanego Perafitą, w drodze do miasta Calaf. Pewnie się zastanawiasz, jeśli zwracasz uwagę na szczegóły, czego tu szukamy, w pobliżu Calafu, dziewięć dni od wymarszu z Barcelony, w tę pamiętną noc koncertu mademoiselle Desflors, skoro jest oczywiste, że dziewięć dni powinno nam wystarczyć, by minąć już Saragossę. No więc słuchaj: zbczyliśmy z drogi, bo chodziły słuchy, że w okolicy Calafu i Ponts działa banda rozbójników, a my mamy ich postraszyć. W żadnym razie nie chciałbym się na nich natknąć, bo jestem pewien, że to ja najadłbym się strachu. Ciągle pada. Nie przejaśniło się dziś ani na moment. I tak już od dziewięciu, dziesięciu czy tysiąca dni. Czy w Barcelonie też tak pada? Teraz, w niewygodnym namiocie wojskowym, ten sam model dla całego korpusu piechoty, piszę do Ciebie i słyszę kap-kap na brezencie, a Casares śpi w najlepsze. Ten cały Casares jest niezbyt rozgarnięty. Chce zostać inżynierem wojskowym, a nie odróżnia dębu szypułkowego od dębu ostrolistnego. Ja też muszę być głupi, że się zajmuję tropieniem rozbójników w deszczu, ciemną nocą. Przez tę fanaberię nadkładamy drogi, opóźniając skandalicznie marsz do Madrytu. Staram się zachować spokój: wojsko ma tę zaletę, że nie musisz się tłumaczyć z podejmowanych decyzji. To zadanie pułkownika. Jest coraz bardziej rozdrażniony, ale w końcu za to mu płacą.

Andreu, teraz chcę mówić o Tobie, chcę się ustosunkować do Twoich ostatnich siedemnastu wierszy. Bardzo dokładnie przemyślałem to, co Ci teraz powiem, dlatego nie denerwuj się i przemyśl to sobie, zanim mi odpowiesz. Do rzeczy: moim zdaniem te wiersze nie są całkiem dobre. Może jeszcze sonet, ale pozostałe nie. Wiesz, czego im brakuje? Że są niedorobione, surowe, jakby Ci się bardzo spieszyło, żeby je skończyć, rozumiesz mnie? Z taką samą szczerością, z jaką Ci to mówię (przypomnij sobie, jak skrytykowałeś moją Etiudę a-moll), również chcę Ci powiedzieć, że podziwiam Twoją umiejętność wyrażania tego, co chcesz powiedzieć. Ach, gdybyś tylko miał dobrych mistrzów! Ale Ty, kochany Andreu, synu boskiej Fortuny, masz dużo szczęścia; masz całe życie przed sobą i będziesz robił postępy z coraz większą łatwością, bo w gruncie rzeczy naszymi najlepszymi mistrzami jesteśmy my sami. Uważam, że w tych wierszach, mimo że nie są najlepsze, jest materiał na prawdziwego poetę. Tego jestem pewien. Słuchaj: a może byś spróbował pisać po kastyljsku albo po francusku?... Ach, głupio mi się powiedziało, przecież Ty nie znasz francuskiego. Przepraszam. Excusez-moi, mon quoiquoi, wiecznie zakochany w pięknie, w dowolnej formie (a najlepiej, żeby było przymiotem kobiety).

Ach, Andreu! Co tam słyhać na Rambli? Czy swiergoczą jeszcze bogatki na akacjach? A w porcie, przybyło okrętów?... Nie masz pojęcia, jak bardzo tęsknię za Barceloną, kochany Andreu, nawet sobie

nie wyobrażasz, jak bardzo pragnę wrócić i spacerować po placu Pi, a jednocześnie czuję, że kusi mnie świat, który chcę poznać, i oba te pragnienia w niepojęty sposób stapiają się w jedno.

Wydaje mi się, że aby być dobrym podróżnikiem, trzeba umieć tęsknić. Bo jak nie, żyjesz jak koń na galerach... Przez tę rozmowę z Tobą zrobiłem się sentymentalny. Może myślę o tym wszystkim dlatego, że tutaj, pośród kamieni i wrzosów Perafity, nie ma żadnej kobiety, która by mi kazała inaczej spojrzeć na świat... Co tam! Das Wort Freiheit klingt so schön... jak twierdzi niezrównany Goethe. Zapamiętaj to sobie, Andreu: słowo wolność brzmi cudownie w naszych uszach... a ja, paradoksalnie, na przekór mojemu mundurowi, oddycham wolnością przez sam fakt obserwowania krajobrazu i przekształcania go w myśli... Casares chrapie. Sprowadził mnie na ziemię. Och! I w tym zderzeniu z matką ziemią nie było nikogo, kto by mi pomógł zamortyzować upadek! Jestem sam w jakimś absurdalnym wojskowym namiocie, czeka mnie noc w towarzystwie tego chrapiącego idioty, porucznika, obojętnego na pejzaże... Jakież ja jestem nieszczęśliwy.

Andreu, muszę kończyć. Pierwszy list do Ciebie, ten z wczoraj, zabrał dziś dyliżans pocztowy z Igualady. Ten dzisiejszy pewnie będę nosił przy sobie wiele dni, zanim wrócimy do cywilizowanego świata. Wiesz, że odkryłem Novalisa? Opowiem Ci o nim innym razem. Księgarz Galí znalazł dla mnie wersję francuską jego Pieśni duchownych. Obok słów wrażliwego poety, który mówi:

Oddasz, com niegdyś umiłował,
i już się nigdy nie rozstaniem,
bo będę w sercu ciebie chował,
wiecznem związany miłowaniem,

znalazłem coś tak dynamicznego i energicznego jak w tej zwrotce:

Nadchodzą takie czasy,
że serce ima żal
i świat odziera z krasy,
upiornie mącąc dal.^[2]

Jestem pewien, że te wiersze poruszą w Tobie wrażliwą strunę, Andreu, przyjacielu. Ty też wkrótce będziesz tworzył taką poezję, bo masz w sobie energię mądrości i sztuki. Świeca dogasa. Dobranoc, największy samotniku spośród wszystkich samotników!

Twój przyjaciel Nando

Słońce jeszcze nie wzeszło. Ciset odwrócił głowę i przyglądał się nowej świecy. Wciągnął smarki spływające wolno po twarzy. Oddychał ciężko, jakby ta czynność wymagała wielkiego wysiłku. Łzy zaczęły mu płynąć po policzkach, niekontrolowane, o Panie Boże i Apostołowie Święci, przecież ja nigdy w życiu nie płakałem. A teraz szloch mieszał się z głuchym, źle wróżącym kaszlem i przez chwilę Ciset zastanawiał się, czy nie za wiele tego bólu jak na jedno serce, przecież on nigdy się nie smucił, a przynajmniej aż do tego dnia, który lepiej przez wzgląd na Pana Boga wymazać z powierzchni ziemi i z listy moich grzechów, kiedy usłyszał to posępne plaf, brzmiące do tej pory w jego głowie, biedna Remei, czuję się winny jej śmierci, zmarła, stojąc, bez uprzedzenia, nie tak jak ja, umierający kawałek po kawałku, ze świadomością, że coraz mi bliżej do grobu; posadźcie róże na mojej mogile, majaczył Ciset, i znów zaczął kaszleć. Słońce wciąż nie wzeszło. Ciągle jeszcze trwała noc zaduszna. Musiał wycierpieć do końca ból pierwszej nocy bez Remei, bez jej równego oddechu, szmeru pocierania zmarzniętych dłoni, biedna Remei, tu została jej robótka; przedwczoraj, przy kominku, powiedziała jestem zmęczona, jutro dokończę, i nie mogła dokończyć cerowania tej koszuli, nigdy więcej, ponieważ nazajutrz zmarła, stojąc, nie uprzedziła, że odchodzi, na podwórku domu Peric, ze słowami Ciset, już czas. I nie dokończyła, bo już była martwa. Podczas kolejnego ataku kaszlu Ciset ogarnęła złość, kiedy popatrzył na cerowaną koszulę. Nie pozwolił niczego dotknąć Galanie, nie Galano, przecież mówię, że nie... Ta koszula ma tak zostać, niedokończona, z igłą wbłą w materiał, tak jak wtedy, kiedy powiedziała jestem zmęczona, jutro dokończę. I Galana poszła do kuchni, nieprzekonana, mrużąc coś pod nosem o panu Cisie, czy przypadkiem nie zwariował, i zajęła się garnkami, żeby móc szybciej sobie pójść, kiedy już zostawił Cisetowi gotową kolację na tę przeklętą noc zaduszną, którą po raz pierwszy miał spędzić sam.

Skulony pod kocem, liczył te wszystkie dni, kiedy wydawało mu się, że nie, że nie powinien być tego robić. Ale też pamięć mu podsuwała moment, kiedy czekał, prażąc się na słońcu przed klasztorem w Sant Cugat, aż pojawi się znenawidzona postać, zaciągnie go na tyły klasztoru, bo nawet ptaki nie powinny o tym wiedzieć, i da mu to, co obiecał, prawdziwą fortunę, Ciset, wszystkie pieniądze świata, wiedz, że ja dotrzymuję słowa. A on, zaślepiony, dał się uwieść przyspieszonemu biciu serca, które widziało tylko monety i nie chciało wiedzieć niczego więcej. Przyjął sakiewkę, przystał na warunki i tym samym wyrzekł się szczęścia na resztę życia, zobaczysz, Remei, skończą się dla nas zgryzoty i troski, nie będziemy musieli nigdy więcej pracować, żeby zarobić na życie, zarobiliśmy raz, a dobrze, Remei, będziemy mogli żyć jak jaśnie państwo, Remei. A ona na początku milczała, nieufna, ale ją też w końcu zbałamucił ten stos monet i powiedziała tak, Ciset, nie będziemy musieli nigdy więcej pracować. I to był nasz grzech, kaszlał teraz Ciset. Na pewno niebawem wzejdzie słońce. Ale chmurom to nie przeszkadzało i nadal płakały nad cierpieniem biednego Ciset. I znów usłyszał to plaf w swojej głowie, coraz głośniejsze, i zastanawiał się, jak długo to wytrzyma.

Don Rafel Massó pochylił się nad stołem w swoim służbowym gabinecie.

– Proszę spojrzeć.

Prokurator pochylił się, zaciekawiony, i przeczytał na głos: król Don Carlos jest nieudolny, a królowa łąjdaczy się z Godoyem, za przeproszeniem, jaśnie panie.

– I dalej w tym samym stylu, don Manuelu. Ten osobnik trzymał w domu tuziny paszkwili rewolucyjnych.

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? – Don Manuel d’Alòs wyprostował się i spojrzał podejrzliwie na cywilnego prezesa. – Przecież to ja prowadzę sprawę!

– Dlatego tu pana wezwałem, don Manuelu... Dopiero dziś rano dotarło to do moich rąk. – Kątem oka skonstatował, że prokurator tylko udaje, że mu wierzy. Wyciągnął tabakierkę i z przyjemnością zażył niuch tabaki. Don Rafel wiedział, że należało działać powoli i ostrożnie. Nie mógł ryzykować, że przypadek zabójstwa Francuzki wymknie mu się z rąk, a poza tym don Manuel, tak jak każdy urzędnik Trybunału Królewskiego, choćby i niski rangą, to potencjalny wróg. Każdy wierny sługa Korony musiał drzeć o swój tyłek, jeśli nie utrzymywał dobrych stosunków z Kapitanem Generalnym. Na tym polegało funkcjonowanie politycznej maszyny: należało mieć dobre układy z władzą, od której jest się zależnym. Don Rafel nie urodził się ani markizem, ani wielkim panem. Tacy ludzie jak on liczyli się tylko ze względu na stanowisko i na kapitał, jaki im się udało zgromadzić w trakcie jego sprawowania, jeśli okazywali się w miarę rozgarnięci. W przypadku don Rafaela problem był tysiącokrotnie poważniejszy, ponieważ Jego Ekscelencja Kapitan Generalny żywił do niego głęboką urazę, jak mówiono, z powodu jakiejś kobiety. Don Rafel wiedział, że tamten tylko czeka na dogodną okazję, żeby rozdeptać go jak pluskwę, ale tak, by nie pobrudzić sobie rąk. A na zawiści Kapitana Generalnego problemy się nie kończyły. W Barcelonie, tym dworze bez króla, wybuchała powszechna panika, kiedy z Madrytu przychodziło nowe królewskie rozporządzenie. Jak to, które mniej więcej rok temu w sposób absolutnie nieoczekiwany, wymierzony bezpośrednio w wysokich urzędników, wystawiające ich zdrowie i dobre samopoczucie na próbę, wprowadzało urząd komisarza generalnego służb policyjnych w Katalonii, posunięcie najzupełniej zbyteczne, a jeszcze na dodatek chodziły plotki, że po tej nominacji polecą głowy. Ale król każe, sługa musi, i cały cywilny personel Trybunału przyjął z krzywym uśmiechem nowiuteńkiego komisarza generalnego rodem z Estremadury. Nazywał się Jerónimo Manuel Cascal de los Rosales y Cortés de Setúbal, co jego podwładni skrócili do Leches – Chuj. Był ciemnowłosym mężczyzną, skończonym skurwysynem, który znał portugalski i uważał, że kataloński i portugalski to to samo. Ciągłe cedził przez zęby *não me lixes*, nie wkurzaj mnie. Uważał się za świetnego karciarza i zawsze chętnie dyskretnie brał w łapę, w końcu po to przybył do Barcelony, żeby zrobić karierę.

– Niech żyje Republika Katalońska – przeczytał zbulwersowany don Manuel. – Wolność, równość, braterstwo... Przyczyną wszelkiego zła jest monarchia burbońska... – Prokurator podniósł głowę przerażony. – Ależ to potworne!

– No więc może je pan wszystkie zatrzymać; mogą się panu przydać w... przygotowaniu aktu oskarżenia.

Don Manuel wykonał polecenie. Wkładając ulotki do kartonowego pudła, pomyślał, że faktycznie warto by wiedzieć, czy naprawdę królowa była kochanką Godoya, co za spryciarz, wpakować się do łóżka samej królowej; zresztą inni podobnie jak on chcieliby wiedzieć, czy Jego Wysokość król Don

Carlos nosi rogi pod koroną. Ale o takie sprawy nie powinno się pytać zwierzchnika, zwłaszcza w służbowym gabinecie cywilnego prezesa Trybunału Królewskiego.

– Wolałbym, żeby te papiery nie wyszły na światło dzienne. No, to tylko taka sugestia – rozkazał don Rafel.

– Doprawdy nie rozumiem... – wymamrotał zbity z tropu prokurator.

– Jak by to panu powiedzieć... – Don Rafel starał się zrobić wrażenie głębokiego namysłu. – Ani pan, ani ja, ani nikt, a już zwłaszcza Kapitan Generalny, nie jest zainteresowany rozgłaszaniem pogłosek, że w Barcelonie działają poza wszelką kontrolą agitatorzy polityczni próbujący obalić monarchię... Lub tacy, którym się marzą dawne czasy, jak za Habsburgów. Rozumiemy się, prawda?

– Przecież to tylko jeden człowiek.

– Tym bardziej! Nie warto tego rozgłaszać.

– Ja uważam, że lepiej wyrwać zło z korzeniami i przykładowo ukarać winnego.

– Powiedziałem panu: sugeruję, by nie robić zamieszania wokół tych papierów. Zrozumiał pan?

– Tak, jaśnie panie. Doskonale zrozumiałem. – Naczelnny prokurator zabrał karton z papierami, które mogły obciążyć Andreu Perramona jako wichrzyciela, rewolucjonistę i zdrajcę ojczyzny, niebezpieczny, aspołeczny element, a jednak nie powinny wyjść na światło dzienne z powodów niezrozumiałych dla pana prokuratora. Ukłonił się i wyszedł z gabinetu, niegdyś tak przezeń pożądanego, zrobię wszystko, i pewnego dnia ten gabinet będzie mój, przysięgam na Boga Ojca Wszechmogącego.

Don Rafel zza swego biurka przyglądał się, jak tamten wychodzi, nie całkiem przekonany, ale posłuszny, i o to właśnie chodziło, bo z tymi papierami wiązały się pewne sprawy, a te należało raz na zawsze pogrzebać. Konsternacja prokuratora, który właśnie opuszczał budynek Trybunału, była zrozumiała, bo nie mógł wiedzieć, że tylko jaśnie pan wiedział, jaśnie pan i don Jerónimo Manuel Cascas de los Rosales y Cortés de Setúbal, i jeszcze dwaj detektywi, ale poza tym nikt, że znalezienie paszkwili w mansardzie Andreu Perramona przy ulicy Capellans było oficjalną wersją, jaką przedstawił don Jerónimo, alias das Leites, czyli Chuj.

Jaśnie pan zażył niuch tabaki. Czuł się smutny, opuściła go pewność siebie. Wrócił ten sam niepokój co dawniej i znów zawładnął jego sercem. Pewnego dnia mi je rozsadzi. Stojąc twarzą do wielkiego okna, nie zwracał uwagi na to, co się dzieje na zatopionym w deszczu placu Sant Jaume. Wreszcie zrozumiał, co czytał kiedyś jako student, słowa Seneki czy jakiegoś innego starożytnego myśliciela, że człowiek mnoży wysiłki, by znaleźć szczęście poza murami, nie uświadamiając sobie, że jedynym miejscem, gdzie je może znaleźć, jest jego własne serce. Kichnął, ale nie poczuł przyjemności.

– Mówią, że zabiłem kobietę.

Odpowiedział mu kaszel, a potem cisza, jakby te słowa wymagały głębokiej refleksji.

– Jestem niezdolny zabić kogokolwiek... A mówią, że to ja... Dlatego mnie tu trzymają, nie wiem jak długo.

– Dopiero co tu się zjawiłeś, chłopcze. Najwyżej dziesięć dni.

– Jestem tu już ze sto lat.

Kolejna pauza. Rozmowy w tych czterech ścianach brzmiały absurdalnie niespiesznie, ponieważ czas płynął tam innym rytmem i brnął do przodu beznadziejnie powoli, jakby gęste powietrze stawiało mu opór, jakby zaczął wbrew naturze przechodzić w stan stały. Na chwilę rozmowę przerwał głuchy kaszel Holendra. Westchnęła bryła w kącie i wreszcie doczekał się odpowiedzi gadatliwego cienia:

– Stąd się wychodzi tylko nogami do przodu, do parku sztywnych... – znów wtrącił się Holender ze swoim kaszlem – albo prosto na szubienicę.

– Ale ja jej nie zabiłem!

– Ba! Coś tam musiałeś przeszkrobać...

– Gówno!

Nie miało to nic wspólnego z tematem rozmowy, ale w tym momencie Andreu uświadomił sobie, że od paru dni cela już nie śmierdziała... A może to on przestał cokolwiek czuć. Wciągnął ostrożnie powietrze... Na pewno zgniły mu już płuca i on cały stanowił część tego gnoju...

– Nie masz przyjaciół?

– Co?

– Przyjaciele. Nie masz przyjaciół?

Teraz widział wyraźnie niewielkie okienko, przez które dostawał się do środka chłód, ale nie ulatniały się przez nie żadne cierpienia. Albo okienko nie wychodziło na światło dzienne, albo dzień był równie ponury jak jego dusza.

– Chce mi się srać. Nie ma innego sposobu, żeby to zrobić?

– Najwyższy czas. Idź do kąta. Za długo wytrzymałeś bez srania, to niezdrowo.

Andreu wstał. Po omacku dotarł do miejsca, gdzie zbiegały się ściany. Rozpiął spodnie i przykucnął.

– Gówno, gówno, gówno, gówno! – zapłakał.

– Przyzwyczaisz się, chłopcze...

Andreu milczał. Holender znów zaniósł się kaszlem i powiedział parę dziwnych słów, takim tonem, jakby liczył na odpowiedź.

– Możesz sobie mówić, co chcesz, ty żabojadzie – odezwał się gadatliwy cień – tu nikt cię nie rozumie.

– Nando! – Andreu wstał na równe nogi.

– Co?

– On mnie widział... Była... była czwarta czy trzecia, tak mi się wydaje... On może potwierdzić, że widział mnie na ulicy! – Podeszedł do drzwi i zaczął w nie walić. – Zawiadomcie Nanda! Nando wie, że ja... Ej! Otwórzcie!

– Szkoda gardła, chłopcze. Lepiej dokończ sranie, skoro wreszcie ci się udało...

Mistrz Perramon poruszył niebo i ziemię. Niebo, czyli kurię, do której miał ułatwiony dostęp dzięki temu, że przez lata poznał wszystkie organy w mieście. Grał nawet w katedrze za czasów biskupa Climenta. Ziemię, czyli dotarł aż do Trybunału Królewskiego, z duszą na ramieniu. Zaczął od nieba, bo ono zazwyczaj jest łatwiej dostępne.

Wczesnym rankiem mistrz Perramon wślizgnął się do zakrystii, gdzie, o ile coś się nie zmieniło, kanonik Cascante powinien się ubierać do mszy o siódmej, co za niespodzianka, mistrz Perramon, a już myślałem, że mistrz o nas zapomniał! Tak właśnie mówiłem: jeżeli akademia odniesie sukces, nie będzie chciał nas znać, a na to mistrz Perramon rozpląwa się w uśmiechach, ależ skąd, proszę księdza, ależ skąd, ja zawsze myślę o katedrze, a tymczasem kanonik Cascante wysuwa głowę przez otwór w komży, gotów wziąć do ręki kielich i udać się do ołtarza świętej Eulalii, gdzie już na niego czeka ta sama co zwykle gromadka wiernych.

– Potrzebna mi pomoc, proszę księdza.

To nie był dobry moment, żeby prosić o przysługę w katedrze. Nie dość że wiadomo, jak to jest w końcu listopada, to jeszcze teraz kanonik Pujals, z osobistego polecenia biskupa Díez Valdésa uparł się, że zrobi wszystko dla uświetnienia uroczystości religijnych na zakończenie stulecia: uroczysta msza, Te Deum, cztery procesje, triduum i uwznioślenie obchodów liturgicznych Bożego Narodzenia oraz zakończenia roku; wizytacja w różnych bractwach, nabożeństwa – w liczbie siedemdziesięciu siedmiu – we wszystkich zakonach miasta Barcelony; wszystko to wiązało się z tak potężną ilością roboty, że w kurii cały czas uwijali się w tę i w tę ludzie z papierami, zaafetowani sekretarze z teczkami, bo wiele się działo. Przełożony Bractwa Krwi awanturował się i zdecydowanie odmówił uczestniczenia w procesji, jeśli Bractwu przypadłoby miejsce za sztandarem mercedarian, cholera, co oni sobie wyobrażają, że skoro bezpośrednio obcuja ze śmiercią, to im wszystko wolno? po moim trupie; mają iść, za kim każe, a teraz zobaczmy, o co tym razem chodzi tym kapucynom, czasem mam wrażenie, że tylko o to, żeby mi napsuć krwi. Żeby tylko Jego Eminencja mnie nie wzywał i pozwolił mi pracować spokojnie... chwilami doprawdy tracę głowę; zobaczmy, kapucyni... Szczęście, że pożegnanie wieku odbywa się tylko raz na sto lat, bo to nie do wytrzymania. Ach, tak, świetnie! Wszyscy by chcieli siedzieć w pierwszym rzędzie, wszyscy w pierwszej ławce, no to niech mi teraz ktoś powie, jak mam umieścić pięćdziesięciu siedmiu honorowych gości, okazałej tuszy, z małżonkami, w ławce na dwanaście osób. Dwanaście! A w stallach jest miejsce dla pięciu: Kapitana Generalnego, cywilnego prezesa Trybunału, burmistrza, biskupa d'Aux Fines Herbes, jeżeli wcześniej nie umrze, i żony Kapitana Generalnego. I na tym koniec. Ale nie: szef policji chce stallę dla siebie, i adiutant połowy Kapitana Generalnego również. O mój Boże! A ten czemu mi teraz zawraca głowę, ten cały Cascante?

Kanonik Cascante wpuścił przed sobą mistrza Perramona do gabinetu kanonika Pujalsa: on tu rządził i tylko on mógł znaleźć rozwiązanie, jeśli w ogóle istniało. Zastali go obłożonego stosem papierów (podania, prośby, ostrzeżenia, żądania, propozycje, rozkazy), a wszystkie dotyczyły uroczystości pożegnania wieku. Kanonik Pujals powiedział bez zainteresowania słucham i mistrz Perramon wiedział już, że nie ma na co liczyć. Przedstawili Pujalsowi absurdalną historię aresztowania chłopca, proszę księdza, to mój syn, głowę daję, proszę księdza, że on jest niezdolny do czegoś takiego, a kanonik Pujals kiwał głową, że no cóż, bardzo mu przykro, i oderwany na chwilę od papierkowej dokumentacji końca stulecia w ramach relaksu słuchał historii tego nieszczęsnego młodzieńca, ależ nie, proszę księdza, sam mieszkał, poza domem. Kanonika Pujalsa nie zawiódł refleks i od razu znalazł rozwiązanie: w paru liniijkach adresowanych do jaśnie pana don Rafela Massó i Pujades, cywilnego prezesa Trybunału w Barcelonie, zawiadamiał, że znalazł dla jego szlachetnej osoby wraz z małżonką miejsce w stallach, zamiast w pierwszej ławce, w dniu Te Deum i Uroczystej Mszy, a w ostatnich słowach prosił go, by łaskawie zainteresował się prośbą, którą mu przedstawi osoba doręczająca list.

– A teraz muszę pana przeprosić, bo mam mnóstwo pracy, a tu jeszcze biskup pilnie wzywa mnie do siebie.

W chwili gdy zamykały się drzwi za mistrzem Perramonem i przełożonym zakrystii, kanonik Pujals natychmiast wyrzucił z pamięci absurdalną historię tamtego młodzieńca, między innymi dlatego, że trzymał teraz w dłoni zdecydowaną, jednoznaczną i definitywną odmowę przeoryszy benedyktynek, by reprezentacja jej zakonu zajęła miejsce w ostatnim rzędzie nawy bocznej. Zwłaszcza że w pierwszym miały siedzieć augustianki.

Stojąc za drzwiami, Teresa drżała z emocji, kiedy usłyszała, jak Andreu mówi do Rocamory i do

młodego Sortsa czy zauważyliście, jakie piękne oczy ma dziewczyna, która usługuje ojcu? Nigdy nie widziałem piękniejszych. I w tym momencie Teresa się zakochała. Codziennie, kiedy trzech młodzieńcy, sami albo w większym gronie, przychodzili do domu Perramona, żeby grać lub dzielić się zmartwieniami, ona biegała po domu uskrzydłona... Pewnego dnia, kiedy mistrz Perramon kazał jej zanieść do salonu muzycznego skromny podwieczorek, którym zawsze częstował gości, Andreu położył dyskretnie na tacy bilecik. To był wiersz. Subtelny sonet dedykowany dziewczynie o oczach czarnych jak agat. Dopiero nocą w swoim pokoju mogła spokojnie przeczytać liścik. Zdaje się, że melancholijny Andreu prosił czarnooką dziewczynę, by nie odmawiała mu swego spojrzenia, kiedy będą blisko, bo jego jedynym pokarmem jest piękno jej oczu – doskonały przykład neoklasycystycznej poezji miłosnej – a w ostatniej tercynie dodawał, że skoro on jej podarował wiersz, ona powinna mu się czymś zrewanżować. Andreu popełnił niewybaczalny błąd. Zlekceważył podstawowe kanony poezji miłosnej i nie uświadomił sobie, że już od niej otrzymał dar w postaci spojrzenia, a wiersz stanowił tylko podziękowanie... Ale sprawy potoczyły się, jak się potoczyły, bo Andreu był jeszcze nieopierzonym poetą. Co więcej, Teresa zbyt krótko chodziła na lekcje kroju i szycia, żeby zrozumieć, że poeta prosi ją tylko o całusa. Wręcz przeciwnie, bardzo to sobie wzięła do serca, naruszyła swoje skromne oszczędności i kupiła medalion, na którym z jednej strony znajdował się wizerunek jakiejś kobiety, równie dobrze mogła to być ona, a z drugiej kazała wygrawerować imię Andreu Perramon.

– Dlaczego to zrobiłaś? Jak ci na imię?

– Teresa... – Stała przed Andreu niemal sparaliżowana. Patrzyła, jak chłopiec rozwija medalion, zdziwiony.

– Dlaczego to zrobiłaś? – znów się zdziwił.

– W wierszu prosiłeś o prezent.

– Ale ja nie... – Andreu uświadomił sobie, że nieskończenie trudniej wyjaśnić, co to takiego figura retoryczna, niż przyjąć prezent. Dlatego nic nie powiedział, a dziewczyna była naprawdę ładna. Uśmiechnął się do tych oczu, które chciały go zjeść, i wzruszony powiedział będą nosił ten medalion na szyi. Zawsze, Tereso, przysięgam. I od razu go założył. Od tego dnia Teresa stała się najszczęśliwszą dziewczyną na świecie, bo wiedziała, że jej wybranek ją kocha. Natomiast Andreu, zaabsorbowany życiowymi perypetiami, nie wiedział, że Teresa była przekonana, że on ją kocha; więcej, w ogóle nie wiedział, że Teresa jest jego ukochaną; nadal była dla niego tą samą dziewczyną, służącą ojca, która miała takie ładne oczy. A na jego szyi wisiał medalion miłości.

Dlatego kiedy tamtego dnia w południe mistrz Perramon wrócił do domu przygnębiony i poskarżył się Teresie, że niczego nie osiągnął, na razie niczego, po czym zabrał się z apetytem do obiadu, relacjonując przy jedzeniu swoje bezowocne starania w kurii i w Trybunale, i kiedy doszedł do momentu, że w Trybunale w ogóle nie wpuścili go do środka, ale dowiedział się od uczynnego odźwiernego, że mają dowód, który jednoznacznie na niego wskazuje, wtedy ona zapytała, a co takiego? i usłyszała medalion, a na nim, jak twierdzi ten człowiek, jest wygrawerowane jego imię, znaleziony w pokoju zamordowanej. Teresa chciała umrzeć.

– A tobie co? – zapytał zdziwiony mistrz Perramon, gdy zauważył, że dziewczyna zbladła. Teresa nie odpowiedziała. Zerwała się i wyszła z kuchni. Mistrz Perramon popatrzył za nią, ale nie zareagował, bo miał na głowie inne zmartwienia, trochę go tylko zdziwiła jej reakcja. Nie zaprzętał sobie tym głowy, bo inny ból ścisnął mu serce. Ciężka mu świadomość, że życie syna znajdowało się w jego rękach.

Dokończył zupę, ale nie miał już ochoty na mięso. Siedział przed kominkiem i patrzył zniechęcony w ogień. Czuł się bezradny: był tylko starym człowiekiem, który poświęcił swoje życie, ciało i duszę pracy nad czystością chłopięcych głosów w chórze Parafii Matki Bożej Sosnowej. A pozostałą energię spożytkował na szukanie talentów muzycznych w sierocińcach i na udzielanie lekcji solfeżu, gry na organach, na skrzypcach, na klawikordzie i na czym kto chciał. Mistrz Perramon całymi dniami wystukiwał rytm, tłumiąc ziewanie. I to on był jedyną osobą w całej Barcelonie, usiłującą przekonać bezduszne władze, że to absolutnie niemożliwe, żeby jego syn kogokolwiek zabił.

Biedna Teresa wyszła na zewnątrz, żeby zaczerpnąć powietrza. Cierpiała, czuła ból i duszności, i odechciało się jej żyć. Jej ukochany Andreu, najbardziej szarmancki mężczyzna na świecie, którego kochała całym sercem, był stracony poniekąd przez nią, bo ją kochał. Rok temu podarowała mu medalion i tamtej fatalnej nocy miał go na sobie. Teresa wolała nie pamiętać, że Andreu spędził wtedy noc z Francuzką. Nie. Owszem, czuła z tego powodu smutek... Ale w prawdziwą rozpacz wpędzała ją myśl, że Andreu grozi szubienica, jeśli nikomu się nie uda udowodnić tego, co ona wiedziała bez potrzeby dowodzenia: że Andreu niezdolny jest zabić, Andreu, najdroższy, jak mogą cię o coś takiego posądzać. Pomyślała o medalionie i poczuła przemożną potrzebę, by wykrzyczeć swój ból. Wbiegła do domu, prosto do spiżarni. Zamknęła za sobą drzwi i tam, w ciemności, włożyła głowę do nieużywanego pieca chlebowego, który teraz jej służył do przechowywania smolniaków, a myszom za mieszkanie, żeby, wyjąc i krzycząc, wyładować całą swoją wściekłość. Aż drzewo nasiąkło wilgocią od tych krzyków, jęków i łez.

Komisarz Setúbal cofnął się i wybuchnął śmiechem. Não me lixes! powiedział pogardliwie. Andreu spojrzał na niego z nienawiścią, ale się nie odezwał. W tym momencie otworzyły się drzwi. Strażnik z kwaśną miną wpuścił kogoś do środka. Andreu zamroczony bólem zauważył niewyraźną sylwetkę wysokiego, chudego mężczyzny w peruce, który przykrywał sobie nos wyperfumowaną chusteczką. Setúbal na jego widok podniósł się i powiedział to on, jasnie panie, zaraz się przyzna. Jeden ze zbirów komisarza chwycił go za włosy na klatce piersiowej i przycisnął do ziemi, przesiąkniętej smrodem lęku i potu innych.

– Gdzie, do diabła, ukryłeś nóż?

Andreu chciał powiedzieć, że to nie on ją zabił, że to pomyłka. Ale zamiast tego kaszlnął, bo wpadł mu do gardła jakiś śmieć czy źdźbło słomy.

– Za wszelką cenę chce nas przekonać, że nie ma nic wspólnego z tą zbrodnią.

Don Rafel, zakrywając usta i nos naperfumowaną chusteczką, zaintrygowany obserwował Andreu. Spojrzał mu w oczy. Było mu obojętne, dlaczego ów młody człowiek stał się okrutnym, krwawym zbrodniarzem. Chciał wyczytać w jego oczach... z jakiego niewiadomego powodu trzymał w domu te dokumenty... Problem w tym, że nie mógł go o to zapytać wprost, bo nikt, poza Setúbalem, nie powinien wiedzieć, że on wie, i że postępuje, jak postępuje, ponieważ wie to, co wie; nikt, nawet sam więzień, który zawsze mógł się powołać na trefne papiery i wywołać skandal. Na razie interesowało go tylko, jak uniknąć grożącego mu z jego strony niebezpieczeństwa. Nie wspominając o tym, ile go kosztowało zamknięcie ust Setúbalowi.

Po paru ciosach w nos, trzech kopniakach w jądra, dwóch w wątrobę, jednym prosto w żołądek i trzech próbach przyduszenia wyjaśniło się kilka spraw: po pierwsze, że nie, morderca nie miał zamiaru współpracować, po drugie, że owszem, ten uparciuch przyznał się, że tamtej nocy był w pokoju damy –

och, Andreu chciał to przemilczeć przez wzgląd na honor kobiety; po trzecie, że owszem, różne rzeczy robili, ale jej nie zabiłem, przysięgam, jak mi Bóg miły, a wtedy Cascal de los Rosales y Cortés de Setúbal, który był bardzo religijny, uderzył go w twarz za blasfemię; po czwarte, to zależy, widział ją parę godzin wcześniej w domu markiza de Dosrius. Uprzednio nie znał artystki, ale ona miała taki kaprys; po piąte, co ty sobie wyobrażasz, myślisz, że ci uwierzymy, że tylko się pieprzyliście i że noża nie było? No, już! (Drugi kopniak w jądra, pierwszy w wątrobę.) I tak przez półtorej godziny, aż don Rafel, który obserwował to kopanie z bezpiecznej odległości, żeby uniknąć pochłapania krwią, uznał, że jednak warto go zapytać, skąd wziął te papiery, i Andreu patrzył, zamroczony biciem i mdłościami, na jakieś nieznanne dokumenty, w niewiadomej sprawie, bo teraz, bez koperty, w której dał mu je Nando, nie mógł ich rozpoznać, nie mam pojęcia, to nie moje, Matko Boża Nieustającej Pomocy, kręci mi się w głowie, zbiera mi się na wymioty, ja chciałbym, żeby, ja jej nie zabiłem!

– Pytałem, skąd wzięłeś te papiery.

Tak samo jak twierdził, że nie był mordercą, przysięgał, że pierwszy raz widzi tamte dokumenty. Don Rafel tak się wściekł, że aż krew uderzyła mu do głowy. Wtedy zdał sobie sprawę, że twarda z niego sztuka i że musi postępować w sposób zdecydowany, jeżeli nie chce, żeby ta sprawa, a przy okazji jeszcze co innego, wymknęła mu się z rąk. Odchrząknął i ukryty w cieniu spojrzął na młodego mordercę:

– Mamy wystarczająco dużo dowodów, żeby cię formalnie oskarżyć o morderstwo. – Wciągnął głęboko w płuca zapach chusteczki i zwrócił się do Setúbala, wydając polecenie: – Za dwa dni będzie wizja lokalna. – Z grymasem obrzydzenia wskazał Andreu. – I proszę odizolować tego szczura.

Dopiero w gabinecie naczelnika więzienia don Rafel schował chusteczkę do rękawa. Tego popołudnia już nie miał czasu ani na teleskop, ani na Gaietanę. Próbował sobie wmówić, że to jest powodem jego niepokoju.

Jedną z rzeczy, którą zdobył ten szczur Andreu jeszcze tego samego dnia, gdy strażnik, zdobywając się na zaskakujący gest, bez słowa zatrzymał się przy korycie na dziedzińcu i w milczeniu przemył mu rany na twarzy wodą i odprowadził do celi, było doświadczenie, że o wiele łatwiej jest znosić smród innych, wspólne pchły, suchy kaszel łysego starca czy dziwne przekleństwa holenderskiego marynarza, który ponoć był pedałem i kogoś zabił, ale wcale nie swego kolegę; o wiele łatwiej było znosić tamten chlew niż całkowitą samotność. Tak jak go wcześniej uprzedzano, kiedy tylko zamknięto go w małym, a przede wszystkim niskim pomieszczeniu, gdzie nie mógł się wyprostować, jeszcze bardziej wilgotnym niż cela, w której przeżył dziesięć potwornych dni, opanowała go obsesja, że musi wstać. Chciał walić w drzwi. Chciał, żeby mu zrobili okienko... Chciał słyszeć głos cienia i ponury kaszel w ciemności... Godziny mijały, a jego głowę wypełniało przygnębiające przeczucie, że o nim zapomniano, że nikt o nim nie myśli, że zostawią go tu, w tym wilgotnym, ciemnym kącie, żeby zgnił, a to było gorsze niż obudzić się w trumnie, i przez cały wieczór powtarzał przez łzy, że on jej nie zabił, i przysięgał na wszystkie świętości, że jest niezdolny do czegoś takiego, że to pomyłka, naprawdę, jakby odmawiał różaniec, jakby powtarzał litanie... Ale słyszał go tylko szczur. Taki sam szczur jak on. O ósmej wieczorem, chociaż nie wiedział, która jest godzina, ogarnęła go czarna rozpacz, bo poczuł się bardziej samotny niż kamień przy drodze.

Andreu, mój drogi przyjacielu, wybrańcu Kaliope i Erato, który cieszysz się opieką bóstw jak rzadko kto na świecie.

Dziś zatrzymaliśmy się w gospodzie z prawdziwego zdarzenia. Po zmarnowaniu całego dnia na tropienie we mgle jakichś rozbójników, w których istnienie zaczynam powątpiewać, dotarliśmy do Calafu. Piszę do Ciebie w pustym holu, gdzie czekam na dziewczynę, gdyż obiecała przygarnąć mnie na tę noc.

Są możliwe dwie wersje historii niewidzialnych rozbójników: nasz pułkownik utrzymuje, że to zwykli bandyci czyhający przy drogach na podróżnych, mordercy pozbawieni skrupułów. Natomiast emerytowany dowódca straży miejskiej w tym mieście, niejaki Huguet, upiera się, że chodzi o niedobitki partyzantki na francuskim żołdzie. Kimkolwiek by byli, pozostają nieuchwytni. Są synami mgły.

Wpół do dziewiątej wieczorem. Wszyscy już leżą w łóżkach, poza mną, piszącym do Ciebie przy kominku. Nie mogę Ci opisać, jakie jest to miasto. Nie poznałem go, mimo że w nim przebywam: przez cały boży dzień toniemy we mgle, tak gęstej i nieprzenikalnej, że ciężko zobaczyć coś poza czubkiem własnego nosa. Ludzie tutejsi są przyzwyczajeni, ale mnie to doprowadza do pasji.

Obiecywałem wczoraj czy przedwczoraj, że Ci przedstawię moją teorię nostalgii. Teraz, w ciszy panującej w gospodzie, z podniecającą perspektywą dziewczyny, która mi obiecała skrawek swojego siennika, czuję ciepło w duszy i jestem w odpowiednim nastroju, żeby podjąć ten temat. Jak wiesz, niespokojny ze mnie duch. Nie potrafię usiedzieć w miejscu, gnany przed siebie chęcią poznawania ludzi i świata... No dobrze: zapewniam Cię, że gdybym jednocześnie nie umiał tęsknić, nie potrafiłbym żyć. Uważam, że prawdziwym podróżnikiem jest ten, kto wyrusza powodowany chęcią poznania nowych światów, ale co noc opłakuje te, które zostawił za sobą, a przede wszystkim świat, który był świadkiem jego dzieciństwa... Kochany Andreu, jestem przekonany, że podróżuję, ponieważ umiem tęsknić. Taki jest pozytywny sens nostalgii, dlatego tak bardzo lubimy w nią wpadać. Spróbuję to wyrazić inaczej, tak jak czytałem u Novalisa: zabieram siebie ze sobą, niezależnie od tego, jak odległy jest cel mojej podróży, a wraz ze mną przenoszą się też moje wspomnienia. Oczywiście teraz, we mgle Calafu, Barcelona jawi mi się piękniejsza. Bo nie pamiętam ani kałuż ze zgniłą wodą, ani rozgardiaszu na ulicach, ani komarów w sierpniu; pamiętam tylko to, co jest strawą mojej duszy: ciche mury, plac Pi, nasz teatr, ciemne oczy dziewczyny w domu Twojego ojca... Prawda, że mnie rozumiesz? Przyjemniej jest wspominać niż żyć. Życie to tylko konieczność. Dlatego komponuję muzykę... Dlatego piszesz wiersze... Dlatego ze sobą korespondujemy... Dlatego że nasza dusza pragnie tego, czego nie posiada... Właśnie w tej chwili, kochany Andreu, czekając na moją muzę z mgły, mógłbym skomponować dziesięć stron utworu muzycznego... Teraz, nie potem...

Właśnie przyszła. Ma na imię Rosa i włosy jasne jak miód, a w spojrzeniu iskry jak te na kominku. Poprosiłem, żeby chwilę poczekała i siedzi tu obok cierpliwie.

A ja nadal piszę, mając przy sobie szczęście. Trzeba być idiotą. Mówiłem Ci już, że ma na imię Rosa? Że ma włosy w kolorze słońca? Że wpatruje się we mnie z politowaniem i uśmiecha się nad moją pisaniną? Kto wie, może sobie myśli, że piszę list miłosny... A o tym, że jest córką mgły, już wiesz? Że wiecznie obniżony poziom chmur w tych okolicach tak jej rozjaśnił oczy, jakby miały coś wspólnego z wodą? Heroicznie odkładam na później ten wielki moment, moment schronienia się pod skrzydłami

tej bogini, kiedy sam stanę się częścią piękna. No, dość już, kochany Andreu: kończę. Później Ci opowiem, jak przeżyłem to doświadczenie; przeczuwam, że będzie to coś niesamowitego. Jestem szczęśliwy!

Twój przyjaciel Nando

– Jaśnie panie, mój syn nie jest mordercą.

– Doprawdy?

Wielkość gabinetu prezesa Trybunału miała wzbudzić respekt, a przede wszystkim zastraszyć petentów, którym wcześniej udało się przejść przez sito. Tylko cztery dni mistrz Perramon starał się o przyjęcie przez prezesa, co można by uznać za wyjątkowe, chyba że don Rafel ma powody, by udzielić audiencji podobnemu nieszczęśnikowi; jakie, on tylko wie. Sekretarz Rovira podpisał przepustkę, a tamten człowiek chwycił ją w drżące dłonie. Anemiczne światło wpadające przez balkon w listopadowy poniedziałek ledwie oświetlało biurko prezesa. Podłoga aż lśniła czystością. Na ściany wyłożone kobiercami mistrz Perramon wolał nie patrzeć, żeby nie złapał go atak astmy. I jeszcze ten potworny obraz przedstawiający rzeź niewiniątek, jak na ironię wiszący w gabinecie funkcjonariusza wymiaru sprawiedliwości.

Mistrz Perramon, na nogach z waty, powtórzył po raz kolejny to absolutnie niemożliwe, jaśnie panie, i don Rafel podniósł wzrok, dając do zrozumienia tamtemu zmizerowanemu mężczyźnie, któremu ze strachu zaschło w gardle, że czeka na dalsze wyjaśnienia. Don Rafel nie mógł sobie pozwolić na osłabienie czujności w tej sprawie, nie miał więc zaufania do człowieka przed sobą. Dlatego zdecydował się wysłuchać go osobiście, żeby sprawdzić, czy coś wie. Czy ktoś jeszcze wie o sprawach, o których nikt nie powinien wiedzieć. Jeśli nie o to chodziło, to po co by go przyjmował, przecież nie ze względu na stallę obiecaną przez kanonika Pujalsa na Te Deum na koniec wieku.

– Andreu Perramon spędził większą część nocy ze mną.

– Doprawdy? Nie ustaliliśmy, że nie mieszka z panem od dwóch lat?

– Tak, jaśnie panie. Ale tamtej nocy, wracając z koncertu, zaszedł do domu i został, żeby mi pomóc w... w... strojeniu naszych dwóch fortepianów.

– No właśnie. W środku nocy. Przy świecy. Żeby pobudzić sąsiadów.

Mistrz Perramon otworzył usta i znów je zamknął. Powtórzył ten gest parę razy, aż zdecydował się zmienić taktykę i zrezygnować z tego tamtej nocy na rzecz Andreu jest niezdolny do takiego czynu. Znam go doskonale, jestem jego ojcem. Zapewniam pana, że...

– Drogi panie... – Prezes wstał z miną człowieka zmęczonego, przytłoczonego pracą, mam tylko minutę i koniec. – To samo możemy powiedzieć o każdym mordercy... – Uśmiechnął się do mistrza Perramona. On również wstał, zaciskając dłonie na kapeluszu. – O każdym, niech pan zauważy, choćby był najpodlejszy, dopóki się nie okaże, że to zbrodniarz. Prawda, że się rozumiemy? – Don Rafel już się zorientował, że tamten człowiek nic nie wie o sprawach, o których nie powinien wiedzieć, i przedłużanie tej nieprzyjemnej rozmowy nie miało sensu. Mistrz Perramon musiał wyciągnąć najcięższą armatę, zaczynając od padnięcia na kolana, by w dalszej kolejności wygłosić jaśnie panie, proszę o współczucie dla cierpiącego, biednego starca; ja mam tego jedyne syna jako podporę swojej starości. Don Rafel Massó ani drgnął. Nie zadał sobie trudu, by podnieść nieszczęśnika, doprawdy, jacyż oni wszyscy są żałośni. Ruszył do drzwi, stukając niecierpliwie butami o lśniącą podłogę. Mistrz Perramon, na kolanach, odwrócił się i zobaczył jaśnie pana przed drzwiami. Stało się oczywiste, że posłuchanie zrozpaczonego mistrza Perramona dobiegło końca i że Andreu jest coraz bliżej szubienicy. Starzec w geście desperacji rozłożył ramiona i zawołał: ja wiem, że on nic nie zrobił! Nic na niego nie macie!

Don Rafel, dysząc z wściekłości, wrócił i z całej siły chwycił muzyka za ramię. Ruszył w stronę

drzwi i pociągnął za sobą swoją ofiarę.

– Nic nie mamy? Och, mój panie. Dowodów mamy aż nadto.

Prezes otworzył drzwi. Natychmiast z jakiegoś obrazu na ścianie wyłonił się woźny i przejął kontrolę nad sytuacją, chwytając mistrza Perramona za ramię. Kiedy lokaj go ciągnął wzdłuż holu, don Rafel jeszcze miał fantazję, by się popisać dobrym wychowaniem:

– Proszę przekazać ode mnie kanonikowi Pujalsowi podziękowanie za przysługę!

– Jaką przysługę? – Mistrzowi Perramonowi udało się odwrócić głowę, mimo że woźny trzymał go mocno. Nic mu z tego nie przyszło, bo prezes już zamknął za sobą drzwi.

Na środku placu Sant Jaume drobny kapuśniaczek zlewał się ze łzami, które spływały po zapadniętych policzkach dawnego kapelmistrza z Parafii Matki Bożej Sosnowej. Przez sześćdziesiąt parę lat życia raz był na wozie, raz pod wozem, ale nigdy nie spotkało go aż tak wielkie nieszczęście, nawet kiedy zmarła Dolors. Jeszcze rozbrzmiewały mu w głowie słowa strażnika, Perramon, aresztowali pańskiego syna, a on na to, co? dlaczego? uwięzili? A na to strażnik Comes, w sumie dobry człowiek, odpowiedział, nie wiem, nie wiem dlaczego, Perramon, ale go zatrzymali jakąś godzinę temu... Ja na pana miejscu poszedłbym popytać; a on na to ale gdzie z tym iść? Wtedy tamten powiedział, cholera, nie wiem, chyba w Trybunale powinni się orientować, o co się go oskarża. A on się zdziwił, ale o co go można oskarżać, na litość boską? I Comes, zniecierpliwiony: na pewno o coś poważnego, bo zabrali go na plac Blat, i mistrz Perramon aż usiadł z wrażenia, bo od tych słów zakręciło mu się w głowie: na plac Blat, gdzie kończą zbrodniarze, potępieni, szumowiny i... Nie, Comes, nie. To jakaś pomyłka... A strażnik Comes poradził mu, żeby poszukał adwokata, a on zamilkł zafrasowany, adwokat, adwokat, gdzie mu tam do adwokatów. I wtedy wpadł na pomysł, żeby udać się do księdza Pratsa z kościoła Matki Bożej Sosnowej, żeby mu pomógł otworzyć któreś z ciężkich drzwi prowadzących ku wolności, biedny Andreu, synu mój, w pełni życia, i w pamięci mistrza Perramona pojawiły się niekończące się dyskusje toczone przez Andreu i jego przyjaciół przy fortepianie w salonie w te wieczory, kiedy przychodzili do jego domu, by grać lub rozmawiać o życiu, o miłości, o śmierci i o ponurych pejzażach z burzą w tle, zwiastujących nowe upodobania; młodzi poeci i muzycy z tej grupy szczycili się, że są nowi, oryginalni i że gardzą akademiami... Mistrz zadowolony dyskretnie się przysłuchiwał ze swego kącika, wzdychając jak to wspaniale być młodym. Te zebrania czasem się zamieniały, zwłaszcza gdy młody Sorts miał dobry dzień, w udane sesje muzyczne lub w czytanie płomiennych wierszy, a potem następowały teoretyczne dyskusje na temat estetyki, w których zwyciężał pogląd, że człowiek jest jedynym zwierzęciem zdolnym do teoretyzowania do upadłego. A wszystko to za aprobatą mistrza Perramona, nie, wcale mu to nie przeszkadza, nie, nie woli zostać sam, tak, on też nienawidzi akademików, zapamiętał sobie, że go potraktowali z góry, a teraz szedł ulicą Bisbe, nie zwracając uwagi na deszcz, bo było mu wszystko jedno, i przechodził pod balkonem, gdzie jaśnie pan Rafel Massó oddawał się melancholii wywołanej uporczywą słotą, od wielu dni dręczącą Barcelonę. Don Rafel nie zwrócił uwagi na przygarbione plecy mistrza Perramona, bo nieoczekiwanie powróciło przygnębiające wspomnienie twarzy nieszczęsnej Elviry, całej we łzach, a on, żeby przepędzić je raz na zawsze, zaczął myśleć o Gaietanie, o miłości nieosiągalnej, bo mógł ją adorować tylko ukradkiem, po drugiej stronie teleskopu, jakby doña Gaietana była konstelacją Panny, jak to się mówi, albo jedną z Plejad, Asterope, a może Elektrą. Ukochana Gaietano, przynajmniej tyle, że teraz nie muszę cię oglądać do góry nogami. Ale to nie wystarczało kochliwemu sercu don Rafaela. Pukanie do drzwi. Sekretarz Rovira. Ciekawe, czym mi teraz będą

zawracać głowę.

W tym samym momencie, kiedy mistrz Perramon wchodził milczący, ze spuszczoną głową do domu, kiedy umyślny posłaniec, wyekspediowany przez niego do Saragossy w poszukiwaniu Nanda zasięgał informacji na temat przemarszu wojska u wieśniaków z Fragi, i dowiedział się od nich, że tu o żadnych żołnierzach nie słyszeli, jaśnie pan nerwowo wydmuchiwał nos w powozie, jadąc przez plac Palau. Biedny Hipolit, uczipiony w charakterze towarzyszącego lokaja, starał się nie tracić równowagi, gdy powóz trząsał się na wyboistej drodze. Kiedy ten przeklęty Anton wpadał w euforię, jego wesołość udzielała się karcie, nieliczącej się z odpornością pasażerów. Jaśnie pan był kłębkim nerwów od chwili, gdy otrzymał wezwanie do Kapitana Generalnego. Chciał się z nim zobaczyć jak najszybciej, z zachowaniem dyskrecji, a wśród sekretarzy i woźnych aż zawrzało i pół Trybunału snuło domysły i przypuszczenia. W jakiej sprawie chce się ze mną widzieć, co? Po jaką cholere, czemu mi zakłóca spokój, denerwował się don Rafel. Ponownie się wysmarkał i schował całkiem już mokrą chusteczkę pod siedzenie. W głębi duszy obawiał się prawdziwego gradobicia, jeżeli Kapitan Generalny wyciągnie temat odkrycia dokonanego przez tego diabelskiego Portugalczyka, bo choćby nie wiem jak zapewniał ja i moi ludzie będziemy milczeć jak grób, jaśnie panie, to jak ktoś uchodzi za skurwysyna, znaczy, że sobie zasłużył. A jeżeli Kapitan Generalny poznał jego sekrety, to już po nim, bo na pewno don Pere nie zawaha się wykorzystać swojej przewagi, aby go pogrążyć i skompromitować przed całym miastem.

Musiał czekać tylko dziesięć minut, dobry znak, co za uprzejmość. Albo zły znak, bo mógł szykować ostateczny cios. Woźny, który go wprowadził do okazałego salonu, nosił taką perukę, jakie były w modzie za czasów naszych dziadków, oczywisty znak, że Kapitanat zmienia się z powolną powściągliwością. Ale liberia bardzo mu się podobała, w kolorze biało-złotym. Przez moment don Rafel zastanowił się, czy nie mógłby w taki uniform ubrać Hipolita. Podejrzewał jednak, że stary sługa, który przez trzydzieści lat ubierał się na ciemnoczerwono, odebrałby taką zmianę jak osobistą obrazę. Kiedy tylko przekroczył próg, głupstwa wywietrzały mu z głowy; w głębi, w wystudiowanej pozie z rękami założonymi do tyłu, odwrócony do gościa plecami, stał przy balkonie Jego Ekscelencja Kapitan Generalny Katalonii don Pere Caro Sureda-Valero i Maça de Liçana i czekał, aż interesant chrząknie. Kiedy cywilny prezes chrząknął, Kapitan Generalny się odwrócił i zrobił zdziwioną minę na jego widok.

– Mhm, no więc, no więc, co słyhać, don Rafelu? – Próżno było oczekiwać, że don Pere Caro Sureda-Valero i Maça de Liçana będzie go tytułował jaśnie panem.

– Ekscelencjo, jestem do pańskiej dyspozycji.

Jego Ekscelencja się odwrócił i skierował w stronę biurka ze słowami drogi panie prezesie, chodzi o sprawę absolutnie priorytetową. Chodzi o tę aferę w Trzecim Departamencie: chcę wiedzieć, o co tyle krzyku. Rozumie mnie pan?

– Tak, ekscelencjo. – Ale nie rozumiał. Nie mógł go zrozumieć, ponieważ Departament Kryminalny podlegał wyłącznie jaśnie panu i Kapitan Generalny mógł wtrącić swoje trzy grosze tylko w przypadku ułaskawienia. Oczywiście jeśli Kapitan Generalny chce przekroczyć swoje kompetencje, to proszę bardzo, w końcu od tego jest Kapitanem Generalnym. Owszem, to jaśnie pan rozumiał. Dlatego powiedział tak, ekscelencjo. Ale prawdziwą panikę budziła w nim perspektywa, że ten wojskowy z twarzą szympana będzie chciał wiedzieć, co dokładnie było w papierach odnalezionych w domu mordercy, i uzna, że właśnie jest okazja, żeby mu się dobrać do skóry.

– Doskonale, doskonale. – Kapitan Generalny wskazał mu tak obszerne krzesło, że utonął w nim cały

jego tyłek. – Mhm – ciągnął dalej don Pere Caro Sureda-Valero i Maça de Liçana. – Przypuszczam, że pan wie, że noc świętego Marcina spędziłem w domu markiza de Dosrius.

– Tak, ekscelencjo. Widziałem pana. Ja też tam byłem.

– Doskonale, doskonale. Niezapomniany. Niezapomniany wieczór.

– Tak, ekscelencjo. Niezapomniany.

– I ten słowik z Narbony czy skądś tam wzniosł się na szczyt wyrafinowania, subtelności i tak dalej.

Zgadza się pan ze mną, don Rafelu?

– Tak, ekscelencjo. – Prezes się denerwował, ponieważ Kapitan Generalny ciągle nie przechodził do rzeczy, a oczy zaczynały mu niebezpiecznie błyszczeć jak zawsze, kiedy coś kombinował.

– No dobrze. Następnego dnia, we wtorek, okazuje się, że jakiś energumen ukręcił szyję wróblowi.

– Wróblowi?

– Szczygłowi czy jak mu tam. Słowikowi.

– Tak, ekscelencjo. – Ta ornitologiczna peryfrazą uspokoiła nieco jaśnie pana.

– Doskonale, doskonale. I pan wraz z policją zatrzymuje natychmiast podejrzanego.

– Tak, ekscelencjo. W piątek zaczęły się przesłuchania.

– On jest winny.

– Nie rozumiem, ekscelencjo?

– Mówię, że macie winnego.

– Tak, ekscelencjo.

– Wie pan, dokąd się wybierał ten wróbel z Marsylii prosto z Barcelony?

– Tak, ekscelencjo.

– Ach, już ktoś panu mówił?

– Tak, ekscelencjo. Do Madrytu.

– Doskonale, doskonale. A dokładnie na dwór królewski, rozumie pan? Na cztery czy pięć koncertów przed Ich Wysokościami. Pewnie nadal tam na nią czekają.

Don Rafel milczał. Nie miał nic do dodania.

– Czy wie pan, drogi panie prezesie – ciągnął dalej Kapitan Generalny – że ta Desflors wybierała się bezpośrednio do Madrytu? Że zatrzymała się w Barcelonie na tydzień na usilną prośbę hrabiego de Creixell, prezesa seniora rady miejskiej Barcelony?

Jaśnie pan nie wiedział. Ale zaczynał rozumieć nerwowość ekscelencji.

– I że przyjęcie, jakie jej zgotowało miasto... było, że tak powiem, przyjęciem... – wzmocnił ekspresję, wymachując rękami – na wieki wieków?

– Ekscelencjo, rozumiem, że sytuacja jest drastyczna; ale co się stało, to się nie odstanie.

Tak naprawdę Kapitan Generalny nosił jeszcze zadrę w sercu od dnia koncertu, bo wychodząc z domu markiza, obiecał sobie, że zrobi wszystko, aby doprowadzić do kurtuazyjnego spotkania w sypialni, w pościeli, z tym wróblem i z jego wspaniałym biustem. A tu masz – pieprzony morderca pokrzyżował mu plany. I po raz drugi na drodze jego podbojów stanął don Rafel, co samo w sobie było wystarczającym powodem, żeby mu się rzucić do gardła.

– Jest jedno wyjście, drogi don Rafelu. Rozwiązanie, że tak powiem, post mortem.

– Tak, ekscelencjo?

– A mianowicie: sprawne działanie policji, szybkie procedowanie sprawiedliwości i surowość

sędziów!

– Mówiłem, ekscelencjo, że mamy już głównego podejrzanego.

– To miałem na myśli, don Rafelu: za wszelką cenę trzeba z niego wydobyć przyznanie się do winy. I żeby jak najszybciej odbyła się rozprawa. Żebym mógł wysłać informację o egzekucji jednocześnie z zawiadomieniem o śmierci wróbla.

Don Rafel odetchnął w duchu... Najważniejsze, że don Pere nie wspomniał o tamtych przeklętych papierach... A na dodatek się uśmiechał. Jeśli don Pere do niego się uśmiechał, znaczyło to, że go potrzebuje. Jaśnie pan skupił się, bo chciał się upewnić:

– Rozumiem, że nie zlituje się pan nad prośbą o ułaskawienie.

– Doskonale, doskonale. Wydaje mi się, że wszystko już jasne. I przypominam panu, don Rafelu, że dopóki ja będę Kapitanem Generalnym Katalonii, pierwszym filarem Królewskiej Umowy – teraz wzniosł palec teatralnym gestem, identyfikując się w pełni z własnym przemówieniem, a drugą ręką próbował wymacać na biodrze rękojeść szpady, ale ta została na wieszaku – nie chcę żadnych zamieszek w Barcelonie. Tacy ludzie jak ten złapany przez was morderca, jasne? muszą zostać zdegradowani i usunięci z naszego społeczeństwa. Zabijcie też tego holenderskiego marynarza, jeśli jest winny. Sprawiedliwość jest jedna dla wszystkich, poczynając od biskupów, a kończąc na kurwach, don Rafelu.

– Doskonale, doskonale, ekscelencjo.

Od tego momentu don Rafel Massó i Pujades, cywilny prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie, jeszcze bardziej znienawidził tego zabójcę wróbli, który przysporzył mu tylu kłopotów.

Biorąc pod uwagę fakt, że małżeństwo zawsze miało charakter wymiany handlowej, że matki, pouczając córki, kiedy już ojcowie podjęli decyzję, za kogo mają wyjść za mąż, mówiły im o szacunku i o posłuszeństwie małżeńskim, a tylko najśmielsze z nich pouczały, że nie zawiera się małżeństwa z miłości, drogie dziewczę, ale z czasem może się zdarzyć, że pojawi się to uczucie; popatrz na ojca i na mnie (drogie dziewczę patrzyło i nic nie widziało). Biorąc pod uwagę fakt, że spowiednicy wpajali droгим dziewczętom pogląd, że kochanie jest bardzo, ale to bardzo złą rzeczą, moje drogie dziewczęta, trudno się dziwić, że wszystkie drogie dziewczęta w tych czasach przeżywały przejście z dzieciństwa w młodość w stanie wrzenia i dezorientacji, dzięki czemu stawały się łatwym łupem dla pierwszego łowcy serc, jaki się napatoczył, byle tylko miał na swoim miejscu twarz, oczy i jeszcze coś. To by wyjaśniało przyczyny rozprzestrzeniania się wśród burbońskiej arystokracji w Barcelonie gęstej sieci romansów, które rozpoznawało się po spojrzeniach, przetrzymywaniu dłoni przy powitaniu, po listach, liścikach i ostrzeżeniach krążących bez ustanku, przy pełnym zaangażowaniu służących i pokojówek. W ich to rękach spoczywała reputacja zadowolonych z siebie i niczego nieświadomych barcelońskich wyższych sfer.

Sytuację łatwo dało się streścić w sposób następujący: markiza de Sentmenat, nienasycona dama z całkiem apetycznym ciałem, miała dwóch kochanków, z którymi przyprawiała rogi markizowi; oficjalnym był młody hrabia de Perelada, a potajemnie spotykała się z doktorem Ballbé, słynnym lekarzem, przyjacielem hrabiów i baronów z powodu ich problemów łóżkowych. Ale markiz de Sentmenat nie pozostawał jej dłużny i utrzymywał bardzo atrakcyjny związek z Eulàlią Junyent i de Vergós, hrabiną de Planella. To mu całkowicie wystarczało, bo, jak rozповідаł w zaufaniu, hrabina miała nielichą ssawkę między nogami. Z kolei hrabia Planella szalał za kobietami podłej proweniencji; często przebierał się za byle łyeczka i rozglądał się za dziewczkami w spelunkach. Ponoć świetnie się tam

bawił. A z kolei wicehrabia de Rocabrana, ten młody fircyk, o którym mówią, że się dogadywał z dziesięć lat od siebie starszą służącą, naprawdę? słowo honoru, nie przesadzam, miał postrach wśród dzierlatek. Żeby tylko wymienić trzy córki hrabiego d'Ullà i siostrzenicę Cartalàny, pozbawione przez niego dziewictwa. W każdym razie tak się mówi. No popatrz, każdy orze jak może. A co się tyczy hrabiny de Sobrevia, jej trzecim kochankiem był właśnie baron de Xerta. Dwadzieścia lat później jego syn ożenił się z doñą Gaietaną, młodszą od niego o jakieś osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Przed doñą Gaietaną, kiedy rozdziewiczona przez męża stała się baronową, otworzyła się droga do ogródka najstarszej latorośli rodu Despalau, przystojnego chłopca, który miał niebawem odziedziczyć baronię i myślał o karierze wojskowej. Z czasem ten Despalau został kochankiem trzech pań naraz (dwóch hrabin i jednej baronowej) i uszczęśliwiał wszystkie trzy, a żadna z nich nie wątpiła w wierność przystojnego gacha. Największe pole do popisu miał każdy aktualny Kapitan Generalny, który albo przyjeżdżał z własnym harem, albo dołączał do palestry, gotowy do ataku. Z reguły odnosił zwycięstwo: wiele baronowych, pań z towarzystwa, hrabin i markiz musiało rozłożyć nogi przed dostojnym penisem, choć ten na ogół okres świetności miał już za sobą. Ale natura ludzka ma to do siebie, że rozgrywa miłosną potyczkę bardziej mentalnie niż fizycznie, więc panie komplementowały szacownego kochanka i nie robiły wstretów, co tam, da się wytrzymać. Ciekawym przypadkiem był markiz de Dosrius. Mimo sparalizowanych nóg – ale tylko nóg – ponoć dokonywał cudów, zaskakujących w jego wieku. Ale to tylko niepotwierdzona plotka, bo nikt tego nie mógł sprawdzić, jako że nie szukał dziewcząt urodziwych, tylko dyskretnych. Tak mówią.

Można by przypuszczać, że wszystkie te damy po przekroczeniu trzydziestki zaczną mieć problemy właściwie nierozwiązywalne i że pozostanie im tylko smutna i przykra konieczność spania z własnym mężem. I vice versa. Wcale nie. W tym momencie przychodziło im w sukurs ambitne mieszczaństwo, naśladowujące nałogi szlachty. Mając możliwość popisania się zażyłymi stosunkami z kimś utytułowanym, mieszczenie tracili rozsądek i zaczęli myśleć rozporkiem. I tak na przykład niejaki Ramis, brzuchaty bankier z grubą sakiewką, zalecał się do markizy de Llió, która już dawno przekroczyła czterdziestkę, ale jeszcze ją swędziało między nogami i niedoświadczonym kochankom dotychczas nie udało się jej zadowolić. Lekarze, inżynierowie cywilni i wojskowi, sędziowie, urzędnicy wszystkich szczebli, oficerowie, dobrze prosperujący zamożni kupcy, właściciele majątków ziemskich, wszyscy oni wpadali do tego samego worka, gdzie już na nich czekały markizy, hrabiny, baronowe i panie z towarzystwa, na ogół nieco przywiędłe. Plotkowało się również, że markiz de Vilallonga gustował tylko w chłopcach, natomiast markiza de Barberà nieudolnie ukrywała przed światem trzymane pod kluczem młode dziewczę z Sycylii. Niewiele szlacheckich rodzin dystansowało się od tej wymiany handlowej. Może tylko ci, których i tak by do niej nie dopuszczono: rody Dalmases, Pinós, Rocamora i rodzina Rubí, pozbawiona tytułu markiza. Całe to sfrustrowane towarzystwo wspomnienia i pochodzenie łączyły ze stronnictwem habsburskim, a po jego klęsce straciło nie tylko wpływy, ale także majątek, i zarówno pojedyncze osoby, jak i całe rodziny, poddane bezwzględny prześladowaniom fizycznym, ekonomicznym, urzędowym i historycznym przez monarchię burbońską, pod koniec wieku stanowiły już tylko żalospną karykaturę klęski. Podobno niektórzy, jak ród Rocamora, zachowali godność, nie zadając się pod żadnym pozorem z nową arystokracją burbońską. Nad towarzystwo karierowiczów i przybłędów przedłożyli kontakt z prostym ludem. Przynajmniej ich krew krążyła teraz w nowych żyłach.

Reasumując: śmietanka, maselko i jogurcik Barcelony żyły w nieustannej gorączce wymiany

indywidualnej i kulturalnej. To gwarantowało powodzenie każdego rautu, przyjęcia, spotkania przy gorącej czekoladzie czy koncertu. Oczywiście zdarzali się wśród szlachty i mieszczaństwa krytycy tego interesu. Ale byli to nieliczni nudziarze, których i tak nikt nie zapraszał. Natomiast jeśli chodzi o pospólstwo, sytuacja wyglądała zgoła inaczej: wszyscy ci nieszczęśnicy – wyplatacze krzeseł, oberżyci, służący, tragarze, rolnicy, rzemieślnicy wszelkiego rodzaju, woźnice, bednarze, grabarze, rybacy i marynarze, ślusarze, sklepikarze, stolarze, kucharze i wszyscy, których mogło pomieścić miasto liczące sto dwadzieścia pięć tysięcy dwustu czterdziestu trzech mieszkańców – ponieważ nie mieli wyboru, bo byli biedni, jak chcieli się żenić, to po prostu się żenili.

W tej arcyciekawej sytuacji don Rafel radził sobie jak mógł. Przede wszystkim nie miał całkowitej pewności, czy doña Marianna pozostaje mu wierna. Pod świątobliwymi, uduchowionymi spódnicami tej wielkiej damy spokojnie zmieściłoby się paru kochanków... Ale kto dałby się skusić – zastanawiał się don Rafel – na tę ubraną na czarno szczapę, z mantylką w miejscu twarzy i oddechem przesyconym zapachem modlitewnika i gromnicy? Natomiast on wiedział doskonale, że jest jej niewierny. Jego proces dochodzenia do tego stanu okazał się długi i nie całkiem spontaniczny. Wszystko zaczęło się, kiedy zaraz po ślubie zorientował się, że kalkulacja małżeńskiego debetu według rachunków doñi Marianny nie dawała mu wielu okazji do uciech cielesnych. Wtedy zaangażował wszystkie swoje umiejętności organizacyjne w szukanie spolegliwej kochanki. Don Rafel nie był na tyle głupi, żeby dać się wciągnąć w kontredans skrzyżowanych rogów, jaki uprawiała podupadła szlachta Barcelony, bo chociaż młodemu adwokatowi można wróżyć świetlaną przyszłość, to ta przyszłość zależy przede wszystkim od jego przeczności. Ponieważ był ambitny, celował wysoko, startując z niskiego poziomu. Ponieważ bardzo mu się spieszyło, umiał czekać. I tak, po iluś tam latach małżeństwa, bez potomstwa i z rzadkimi okazjami, by próbować temu zaradzić, rozpoczęła się jego wielka przygoda miłosna. Wkrótce się przekonał, że chociaż należy do ludzi bogatych, wpływowych i pozornie szczęśliwych, serce bije mu szybciej tylko w obecności tej kobiety, jedynej kobiety, która potrafiła czułym gestem okazać mu uczucie. I która na początku naprawdę go kochała. Nic w tym dziwnego, że don Rafel, rozczarowany co do przywilejów, jakie daje bycie osobą ważną, rozkoszował się z żalonym zapałem tą iskrą szczęścia, jaką stała się dla niego moja ukochana Elvireta, bo dzięki niej miał mgliste wyobrażenie o jego istocie. Jeszcze tylko w jednej sytuacji don Rafel czuł się szczęśliwy: kiedy zapominając o bożym świecie, uciekał z teleskopem ku innym słońcom. W uniwersum czystym, odległym i milczącym nie było żadnego don Pere ani don Jerónima, natomiast był upragniony spokój. Jak widać, szczęście don Rafaelowi dawała albo Elvira, albo marzenia. A może chodziło o jedno i to samo. To wszystko się działo, zanim doña Gaietana stanęła na drodze między nim a jego spokojnym życiem i sprawiła, że zapomniał o ostrożności. Co za kompromitacja, obleśny staruch, a ślini się na widok baronowej, tej młódki.

Gniazdko miłości, zakątek ukryty przed obcymi, raj twój i mój, sala uciech i radości, rozkoszny skarbczyk, w którym trzymamy nasze zabawki, pokój westchnień, przybytek sytego odpoczynku, wywczasy rekonwalescenta trawionego ogniem miłości, gołębnik, do którego powraca miłość ulotna jak mgła, szpital zranionych strzałą Kupidyna, miejsce powszechnej łaskawości, subtelna cela więźniów Amora, przybytek Erosa, ogród rozkoszy, azyl, do którego zakochany powraca po całych wiekach nieobecności, zacisze, w którym czułość rozkwita, pawilon spokoju, w którym odradza się szaleństwo utrudzonych zwątpieniem, sad miłosnych owoców, dom ekstatycznej kochanki, grotta zakochanych, altana słodkich umizgów, selwa marzycieli, oberża, w której podróżni unoszeni boskim płomieniem sycą swoją

namiętność, przybytek Abelarda i Heloizy, intymny zakątek, izba, do której nieszczęśliwy w miłości biegnie, by się schronić w ramionach szczęścia, domostwo zamieszkiwane przez wszystkie rozkosze, jasna komnata Romea i Julii, kłos, naręczce i snop wiecznego piękna, posiadłość wróżki Harmonii, rozkoszne mury i okolice, gdzie namiętność jest płomieniem, sympatia – żarem, spojrzenie – oślepieniem, wspomnienie – fajerwerkiem, dotyk – uniesieniem, a życie wieczne – młodością. Na ten i na sto tysięcy innych sposobów ochrzczył don Rafel dom, domek, domostwo, w którym Elvira na niego czekała w każdą środę i piątek od czwartej po południu, kiedy Vicenta lub Josepa, dzwony Parafii Matki Bożej Sosnowej, wzywały z wysokości do uczestniczenia w nabożeństwie różańcowym odprawianym przez wielbego księdza Pratsa. Doña Marianna uczestniczyła w nim z żołnierską dyscypliną, ponieważ na cześć czcigodnego Josepa Oriola i Bogunyà zapalano wtedy dwanaście świec przed ołtarzem świętego Leonarda, a ona rozplątywała się w mistycznych uniesieniach, kiedy tylko poruszany był temat doktora Chleb-i-woda, jako jedna z wielu dusz w Barcelonie niemogących się doczekać jego bardziej niż pewnej beatyfikacji i kanonizacji. Ten gorliwy zapał doñi Marianny do uprawiania kultu świętego z kościoła Matki Bożej Sosnowej stał się bardzo na rękę jaśnie panu, ponieważ gwarantował nieobecność małżonki i umożliwiał mu popołudniami, kiedy nie służył sprawiedliwości, składanie ukradkiem wizyt Elvirze, kobiecie, dziewczęciu, babie całą gębą, strojnej, pięknej, czarującej, zgrabnej, wiotkiej i krągłej, olśniewającej, zniewalającej, bystrej, anielskiej, czarującej i niezrównanej, eleganckiej, dziarskiej, kształtnej i powabnej, szczęsnej i promiennej, wybornej, dumnej i dowcipnej, wyśnionej Elvirze, pani moich śród i piątków od piątej po południu. Sytematyczność don Rafaela w niewierności dyktowała ostrożność, ale też chodziło o to, że mojej ukochanej Elvirze było na rękę przyjmowanie kochanka zawsze o tej samej porze, bo o ile na początku ich związku, wyposzczony oziębłością doñi Marianny, zaangażował się na całego, tak że faktycznie dało się to nazwać namiętnością, prawda jest taka, że wszystko na tym świecie, nawet ogień, z czasem stygnie, a ziemia kręci się dalej, i nie trzeba sobie tego brać do serca. Natomiast nie ulega wątpliwości, że na początku Elvira, dobrze zbudowana, zdrowa dziewczucha z Horty, mieszkająca za magazynem zbożowym, zakochała się w tym panisku całą gębą, który się nią zajął. Również było prawdą, że po dwu latach ukradkowych spotkań – och, ten lęk przed przyłapaniem na gorącym uczynku, jakież to urozmaicenie w miłosnej rutynie! – don Rafel, cieszący się prestiżem, zamożny adwokat, kupił jej uroczy domek, do którego się sprowadziła. W tamten piątek, kiedy przyniósł starannie zapakowany klucz, spytała, mój ty Falecie, a cóż to takiego? A on, dumny, że tak pieszczotliwie go nazwała, ponaglał to twoje, to dla ciebie, no, otwórz, otwórz tę paczuszkę. Wyglądała na bardzo przejętą, tym bardziej że don Rafel nie wykazał się rozrzutnością w bezinteresownym kupowaniu prezentów; zaintrygowana, rozerwała papier niecierpliwymi palcami, a kiedy zobaczyła duży klucz, powiedziała nie, nie, to za wiele, ale kiedy usłyszała ależ tak, moja Elviro, rzuciła mu się w ramiona, aż się przekrzywiła peruka na głowie kochanka. Tego popołudnia stała się uosobieniem słodyczy; co chwilę brała w dłonie klucz tak wymownym gestem, jakby to było coś zgoła innego, a don Rafel, jeszcze bez tytułu jaśnie pana, aż się ślinił i mówił Elvireto, moja czarodziejko, a ona utwierdzała go w przekonaniu, z wilgotnymi wargami, półnaga, że jest najprzystojniejszym mężczyzną w Barcelonie i że go kocha do szaleństwa. Elvira przeprowadziła się ze swoją szaloną miłością i z resztą dobytku do nowego lokum, uroczonego domku przy ulicy Caputxes, róg Argenterii. Wspaniale! teraz już nie musimy się ukrywać i mogę przychodzić codziennie, ale ona szybko przekalkulowała i powiedziała, och, tak, najdroższy, w środy i piątki, na to on, dlaczego? nie chcesz, żebyśmy się częściej widywali? A ona,

wdzięcząc się, rozpiniała mu jedwabną koszulę i wąskie culloty i przemawiała słodkim głosem, oczywiście, że tak, powinienes przychodzić codziennie, ale z troski o naszą miłość musimy zachowywać się ostrożnie, mój ty Falecie; nie możemy dopuścić, by ludzie zaczęli plotkować, bo nasza miłość jest czysta i płomienna, a tymczasem ściągła mu culloty i zaczynała delikatnie pieścić pobudzonego fallusa, a on tracił świat z oczu i każde słowo Elviry było dla niego święte, tak, moja Elvireto, a ona uklękła i wzięła w usta twardego penisa i językiem dokonywała cudów, aż oddech przyszłego cywilnego prezesa Trybunału Królewskiego w Barcelonie don Rafaela Massó i Pujadesa przeszedł w nieregularne dyszenie i oczy przyszłego jaśnie pana zaszły mgłą, a Elvira co chwilę wypuszczała członek z ust i wracała do tematu, twoja żona, mój Falecie, zacznie coś podejrzewać, a ty, z twoją pozycją (rozkraczony na łóżku, pomyślała), nie możesz sobie pozwolić na żaden skandal, i zanim zdążył wyblagać, ale w poniedziałek też, Elvireto, ona znów zaczęła łakomie ssać kutasa i don Rafael zapomniał, co chciał powiedzieć, tak jakby Elvira też wyssała mu mowę. I tylko wzdychał Elvireta, jak ty to dobrze robisz, królowo, jesteś królową, i Elvirze inaugurującej to gniazdko miłości, zakątek ukryty przed obcymi, raj twój i mój i inne tym podobne bzdety, udało się doprowadzić do tak obfitego wytrysku, że nikt nie próbował już nigdy więcej podważać wyłączności ustalonych na środę i piątek dni wizyt ani obniżyć honorarium, jakie otrzymywała na swoje skromne utrzymanie. Nocą don Rafael, leżąc u boku wypacykowanej, niedostępnej dońi Marianny w papilotach, zastanawiał się nad możliwością przekonania żony, żeby mu zrobiła to, co Elvira, ale wystarczyło rzucić na nią okiem, jak ziewała po przeczytaniu przy świecy paru stron rozważań Kempisa, by dojść do wniosku, że to niemożliwe, że nawet samo wyjście z taką propozycją było nie do pomyślenia; że gdyby się odważył coś takiego powiedzieć, natychmiast by zemdlął; że od tego są kochanki. Niektóre kochanki.

Lata mijały i Elvira ciągle była oficjalną utrzymanką, najpierw przyszłego jaśnie pana, a potem jaśnie pana. Kiedy don Rafael osiągnął upragnione stanowisko, żeby to uczcić, zrobił jej drugi prezent: pierścionek ze złota wysokiej próby z dwoma brylantami afrykańskimi, wart fortunę, moja Elvireto, prawdziwą fortunę. A ona, nie musiałeś, naprawdę, dlaczego, na co don Rafael, bo cię kocham, moja Elvireto, jesteś pasją mojego życia. Don Rafael naprawdę był jednocześnie i dumny, i zazdrosny, bo choć Elvira przekroczyła już trzydziestkę, zachowała wspaniałe ciało, kochała go i pozwalała się kochać, nie oczekując niczego w zamian. Ta znajomość z Elvirą okazywała się dla niego ciągle czymś absolutnie niepojętym, bo opierała się wyłącznie na miłości. Przynajmniej on to tak widział. I w każdą środę i piątek, w porze nabożeństwa różańcowego w Parafii Matki Bożej Sosnowej, don Rafael składał wizytę przy ulicy Caputxes, róg Argenterii. A w poniedziałki, wtorki, czwartki, a także w soboty i niedziele, kochana Elvireta dorabiała sobie, wynajmując największy pokój ludziom wypłacalnym i poważanym, bo to, co jej dawał don Rafael, na wiele nie starczało. Z czasem nauczyła się prowadzić ten interes fachowo i dyskretnie. Aż w końcu wzięła ją ciekawość, żeby sprawdzić, co robią ludzie, kiedy wzdychają i sapią z taką rozkoszą. Zaczęła regularnie podglądać przyjmowanych u siebie kochanków. Doszła do wniosku, że bezgraniczna miłość składa się z ograniczonego repertuaru gestów, których niepowtarzalność bierze się stąd, że utrzymywane są w sekrecie, i wzdychała w swojej kryjówce. Przekonała się również, że wielu mężczyzn nosiło między nogami kutasa o wiele bardziej krzepkiego i dłuższego niż jej Falet. I z czystej ciekawości poczuła chęć spróbowania z innymi. Nie minęło wiele dni, a już przyjmowała, w poniedziałki lub czwartki, młodzieńców zdrowych, silnych i uczynnych, którzy nieźle ją obracali. Spodobało się jej. I to aż tak bardzo, że wkrótce musiała spróbować kombinacji dwóch na dwie i trzy na

trzech. Bardzo dobrze się bawiła, a don Rafel, z głową w chmurach, utrzymywał swoje gniazdko miłości wraz z odbywającymi się tam orgiami, w zamian za okruchy, jakie mu spadały w środy i piątki. A był już wtedy prezesem, mimo absurdalnych pretensji don Manuela d'Alòs, ale to całkiem inna historia.

25 listopada 1799

Witaj, Przyjacielu,

Dziś do Ciebie piszę przez przypadek. Miałem zamiar odłożyć na jakiś czas niesłychaną aktywność epistolarną, bo ten kretyn, nasz pułkownik, uparł się, że musimy nadrobić czas stracony na uganianiu się za niewidzialnymi partyzantami. No więc obiecał nam ciężką zaprawę, bo chciał w ciągu dwóch dni dotrzeć do Lleidy. Ale pułkownik nie wziął pod uwagę, że kiedy nad Calafem zawiśnie mgła, utrzymuje się tak długo, póki nie da się przebłągać świętej Calamandy. No, tak przynajmniej mi mówiła ta dziewczyna z gospody. Tej nocy znów obiecała mnie przytulić. Tak, Andreu, przyjacielu, utknęliśmy w Calafie na co najmniej trzy dni. O ile wczoraj mgła była gęsta, dziś już można ją nożem kroić. Nie sposób zrobić ani kroku, bo ma się wrażenie, że spadasz w przepaść. Nawet konie się płoszą, a kilku żołnierzy mówi o czarach. Dziewczyna z gospody twierdzi, że miejscowi wieśniacy mogliby z zamkniętymi oczami poprowadzić regiment aż do drogi królewskiej, do Igualady czy do Ponts. Znają okolicę jak własną kieszeń albo i lepiej. Ale ja tę informację zachowałem dla siebie, nie dzieląc się z pułkownikiem. W ten sposób zyskuję jeszcze jedną noc u boku mojej dziewczyny, słodszej niż miód. Jestem sam w pokoju, porucznik Casares całymi dniami gra w karty, a ja nie tracę czasu. O tym chciałem Ci napisać. Cały dzień się nad tym zastanawiałem: nad operą, nad naszą nową operą. Już mam ogólną koncepcję i kilka pomysłów co do struktury gotowych do wykorzystania. Ile pożytku z dwóch wolnych dni! Chciałbym, żebyś Ty też już zaczął nad nią pracować, gdy tylko dostaniesz mój list. Jeżeli Ty teraz wymyślisz charakter, zrobimy duży postęp. Główną bohaterką jest Fiorella, wieśniaczka. Zakochuje się w kapitanie grenadierów, który przypadkiem nocuje w stodole na sianie w tamtej wsi. Kapitan, sympatyczny młody człowiek, też się w niej zakochuje, ale nie domyśla się jej uczuć. Okazuje się, że ojciec dziewczyny, prymitywny, gruboskurny wieśniak, odkrywa to uczucie i wpada w gniew: on chciałby, żeby jego córka poślubiła Giovanella, najstarszego syna zamożnej rodziny z sąsiedztwa. Akt drugi: biednego kapitana, który nie zdaje sobie sprawy, że Fiorella go kocha, ojciec dziewczyny oskarża, wyzywa na pojedynek i atakuje. Il capitano musi się bronić... Tu się zaczyna dramat... Il bravo capitano walczy z wieśniakiem bez przekonania, nie chce mu zrobić krzywdy. Ale kiedy tamten go rani, instynktownie, w obronie własnej, przebija mu serce. Och, mój Boże! Niepotrzebnie przelana krew! Krew ojca Fiorelli! Tu wyobrażam sobie arię di tenore dil capitano, który jeszcze nie ma imienia, żalącego się: oh, dolore... oh, dolore!... do melodii, a ja mam już w głowie, bardzo prosta, ale wdzięczna. Tymczasem Giovanello, który od dawna był zakochany w Fiorelli, szuka desperacko kapitana, by pomścić śmierć starego wieśniaka. Ale oh, crudele destino! – dowództwo przysyła rozkaz: kapitan ma się stawić w Weronie, nie wiem jeszcze, z jakiego powodu. Jeśli nie przybędzie w ciągu dwóch dni, zostanie uznany za dezertera. Co uczyni? Czego nie uczyni? Impuls miłości, Andreu, przyjacielu, zmusza go do porzucenia munduru. Żegna się z ukochaną w duecie, od którego będą ciarki przechodzić, i ucieka do lasu. Nie zapominaj, Andreu, że zakochana Fiorella toczy walkę wewnętrzną między miłością i nienawiścią do mężczyzny, który zabił jej ojca... Il

capitano ucieka do lasu z nadzieją, że wojsko o nim zapomni. Ale nie zapomina o kapitanie Giovanello, który zbiera wieśniaków i podąża w ślad za uciekinierem, żeby go zabić. Już wiem: kapitan będzie się nazywał Lupo. Dzięki temu ścigająca go banda wieśniaków będzie mogła powiedzieć, że tropi Wilka. A gdy już go zabiją – tak, przyjacielu, zabiją go – powiedzą: „Abbiamo ucciso il lupo! Abbiamo ucciso il lupo!”. Przejąłem się intrygą i już Ci zdradziłem finał. Akt trzeci: kapitan Lupo, który dniami i nocami marzy o Fiorelli, mieszka w leśnej głuszy naprawdę jak wilk. Pewnego dnia znajduje go Giovanello, który zabłądził w te okolice, ale go nie rozpoznaje, i pyta, czy nie widział gdzieś oficera, kapitana. Lupo rozpoznał Giovanella, więc milczy, bo nie chce kłamać, nie chce walczyć i nie chce uciekać przed wieśniakiem. Giovanello coś podejrzewa i bierze go w niewolę. Tymczasem Fiorella, stojąc w oknie domu, śpiewa arię sopranową najsmutniejszą, jaka zostanie skomponowana w wieku, który ma się rozpocząć, a której słowa Tobie powierzam. Coś w stylu: „Oh, Dio, oh Dio! Zabili mi ojca i zabrali ukochanego. To z winy przeznaczenia. Gdzież jest to fatalne przeznaczenie?”. I tak dalej w tym duchu, rozumiesz? No dobrze. Tymczasem wieśniacy schwytali kapitana i zabijają go bez wyroku i bez ceregieli, jak bandyci. Kiedy Fiorella dowiaduje się o śmierci Lupa z ust samego Giovanella, rzuca się z balkonu swojego domu i umiera. Ale wcześniej będzie duet Giovanella i Fiorelli, z tych, co to wyciskają łzy. On, też tenor, wyznaje jej wreszcie swoją miłość. Ona go oskarża, że zabił jej ukochanego. Myślę, że potrafisz dopowiedzieć sobie resztę.

To tyle. Składam tę intrygę w Twoje ręce. Przemyśl ją sobie, spróbuj udoskonalić, zastanów się spokojnie nad charakterami. Powiesz mi, co o tym sądzisz. Posłuchaj: Fiorella ossia la forza de l'amore. Opera in tre atti. Libretto d'Andrea Perramone. Musica da Ferdinando Sorts. Nieźle brzmi, co?

Och, zrobiło się późno! Andreu, czuję się zmęczony. A moja muza właśnie zjawiała się w alkowie... Nigdy nie zapomnę tych dni w Calafie u boku milczącej kochanki! Pomyśl o moim capitano! Ciao!

Twój przyjaciel Nando

Słońce jeszcze nie wzeszło. Ciset wstał z łóżka otulony kocem i przeszedł się po pokoju. Już miał ciężko westchnąć, ale przeszkodził mu w tym atak kaszlu; przekłety kaszel, nie pozwala nawet zapłakać. Ciset wiedział, że umiera; nie rozmawiał o tym z Remei, żeby go znowu nie wysyłała do lekarza, tak na wszelki wypadek. Ale nie powiedział Remei ja umieram, bo po co ją było straszyć, skoro i tak nie można temu zaradzić. On wiedział, że z tym kaszlem wypluwa duszę po kawałku, a to przyplaca się śmiercią. Jak zimno było w tym domu! Jak pusto! Nie, róże nie mogły tego zmienić. Przez pewien czas żył obsesją, by stworzyć najbardziej zachwycającą plantację różanych krzewów, jaka kiedykolwiek powstała, i wydawał dużo pieniędzy na sadzonki, szczepy, czarnoziem, szklarnie i system nawadniania. Wieś krzywo patrzyła na nowych. Nie uprawiali roli i nie prowadzili gospodarstwa, bo trudno traktować poważnie te parę kur, a żyli wygodnie bez pracy i musieli chyba być trochę stuknięci z tą swoją obsesją na punkcie róż. Ich sprawa. A Galana, która dobrze знаła dom Peric, bo pomagała gospodyni, jako osoba dobrze poinformowana tylko podsycala ciekawość sąsiadek swoimi przypuszczeniami moim zdaniem mają ukryty skarb; to ludzie bogaci, bez dwóch zdań. Wiesz, Galana, gdybym ja miała tyle grosza, ile oni według ciebie mają, to sprawiłabym mężowi nowy wóz... A popatrz, jakim wrakiem oni jeżdżą. A Galana odpowiadała tak, masz rację, wiem, wiem, to zagadka, ale jest tak, jak mówię. Ej, ale to porządni ludzie, żeby było jasne, nie dam o nich powiedzieć złego słowa.

Ciset, stojąc przy oknie, wsłuchiwał się w szum deszczu z nadzieją, że zagłuszy jego kaszel i ten ból, Panie Boże, o, tu boli, boli mnie coraz bardziej. Pokasływał strapiony i nie mógł się doczekać końca tej przekłętej nocy zadusznej. Jak nowa świeca, która już nie była nowa, bo roniąc krople cierpienia, zdążyła stracić połowę długości i teraz rzucała anemiczne światło na jego smutne myśli. Poczłł lęk. Lęk zmieszany ze smutkiem, a to najbardziej wybuchowa mieszanka, jaka może powstać w ludzkim sercu. Wtedy przypomniał sobie tamto plaf. Dosłownie: plaf! I sam siebie znieawidził. Próbował wyładować gniew, waląc w ścianę, ale to nie miało sensu; był zły na samego siebie i na tych, którzy doprowadzili do jego zguby. Pożałował tego gestu, bo tylko starł kredę ze ściany w miejscu uderzenia. Kiedy rozcierał obolałą rękę, po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że jeszcze jest czas, aby złem odpłacić za zło, choćby tylko po to, by zadośćuczynić pamięci biednej Remei. Zasługiwała na lepsze życie niż to, jakie jej zgotował. Ten pomysł pozwolił mu zapomnieć o wszystkim: o deszczu, o cierpieniu i o chłódzie, o samotności, o bólu serca, i przez parę minut, patrząc na ciemne podwórko za szybami, na próżno wypatrywał w ciemności tego miejsca, w którym upadła Remei, kiedy zmarła, stojąc, osuwając się niczym tłumok szmat, z taką samą delikatnością, wpół słowa, z książeczką do nabożeństwa w ręce, biedna Remei. Ciset przestał kaszleć, jakby choroba płuc była tylko jakimś wymysłem. To trwało parę minut. Aż znów pomyślał o Remei i westchnął. A wraz z westchnieniem wrócił kaszel, teraz o wiele silniejszy. Tak silny, że tym razem naprawdę wypluł kawałek duszy.

Barcelona trzeci dzień z rzędu zasypiała w zimnej i nieprzytulnej pościeli z mgły. Niektóre wysokie wieże, na przykład kościoła Matki Bożej Sosnowej czy Santa Maria del Mar, przez większą część nocy górowały nad morzem wilgotnej waty. Ale wszystkie dachy bez wyjątku, czy to na pałacach arystokracji, zamożnych posiadłościach czy na domach zwykłych mieszkańców, przez osiem–dziesięć godzin pozostawały przykryte warstwą mgły w dniach, kiedy nie padał deszcz. Ciemne, wąskie uliczki wokół Santa Maria, takie jak Ases, Cirera, Lliri czy Mosques, próbowały utopić dławiącą je mgłę w wodzie, której też miały w nadmiarze. Nawet zwierzęta, króliki i trzymany w sieniach drób, koty i psy, muły, osły i konie, w takie dni były niespokojne i poruszały się ostrożnie. Tylko kilka dachowców zebrało się na odwagę i próbowało się przebić przez mokrą, białą ścianę. O czwartej nad ranem, w ciemności, straż więzienna na placu Blat zaczynała ostatnią wartę na wąskim i wilgotnym dziedzińcu ponurego budynku, pogrążonym we mgle. Do najgłębiej położonego lochu nie docierała jednak ta niska chmura. Krople ściekające po ścianach musiały pochodzić z wcześniejszych mgieł, od lat przenikających cierpliwie przez grube mury, zmieszanych ze łzami rozpaczliwych więźniów, z wściekłości drapiących omszałe ściany. W kącie lochu, w miejscu, do którego schodziło się po kolejnych dwunastu schodkach, znajdowała się cela Andreu, niepokojąco oddalona od wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z życiem. Andreu nie był tego świadomy, ale już od dwóch dni czuwał, siedząc nieruchomo w jednej pozycji. Bez snu, w rozpaczliwej. Nie dlatego, że postanowił nie zasypiać, ale wyobrażał sobie, że jeżeli zamknie oczy, będzie tak, jakby się poddał, i wtedy oni skorzystają z okazji, żeby dorzucić kolejne oskarżenia albo przenieść go do jeszcze bardziej odosobnionego miejsca, albo zostawią go na zawsze pogrzebanego za życia w tych czterech ścianach z niskim sufitem, gdzie nie było czym oddychać. Bo Andreu już myślał o nich: oni, niebezpieczny, bezkształtny twór, ludzie, którzy mieli wystarczającą władzę, by decydować, kto ma umrzeć, a kto może jeszcze żyć; kogo należy odseparować od reszty, komu dać prawo do wolności... Wolność... To słowo budziło emocje. W imię wolności on i jego przyjaciele zaczęli rozprawiać o wierszach, o poezji, o rytmie, o pięknie, o powabnych liczkach i o sztuce, nasłuchując nowinek ze świata. To, co najlepiej zorientowani opowiadali o poetach niemieckich i angielskich, rozpalało w nich krew. Byli i tacy, którzy cytowali Goethego, choć go nigdy nie czytali. Wszystko to, w połączeniu z konspiracyjnym entuzjazmem, wywoływanym wśród bystrej młodzieży mieszczańskiej i plebejskiej skandalicznymi ideami rewolucjonistów francuskich – wolność, równość, braterstwo – sprawiało, że czuli przemożną potrzebę wyrażania się przez sztukę, żeby wszystkie te idee i konspiracyjny entuzjazm nie rozsądziły im serc. W przypadku Andreu i wielu innych młodych artystów szło to w parze z opozycją wobec skostniałych akademików. Andreu napisał już ze trzydzieści płomiennych wierszy, a niektóre z nich doskonale nadawałyby się na słowa patriotycznych hymnów na cześć wolności. Również pisał, bo jedno nie wyklucza drugiego, słodkie madrygały i krótkie poematy miłosne, żeby ulżyć sercu zatraconemu w miłości. Och, jakże piękne było życie, kiedy czuł, że ma je przed sobą! O, wolności!... Andreu, który nauczył się wyrażać swój entuzjazm w sekstynach, teraz przełykał ślinę, siedząc nieruchomo w celi przypominającej trumnę. Czuł się znużony. Wołał, płakał i błagał, a to dopiero drugi dzień w izolatce. Czy coś koło tego. Żaden z płomiennych hymnów na cześć wolności nie mógł mu teraz pomóc. Żaden subtelny miłosny poemat nie mógł go wyrwać z tej absurdalnej sytuacji, która wpychała go w nicość.

– Ej, ty. Musisz coś zjeść.

Strażnik więzienny podniósł latarnię i zaświecił prosto w otwarte oczy Andreu. Tak, w tych oczach

jeszcze było światło. Strażnik wiedział z doświadczenia, że więzień bez woli życia bardzo szybko umiera. Ale też widział, jak kurczowo trzymają się życia ludzie, którzy przez wiele lat gniją na brudnej słomie w najgorszych celach, a jednak żyją.

– Ej, mistrzu! Co z tobą?

Andreu zobaczył przed sobą coś jasnego i ruchomego. I długą siwą brodę. I bezzębne usta, które otwierały się i zamykały, powtarzając, ej, mistrzu, chrapliwym, zwilgotniałym od przebywania w więzieniu głosem. Usłyszał to wszystko, zanim do niego dotarło, że to o nim mowa.

– Ja jej nie zabiłem.

– Słyszałem to już parę razy. Kogo nie zabiłeś?

Andreu wyjaśnił mu powoli, jakby wspomnianie było wielkim wysiłkiem, że on nie zabił francuskiej śpiewaczki, że owszem, spędził z nią część nocy, ale później wyszedł i na tym koniec; że następnego dnia przyszedli do domu i zapytali, czy on to Andreu Perramon, odpowiedział, że tak, i wtedy go zabrali, nie mówiąc, o co chodzi. A potem formalnie go oskarżyli, przesłuchali, przetrzepali jak materac, no i teraz siedzi w celi sam, chyba ze sto lat. Ej, a gdzie się podzieli inni?

– Jacy inni?

– Taki Holender i jeszcze jeden, z Barcelonety, bardzo gadatliwy...

– Zostałeś odizolowany prewencyjnie.

– Co takiego?

– Słuchaj, nie masz nikogo?

– Co?... – Andreu przez chwilę się zastanawiał, zanim dotarł do niego sens słów starego.

– No, rodziny. Rodziców, braci...

– Mam ojca... Ale on jest bardzo stary, ten mój ojciec... Prawie nie wychodzi z domu. I przyjaciół.

Prawda, że przysługuje mi obrona?

Strażnik zamilkł. Co miał powiedzieć. Popatrzył na chłopca z ciekawością i współczuciem, sam zaskoczony, że ma uczucia, które powinny były już dawno wyschnąć na pieprz.

– No, zjedz coś.

– Może ty byś mi pomógł? Jestem niewinny.

Stał wyprostowany jak struna w gabinecie na pierwszym piętrze w dawnym pałacu Generalitat. Lubił w wolnej chwili wyglądać przez balkon, tak jak teraz. Kiedy usłyszał, że lokaj otwiera drzwi, a przed progiem zatrzymują się czyjeś kroki, don Rafel delikatnie odsunął zasłonę, udając, że bardzo go zainteresował wóz przy kościele Sant Jaume, z którego wyładowywano właśnie beczki wina. Don Rafel postanowił stać tam, dopóki prokurator nie chrząknie. Wtedy odwróci się powoli i powie, och, drogi don Manuelu, nie słyszałem... ale proszę, proszę wejść, niech pan nie stoi w progu. Ale ten bałwan don Manuel, że też ziemia nosi takich idiotów, nie chrząknął. Pewnie stał tam na środku pokoju, drapiąc się wiadomo po czym. W końcu don Rafel musiał się odwrócić, czerwony ze złości, ale z mocnym postanowieniem okazania cierpliwości temu podwładnemu, który w innych czasach miał czelność myśleć... naprawdę, myślał, że to on bardziej się nadaje na stanowisko prezesa niż don Rafel... Ale cóż, było, minęło. Chrześcijańskie miłosierdzie nakazuje zapomnieć.

– Och, nie usłyszałem, kiedy pan wszedł, don Manuelu! – Gestem wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka. – Ależ proszę, proszę dalej, niech pan nie stoi w drzwiach!

– Jak pan sobie życzy, jaśnie panie. – Za każdym razem, kiedy don Manuel d'Alòs musiał nazwać don

Rafela jaśnie panem, przewracał mu się żołądek. A don Rafel o tym wiedział. I czuł satysfakcję.

– Pewnie pana zdziwił ten pośpiech, drogi don Manuelu – uśmiechnął się jaśnie pan – ale sprawa jest poważna. – Don Rafel podszedł do biurka, usiadł i uroczystym gestem położył dłonie na blacie, imitując w sposób doskonały, precyzyjny i wierny ulubiony gest Jego Ekscelencji Kapitana Generalnego.

– W moim zawodzie, jaśnie panie, człowiek jest przygotowany na niespodzianki. O co chodzi?

– Marie de l’Aube Desflors.

– Ach! Właśnie nad tym pracujemy. Można powiedzieć, że nie zajmujemy się niczym innym.

Don Manuel d’Alòs pomyślał, że źle to wróży, bo on już zrobił swoje i prezes nie powinien się wtrącać, dopóki Trzeci Departament nie przedstawi wniosków. Przekraczał właśnie swoje kompetencje.

– Doskonale, doskonale. – Don Rafel chciał zrobić wrażenie wspaniałomyślnego. Zaczął mu wyjaśniać jak dziecku: – Co my tu mamy: zamordowana kobieta, prawda?

– Tak, jaśnie panie.

– Dwa tygodnie temu.

– Tak, jaśnie panie.

– Doskonale, doskonale. A ta kobieta to skowronek z Narbony, prawda?

– Nie, jaśnie panie. Słowik z Orleanu.

Don Rafel rzucił okiem na leżący na biurku raport i uśmiechnął się do prokuratora.

– No właśnie. A wie pan, gdzie miała śpiewać później?

– Tak, jaśnie panie.

– Ach, tak? – Don Rafel poczuł się zbity z tropu.

– Tak, jaśnie panie. Sam mi to pan powiedział. Miała śpiewać przed królem i królową.

– Doskonale, doskonale. I mamy podejrzanego.

– Tak, jaśnie panie.

– Podejrzanego, który jest winny.

– Jeszcze się nie przyznał.

– Wiem. Kiedy policja zamierza go ponownie przesłuchać?

– Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu. Rozprawa i tak nie odbędzie się przed końcem roku...

– Nie, don Manuelu. Nie ma mowy. Niech go przesłuchają jeszcze dzisiaj, niech jeszcze dziś wyciągną z niego przyznanie się do winy i niech sąd się rozpocznie jutro, najwyżej pojutrze.

– To niemożliwe. Procedura...

– Nie przyjmuję tego do wiadomości. Jest duże zainteresowanie – pokazał palcem sufit, nie mając na myśli pałacowego strychu, tylko wyższe instancje – by rozwiązać tę sprawę w sposób szybki i zdecydowany. Z dworem nie ma żartów, drogi don Manuelu, i my wszyscy, pan... ja, audytorzy Trzeciego Departamentu, cały Trybunał Królewski musimy udowodnić, że jesteśmy wiernymi sługami Jego Wysokości...

– Nie sądzę, by Jego Wysokość miał powody, by wątpić w naszą wierność, jaśnie panie.

– Nie chodzi o to, don Manuelu – użył poufatego, perswazyjnego tonu – czy jesteśmy wierni, tylko o dobitne zademonstrowanie tego przed Jego Wysokością. No i właśnie nadarza się znakomita okazja, by to udowodnić. Teraz pan rozumie?

– Zatem dedukuję, że nie będzie prośby o ułaskawienie? – Prokurator się ożywił, bo z profesjonalnego punktu widzenia procedura ułaskawienia zawsze wydawała mu się mętna.

– To nie nasza sprawa.

– W porządku, jaśnie panie.

– Doskonale, doskonale. I przypominam panu, don Manuelu, że dopóki ja będę cywilnym prezesem Trybunału, drugim filarem Królewskiej Umowy – teraz wznosił palec teatralnym gestem, identyfikując się w pełni z własnym przemówieniem – nie chcę żadnych zamieszek w Barcelonie. Tacy ludzie jak ten Perramon muszą zostać usunięci z naszego społeczeństwa. – Tu spojrział kątem oka, żeby sprawdzić, jaki wywarł efekt na podwładnym, bo jak szeptano na sądowych korytarzach, podwładny to wróg, tylko prowizorycznie zneutralizowany.

– Doskonale, doskonale, jaśnie panie.

Od tego momentu don Manuel d'Alòs, prokurator Departamentu Kryminalnego Trybunału w Barcelonie, niewykluczone, że przyszły cywilny prezes, znenawidził tamtego chłopca, zabójcę słowików, który przysporzył mu tylu kłopotów.

Tym razem chodziło już o przesłuchanie oficjalne, przyspieszone o pięć dni z powodu odgórnego polecenia. A to znaczyło, że morderstwo Francuzki wejdzie na wokandę przed sprawą spornych gruntów za murami, sprawą zaważenia się domu przy ulicy Perot lo Lladre, sprawą holenderskiego marynarza i sprawą kobiety, która zdemoralizowała trzy niewinne dziewczęta, przed wszystkimi pilnymi sprawami oczekującymi w Trzecim Departamencie na rozpatrzenie. Dlatego naczelny komisarz don Jerónimo Manuel Cascas de los Rosales y Cortés de Setúbal, przez wszystkich podwładnych, w Valladolid, Simancas, Méridzie i Ocañi niezmiennie nazywany Leches, czyli Chuj, zapewne dlatego, że przezwisko było krótsze niż Jerónimo Manuel Cascas de los Rosales y Cortés de Setúbal, zdecydował się na budynek więzienny bardziej dyskretny niż gmach sądu. Naczelnik więzienia Barcelony, Aragończyk z Egei, który przed objęciem obecnego stanowiska z powodzeniem zarządzał dwoma burdelami, wyznaczył pomieszczenie nazywane nie całkiem eufemistycznie salą tortur, bo w celi oskarżonego nie zmieściłyby się więcej niż dwie osoby, i to jeszcze zgarbione. Owe pomieszczenie było całą nieco większą niż pozostałe, ale podobnie jak one ciemną, wilgotną i cuchnącą. Ponieważ przesłuchanie miało oficjalny charakter, don Jerónimo Manuel Cascas et cetera, et cetera, i das Leites, alias Chuj, zadysponował, że ma w nim obowiązkowo uczestniczyć urzędnik, który będzie później zeznawał przed sądem. To była nowość, ale najwyraźniej otrzymał ściśle instrukcje i naczelnikowi pozostawało tylko wrzucić ramionami, w końcu to nie jego problem. Poprzestał na ustawieniu czterech krzeseł w celi, po czym zamknął się w swoim gabinecie pod pretekstem nawału pracy. Sekretarz notariusza zażądał czterech świec, bo w środku, jak twierdził, było ciemno, choć oko wykol. Do protokołowania zamiast biurka dostał deskę. Z grymasem niesmaku sekretarz, notariusz, prokurator i audytor przystąpili do obserwowania z bliska pracy naczelnego komisarza, a ten, wspomagany przez dwie przedludzkie kreatury, protoludzi z twarzą goryla, rozpoczął przesłuchanie od bicia na oślep. Przy pomocy tych dwóch milczących asystentów spod ciemnej gwiazdy don Jerónimo zaczął bić systematycznie. Najpierw pięścią w uszy, co powoduje natychmiastową utratę słuchu. Andreu usłyszał jak przez mgłę, że ktoś mówi otworzyłeś drzwi pokoju diwy, ty chuju! i odpowiedział nie, to nie ja, na co tamten não me lixes, nie wkurzaj mnie, jak nie ty, to kto? Naczelnik komisarz z obrzydzeniem marszczył czoło, stosując po kolei ciągnięcie za włosy, kopniaki w nerki, uderzenie w wątrobę i przypalanie świecą – przeciw czemu nieśmiało zaproponował sekretarz, ponieważ brak świecy uniemożliwiał mu pracę – wewnętrznej strony stóp i dłoni, i upokarzające chwyty wargi w dwa palce i wykręcanie do góry, aż wył z bólu i próbował się podnieść, na co jedna

przedludzka kreatura pięścią wbiła go w krzesło, a ten drugi splunął w dłonie, zacierając je przed wymierzeniem ciosu, którym złamał podejrzanemu nos. A komisarz szybciej, má foda, kurwa, spieszy mi się, kolanem w dół brzucha i od tej chwili Andreu, ze zmasakrowaną twarzą, gotów był wziąć na siebie wszystkie Zbrodnie Ludzkości, przeszłe i przyszłe. I mówił tak, nie, nie, tak, wypluł ząb i znów odpowiedział tak na pytanie zadane mu przez drugiego audytora Departamentu Kryminalnego, don Marcel.lego Carbó, powtórzone dobitnie po hiszpańsku przez komisarza Lechesa-Chuja, jeszcze bardziej dobitnie po kolejnym uderzeniu, ty chuju, zbrodniarzu, jesteś zbrodniarzem, na co tamten odpowiedział tak, jak echo, i zamiast się zastanowić, jakie na siebie ściąga nieszczęście, w myślach skoncentrował się na pomieszczeniu. Po raz pierwszy od wielu dni widział ściany celi i uznał, że są odrażające. I tak przy nieocenionej pomocy Lechesa-Chuja i jego dwóch przedludzkich kreatur, na podstawie pytań zadawanych przez audytora, notariusz Trybunału Królewskiego sporządził w języku urzędowym, po hiszpańsku, zgodnie z odgórnym rozporządzeniem, taki mniej więcej protokół. Andreu Perramon, urodzony i zamieszkały w Barcelonie, z zawodu poeta (poeta? ja ci dam poetę, ty chuju!), bez konkretnego zajęcia, udał się do apartamentu w Hotelu Czterech Narodów, gdzie ofiara się zatrzymała, w celu kradzieży jej biżuterii. O, tutaj, Ramió (jaśnie pan cywilny prezes, z wyperfumowaną chusteczką przy nosie, czytał na głos w swoim gabinecie w Trybunale Królewskim zeznanie sporządzone dziesięć minut wcześniej na papierze przesiąkniętym krzykami i lękiem). Gdzie ofiara zatrzymała się w celu... i Ramió och, oczywiście, jaśnie panie, tu czegoś brakuje, proszę spojrzeć, już jest, brakowało przecinka. Już dobrze, proszę czytać dalej. I sekretarz uśmiechał się do don Rafela, ale sobie myślał, czego się czepia ten pieprzony jaśnie pan, i czytał dalej. Bez większych problemów dostał się do pokoju ofiary i już miał ukraść szkatułkę z biżuterią, gdy nagle ofiara zbudziła się z zasłużonego snu, w który zapadła, zmożona wysiłkiem, jakim był recital, który się odbył tamtego wieczoru w domu markiza de Dosrius, bardzo dobrze, Ramió, ładnie powiedziane, z zasłużonego snu. Sekretarz zarumienił się zdziwiony, bo don Rafel nie miał zwyczaju nikogo chwalić, i czytał dalej. Kiedy zobaczyła nieznanego, nieszczęsna Maguidelop Deflog; Ramió, to się inaczej pisze, musi pan to poprawić; tak jest, jaśnie panie. No więc nieszczęsna Maguidelop Deflog, przerażona, nie mogła wydać głosu. Jednakże oskarżony w obawie, że jego obecność zostanie ujawniona przed innymi gośćmi Hotelu Czterech Narodów, kiedy Deflog zacznie krzyczeć, a po śpiewaczce tego kalibru można się było spodziewać krzyku wyjątkowo głośnego i donośnego, próbował uciszyć ofiarę, zatykając jej usta. Wyżej wzmiankowana diwa stawiała opór temu tchórzliwemu i obrzydliwemu zamiarowi i szarpiąc się, zerwała mordercy z szyi medalion, dowód obciążający w sprawie. On, żeby uniknąć kłopotów, zatopił jej w szyi sztylet, który miał przy sobie. Ta rana wystarczyła, żeby zabić zamordowaną. Zabić zamordowaną? Chciałem powiedzieć ofiarę, jaśnie panie. Niech pan to poprawi, Ramió. Tak, jaśnie panie. Później, żeby się upewnić, że zamordowana niczego nie wyśpiewa. No nie, Ramió, nie... to trzeba zmienić, bo zamordowana nie może śpiewać, rozumie pan, w czym rzecz. Tak, jaśnie panie. No więc, żeby się upewnić et cetera, przebił jej serce i wytarł ręce w pościel na łóżku zamordowanej. Teraz dobrze, Ramió: teraz faktycznie ofiara jest zamordowana: bardzo dobrze, Ramió. Tak, jaśnie panie. No więc oskarżony nie umie powiedzieć, co zrobił z nożem. Trzeba będzie go znaleźć, pomyślał don Rafel, przerywając lekturę w miejscu oskarżony wymknął się po ciemku, korzystając ze spokoju późnej godziny, i zniknął w pustych uliczkach, uciekając przed sprawiedliwością. Po chwili ciszy don Rafel Massó, pod wrażeniem dramatycznego napięcia tej historii, zadowolony, ponieważ don Jerónimo das Leites-Chuj i Cortés de Setúbal bardzo zręcznie ominął

okoliczność odnalezienia dokumentów w domu tamtego drania, wyprostował się w fotelu, westchnął, spojrzął na sekretarza i powiedział:

– Jak to dobrze wiedzieć punkt po punkcie, jak przebiegały wydarzenia. – Sekretarz, lizus, skłonił się uniżenie i don Rafel wymierzył w niego palec. – Jak to dobrze, kiedy prawda wychodzi na światło dzienne, Ramió.

Jaśnie pan, po wygłoszeniu tej sentencji, wydmuchał nos, jak ktoś, kto chce się pozbyć brudu, jaki wdychał, pochylając się nad papierem, i dał znak sekretarzowi, że może już odejść.

Mistrz Perramon nie wierzył własnym oczom. Przed sobą miał uosobienie bezużyteczności na dwóch kończynach, gnuśność z nosem i uszami, abulię ubraną w płaszcz ze śmierdzącego filcu i perukę nadgryzioną przez mole. Błyskotliwy adwokat z urzędu, którego Trybunał oddał do dyspozycji Andreu, wyjaśniał mu właśnie, że niechęć oskarżonego do współpracy tylko utrudnia rozwiązanie sprawy.

– Moim zdaniem on już jest stracony – podsumował. – Poza tym nikt nie ręczy za mojego klienta. Szkoda czasu i energii.

– Ręczy za niego don Ferran Sorts – zaimprovizował.

– Nie znam.

– To sławny muzyk.

– Muzyk!... – Adwokat pogradliwym wzdęciem warg wyraził swój stosunek do muzyków. – Mój panie, kiedy mówię o poręczeniu, mam na myśli kogoś poważnego. Proszę mi tu nie zawracać głowy, jestem bardzo zajęty.

– Ale... biedny chłopiec... jest bezbronny. Pan nic nie chce dla niego zrobić!... To mój syn!

Wtedy adwokat z urzędu otrząsnął się z lenistwa i wstał gotów do retorycznych popisów. Wytknął przestraszonemu mistrzowi Perramonowi, że co mi tu pan imputuje; przecież on jest od tego, żeby bronić interesów klienta; przecież jest fachowcem w każdym calu i mimo fatalnego położenia oskarżonego zrobi wszystko, co możliwe i niemożliwe, żeby uniknął stryczka. Co pan sobie wyobraża, człowieku! I już nieco spokojniej, zmieniając ton, jak dawniej, kiedy w młodości pracował w Trybunale i miał jakieś ambicje, postąpił dwa kroki w stronę mistrza Perramona i zatrzymał się najbliżej, jak się dało. Niemal szeptem, nachylony nad starcem, pluł mu do ucha słowa:

– Pański syn jest w najlepszych rękach, proszę pana. Jeżeli byśmy jednak przegrali, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że to z mojej winy. Nikt! – I nie zmieniając tonu ani postawy: – Żegnam, szanowny panie.

– Masz, sam przytrzymaj.

Andreu wziął mokrą szmatę podsunętą przez strażnika i przyłożył do oka. Tymczasem mężczyzna oglądał ślady poparzenia na drugiej ręce w świetle świecznika.

– Co za dranie – wyszeptał. – Musi cię bardzo boleć.

– Tak... Ale ja jej nie zabiłem.

Mężczyzna wyszedł z celi i zostawił go w ciemności. Szczęk klucza w obu zamkach, w kracie i w drewnianych drzwiach był tak szybki, jakby klucz przekręcono bez przekonania, i Andreu, siedząc na ziemi, oparty o ścianę, pierwszy raz pomyślał poważnie o ucieczce. Ale jego samego rozśmieszył ten pomysł: przebywał w ciemności, w całkowitej ciemności, nie wiedział, w którą stronę należy się skierować, nie wiedział, ile po drodze jest drzwi i strażników, ile murów i krat musiałby sforsować...

a przede wszystkim był tak zmaltretowany, że nie miał siły się ruszyć.

– Ja jej nie zabiłem – podsumował.

Usłyszał jakiś szelest w celi. Pewnie szczur. I znów klucz w zamku. Pewnie strażnik. Naprawdę nie czuł się na siłach, by podjąć jakiegokolwiek działanie przypominające ucieczkę.

– Pokaż to ramię – powiedział mężczyzna.

– Gdzie byłeś?

– W domu. To olej na oparzenia. Będzie trochę piekło.

– Mieszkasz tu?

– Można to tak nazwać. Z żoną.

Chciał mu powiedzieć, jak bardzo mu przykro, że musi być okropnie żyć w takiej norze... ale oszołomił go piekący ból wywołany przez olej.

– Mówiłem, że będzie bolało. Dodałem pieprzu. Trzeba działać, żeby rana się nie paskudziła.

– Co za różnica, skoro i tak w końcu mnie zabiją.

– Nigdy nie wiadomo.

– Dlaczego to robisz? – Próbował usiąść, żeby spojrzeć strażnikowi w oczy.

– Zostaw szmatę na ranie.

W innych okolicznościach można by się pośmiać: jedna szmata na oku, druga na ramieniu, wyglądał jak Łazarz... ale sprawy zaszły tak daleko, że nie było mu wesoło.

– Dlaczego to robisz? – zapytał ponownie.

– Idę już. Lepiej, żeby mnie tu nie przyłapali żołnierze.

Znów został sam na sam z ciemnością. Nie minęła godzina, kiedy ból żeber stał się nie do zniesienia, a w drzwiach celi pojawiło się dwóch mężczyzn. Jeden z nich, w migotliwym świetle świecznika, który trzymał strażnik, oświadczył, że następnego dnia odbędzie się rozprawa. Drugi, chyba jego obrońca z urzędu, wymamrotał niewyraźnie, żeby się nie martwił, i że jutro się spotkają. Andreu milczał, bo w tym momencie zebrało mu się na wymioty, bolało go całe ciało i od najmniejszego choćby hałasu pękała głowa.

– Ten człowiek jest chory – wtrącił się strażnik.

– Już przekazałem wiadomość więźniowi – odparł pierwszy osobnik. – Nie mamy tu nic więcej do roboty. – I zanim Andreu zdążył się obejrzeć, wszyscy trzej znikli. Dopiero wtedy zwymiotował wszystko, aż do ostatniego słowa, i strażnik zdecydował, że sam się nim zaopiekuje, biedny chłopiec, coraz bliżej szubienicy, a taki młody, co za podły świat.

Andreu Perramon, więzień królewski, lojalny poddany Korony, rozpoczynał szesnastą noc w niewoli, z otwartymi oczami, bez szans na sen, nieco zamroczony argumentami, jakimi go zarzucili oprawcy, podwładni komisarza Setúbala.

26 listopada 1799

Och, ukochany przyjacielu! Znów jesteśmy w drodze do Saragossy. O rozbójnikach nikt już nie pamięta, teraz wydaje się, że priorytetem jest szybkie dotarcie do celu. Rozbiliśmy obóz w pobliżu Lleidy. Marzył mi się postój w Cerverze, ale pułkownik na samą myśl o książkach dostaje wysypki, więc tylko przejechaliśmy przez miasto, aleśmy się w nim nie zatrzymali. Musiał mi wystarczyć sam widok budynku uniwersytetu, dzieło Francesca Montaguta. Byłem pod wrażeniem tego pałacu, oszczędnego w środkach i imponującego wielkością. W każdym razie w Cerverze udałem, że się zgubiłem i zdezerterowałem na parę minut ze służby wojskowej. A wszystko z powodu pewnej violi.

Mój mistrz z Montserratu, brat Narcís Casanoves (a właśnie, zmarł tego lata), zawsze nam powtarzał, byśmy nie ufali przyjemnościom płynącym z artystycznej estetyki. (Wiesz, jacy oni są.) Ale ten poszedł jeszcze dalej: udawał, że nie ma sztuki subtelniejszej niż muzyka, bo jest eteryczna i efemeryczna, podobnie jak poezja. Ale jeśli jej nie towarzyszy spokój duszy... sztuka traci swą moc. Nie zgadzam się z mistrzem Casanovesem: sztuka rodzi się również z bólu i cierpienia... Na przykład z mego serca udręczonego brakiem miłości... powstała pawana dla ślicznotki, pieśń w tonacji f-moll. Dosłownie przed chwilą skończyłem ją komponować, zanim zabrałem się do pisania listu. Och, Andreu! Jaki jestem szczęśliwy z tym moim nieszczęściem! Przez dwa dni żyłem w ramionach dziewczyny, której imię już prawie zapominałem (to znaczy, pamiętam, to tylko taka figura retoryczna), i która nie chciała nic w zamian, oprócz pocałunków. Wyobrażasz to sobie? Czasem myślę, że pewne osoby mają nieograniczoną skłonność do uczuć i może nadejść moment, gdy tęsknoty miłosne przepełnią serce i rozsądzą je od środka. A dziewczyna z Calafu tak właśnie kochała. I nigdy więcej jej nie zobaczę! Jednak będzie żyła w pamięci i w mojej muzyce: na tym polega przewaga sztuki... Na tym polega jej moc, niezależna od panującej mody. Andreu, zwierzę Ci się z czegoś, o czym dotąd nikomu nie mówiłem: wiesz, jak bardzo kocham moją gitarę, prawda? Dźwięk tego instrumentu porusza moje serce i daje tyle możliwości ekspresji... Myślę nadal poświęcać jej całą swoją energię. Poza tym, o ile wiem, gitara staje się modna w całej Europie. No dobrze, wiem, że gitara nie wprowadzi mnie w tajniki życia tak jak fortepian. Ten instrument ma wiele ograniczeń. Mówię to, bo dziś w Cerverze, i to właśnie próbuję Ci opowiedzieć od samego początku, ukrywając się przed pułkownikiem, siedziałem na koniu i słuchałem zaimprovizowanego koncertu na violę w wykonaniu jakiegoś studenta na skrzyżowaniu pustych ulic. Jakie możliwości pełnej żalu skargi ukrywają w swoim pudle rezonansowym instrumenty strunowe! Rzuciłem mu monetę, przesłałem całusa i zawróciłem konia, bo nie chciałem, by ktoś zobaczył, że płaczę z powodu zwykłej melodii.

Ale czym tak naprawdę jest muzyka? Nie wiem, może to umiejętność wywoływania wzruszenia za pomocą dźwięków i tonacji. Jak Ci się podoba ta definicja? Co Cię mogą obchodzić definicje! Ciebie, który w tej chwili na pewno układasz nowy wiersz!

Dziś, mimo chrapania Casaresa, połknąłbym cały świat. Jest już bardzo późno. Jutro, korzystając z tego, że będziemy przejeżdżać przez Lleidę, zostawię wszystkie adresowane do Ciebie listy na

poczcie.

Twój przyjaciel Nando

W Trybunale Królewskim zarówno pierwszy audytor z Departamentu Kryminalnego, pan Prudencio Zapata, jak i prokurator d'Alòs dali z siebie wszystko podczas przesłuchania świadków powołanych w sprawie bestialskiego czynu niejakiego Perramona, tu obecnego. Ze względów praktycznych ograniczono liczbę zeznających do pięciorga osobników i osobniczek. Primo, nocny stróż z Hotelu Czterech Narodów, według teorii prokuratora kluczowy element układanki, koniecznej do wyjaśnienia przebiegu wydarzeń. Secundo, osobista pokojówka ofiary. Tertio, nocny kelner, który kończy zmianę o jedenastej. Quarto, monsieur Vidal, zawodowy akompaniator quòndam Maguidelop Deflog, i quinto, pokojówka z pierwszego piętra hotelu, która słyszała krzyki osobistej pokojówki ofiary. Z powodu pośpiechu, jaki cywilny prezes narzucił procesowi, uznano, że nie warto wysłać posłańca w ślad za regimentem, zagubionym gdzieś między Saragossą a Malagą. Zresztą młodego Sortsa, porucznika armii Jego Wysokości, nikt o nic nie śmiałby podejrzewać. O panu Arcsie, pomocniku impresaria teatralnego, po prostu zapomniano. Do niczego nie był potrzebny, skoro już złapali mordercę. W przesłuchaniu prowadzonym przez audytora i prokuratora uzyskano następujące informacje. Pierwszy świadek nie wiedział nic. Miał zwyczaj ucinąć sobie drzemkę przez całą noc, a skoro spał, to skąd ma wiedzieć, kto tam wchodzi i wychodzi z hotelu, zwłaszcza jeśli nie budzą mnie dzwonkiem. Zeznanie drugiego świadka, pokojówki, to było prawdziwe cacuszko, bo rzeczona ani nie mówiła, ani nie rozumiała po hiszpańsku i katalońsku. Ponieważ na sali rozpraw żaden woźny ani lokaj nie znał języka żabojadów, złożyła stosowne zeznanie, wymachując rękami. Dało się z niego wydedukować, że widziała tego garçon (pokazała go palcem), jak wchodził do pokoju madame o dziesiątej w nocy. Najciekawsza była ta część jej świadectwa, kiedy ocierając nieistniejącą łzę i żywo gestykulując, odegrała scenę swojej reakcji na widok jatki w pokoju, odtwarzając dokładnie krzyki, jakie wtedy wydała. Świetny spektakl. Była bardzo zadowolona, że uwolniła się od tej wędrownej pożeraczki mężczyzn, swojej chleבודawczyni. Już się dogadała z monsieur Vidalem i na pewno spróbują założyć kawiarnię w jakimś dyskretnym miejscu koło Barcelony, gdzie oni, ludzie cywilizowani, będą czekać na możliwość powrotu do Francji. Trzeci, młodzieniec z ulicy Bòria, który bardzo chciał pomóc, nie wniósł nic nowego. Kończę zmianę o jedenastej, wysoki sędzie, natychmiast wróciłem do domu, żadnych hałasów, niczego dziwnego nie widziałem i nie słyszałem. Na sali został tylko pianista, jakiś młody człowiek i chyba nikt więcej, wysoki sędzie. Przy czwartym mieliby większe pole do popisu, niestety monsieur Vidal również nie znał hiszpańskiego. Mógł natomiast złożyć zeznanie po katalońsku, bo pochodził z Sallagosa, i cały Trzeci Departament w komplecie, poza obrażonym i zde gustowanym audytorem Zapatą, popełnił nadużycie, jako że wszystkie rozprawy powinny się odbywać w języku hiszpańskim. Monsieur Vidal bardzo się cieszył, bo dla niego sens tej farsy polegał na tym, że wreszcie uwolnił się od żarłocznej waginy ze strunami głosowymi, która nigdy, ale to nigdy nie zwróciła na niego uwagi, jakby on nie miał porządnej pyty między nogami. Już nie żyła, i dobrze jej tak. Tylko że on wolałby otworzyć kawiarnię w innym miejscu, nie w pobliżu Barcelony, bo jego zdaniem im dalej od sądu, tym lepiej. Może w Lombardii. Kto wie, może w przyszłości zrobią w kawiarni teatrzyk w wiedeńskim stylu; och, pomysłów mu nie brakowało, teraz, kiedy już nie musiał akompaniować tej najbardziej kurewskiej piosence, je parlerai d'amour, od której wiedły mu uszy i flaki mu się przewracały. Kiedy odważył się spojrzeć na więźnia mordercę i rzucił obelgę, że jest krwiożercą, że do czego to podobne, żeby dzisiejsza młodzież mogła się czegoś takiego dopuścić, w tym momencie, i tylko wtedy, obrońca, mężczyzna w śmierzącym płaszczu, poklepał

profesjonalnie ramię Andreu uspokajającym gestem i powiedział ani młodzieź, ani nikt, świadek ma tylko zeznawać, a nie wyrażać swoją opinię. Wszyscy przyznali mu rację. Monsieur Vidal wzruszył ramionami. Jego oszczędności plus oszczędności pokojówki wystarczą im na otwarcie kawiarni. Z numerem piątym też się nie udało przejść na hiszpański, bo pokojówka nie pojmowała, co się do niej mówi, i don Prudencio naprawdę się zdenerwował (Co to ma znaczyć, do cholery), ale nie było rady: świadek tonęła we łzach na sam widok wysokiego sądu, jakby to ją oskarżano. Współczuła młodzieńcowi, biedny chłopiec, ale powiedzieli, że to morderca. Znów się rozpląkała i wydusiła z siebie parę niezrozumiałych słów po hiszpańsku, więc w końcu pozwolili jej powtórzyć to samo po katalońsku. Udało się z niej wyciągnąć, że owszem, usłyszała krzyk francuskiej pokojówki i kątem oka widziała zakrwawione zwłoki. I że nadal śni się jej to po nocach. I że żadna ludzka siła nie zmusi jej, by weszła do tego pokoju. Audytor Trzeciego Departamentu wyciągnął z kieszeni zegarek i stwierdził, że już późno, uderzył młotkiem w stół, odroczył posiedzenie i szybko wstał, za aprobatą milczącego cywilnego prezesa, który wyjątkowo uczestniczył w rozprawie.

W tym samym czasie, gdy numer trzeci tłumaczył się przed sądem, przed fasadą pałacu markiza de Dosrius, przy ulicy Ample, mistrz Perramon cierpiał prawdziwe męki. Założył ubranie, które sobie sprawił na Wielkanoc dziesięć lat temu: cienką koszulę, już bardzo znoszoną, culloty i frak w ciemnym nieokreślonym kolorze oraz jasną kamizelkę. Do tego perukę wkładaną od wielkiego dzwonu, w całkiem jeszcze dobrym stanie. Żeby zrobić wrażenie na markizie przywiązał do dziurki od guzika we fraku łańcuszek od zegarka. Z daleka mógł wyglądać na złoty. Łańcuszek zniknął w kieszonce kamizelki, gdzie nie było żadnego zegarka. Po co mu zegarek, wystarczyło uważnie wsłuchiwać się w dźwięk któregoś z dwustu czterdziestu trzech dzwonów Barcelony przypominających kwadrans po kwadransie poddanym Jego Wysokości Don Carlosa IV, że tempus fugit nieodrącalnie. Chcąc zrobić dobre wrażenie, przypudrował sobie nieco policzki, co mu pozwoliło ukryć warstwy łez wylanych ostatniej nocy. Mina, jaką zrobił na jego widok lokaj, kiedy usłyszał, że chce rozmawiać z markizem, ostatecznie pozbawiła go złudzeń.

– Mam tu list polecający – powiedział, wręczając kopertę ze skreśloną w czterech liniach rekomendacją od kanonika Pujalsa, któremu znów zawracał głowę, odciągając go od wojen prowadzonych ze zgromadzeniami zakonnymi Barcelony w związku z Wielkim Te Deum. – Chodzi o ważną sprawę...

– Kogo mam anonsować? – Podniósł lewą brew, żeby spojrzeć z góry na tego nieszczęśnika wystrojonego jak stróż w Boże Ciało.

– Mistrza Perramona... Proszę powiedzieć, że byłem pomocnikiem kapelmistrza katedry. I w Parafii Matki Bożej Sosnowej... – Kiedy tak się tłumaczył, przyszło mu do głowy, że lepiej być psem w bogatym domu niż dziedzicem w ubogim. Lokaj, który też tak uważał, zostawił go samego w obszernym, jasnym holu z dużymi oknami wychodzącymi na ulicę Ample. Oczy nie nadążały za nadmiarem krzesel, konsoli, aplik, lamp, bibelotów, figurek, zegarów, kotar, pawich piór, stojaków na parasole, dzbanów z porcelany z Manises, ze szkła z Murano, kobierców, obrazków w ramach szerszych niż sam obraz, firanek, stopni, szerokich barierok z białego marmuru, ze złożonymi kolumnienkami, popiersi rzymskich cesarzy, Don Carlosa III, poprzednika obecnego Don Carlosa, samego markiza, kiedy jeszcze był młody, dziarski, sprytny, sympatyczny i nie tak bogaty jak teraz, fotelików z uroczą, delikatną tapicerką w paski, płytek ceramicznych ze skomplikowanymi arabeskami, nieużywanych sekretarzyków z zamkniętymi szufladkami,

jednej tajemniczej zbroi, zegarów ściennych, zegarów stołowych, zegarków kieszonkowych... Nigdy nie widział tylu rzeczy naraz zgromadzonych w jednym pokoju. Aż mu się w głowie zakręciło, kiedy sobie uświadomił, że to dopiero hol. Wtedy pomyślał, że kto wie, może byłoby lepiej zapukać do drzwi dla służby. Ale już było za późno. W rękach nerwowo ugniatał swój trójgraniasty kapelusz. Dlaczego musi tak długo czekać?

– Pan będzie łaskaw pójść za mną.

Nie zauważył, że stanął przed nim ten lokaj, który przedtem na jego widok uniósł brew. Teraz grymas pogardy zastąpiła kamienna twarz bez wyrazu. A więc markiz mnie przyjmie.

Przez dwa salony, najwyraźniej pełniące rolę korytarza, lokaj wprowadził mistrza Perramona do dużego pomieszczenia, nie tak okazałego jak to, w którym odbył się ostatni na tym świecie recital Desflors, ale bardziej zagraconego. Tuż przy drzwiach, żeby nie pozostawiać wątpliwości co do zainteresowań markiza, niczym w muzeum wyeksponowano wśród kotar violę da gamba, skrzypce i jakiś instrument dęty, którego mistrz Perramon nie umiał zidentyfikować. Na kominku żwawo płonął ogień. Markiz de Dosrius, unieruchomiony w fotelu, podniósł laskę zdrową ręką i dotknął jego piersi.

– Jest pan kapelmistrzem katedry?

– Ja... jestem jego pomocnikiem... dyrygentem chóru – trochę, nie za wiele, rozminął się z prawdą – panie markizie. – Mistrz Perramon zauważył, i przerażony pomyślał, że serce mu wyskoczy przez gardło, że stojący za markizem służący był ubrany tak samo jak on.

– Proszę usiąść – rozkazał markiz. Wskazał laską w kierunku, gdzie nie stało nic do siedzenia. – Nudziłem się i chwila rozmowy dobrze mi robi.

Mistrz Perramon usiadł na ławce przysuniętej do kominka. Czuł, jak mu zaczyna się przypiekać prawy bok. Markiz stuknął laską w podłogę.

– Wyobraża pan sobie, jak to jest, kiedy człowiek jest przykuty do fotela? Wyobraża pan sobie, jak to jest, kiedy jest się zależnym od Mateu w każdej sprawie? – Wskazał do tyłu na drętwego sługę. – Kiedy chcę zmienić pozycję, Mateu. Kiedy chcę zobaczyć, co się dzieje na ulicy, Mateu. Prawda, Mateu?

– Tak, panie markizie.

Markiz de Dosrius, złoty wdowiec, podniósł laskę i wziął głęboki oddech. Jakby chciał zabronić tą wzniesioną laską, by ktokolwiek wszedł mu w słowo podczas jego odpoczynku. Kiedy znów zaczął równomiernie oddychać, opuścił laskę i kontynuował monolog o zdrowiu i innych przyjemnościach.

– Nie ma to jak mieć dwie zdrowe nogi, może mi pan wierzyć, nie ma to jak móc iść samemu tam, gdzie człowiek chce iść sam. Oddałbym mój ma... to znaczy, oddałbym połowę majątku, żeby znów móc chodzić. Ale lekarze mówią, że to beznadziejna sprawa, prawda, Mateu?

– Tak, panie markizie.

– Ani doktor Virgili, ani doktor Malla, ani doktor Schaffer, ani doktor nie pamiętam jaki, co? nie robią żadnej nadziei dla tych martwych nóg, prawda, Mateu?

– Tak, panie markizie.

Korzystając z przerwy, mistrz Perramon, z policzkami czewonymi od ognia i już dobrze podpieczony do połowy, niczym święty Wawrzyniec, wtrącił przyszedłem, panie markizie, ale w tym momencie laska wymierzona w jego piersi, niczym touchée w szermierce, nie pozwoliła mu posunąć się dalej.

– A wie pan, co jest najgorsze? – Markiz cofnął swój floret. – Być najbogatszym człowiekiem w Barcelonie i nie móc samemu pójść do ubikacji. Prawda, Mateu?

– Tak, panie markizie.

– Chciałbym usłyszeć, jak pan gra na fortepianie. – Gość o mało nie zemdleł, przerażony, czy on sobie wyobraża, że ja... – Później przejdziemy do salonu muzycznego i zaprezentuje mi pan swój repertuar, zobaczymy, może dzięki temu dzień trochę się skróci, bo ku memu utrapieniu godziny mijają zbyt wolno. – Markizowi unieruchomionemu w fotelu inwalidzkim powiedzenie tempus fugit wydawało się głupim żartem. – Rozumie mnie pan, mistrzu?

– Tak, panie markizie.

Dokładnie tak samo jak Mateu.

– To proszę, niech mi pan teraz powie, co tak ważnego, według kanonika Pujalsa, ma mi pan do zakomunikowania.

Stuknął laską w podłogę. To był prawdziwy teatr, ale cóż, każdy sobie radzi jak może i markiz poprawiał sobie humor, wygłaszając przemówienia przed nieostrożnymi słuchaczami, którzy znaleźli się w jego zasięgu, chyba że były to osoby z dobrego towarzystwa. Te markiz traktował z ironicznym dystansem, bo czułby się bardzo upokorzony, gdyby baron de Xerta, hrabina de l'Asalto, hrabia de Perelada czy którykolwiek z tych plotkarzy dowiedział się, jak bardzo on, uchodzący za najważniejszą osobistość wśród całej szlachty barcelońskiej za czasów jego wysokości Don Carlosa III, teraz cierpi. Dlatego markiz desperacko starał się zrekompensować sobie cierpienie muzyką – wszystko jedno jaką, a wbrew złośliwym opiniom, wcale mu słoń na ucho nie nadepnał – albo przygodami, którym, dzięki pomocy Mateu, oddawał się w alkowie za dużym salonem z dwiema młodzietkami profesjonalistkami sprowadzanymi przez służącego. Rozbierał je, obmacywał zdrowszą ręką i kiedy już były nagie, kazał im się pieścić nawzajem, tylko pamiętajcie, dziewczęta, macie robić wrażenie, że świetnie się bawicie, a tymczasem pan markiz, napawając tym widokiem oczy, próbował zdrowszą ręką ożywić niemrawy członek. Czasem dziewczęta z dobrego serca trochę mu w tym pomagały i kiedyś, o nieba, wspólnymi siłami udało się osiągnąć coś jakby tak, teraz tak, o tak, bardzo dobrze, dziewczęta, prawdziwe z was królowe. Później dziewczęta się ubierały i markiz odprawiał je gestem zdrowszej ręki idźcie, idźcie już sobie. A kiedy wychodziły z alkowy, Mateu zatykał im usta monetami. I sam się nimi zajmował. Zdrowszą ręką.

– Przyszedłem w bardzo poważnej sprawie, panie markizie.

– Tak? – Nie stuknął laską w podłogę, bo gość go zaintrygował.

– Chodzi o mego syna... Zabiją go, jeśli nic nie zrobię...

– Co takiego?...

Opowiedział mu o dramatycznej sytuacji Andreu. Markiz, gdy tylko się zorientował, że chodzi o sprawę Desflors, nadstawił uszu, i zanim jeszcze poznał szczegóły, uznał, że morderca musi mieć czarne serce, żeby zrobić coś takiego kobiecie, która śpiewała jak anioł, bo na pewno słyszał pan, jak śpiewa, prawda?

– Mój syn tego nie zrobił, panie markizie. To niemożliwe.

Z takimi argumentami nie mógł zajść daleko. A pan markiz, kiedy tylko się dowiedział, że już schwytano mordercę, wyrobił sobie zdanie na temat całej sytuacji. Ale było mu niezręcznie wypowiadać je w obecności bezsilnego ojca tego nieszczęśnika, jeszcze mi się tu zaraz rozpłaczę. Co za tupet, kanonik Pujals powinien był w dupę sobie wkręcić ten list polecający. Po kilku głębokich westchnieniach mistrz Perramon wstał, lecz nie w ferworze konwersacji, tylko dlatego, że nie wytrzymałby ani sekundy dłużej

blisko ognia. Podejmując jedną z życiowych decyzji, odsunął ławeczkę z pół metra od piekła i usiadł ponownie.

– Mój syn jest poetą. Opublikował to...

Podał mu tomik. Markiz otworzył go, kręcąc nosem. Przewertował z tą nieufnością, z jaką arystokracja podchodzi do książek.

– To wiersze – wygłosił wyrok i opuścił tomik na kolana.

– Tak, panie markizie.

– Pisz po katalońsku. Czy aby nie jest republikaninem?

– Ależ skąd, panie markizie! Jest wiernym poddanym Jego Wysokości.

– A niby dlaczego miałbym panu wierzyć? – odezwał się markiz po dłuższej chwili ciszy, kiedy słyhać było tylko wesołe trzaskanie polan na kominku. – Pański syn, mimo że jest pańskim synem, może być mordercą.

– Niewiele brakuje, żeby zabili niewinnego człowieka.

– Ej, niech pan się liczy ze słowami! – rozgniewał się markiz. – Proszę uważać! Sprawiedliwość jest... – z głową uniesioną do góry szukał odpowiedniego słowa w sztukaterii na suficie – jest... jest... sprawiedliwa. Czy pan sobie wyobraża, że ci, którzy mają go sądzić...

– Już go sądzą – ośmielił się wtrącić gość.

– To co pan tu robi?

– Na sali sądowej nie mógłbym mu pomóc... Natomiast... Nie sądzi pan, że sprawiedliwość może popełniać błędy, panie markizie?

– Tego tylko by brakowało! Ach, ach!... Jak pan może oczekiwać, że... Mateu!

– Tak, panie markizie.

– W dniu koncertu – mistrz Perramon walczył rozpaczliwie – mój syn był w pańskim domu.

– Tu, w pałacu?

– Przyszedł razem z panem Ferranem Sortsem. Są dobrymi przyjaciółmi.

– To dlaczego tym się nie zajmie pan Sorts?

– Wyjechał. Wysłałem za nim posłańca, ale jeszcze nie wrócił.

– Niech pan posłucha... Jeżeli sprawiedliwość zrobiła swoje... cóż ja... Więc nie, zdecydowanie odmawiam.

Mistrz Perramon wstał. Już nie czuł żaru. Był smutny i wzburzony. On tu traci czas, a mógł być przy synu, żeby Andreu go widział, czuł, że jest przy nim. Teresa uprzedzała go, że to strata czasu. Markiz, kiedy zobaczył, że gość wstaje, znów zaczął uprawiać szermierkę laską i po paru pchnięciach chybionych wymierzył ją w serce przeciwnika i rozkazał:

– Do fortepianu, szanowny panie, sam mi pan obiecał.

– Nie, panie markizie. Skoro pan odmawia mi pomocy, ja...

– Jak to!... – Oburzony markiz uniósł się świętym gniewnym i niemal dokonał cudownego skoku z fotela, by w kilku, też cudownych, krokach, dopaść go i wymierzyć mu parę policzków. Jednak ponieważ markizowi zależało na muzyce, wyrachowanie przytępiło gniew i zamiast rozkazać Mateu, wyrzucić tego błazna, czy on sobie wyobraża, że skoro nogi odmawiają mu posłuszeństwa, to może sobie na wszystko pozwalać, zdecydował inaczej.

– Zaraz, zaraz! Proszę zaczekać! Jeśli pan zagra jakiś utwór, ja ze swej strony... ja z mojej strony

pomogę... – słowa nic nie kosztują – pańskiemu synowi. Porozmawiam z prezesem Massó – improwizował.

Mistrz Perramon uchwycił się tej szansy jak tonący brzytwy, wiedząc, że żaden z niego pianista. Próbował się wykręcić formułkami panie markizie, będę dozgonnie wdzięczny, z największą przyjemnością, sługa uniżony, do stóp się kłaniam, dla pana wszystko, panie markizie. Jakże bym chciał sprawić panu przyjemność, ale już od dawna nie gram, to znaczy, gram po amatorsku, panie markizie, nie odważę się wystąpić przed panem. Markiz de Dosrius wcale nie słuchał, jak się sumituje, tylko rozkazał, by Mateu zaprowadził ich do sali muzycznej, intymnego zakątka z fortepianem, na którym grali maestro Vidal i młody Sorts. Na ścianach tego pomieszczenia wisiały kotary, trzy obrazy, stały tam dwie biblioteczki i szafa z instrumentami dętymi. Mistrz Perramon, próbując opanować drzenie rąk, zasiadł do fortepianu i gorączkowo robił remanent w mózgu, czy pamięta jakikolwiek utwór, pomyślał o Andreu, otarł z furią łzy, zakłócające mu jasność myślenia, i jakimś cudem, jakby dotknął go swoją ręką anioł stróż, przypomniał sobie krótką, prościutką kompozycję Wolfganga Mozarta z Salzburga. Interpretacja była mierna, przerywana, a kiedy skończył, wobec milczenia markiza mistrz Perramon zaproponował jeśli pan sobie życzy, sprowadzę naszego kapelmistrza, żeby panu zagrał...

– Może pan odejść.

– Za pozwoleniem, panie markizie, kiedy mogę wrócić, żeby zapytać o rezultat pańskiej interwencji?

– Jakiej interwencji?

– Tej, którą mi pan obiecał. Rozmowy z prezesem.

– Ach, tak. – Bez entuzjazmu. Pan markiz już o wszystkim zapomniał. Stuknął laską w podłogę. – Ale pan mi obiecał coś zagrać.

– Zrobiłem, co mogłem, panie markizie.

– Świetnie. Ja też zrobię, co będę mógł. – Stuknął dwa razy laską w podłogę. – Proszę przyjść jutro.

Sprawy rozpatrywane przez Trybunał Królewski są otwarte dla publiczności, co nie znaczy, że się pozwala komukolwiek wejść. Teresa musiała uzbroić się w cierpliwość i czekać zmarznięta na placu Sant Jaume, oparta o ścianę kościoła. Stała tam od rana, nie ruszając się z miejsca, nie przestając wpatrywać się w drzwi wejściowe, żeby nie przegapić momentu, kiedy Andreu będzie wprowadzany. Chciała, żeby ją zobaczył, żeby widział, jak mu macha ręką i przesyła całusa, żeby wiedział, że go kocha tak mocno, tak mocno, tak mocno, Andreu, nie jesteś sam, twój ojciec robi, co może, ja przecież wiem, że ty jej nie zabiłeś, no i jeszcze chciałabym, żebyś nie marzył i nie przeżywał lęku w więzieniu, Andreu, nie masz pojęcia, jak cię kocham.

Mało ludzi przechodziło przez plac Sant Jaume. A może to Teresa na nikogo nie zwracała uwagi, bo oczy utkwiała w fasadzie budynku; niczego też nie słyszała, bo szlochanie wypływające z jej duszy zagłuszało wszystkie inne dźwięki. W każdym razie nie miała okazji wysłuchać końcowego wystąpienia naczelnego audytora Departamentu Kryminalnego, który zabrał głos po słowach Andreu upierającego się, że jest niewinny, i zakończył swoje wystąpienie pouczeniem skierowanym do zbłąkanej owcy, mniej więcej w tym stylu: próżny jest lament po fakcie z powodu konsekwencji, trzeba postępować według zasad, zanim się popełni zło; w przeciwnym razie nasze społeczeństwo byłoby bezbronne wobec ludzi bez skrupułów, przedkładających własną korzyść nad dobro ogółu, wobec przestępczości wszelkiego rodzaju, arogancji, gwałtu i zdrady szlchetnych zasad opartych na autorytecie i wspaniałomyślności naszego króla, Jego Wysokości Don Carlosa IV. Wyrok zostanie wykonany za dwadzieścia dni. Niech Bóg

się zlituje nad twoją duszą. Teresa tego wszystkiego nie słyszała z powodu szlochu płynącego z głębi serca, ale też dlatego, że ona stała na placu, a rozprawa odbywała się na drugim piętrze, po drugiej stronie budynku. Biedaczka nie zobaczyła też Andreu, kiedy wychodził; wydawało się jej, że więźniowi skazanemu na śmierć należą się główne drzwi, a tymczasem wszyscy powinni wiedzieć, że tych, których czeka stryczek, wyprowadzano uliczką Sant Sever, a stamtąd ulicą Pietat prosto do więzienia. Teresa widziała, jak opuszczają gmach sędziowie, ważni urzędnicy i personel wszystkich szczebli, w powozach lub pieszo, ale to ją nie interesowało. Ona tu czekała na Andreu i na jego smutną minę. Dlatego kiedy mistrz Perramon poszedł po nią i samym spojrzeniem dał jej do zrozumienia, że nie ma się czego spodziewać po markizie, powiedziała jeszcze go nie wyprowadzili, nie rozumiem, czemu to tak długo trwa. Po kolejnych dwóch godzinach zrozumieli, że niezbadane są wyroki gmachu tak wytwornego i okazałego jak Trybunał Królewski, gdzie Andreu przepadł na dobre.

Nie zjadł obiadu. Po co, skoro i tak był już prawie martwy? Poza tym żołądek wypełniała mu groza, twarda jak kamień, gorzka, która zapierała dech i wywoływała mdłości. Otworzył się judasz w drzwiach. W otworze zauważył, mimo mroku, obłudny uśmiech. Nie zwrócił na to uwagi; po co, skoro i tak był już martwy. Obojętnie patrzył, jak strażnik otwiera podwójne drzwi i wpuszcza nieszczery uśmiech do środka. W progu celi stanął ksiądz Joan Terricabres, tytułarny kapelan więzienia przy placu Błat, od dziesięciu lat na intratnej posadzie, którą zdobył po zażartej walce z pozostałymi kandydatami (innym też się uśmiechała stała praca), szczytający się pięćdziesięciu siedmiu skazanymi (z czego należało odjąć sześciu zatwardziałych). W jednej ręce trzymał jakąś dziwną lampkę oliwną z knotem, a w drugiej czarną książeczkę, mocno sfatygowaną. I jeszcze przyklejony do warg grymas uśmiechu. Kiedy tylko Andreu wyrobił sobie zdanie na temat przybysza, rzucił mu się do stóp, proszę księdza, jestem niewinny, to pomyłka, a ksiądz sobie pomyślał za stary jestem wróbel na takie plewy, wszyscy tak mówią albo prawie wszyscy. Andreu: proszę księdza, spędziłem część nocy z tą kobietą, to prawda (Och, zawsze ten sam grzech, o mój Boże, jakże słabe jest ciało, o Panie, dlaczego ludzie nie są aniołami, skończyłoby się całe zło tego świata, ach, mój Boże, zawsze to szóste przykazanie, zawsze szóste!), ale kiedy wychodziłem, ona jeszcze żyła i dobrze się miała, proszę księdza! Co było dalej... nie mam pojęcia, co było dalej, proszę księdza! I ksiądz Joan Terricabres, tytułarny kapelan więzienia przy placu Błat, przewyciężył odrzę i poklepał na pociechę parę razy po ramieniu nieszczęsnego grzesznika, żałuj za grzechy, synu, Bóg się nad tobą zlituje; a Andreu protestował ależ proszę księdza, ależ ja, ja nie popełniłem tego grzechu!... na co tamten, synu, Pana naszego najbardziej boli brak skruchy. Ty, mój synu, zgrzeszyłeś; odebrałeś życie, choć nie masz takiego prawa. Myślisz może, że jesteś królem? Albo sędzią? Nie, mój synu... My, ludzie, nie możemy zabijać: Bóg tego nie chce. Andreu słuchał coraz bardziej zdesperowany: proszę księdza, ojcze, popełniłem w moim życiu wiele grzechów, wiele!... Ale nigdy nikogo nie zabiłem. Nigdy, proszę księdza. A ksiądz Joan Terricabres, tytułarny kapelan więzienia przy placu Błat, pomyślał baju, baju, będziem w raj, i poklepał go jeszcze parę razy po ramieniu, mój synu, po co ta zatwardziałość. A może myślisz, że ze sprawiedliwością można żartować? Andreu przestał płakać i na chwilę zapanowała cisza. Pociągnął nosem.

– Proszę stąd wyjść.

– Co ty mówisz, synu?

– Precz.

Andreu wstał. Do wcześniejszej grozy zalegającej w żołądku dołączył teraz gniew, niespotykany,

ślepy, raptowny.

– Odrzucasz duchową pociechę?

– Pieprz się.

Siódmy. Siódmy, który stawiał opór. Ale ksiądz Terricabres, człowiek o żelaznej woli, wytłumaczył sam sobie jasno, że ten uparciuch jeszcze żył i że w ciągu dni, jakie pozostały, wiele może się wydarzyć, a jak nie, to sam sobie jest winien. Fałszywy uśmiech przez zapomnienie zostawił w celi.

Mimo długiego, cierpliwego oczekiwania nie udało mu się zobaczyć doñi Gaietany. Ta okrutnica zrezygnowała dziś ze sjesty. Don Rafel poczuł się zdradzony, bo zamierzona sesja przy teleskopie spełzła na niczym, i bezgranicznie nieszczęśliwy. To szalone ściganie upragnionej kobiety sprawiało, że zapominał o innych problemach, nawet o tym największym, który spadł mu na głowę w fatalnym momencie, kiedy ten przekłety Setúbal znalazł w domu Perramona to, czego nigdy nie powinien znaleźć. Don Rafel nie był idiotą i wiedział, że jego los zależy teraz od dyskrekcji don Jerónima Cascala. Ale w tej chwili o wiele bardziej niż tysiąc tajemniczych zagrożeń gnębił go fakt, że doña Gaietana zrezygnowała ze sjesty.

Odstawił teleskop. Napotkał wzrokiem swoje własne spojrzenie na portrecie pędzla Tremullesa, na poczesnym miejscu w gabinecie, i poczuł do siebie nienawiść. Westchnął. Postanowił wyjść. W domu Massó, w przeciwieństwie do sąsiadów z naprzeciwka, celebrowano teraz sjestę. To była święta godzina i służba, która nie hołdowała temu zwyczajowi, wiedziała, że nie wolno hałasować, rozmawiać i wychodzić poza pomieszczenia przylegające do kuchni. Dlatego kroki don Rafaela kierującego się do ogrodu musiały brzmieć niepokojąco i prowokacyjnie w ścianach przyzwyczajonych do ścisłej rutyny narzuconej przez doñę Mariannę. Wyszedł do ogrodu. Kapuśniaczek okazał się tak słaby, że nie dobiegało żadne kap-kap, a mimo końca listopada nie czuło się chłodu. Don Rafel lubił spacerować po ogrodzie. W takim momencie, zwłaszcza kiedy się stawało twarzą do domu, czuł dumę, że tak piękne miejsce należy do niego. A w ogrodzie, dzięki kolejnym trzem ogrodnikom, praktycznie z niczego udało się zaprojektować z rozmachem architekturę ogrodową w wytwornym guście. Owszem, don Rafael włożył w to sporo grosza. Dzięki temu mógł sobie pozwolić na wydanie w ogrodzie czterech czy pięciu podwieczorków, na tyle wystawnych, by pozwoliły ludziom zapomnieć, że w jego żyłach nie płynie błękitna krew, co jest kolejnym problemem, bo don Rafel nie raz już się zastanawiał, co by to komu szkodziło, gdyby się urodził szlachcicem, wszystko wtedy ułożyłoby się pomyślniej, zwłaszcza w kwestiach sercowych. Poczuł na twarzy słony smak morskiej bryzy.

Winna latorośl, pokrywająca dużą część fasady, powoli gubiła czerwone, jesienne liście. Rosnące przy ścianie cyprysy i wawrzyny całkowicie odmieniły domostwo, nadając mu jakby bardziej nobliwy wygląd. Spojrzał na tę część ogrodu, najbardziej wilgotną, gdzie rosły kasztany. Tam ziemia była najlepsza i sami ogrodnicy używali jej, żeby użyźnić klomby na środku. Klomby: oczko w głowie don Rafaela. Na samym środku ogrodu znajdowała się fontanna z siedzącym Kupidynem, któremu czas nieco przytarł uszu i zatarł uśmiech na twarzy. Fontannę otaczały cztery klomby, czysty czarnoziem, wzbogacające ogrodową kompozycję o żywe kolory, bo zawsze, niezależnie od pory roku, rosło tam mnóstwo sezonowych kwiatów. Latem pierwiosnki, niecierpki, pelargonie i róże, a w zimie prymulki, fiołki, chryzantemy, kalie i nagietki. Doña Marianna bez przerwy zachwycała się kwiatami, nadającymi niewymowny, niepowtarzalny charakter całości. Konsekwencją tej kwiatowej rozrzutności był wydany domowym zwierzętom bezapelacyjny zakaz pałętania się po ogrodzie, bo psy, żebyś wiedział, Rafaelu, nic

tylko by niszczyły kwiaty. A koty rozgrzebują ziemię w doniczkach. Ależ Marianno! Powiedziałam: nie. Jak nie, to nie. A kiedy zapadła decyzja, reperkusje w rzeczywistości skupiły się tylko na psach: wszystkie, które kiedykolwiek przewinęły się przez pałac Massó, zostały skazane na sikanie i sranie na ulicy, bez dyskusji. Co do kotów, to jeszcze nie urodził się taki, który by je do czegokolwiek przekonał, więc nie przejęły się zakazem i wychodziły do ogrodu, jak chciały i kiedy tylko miały ochotę, patrząc z pogardą na biedną rasę ludzką, ponieważ nie potrafi przez cały dzień spać ani wylizać sobie ubrania, ani wspiąć się na żaden stromy dach. Dlatego Turek nigdy nie został tam zaproszony i nie mógł dzielić uczucia dumy, jakie jego pan często przeżywał w ogrodzie. Dlatego teraz don Rafel spacerował, wystawiając się na drobny deszczyk, bez Turka, i nie mógł liczyć na to, że pies w kilku zręcznych susach dopadnie kamienia, który kopnął, żeby wyładować swoją frustrację. Frustracja miała na imię Gaietana. A wzięła się stąd, że teraz, kiedy pogodzony z losem, zamiast się do niej umizgiwać, nastawił się na jej podziwianie, ona mu odmówiła swojej odległej, milczącej obecności po drugiej stronie teleskopu. Moja Gaietano o pełnych wargach.

Krzyknęła gdzieś mewa, pewnie znużona nadmiarem deszczu, a don Rafelowi ten krzyk wydał się ponurym śmiechem diabła, kpina z jego cierpienia. Zatrzymał się przy klombie najbardziej oddalonym od domu, najokazalszym ze wszystkich czterech – dlaczego akurat ten, to tajemnica sztuki ogrodniczej – gdzie zazwyczaj ustawiał teleskop, kiedy jeszcze nad rozebrane baronowe przedkładał galaktyczne mgławice, planety i gwiazdy. I wtedy pojawiła mu się w myślach twarz Elviry, mojego biedactwa, zupełnie bez uprzedzenia, jak zwykle. Ten przelotny, bolesny obraz poruszył czułą strunę i wywołał gorzkie wspomnienia... Zresztą jak zawsze, kiedy myślał o biednej Elvirze.

Gniazdko miłości, sad słodkich umizgów, zakątek czułości... To była środa. Jaśnie pan dotarł do uliczki Caputxes zdyszany. Przez cały dzień marzył o tej chwili, ale po południu, po sjeście, doña Marianna przeciągała w nieskończoność swoje domowe obowiązki. Dopóki nie wyszła do kościoła Matki Bożej Sosnowej na nabożeństwo różańcowe, don Rafel nie mógł się wymknąć z domu, by podążyć za wolnością i radością, och, te środy i piątki, balsam dla mego serca. Tym razem nie zatrzymał się jak zwykle w cukierni Palau, bo za bardzo się spieszył, chciał jak najszybciej dotrzeć do mojej Elvirety i zacałować ją na śmierć.

Ale wszystko poszło inaczej: gdy tylko otworzył drzwi gniazdko miłości, sadu słodkich umizgów, komnaty miłosnej tęsknoty, poczuł silny zapach tytoniu, zapach fajki, i zapytał bardzo zdziwiony moja kochana Elvireto, kto tu był, a ona udała roztargnienie, o co ci chodzi, kochany? Na to on, no już, nie opowiadaj mi bajek; mów, kto tu był. Wtedy ona, widząc, że nie da się sprawy zatuszować, zaczęła się nerwowo śmiać i tłumaczyć, ach, jasne, chodzi ci o ten zapach tytoniu, tak? To mój wuj Ventura, wspominałam ci kiedyś o nim, pamiętasz? Na co on, z kamienną twarzą: nie. Ależ tak, kochany (przymilnie rozpinęła mu boczne guziki culotów), mówiłam ci o nim ze sto razy: wujek Ventura z Horty, zawsze mnie odwiedza, kiedy przyjeżdża do Barcelony na zakupy. Na to on (choć był wkurzony, nie przeszkadzał jej w tym zajęciu, bo jak ci dają cukierek, to bierzesz), ależ Elviro, przecież się umówiliśmy, że w tym domu jesteśmy tylko ty i ja, tylko ja i ty; na co ona (z fachową zręcznością biorąc w dłoń instrumentarium jaśnie pana, by pobudzić je do akcji): nie bądź głupi, mój ty Falecie, jesteś jak dziecko, dlaczego nie miałabym zaprosić mojego wuja. Jaśnie pan (myślał właśnie tak, tak mi rób, nie przestawaj, Elvireto, moja królowo) nadal grał rolę obrażonego, dzięki czemu miał czyste sumienie i mówił Elviro, Elviro, coś ustaliliśmy. Kto u ciebie był? Na co Elvira (porzucając, oburzona,

wyprostowany członek jaśnie pana, zerwała się na równe nogi), ejże, co ty sobie wyobrażasz? Że nie jestem wystarczająco dorosła, żeby wiedzieć, na co mogę sobie pozwolić? Zapraszam wujka Venture w odwiedziny i nikogo nie będę prosić o zgodę. Na co on (wycofując się ze swoich podejrzeń i chwytając rękę kochanki, żeby ją umieścić tam, gdzie była przedtem): dobrze, już dobrze, Elvireto, kobieto, nie denerwuj się. Ale tak cię kocham, że już myślałem, że...

Właściwie nie miało sensu wyjaśniać, o czym myślał jaśnie pan, bo tam, na miejscu, w niewygodnym fotelu, Elivra i don Rafel zrobili, co należało, na tyle zręcznie, by: a) Wybić mu z głowy pomysł, że wygodniej byłoby im w łóżku; b) Dać czas wujowi Venturze (cudownie przemienionemu w dwóch zawadiackich, barczystych młodzieńców – marynarza ze statku „Navegante”, wypływającego do Hawany, i szklarza z dzielnicy Raval) – by się ubrał, nie zostawił po sobie śladu w alkwie, pościelił byle jak łóżko i wyskoczył przez okno na patio, wprost na uprawiane przez Elvirę warzywa, a stamtąd na podwórze kupca zbożowego i wreszcie, przez skwer, na ulicę Argenteria, z komentarzem, mało brakowało, żeby nas przyłapał, ale dlaczego przyszedł we wtorek, skoro to nie jego dzień? I tylko okno pozostało otwarte, mimo niepogody.

Elvira pieściła czule w niewygodnym fotelu źródło swoich dochodów, zastanawiając się, jak zawiadomić tamtych dwóch, żeby wrócili jeszcze tego samego dnia, bo pozostała z wrażeniem niedosytu ta nienasycona, niezmordowana pożeraczka mężczyzn, gorąca, z niestygnącym ogniem między nogami, kochana Elvira, ofiara powolnej, drążącej jej ciało gorączki furor uterinus, zawsze czujna, gdy w jej zasięgu pojawiał się jakiś beczynny fiut, ale zbyt napalona, by zachować ostrożność. Popełniła jeszcze jeden błąd, pytając jaśnie pana, jak to się stało, że przyszedłeś dziś, mój Falecte, i to w momencie, kiedy Falet właśnie szczytował, a on po krótkim, skondensowanym orgazmie, jak u królika, odpowiedział, Elvireto, przecież dziś jest środa, na co ona ależ nie, dziś jest wtorek, i don Rafel szeroko otworzył oczy i powiedział cholera, prokurator ma rację, z każdym dniem jestem coraz bardziej rozkojarzony. I po tej deklaracji zasnął jaśnie pan ziewnął i pozwolił sobie na drzemkę post eiaculatio.

Teraz, spacerując wawrzynową alejką w stronę domku ogrodnika, z tamtego środowego popołudnia, które nie przypadło we środę, pamiętał już tylko, jak mu wtedy dogodziła Elvireta, moje biedactwo. Moja Elvireto, z nikim mi nie było tak dobrze, gdybyś wiedziała, jak za tobą tęsknię; nie chcę, żeby nas ktokolwiek skrzywdził, ciebie i mnie, moja Elvireto; dostali już nauczkę. Zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Westchnął przygnębiony. Drobnny kapuśniaczek zaczął przenikać wprost do niespokojnej, smutnej duszy jaśnie pana.

Posłaniec, którego mistrz Perramon wysłał w ślad za Nandem w wielkim pośpiechu, uznał, że nie ma sensu wyprawiać się poza Fragę, jeśli po drodze nikt nie słyszał o żadnym wojskowym regimencie. Stosując się ściśle do tego, co stanowił punkt trzeci wewnętrznego regulaminu transportu towarów i prywatnych przesyłek, szybko wrócił do Barcelony, cały utyłany w błocie. Ani posłaniec, ani sam Ferran Sorts nie wiedzieli, że jeden szuka drugiego, kiedy się minęli na drodze. Gdyby młody Sorts trzymał się swojego regimentu, gdyby jechał konno, gdyby miał na sobie mundur... Ale on ubrany w białą koszulę siedział przy stole w gospodzie w Alcarràs i korzystając z ciepła jesiennego słońca, które pojawiło się pierwszy raz od wielu dni, pisał dwudziestego szóstego listopada tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, kochany Andreu, nie podejrzewałem, że masz ukrytą siłę zdolną zrobić ze mnie pisarza, chociaż nigdy przedtem nie udało mi się sklecić trzech zdań jednym ciągiem.

Jestem w gospodzie w Alcarràs, w miasteczku przy drodze do Saragossy. Na rozkaz pułkownika wyprzedziłem nasz oddział, w towarzystwie drugiego żołnierza, żeby się zająć intendenturą. Lwia część oddziału, nie wiem z jakiego powodu, została skierowana do Albatàrrec i Sudanell. Chyba tylko po to, żeby skomplikować nam życie. I po to, żebym mógł się cieszyć wolnym dniem i na chwilę zapomnieć, że jestem w wojsku. Nie, nie, przyjacielu, honorowy gościu na bankiecie bogów; mylisz się, nie ma tu żadnej kobiety, która by mnie pocieszyła w mojej nieszczęsnej samotności. Ach! Wysłałem Ci już pierwszą paczkę listów. Wykorzystałem krótki pobyt w Lleidzie, żeby pójść na pocztę. Mam nadzieję, że będziesz je czytał w kolejności chronologicznej; w ten sposób wyrobisz sobie zdanie nie tyle o geografii mojej podróży w kierunku Malagi, ile raczej o odbywanej przeze mnie peregrynacji sentymentalnej, bo to ona jest dla mnie najważniejsza. Jakże krucha i niestała jest natura ludzka!... Wyobraź sobie, że mimo zamieszania w ostatnich dniach cały czas myślałem o cichej dziewczynie z Calafu, której imię prawie mi już wyleciało z głowy. I myślę sobie tak: a może by zdezerterować i prosić ją o rękę? Próbuję Ci przekazać, że Cię rozumiem, bo widziałem w Twoich oczach, że Ty też zakochałeś się w piersiach quoiquoi Desflors, choć nie wiem, czy później spotkałeś się z nią ponownie. Chcę komponować miłosne pieśni, Andreu, przyjacielu. Ale do tego potrzebowałbym z osiem, dziesięć miłosnych wierszy, Ty wiesz, jakie lubię. A zatem niezwłocznie musisz zabrać się do pracy. Kiedy wrócę z Malagi, chcę mieć gotowy tomik poetycki. Wiesz, że od wielu dni dziś po raz pierwszy zobaczyłem słońce? Nie daje wiele ciepła, ale nie przysłaniają go ani chmury, ani mgły... Kiedy tylko je zobaczyłem, uświadomiłem sobie, jak bardzo się za nim tęskni. A w Barcelonie nadal pada? Mury pokrywają się mchem?... Ach, mój przyjacielu! Co bym dał za jakiś dobry pretekst do powrotu! I żebym po drodze mógł zajechać do Calafu, jak się domyślasz. A dobry pretekst dla młodego Sortsa, w postaci posłańca na koniu, właśnie przejeżdżał przed gospodą w Alcarràs. Gdyby nie to, że jeden nie wiedział o drugim, posłaniec wręczyłby mu prośbę mistrza Perramona, Nando, drogi chłopcze, przyjeźdź, wracaj: mój syn siedzi w więzieniu, a on wróciłby, poganiając konia, i nie zatrzymywałby się po drodze, chyba żeby wierzchowiec padł z wyczerpania. Dokonałby niemożliwego, znalazłby prawdziwych adwokatów, poruszył niebo i ziemię, och, gdyby tylko Nando wiedział. Zamiast tego wygrzewał się w słabym słońcu późnej jesieni, z dzbanem wina, uśmiechem na ustach na wspomnienie blondynki z Calafu, jakie piękne jest życie, gdy jest się młodym. I jakaś spóźniona sikorka zaświergotała, może z żalu, bo posłaniec oddalał się drogą w stronę Lleidy. Sikorka znów pisnęła, pewnie z rozpaczy. Ale Nando nie zrozumiał tego wołania i tylko się uśmiechnął.

Deszcz nad ranem zawsze się uspokaja, nie chce przeszkadzać przyrodzie, która się budzi, i dlatego pada łagodnie, bez pośpiechu. Mówi się też, że dlatego taki jest cichy, bo poranek to dobra pora na śmierć; gdyby miało być inaczej, to dlaczego tak wielu ludzi umiera właśnie o poranku. Rankiem ludzkość się wykrwawia.

Tego wilgotnego dnia o świcie w Murze deszcz również padał dyskretnie. Może dlatego, że wsłuchiwał się w kaszel Ciset. Może chciał się upewnić, czy Ciset jeszcze żyje, bo wcześniej słyszał, jak odbierając Galanie i przyciskając do serca cerowaną przez Remei koszulę, mówił, obym nie przeżył tej nocy. Mężczyzna stał długo przy oknie i wpatrywał się w ciemne niebo za szybami, jakby mu bardzo zależało, by przed innymi powitać wschodzące słońce. Jakiś kogut zapiał bez przekonania, odpowiedział mu gdzieś w oddali pies trzema pełnymi nostalgii szczeknięciami, a niebo tymczasem jaśniało, bardzo wolno, bo od Zaduszek słońce zaczynało się rozleniwiać. Kiedy niebo zdecydowanie straciło granatowy kolor i kapuśniaczek stał się już widoczny gołym okiem, Ciset odsunął się od okna, jakby oglądanie ciemnych konturów sprawiało mu ból, jakby nie miał prawa patrzeć na nic, czego nie mógłby dzielić z Remei. Podszedł do komody, żeby zdmuchnąć płomyk ogarka, pozostałego po nowej świecy, która zamieniła się w światło i woskowe łyzy. Ten wysiłek wywołał atak kaszlu. Przy oknie przemyślał sobie wiele rzeczy, tyle że aż ogarnęło go przerażenie. Bał się nienawiści przepełniającej mu serce, nie wiedział, jak sobie z nią poradzić. Zawód ogrodnika był skrojony na miarę Ciset; jego spokojnemu charakterowi bardzo odpowiadało, że wszystkie jego wysiłki, polegające na sianiu, rozsadzaniu bulw, odrostów i sadzonek, zawsze z czasem przynosiły oczekiwane rezultaty, dzięki wodzie, powietrzu, słońcu i jego własnej cierpliwości. Aż do dnia, w którym szaleństwo skłoniło go, by posadzić własną zgubę. Jedno plaf! i musiał uciekać. Z powodu tamtego plaf i z powodu sakiewki z monetami, których blask odebrał mu rozum. Z tych wszystkich powodów zmarła jego Remei, zabiła ją zgryzota, bo przecież zawsze była zdrowa, nigdy nie chorowała, zmarła, jak to się mówi, stojąc, biedna Remei. I Ciset znów zaniósł się płaczem, tak jak przez całą noc, niech będzie przeklęta moja zła gwiazda, i jego wycie odbiło się echem od pustych ścian domu Peric, pustych, od kiedy nie wypełniała ich sobą Remei. A kiedy wybrzmiało echo krzyku, wrócił kaszel i zaatakował go z wściekłą furją. Z kaszlem wypluł kolejny kawałek swojej duszy i zdał sobie sprawę, że niewiele czasu już mu zostało. I po raz pierwszy ta myśl nie wzbudziła w nim nadmiernego lęku. Kto wie, pomyślał, może kiedy Galana przyjdzie tu o zwykłej porze, zostanie już tylko moje przeklęte truchło. Plaf.

Otworzył mu ten nadęty służący, który tak efektownie potrafił unosić lewą brew. Mistrz Perramon był nie mniej zaleźniony niż poprzedniego dnia. Mimo że już raz udało mu się dotrzeć przed oblicze markiza, jeden dzień to za mało, by przełamać atawistyczny lęk słabego przed moźnym, respekt narastający przez wieki. Mimo że czuł się niepewnie, zdziwiła go zdecydowana odmowa służy.

– Ależ... to bardzo ważna sprawa, sprawa życia i śmierci. Pan markiz mnie oczekuje.

– Nie sądzę. Pan markiz rozkazał, by mu nie przeszkadzać pod żadnym pozorem.

– Ale... do której godziny?

– Markiz nie ma ustalonego rozkładu dnia, proszę pana. – Służący cedził słowa, śmiertelnie obrażony.

Mistrz Peramon poczuł się straszliwie samotny. Markiz nie trzyma się rozkładu dnia, proszę pana. Nie minął jeszcze dzień, od kiedy wyznaczono datę kresu życia jego syna, o mój synu, Andreu, a teraz się okazuje, że markiz nie ma rozkładu dnia, proszę pana. Nie minął jeszcze dzień, od kiedy zaczęli unicestwiać jego syna siłą wyroku, a markiz nie może go przyjąć. Gdyby Nando tu był, pomyślał. I zaraz zadał sobie pytanie, cóż ja, biedny, jeszcze mógłbym zrobić.

– Pan markiz wczoraj mi powiedział, żebym dziś wrócił. Sam osobiście mi to powiedział.

– Nic na to nie poradzę. Pewnie już o tym nie pamięta.

– To proszę mu przypomnieć. To bardzo ważne.

– Proszę pana...

Jednak zanim zdążył posłać go w diabły jakimś ostrym słowem i zamknąć mu drzwi przed okularami, mistrz Perramon rozpaczliwie uczeplił się ostatniej deski ratunku.

– Mateu. Chcę rozmawiać z Mateu, jeśli pan łaskaw.

Konkretne imię najwyraźniej zrobiło wrażenie na tym groźnym osle ustawionym przez markiza przed drzwiami, bo kiedy tylko poprosił o rozmowę z Mateu, lokaj przeszedł między kotarami i zniknął gdzieś w skomplikowanym labiryncie pałacu markiza de Dosrius. Po pięciu długich, pełnych napięcia minutach zaintrygowany Mateu zjawił się w holu.

– A, to pan – zaspokoił swoją ciekawość, rozczarowany.

– Panie Mateu... Pan markiz...

Ale Mateu pokręcił przecząco głową: nie, to niemożliwe. Absolutnie niemożliwe, rozumie pan? W akcie dobrej woli wziął starca za ramię i zaprowadził do wnęki pod schodami, gdzie stały dwa krzesła. Usadził kapelmistrza z jakiejś tam parafii i sam zajął miejsce obok, żeby jak najszybciej pozbyć się natręta i nie dopuścić, by wywołał jakiś nieprzyjemny incydent.

Pan markiz, Mateu zaczął wykładać przemądrzałym tonem, jest bardzo zajęty i w żadnym wypadku, i tak dalej, i tak dalej, chyba się rozumiemy, prawda? Bo przecież nie mógł mu powiedzieć, że właśnie w tym dniu jego chlebowca umówił się na igraszki i dokładnie przed kwadranssem wpuścił na górę dwie panienki – Eulalię i Caterinę – by zrobiły swoje. Nie mógł mu powiedzieć, że nie da się przewidzieć, kiedy ta zabawa się skończy. Wszystko zależało od tego, kiedy dziewczynkom uda się dokonać cudu i pobudzić do życia erekcyjną potencję markiza. Jak miał mu powiedzieć, że jedyną rzeczą absolutnie niedopuszczalną w Barcelonie było przerywanie starczych orgietek jego pana. Zresztą, o czym tu mówić.

– Ależ ja poczekam. Ile będzie trzeba.

– Proszę przyjść kiedy indziej.

– Obawiam się, że może być za późno.

– Bardzo mi przykro.

Mateu doskonale zdawał sobie sprawę, ale nie wypadało mu tego powiedzieć głośno, że pan markiz zapomniał całkowicie o obiecanej interwencji w jego sprawie. Właściwie zapomniał o obietnicy już w momencie, kiedy ją składał. A teraz był bardzo zajęty obserwowaniem, jak się kręci okrągłutka, świeża i kształtna pupcia Cateriny (czy już wystarczy, panie markizie? Nie, nie, dziecko, jeszcze, jeszcze trochę, za to ci płacę. Tak, panie markizie). Caterina puściła oko do Eulàlii, że ma po dziurki w nosie przeterminowanych kutasów, wierz mi, Eulàlio, robię to tylko dla grosza.

– Ale to sprawa życia i śmierci. Przykro mi. – Zdeterminowany rozpaczą mistrz Perramon ruszył w stronę kotar. Mateu i służący z uniesioną brwią ramię w ramię zabarykadowali mu drogę.

– Proszę wyjść! – krzyknął Mateu, który najwyraźniej cieszył się największym autorytetem wśród służby. – I żebym tu pana więcej nie widział.

– Panie markizie! – Wołanie Perramona odbiło się echem w amfiladzie salonów pałacu.

W tym momencie tamten osioł z uniesioną brwią chwycił go za kamizelkę i zrzucił ze schodów prosto na ulicę Ample, tak jak się wyrzuca natrętnego, zapchlonego psa. Mistrz Perramon wpadł do kałuży przed drzwiami pałacu. Przejeżdżający akurat tą ulicą dwukonny powóz błotem spod kół uzupełnił dzieło zniszczenia świątecznej odzieży. Pierwszy raz w życiu dawny pomocnik kapelmistrza katedry i Parafii Matki Bożej Sosnowej zaklął siarczyście.

Po obiedzie w pałacu Massó zapanował spokój, jak zwykle. Jak zwykle doña Marianna oświadczyła, że na chwilę się położy. Jak zwykle don Rafel zamknął się w gabinecie pod pretekstem pracy. Jak zwykle przygotował teleskop, ale zanim zdążył pomyśleć, zrezygnowany, że jak zwykle niczego nie zobaczy, serce zabiło mu żwawiej, bo po drugiej stronie urzędzenia, zarazem bliska i daleka, milcząca, na obrazie już nieodwróconym do góry nogami, chociaż nadal prawa strona była lewą, a lewa prawą, do swojej alkowy wchodziła z ziewnięciem doña Gaietana. Dzieliła ją od jego spragnionych oczu tylko cienka kurtyna deszczu. Don Rafel poprawił ostrość. Jaka piękna. Zdjęła spódnicę i coś w rodzaju gorsetu. Wręczyła je stojącej za nią pokojówce, a don Rafel o mało nie zemdleł, bo kiedy zdjęła kolejną białą, delikatną spódnicę, którą miała pod spodem, mógł wreszcie podziwiać, a już dawno ich nie oglądał, nogi baronowej w całej krągłej okazałości. Kobieta znów ziewnęła i jaśnie pan zapragnął być ziewnięciem doñi Gaietany. Oglądanie wspaniałej, jasnej skóry jego ukochanej trwało niestety zbyt krótko, ponieważ baronowa zrobiła niecierpliwy gest i ta przeklęta pokojówka, skaranie boskie (ach, gdybyż tak można było zostać pokojówką mojej ukochanej i każdego dnia, i każdej nocy, i tak dalej!), podała jej szlafrok, zakrywający aż po stopy te piękne, wodzące na pokuszenie nogi. Wtedy znów pomyślał o biednej Elvirze i po raz pierwszy poczuł prawdziwy lęk, z powodu przecucia, że jeżeli nie będzie się miał na bacności, może otrzymać nie wiadomo skąd zatruty cios prosto w serce. Wrażenie okazało się tak piorunujące, że przeraził się swojej dotychczasowej lekkomyślności.

Don Rafel, zmartwiony, odsunął się od obiektywu. Pożądanie doñi Gaietany przeszło mu jak ręką odjął. Teraz skoncentrował się na przyspieszonym biciu serca, nie z euforii, lecz ze strachu. Pewnie z tego powodu po południu w czwartek w końcu listopada, w dniu świętej Faustyny, patronki gruźlików i sprzedawców garnków i talerzy, jaśnie pan wrócił do Trybunału i bardzo dokładnie przejrzał całą dokumentację dochodzenia, procesu i wyroku w sprawie Desflors. Po dwóch godzinach wczytywania się w dokumentację przekonał samego siebie, że choć nadal pozostawały niewyjaśnione ciemne punkty

w zachowaniu tego pożałowania godnego Perramona, nie musiał się obawiać niczego złego z jego strony, zwłaszcza jeśli zostanie zachowana pełna izolacja skazańca. Teraz pozostawało tylko czekać, aż wróci spokój ducha, a z nim szczęście, bo życie z niepokojem w sercu jest zbyt wyczerpujące. Musi tylko nie spuszczać z oka tego Setúbala i tak dalej, coś podwójnego w nazwisku, chyba dos Cascales. O ile tylko da się utrzymać kogoś takiego jak on na oku.

Don Rafel wracał do domu okrężną drogą, przez plac Blat, mimo że rozpadało się na dobre. Kazał woźnicy jechać ulicą Argenteria. Kiedy mijali ulicę Caputxes, zadrżał w swoim powozie, ale niczego nie dał po sobie poznać, jakby chciał udowodnić wszystkim barcelończykom, poddanym Jego Królewskiej Mości Don Carlosa, że on nie ma nic do ukrycia. Taka prywatna terapia jaśnie pana.

Kiedy myśli don Rafaela krążyły wokół tych smutnych wspomnień, na placu Blat, ale wewnątrz, w więzieniu, bardzo głęboko wewnątrz, Andreu patrzył bezmyślnie na talerz czegoś w rodzaju zupy, bez cienia apetytu.

– Nadal pada?

– Tak. Prawdziwy dopust boży. No, jedz. Coś musisz przekąsić, chłopcze.

– Zostały mi dwadzieścia dwa dni życia.

– Nie myśl o tym.

– Nie chcę myśleć. – Milczenie w prawie całkowitej ciemności. – Ja nikogo nie zabiłem!

Strażnik zamknął okienko w drewnianych drzwiach celi i odszedł, myśląc biedny chłopiec, nawet skłonny był mu uwierzyć, kiedy go słuchał. W każdym razie mu współczuł, winny czy niewinny. Natomiast tamten parszywy, kudłaty Holender, który parę dni temu został przeniesiony do dziury z izolatkami, wcale go nie wzruszał, może dlatego, że nie rozumiał jego mowy. Nie wiadomo, czy do niego w ogóle dotarło, że czeka go stryczek za zabicie kurew. Kurwy nie kurwy, też stworzenia boże.

W tym dniu Andreu odmówił również zjedzenia kolacji. Jego rację, nietkniętą, przekazano holenderskiemu marynarzowi, a ten ją pochłonął bez ceregieli.

Don Rafel na kolację jadł ostrygi, a do tego młode białe wino, lekko musujące. Nie żeby lubił ostrygi, ale wypadało od czasu do czasu wyrzucić do śmieci domu Massó skorupy świadczące o tym, że w pałacu podawano ostrygi. W tej kwestii można było liczyć na wścibskich służących, którzy doskonale się nadają do rozpowszechniania takich informacji. Tu akurat doña Marianna w pełni się z nim zgadzała. Tak bardzo, że w końcu przekonała się do ich jedzenia.

Po ostrygach podano gotowaną rzepę, ulubione danie don Rafaela. Oczywiście obierki rzepy nie dodawały mu prestiżu, ale można też sobie pozwolić na coś, co lubi pan domu, tym bardziej że to tak niewiele kosztuje. A doña Marianna zgadzała się z nim całkowicie, bo też uwielbiała rzepę.

Żeby strawić ostrygi z kolacji, don Rafel ustawił teleskop tuż przy klombach w ogrodzie. Wiatr rozpędził chmury i zapowiadała się spokojna noc. Już na pierwszy rzut oka widać było, że obfity deszcz umył niebo, na którym gwiazdy prezentowały się czyste i błyszczące, jakby im zależało na podziwieniu stęsknionych oczu jaśnie pana. Z taką samą pieczołowitością, z jaką regulował ostrość, by podziwiać białe ciało doñi Gaietany, umieścił mgławicę Oriona w polu widzenia teleskopu. Wracał do obserwacji astronomicznych po dwutygodniowej przerwie. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu: tajemnicze mgławice, wiecznie nieruchome, bezpośredni świadkowie, jak twierdzą uczeni, kosmicznej eksplozji, prezentowały swoje wnętrza z większą szczodrością niż doña Gaietana swoją skórę. Poczł chłód i zapiał kamizelkę. Musiał poprawić położenie urządzenia, bo teraz obraz przesunął się w lewo;

firament miał to do siebie, że niezmiennie uciekał przed oczami obserwatora uzbrojonymi w teleskop. Przez chwilę z powodu tej korekty przestrzeń międzygwiazdowa zadrżała w rytm tego ruchu, tak jakby don Rafel i Orion asystowali w trzęsieniu ziemi na niebie. Kiedy się zmęczył oglądaniem czterech błyszczących punkcików, wszystkiego, na co było stać jego aparaturę, zmienił kierunek, żeby przez chwilę podglądać Plejady. Ile ich mógł naliczyć? Siedem, osiem, dziewięć, dwanaście, dwadzieścia... Doktor Dalmases twierdził, że można zidentyfikować ponad pięćdziesiąt... Jemu wystarczyło siedem głównych, bo jego pojęcie o astronomii wiązało się z tradycją mitologiczną i w Orionie najbardziej mu się podobało wyobrażenie myśliwego z pasem, szablą i kołczanem. Poza sekretami mgławicy, w Plejadach doszukiwał się ponurej historii ścigania przez Oriona siedmiu pięknych panien: Merope, Elektry, Taygety, Mai, Alkione, Gaietany i Elviry, mojego biedactwa...

Znów poczuł na karku ten sam dreszcz lęku, który po południu wypchnął go do sądu, by przejrzeć dokumenty sprawy. Może dlatego, że była noc i było zimno, don Rafel poczuł się przez wszystkich opuszczony, choć może nie aż tak, jak Andreu, leżący teraz na sienniku i z otwartymi oczami wpatrujący się mimo ciemności w ścianę naprzeciwko. Nie myślał o gwiazdach. Ciągłe się zastanawiał, co się dzieje. Miał wrażenie, że gnije za życia, ale że nie pozwolą mu zgnić do końca, bo wyznaczyli datę jego przeterminowania na dwudziestego grudnia, dzień świętego Dominika. Jego dusza jęczała całą mocą rozpacz, ale don Rafel nie słyszał tych jęków, mimo że w ogrodzie panowała taka sama cisza jak w gwiazdnej przestrzeni.

28 listopada 1799

Z perspektywy Candanos, drogi przyjacielu, świat wygląda całkiem inaczej. Dotarliśmy do tej miejscowości, przemierzając pustynny step mila za milą. Miejscowi mówią o niej Monegros, czarna góra. Wyobraź sobie, że cały krajobraz przybiera tu ziemisty kolor, którego jednostajności nie zakłóca żadne drzewo, krzew czy źdźbło trawy. Gdziekolwiek tylko możesz się natknąć przy ziemi na niski krzak tarniny, najeżony odstraszcającymi kolcami. Szczęście, że pada deszcz; koń mnie ochlapuje, rozpryskując kałuże, ale wolę to niż wystawianie się na ekstremalny upał lub ekstremalne zimno, skrajności typowe dla tych okolic. Miasteczko Candanos niczym się nie różni od ziemistego krajobrazu okolicy, przynajmniej jeśli chodzi o kolor. Nawet jego nieszczęśliwi mieszkańcy mają tę ziemię wymalowaną na twarzy i odcisniętą w duszy. Nie udało mi się tam wypatrzyć ani jednego ładnego dziewczątka, ale jestem pewien, że gdzieś się kryją po domach ze strachu przed żołnierzami. Czemu, mieszkańcy Candanos, boicie się, że mogą zrobić krzywdę waszym dziewczętom? Ja tylko chcę je rozkochać! Ja tylko chcę spędzić z nimi w łóżku jedną noc, żeby zachować o nich niezatarte wspomnienie, w którym z czasem wypiękniją! Ja tylko chcę zapomnieć o milczącej, jasnowłosej Rosie z Calafu!

Andreu, mam dla Ciebie dwie dobre nowiny. Pierwsza, najważniejsza, jest taka, że porucznik Casares nie śpi ze mną dziś w nocy. Przypadła mi pojedyncza kwatera w ubogim domu, zamieszkanym przez trzech ponurych mężczyzn i jedną nieufną, milczącą, wąsatą babę, która mnie toleruje tylko dlatego, że to nocleg na jedną noc. Jestem pewien, że na strychu przygotowali w ukryciu poślanie dla domowej piękności. Kiedy wszyscy będą już w łóżkach, pójdę sprawdzić to hipotetyczne gniazdko miłosne. Ile może mieć lat? Piętnaście? Osiemnaście? Włosy czarne jak węgiel? Oczy jak agat? Jasnowłosa jak księżyc? Oczy w kolorze morskiej toni? Myślisz, że łatwo tak żyć, z wiecznie nienasyconym sercem? Co za szczęście, że życie nie trwa dłużej niż sto lat!

Druga dobra wiadomość, mój przyjacielu: napisałem utwór na gitarę. Nie ma jeszcze tytułu. To coś w rodzaju smutnego ronda, z obsesyjnym, melancholijnym motywem, w tonacji F-dur, temat łatwy do zapamiętania w tej tonacji albo w a minore. Wymyśliłem go, jadąc konno przez te przekłete czarne góry, Monegros. Motyw przewodni, Andreu, wydaje mi się na tyle ciekawy, że można by go wykorzystać do jednej z miłosnych pieśni, które chcę dedykować mojej muzie z Calafu; piosenka mogłaby się nazywać... Nie. To Tobie, Andreu, mistrzu miłosnej sztuki, pozostawiam dobór właściwych słów. Tak, tak, wiem, że powinienem komponować muzykę do wcześniej napisanych przez Ciebie tekstów, ale jestem niecierpliwy, dlatego pozwalam sobie na taki wybryk. Pisz do mnie! Przyślij mi Twoje wiersze! Myśl nad librettem opery! Ciesz się życiem, mój kochany Andreu!

Dopala się świeca. Ma podejrzenie żółty kolor i śmierdzi czymś nieprzyjemnym. Ciekawe, z czego została wytopiona. Dosłyszałem jakiś szmer na strychu. Jeśli to nie myszy, to musi być ukrywana w domu dziewica. Wybieram się, żeby to sprawdzić, szukać ramion słodkich i ofiarnych. Życz mi szczęścia, Ty, który jesteś wybrankiem Fortuny!

Twój przyjaciel Nando

Barcelona już następnego dnia po tamtym dwudziestym ósmym listopada zainaugurowała krótki okres bez deszczu. Zarządziła zamiatanie nieba nad sobą i słońce, bardzo osłabione o tej porze roku, znów się ożywiło, sięgnęło promieniami do najtrudniej dostępnych zakątków i przekształciło wieczne błoto na ulicach w małe, twarde rzeźby, czy to na dnie kałuży, czy w postaci kolein pozostawionych na środku drogi przez wozy. Ludzie znów zaczęli wychodzić na ulice, zachęteni nieoczekiwaną poprawą pogody. Wesołe dźwięki młotów nożowników z ulicy Portaferriosa mieszały się z hałasem warsztatów garncarskich koło kościoła Świętego Sewera. Ulica serowników, Formatgeria, odzyskała swoje zwykłe zapachy, a z ulicy szklarzy, Vidriera, znów dochodził brzęk szkła. Wąskie uliczki kapeluszników, Sombrerers, i pościelarzy, Flassaders, wypełnił gwar rozmów, a ciszę, w którą się przyodziła na czas deszczu arystokratyczna, skamieniała ulica Moncada, ponownie zakłóciło skrzypienie wozów i nawoływania hałaśliwych przechodniów. Barcelona odzyskiwała swoją niepowtarzalną atmosferę, jakby cała jej aktywność ustała podczas deszczowych tygodni, a teraz wszyscy chcieli nadrobić przymusową beczynność.

Słoneczna pogoda przyniosła ochłodzenie, tak jakby zima cierpliwie czekała, aż ustaną jesienne ulewy, żeby się wprowadzić na dobre. Ludzie wyciągali ciepłe ubrania z szaf i kufrów i odruchowo zaczęli się garbić, z lęku przed chłodem. Życie toczyło się zwykłym rytmem: towary przybywały do portu, wieśniacy kursowali do miasta i z powrotem, subiecki w magazynach zbożowych przepędzali szczury i realizowali zamówienia, składy bławatne przygotowywały tkaniny na lato, żebracy wracali do swoich ulubionych stanowisk, w kościelnej kruchcie albo przed zakładem makaroniarza Roki przy ulicy Petritxol, w bardzo dobrym miejscu; adwokaci i plenipotenci wymyślali procesy, a lekarze zabijali chorych, bo przyszedł ich czas. Różaniec tysiąca dzwonów w mieście wznosił swoje modły do Boga, uprzedzając jednocześnie śmiertelników o upływie godzin świeckich i liturgicznych. Kanonik Pujals zadowolony wsłuchiwał się w dźwięk Tomasy z katedry (trzy uderzenia, cisza, dwa uderzenia, cisza, trzy uderzenia, pogrzeb kobiety), bo udało mu się wszystkich usadzić w sposób mniej więcej zadawalający w stallach i ławkach na dziękczynne Te Deum na koniec wieku. Sposób mniej więcej zadawalający nie oznaczał, że wszyscy byli zadowoleni, bo franciszkanki z Raval miały muchy w nosie; podobnie jak oficerowie z Kapitanatu. Pewnie się spodziewali, że im zarezerwują miejsce dla całego pułku. Nie wspominając o głośno wyrażanych pretensjach radcy Dalmau z ratusza. Wszystko to kosztowało go dużo zdrowia, jakby to on ponosił odpowiedzialność za to, że nawa katedry nie jest z gumy. A na dodatek wiem, że jak się skończy ceremonia, wszyscy będą wypinać pierś do orderów za doskonałą organizację, bo tacy są ludzie, a ksiądz biskup pierwszy. Ale gdyby tak, nie daj Boże, coś się nie udało (na przykład kanonik Cascante albo sam ksiądz biskup potknie się o nową komzę, zerwie się dzwon, zabraknie kadzidła, nie wystarczy dla wszystkich komunikantów albo mole zjedzą odświętne komeżki chórzystów i będziemy musieli pożyczać z kościoła Santa Maria albo, jeszcze gorzej, z Parafii Matki Bożej Sosnowej), wtedy wszyscy jego będą wytykać palcami i krytykować, ach, ten kanonik Pujals, to on zawinił. Tak więc życie płynęło w błogim spokoju. Andreu Perramon, gnijąc od środka i pokrywając się mchem na zewnątrz, otrzymał właśnie wiadomość od swojego jakże aktywnego adwokata, że nic się nie da zrobić. (Ale ja jej nie zabiłem.) Że nie można się odwoływać ani prosić o łaskę... (Ależ nie muszą mi niczego wybaczać! Ja jej nie zabiłem!) ...bo władze w tym wypadku okazały się nieubłagane. (Chyba zwariuję: ja nic nie zabiłem!) A do tego dochodzi znikoma, żeby nie powiedzieć żadna, współpraca ze

strony oskarżonego. (Niech cię szlag trafi.) Jednym słowem, w Barcelonie nic się nie działo. Wszystko szło własnym rytmem, jak błotnista woda, która spływała korytem Sant Miquel aż do Rambli, przypominając barcelończykom o niekończących się deszczowych tygodniach.

I znów zaczęło padać. Było to w dniu świętej Łucji, który w roku Pańskim tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym wypadł w piątek. Deszcz wrócił jak stary znajomy, bez zaproszenia, po południu, kiedy właśnie doña Marianna przekonywała swojego męża, że nie i nie, i to jest moje ostatnie słowo.

– Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz pójść na taką miłą kolację.

– Bo pułkownik Cobos jest mi całkowicie obojętny, a w tych dniach mamy w Bractwie mnóstwo roboty. I to jest Moje Ostatnie Słowo!

– Dużo roboty...

– A żebyś wiedział: dużo roboty. Cóż, zawsze cię kłuło w oczy, że Ja Jestem Ważną Personą w Bractwie Krwi.

– Skądże znowu, Marianno. Naprawdę... – Don Rafel nie wiedział, jak to wyrazić, że taka kombinacja wydaje mu się doskonała: on, z racji zawodowych, wysyła ludzi na szubienicę, a doña Marianna, ze względów religijnych, pociesza ich w ostatnich chwilach. Kombinacja byłaby idealna, gdyby kobiety mogły się znaleźć w pierwszych rzędach pocieszających. – Nie mów mi, że nie możesz wygospodarować paru godzin...

– Innego dnia chętnie. Ale w przyszły czwartek... to niemożliwe, Rafel. A ty dobrze wiesz dlaczego.

– Ja nie mogę się wymówić z tej kolacji – odpowiedział, podchodząc do okna. – O cholera, znów pada.

– Idź sam. Ja mam obowiązki w Bractwie.

Don Rafel patrzył na deszcz. Przeszły go nieprzyjemne ciarki. Tym razem darował sobie ripostę. Wraz z deszczem wróciła twarz Elviry, a z nią lęk, który drążył go coraz głębiej. Opanował się, aby wrócić do przerwanej rozmowy. Parsknął, zirytowany. Było mu obojętne, czy pójdzie z żoną, czy bez. Odwrotnie, bez niej łatwiej mu będzie się rozglądać za cudzymi żonami. Ale do szału doprowadzał go jej upór. W końcu będzie musiał iść sam, to nie podlegało kwestii, ponieważ doña Marianna w ich domu nie tylko miała Ostatnie, ale też Jedyne Liczące się Słowo. Co to dla niej, jakaś pożegnalna kolacja pułkownika Cobosa, co z tego, że jest adiutantem polowym Jego Ekscelencji Kapitana Generalnego, co z tego, że nowy awans wzywa go na dwór, że należy do jego tępej wojskowej głowy wbić dobre wspomnienie, na wypadek gdyby trzeba było kiedyś w przyszłości prosić go o jakąś przysługę, skoro ona, po stoczeniu prawdziwej batalii w Bractwie Krwi, zaplanowała sobie nocne czuwanie przed egzekucją skazańca, co jej tam jakieś kolacje czy inne bzdury. Ona miała ważne obowiązki na targowisku śmierci.

– I przyjmij do wiadomości, że za godzinę mam się stawić w więzieniu.

– Ty? – Jaśnie pan parsknął śmiechem.

– Więźniów pocieszać. Chorych nawiedzać – wyrecytowała. – Piąty i szósty uczynek miłosierdzia względem ciała. Czasem mam wrażenie, że w dzieciństwie nie nauczyli cię katechizmu. – Wymierzyła weń oskarżycielsko palec. – A w przyszły czwartek, choćbyś nie wiem jak się starał mi w tym przeszkodzić jakąś bezsensowną kolacją, Mam zamiar Spełnić Siódmy Uczynek Miłosierdzia.

– Siódmy? – zawahał się don Rafel. – O co chodzi w siódmym?

Ale doña Marianna, głęboko urażona jego ignorancją, na litość boską, żyje pod jednym dachem

z poganinem, zakręciła się na pięcie i już była w drzwiach salonu, jak zawsze wtedy, kiedy obrażona uciekała do swojego pokoju.

Strażnik podrapał się po nieogolonym policzku, patrząc z otwartymi ustami na chłopca; chyba chciał coś powiedzieć, ale nie miał odwagi. Stary, znużony, słabego zdrowia mężczyzna zamknął okienko w drzwiach i oddalił się ciemnym korytarzem, oświetlając sobie drogę chybotliwym światłem świecy. Od wielu lat wykonywał tę pracę, a przez to, że ciągle stykał się ze śmiercią, stał się wrażliwy na różne ludzkie sprawy. Bo też życie, podobnie jak miłość, było jednym z najbardziej zdumiewających ludzkich pragnień. I nienawiść. Nienawiść też ledwie się dało ogarnąć. Ten domorosły filozof zdumiewał się na widok starych, chorych i zniechęconych, którzy ze wszystkich sił chcieli umrzeć, a mimo to żyli nadal i nic nie zapowiadało ich rychłego końca. Obok tych uparciuchów podziwiał innych osadzonych w więzieniu – ci, mimo podłego, szurzego żywota, nie zamierzali się poddać; woleli to śmierdzące, wyświechtane, zgniłe życie w stanie rozkładu niż śmierć, będącą lekarstwem na wszystko. Ale najbardziej zdumiewały go przypadki takie jak ten chłopiec... Człowiek pełen życia, na mocy odgórnego decyzji z dnia na dzień stawał się chodzącą śmiercią, zgniłym, sztywnym trupem. Strażnik wrócił do wnetki, w której spędzał większość czasu, gdzie miał swój stolik, gdzie przyrządzał sobie posiłki, ciągle bijąc się z myślami, bo naprawdę ciężko jest znosić tak ponury żywot.

W dniu świętej Łucji, patronki niewidomych, zebrał się na odwagę i zapytał Perramona słuchaj no, słuchaj: zabiłeś ją czy nie zabiłeś? A Andreu zamiast odpowiedzi zwymiotował gotowaną rzepę prosto na talerz, co za obrzydliwość, i wycierając usta rękawem koszuli, spojrzął na niego z takim, cholera, wyrzutem, że strażnik natychmiast pożałował swojej ciekawości.

Dlatego kiedy korpulentny, czerwony na twarzy, brzuchaty, dożywotni konsyliarz Bractwa Krwi z Parafii Matki Bożej Sosnowej, ksiądz Pere Xicart, znalazł się na jego terenie, stary się przeraził, bo on o losie swoich gości dowiadywał się w sposób pośredni: jeśli nikt się więzieniem nie interesował, mógł gnić w tych ścianach, aż śmierć zechce wyświadczyć mu przysługę. Jeśli się stawił oficer, chodziło o uwolnienie, ale jeśli przychodził korpulentny, czerwony na twarzy, brzuchaty ksiądz Xicart, wiadomo było, że za nim wędrują sępy z Bractwa Krwi. Zła wróżba. Stolarz już pewnie zbijał deski na placu Santa Maria.

Strażnik nie wiedział, że dożywotni konsyliarz Bractwa Krwi musiał walczyć jak tygrys z żoną cywilnego prezesa, uchowaj nas przed nim Boże. Podobno ta dama, powodowana źle rozumianą pobożnością, uparła się przy funkcji zarezerwowanej dla mężczyzny i chciała towarzyszyć skazańcowi w kulminacyjnym momencie, co nawet za którymś tam razem, mimo rutyny, zawsze robi wrażenie, szkoda gadać. A poza tym duchowe wsparcie było zarezerwowane dla konsyliarza na mocy regulaminu Bractwa (rozdział drugi, paragraf czwarty). Doña Marianna, której skrytym marzeniem stało się dotknięcie z bliska szubienicznego mięsa, musiała się zadowolić mglistą obietnicą, że w przyszłości statut zostanie zmieniony, na co parę dni temu dał jej słowo honoru przełożony kongregacji. A ponieważ ostatecznie zrezygnowała z szukania protekcji u swojego męża, uzyskała przywilej wystąpienia na czele procesji w dniu egzekucji, mimo że była kobietą. Taki przywilej to rzecz nie do pogardzenia, prawda? I jeśli ktoś w tej sytuacji nadal nie czułby się usatysfakcjonowany, to chyba tylko po to, żeby szukać dziury w całym, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że doña Marianna już obmyśliła nowy habit, specjalnie dla kobiet, z krzyżem nie na ramieniu, ale na piersiach; jestem pewna, że mężczyźni wkrótce pójdą naszym śladem, wyobraźcie sobie trzydzieścioro członków Bractwa w procesji, każdy z czerwonym krzyżem na piersi, co

za widowisko.

Strażnik wpuścił korpulentnego kapelana do celi i stanął przy drzwiach, jakby się obawiał zostawić Andreu sam na sam z tym sępem o twarzy niewiniątka.

– Synu, pogódź się z losem. Pozostaje nam teraz złożyć wszystko w ręce Najwyższego, bo mamy jeszcze czas, aby zbawić naszą duszę. – Położył mu rękę na ramieniu. Andreu nie zadał sobie trudu, żeby się podnieść.

– Ja jej nie zabiłem. Chcę zobaczyć się z ojcem... Dlaczego nie mogę porozmawiać z moim ojcem?

– Najwyższy czas uporządkować sprawy duszy, mój synu.

– Precz stąd.

– Co powiedziałaś, synu?

– Powiedziałem, żeby ksiądz się ode mnie odpięprzył. Będę rozmawiać tylko z kimś, kto zechce mnie bronić.

W czasie gdy w celi toczyła się ta budująca rozmowa, a strażnik ukryty w cieniu trzymał wartę przed przegniłymi drzwiami, nagle światło rozjaśniło ten wilgotny i zawsze ciemny kąt, a w ślad za światłem pojawił się zasapany Joan Terricabres (tytułarny kapelan więzienia przy placu Blat, od dziesięciu lat na stałej posadzie, szczytujący się pięćdziesięciu siedmiu skazanymi, z czego należało odjąć sześciu zatwardziały, i teraz ten Perramon, za bardzo uparty, jak na mój gust). Ksiądz Joana Terricabresa ogarnął iście biblijny gniew i nie potrafił go ukryć przed nędznym strażnikiem.

– To ksiądz Xicart z Bractwa? – Wskazał drzwi celi Andreu.

– Tak, proszę księdza.

– Czemu go wpuściłeś?

– Proszę księdza... Skąd mogłem wiedzieć... Ma zgodę naczelnika...

– Och, naczelnik, naczelnik... Co ty mi tu opowiadasz, on tu pilnuje własnych interesów.

– Skąd mogłem wiedzieć, proszę księdza...

– Skąd mogłeś wiedzieć? A kto jest kapelanem więziennym? Do kogo w tych czterech ścianach należy opieka duszpasterska? Co?

Ksiądz Terricabres próbował się opanować, bo wyładowywanie gniewu na tym nic nieznaczącym strażniku nie miało sensu. Znów wskazał drzwi z groźnym uśmiechem.

– Ksiądz Xicart? – powtórzył.

– Tak, proszę księdza.

– Cholera. Teraz już nawet nie uznają za stosowne zawiadomić. Uważają, że to oni rządzą w więzieniu... – Podniecił się własnymi słowami. – Jeśli nikt ich nie powstrzyma...

Ksiądz Terricabres popatrzył na strażnika, na jego twarz bez wyrazu i zaraz się zreflektował. Do kogo ja mówię. Gwałtownie odwrócił się na pięcie i szybko się oddalił korytarzem, zabierając ze sobą światło, swoje oburzenie i przekleństwa, jakimi podsumował to naruszenie kompetencji, a strażnik wrócił na swoje miejsce pod drzwiami celi. Nie chciał się przed sobą przyznać, pod żadnym pozorem, że bliska perspektywa nocnego czuwania przed egzekucją chwytiała go za serce i skłaniała do łez. O ile na jednym czuwaniu się skończy, bo żołnierze mówili, że koniec tego Holendra od prostytutek, Hansa czy jak mu tam, też już bliski.

Usłyszał jakieś chrobotanie pod drzwiami. Okienko się otworzyło. Andreu dostrzegł światło, ale nie towarzyszyły mu zmęczone oczy strażnika, tylko jakieś inne, niespokojne, nieznajome spojrzenie.

– Nic nie widać – odezwał się sopran z pretensją w głosie.

Oczy zniknęły i okienko zatrasnęło się z głuchym łoskotem. Usłyszał szcęk klucza w zamku i strażnik podszedł ze swoją pełgającą świecą aż do kraty.

– Przykro mi, chłopcze – powiedział i podniósł świecę, umieszczając ją między prętami, żeby rzuciła światło na więźnia. Sam odsunął się na bok. Andreu wstał z nadzieją i zmrużył oczy. Zza kraty dwie ciemno ubrane damy wpatrywały się w niego tak intensywnie, że aż otwały usta.

– Jaki młody... – wyszeptala jedna z nich, cały czas obserwując Andreu.

– Tak. Bardzo młody – szepnęła druga, przełykając ślinę.

Andreu im się przyglądał, po czym rzucił okiem na strażnika i kiedy już miał zapytać, czy te panie przyszły, żeby mi pomóc, strażnik cofnął rękę ze świecą.

– Wystarczy, szanowne panie. Nie można tu długo stać.

Zamknął drzwi bez słowa wyjaśnienia. Obie kobiety zastygły w bezruchu, ciężko dysząc. Doña Marianna czekała, aż jej ubranie nasiąknie tym więziennym smrodem mieszaniny wilgoci, ciemności, brudu, swądu przypalonego wosku, nędzy, szczurów, przegniłej słomy, potu i moczu, bezużytecznej spermy, śliny, lęku i chłodu. Wcześniej, wchodząc do więziennego korytarza, musiała się oprzeć o donię Rosalię, bo zaduch był tak silny, że zebrało się jej na wymioty. Ale później się oswoiła, jak zawsze, kiedy nawiedzała skazańców. Za nic w świecie nie okazałaby słabości przed donią Rosalią. Co by sobie tamta pomyślała. I co mogłaby powiedzieć. Powoli przyzwyczajała się do smrodu i teraz, kiedy drzwi celi zostały zamknięte, wdychała całą tę nędzę, o mój Boże, energicznie wciągała powietrze w płuca, a tymczasem w głowie zapisywała obraz tamtego młodego, młodziutkiego chłopca, przystojnego, pełnego życia, który od dziś za tydzień, o Matko Boska, będzie martwy jak kamień, biedne dziecko. Kiedy już się upewniła, że ten straszny obraz utrwalił się w jej pamięci na tyle, że będzie pomocny w modlitwie, doña Marianna, korzystając z pierwszeństwa, jakie jej przysługiwało ze względu na rangę w hierarchii brackiej, wsadziła dłoń do sakiewki i wyciągnęła monetę.

– To dla ciebie. Zasłużyłeś sobie – powiedziała oschłym tonem, wkładając monetę do wyciągniętej ręki starego.

– Dziękuję pani.

– A teraz idziemy do Niemca.

– To Holender, szanowna pani.

– Wszystko jedno. Ma na imię Hans, prawda?

– Tak, proszę pani. Ale nie można go oglądać. To bardzo nieprzyjemny widok.

Doña Marianna znów otworzyła sakiewkę. Teraz wyciągnęła od razu dwie monety. Strażnik uznał, że warto rzecz przemyśleć, co nie uszło uwadze damy.

– Dlaczego nieprzyjemny widok?

– Wygląda jak... dzikie zwierzę. Jest bardzo brudny. I nagi...

Dreszcz, jaki przebiegł po karku obu dam, pozostał niezauważony, jedna nigdy nie przyznałaby się przed drugą. Doña Rosalia ograniczyła się tylko do dołożenia kolejnych dwóch monet do zamyślanej ręki strażnika.

– Jak sobie panie życzą... Tędy proszę.

Przeszli wzdłuż korytarza do drugiej ciemnej niszy. Stary powtórzył po raz kolejny wszystkie rutynowe czynności przy drzwiach i kiedy uniósł świecę, damy z Bractwa Krwi zobaczyły zwinięte

w kłębek ciała i długie, jasne włosy słynnego Hansa, który gdy tylko się zorientował, kto na niego patrzy, rozłożył nogi, by zademonstrować z dumą coś, co mogło wywołać skandal, i wymamrotał po holendersku tak niewyraźnie, że chyba sam siebie nie rozumiał chodźcie tu, dziwki, jak macie ochotę, to wam popieszczę cipki kutasem, jeśli mi jeszcze stanie. A kiedy zaczął się onanizować, przechodząc od słów do czynów, strażnik stwierdził no, tego już za wiele, potem nie da mi spać, będzie krzyczał całą noc, i cofnął świecę. Obie kobiety stojące w korytarzu potrzebowały dłuższej chwili, żeby się otrząsnąć z wrażenia. Oczy świeciły im żywym blaskiem w słabym świetle świecy.

– Panie będą uprzejme...

Poszły za nim bez protestu, oszołomione. W głowie doñi Marianny mieszały się teraz obsceniczne gesty cudzoziemca z zagubionym spojrzeniem młodzieńca, który wyglądał na dobrze wychowanego, biedaczek, i uznała, że tak, faktycznie, świadczenie uczynków miłosiernych, wymaganych przez Kościół święty, naszą matkę, czasem jest bardzo trudne. Bogu na chwałę.

Popołudnie okazało się nieudane; ani doña Gaietana nie zdecydowała się pojawić w swoim pokoju i pozbyć się nadmiaru odzieży przed zachłannym teleskopem jaśnie pana, ani twarz Elviry (już to zapłakana, to znów uśmiechnięta, z przerażonymi, szeroko otwartymi oczami) nie przestała prześladować don Rafela, którego teraz już bezustannie dręczył ukryty w głębi wyrzut sumienia. Don Rafel zasiadł za biurkiem, bez chęci do pracy, nastawiając się na kolejny nudny wieczór, ach, Elvireto, czemu cię nie ma. Spojrzał na swój portret i uśmiechnął się smutno. To dobry obraz, dobrze namalowany, Tremulles to wielki malarz, ale coraz mniej się utożsamiał z tamtym don Rafelem, przedstawionym na płótnie, władczym i aroganckim, z ironicznym błyskiem w oku... Owszem, miał władzę, wpływy, bogactwo, budził zawiść. Ale ciężko mu było brnąć przed siebie: sprawowanie władzy od pierwszego dnia przysporzyło mu szereg wrogów, ukrytych za fałszywymi uśmiechami i ukłonami, wzdłuż sądowych korytarzy. A on, spoglądając z arogancką, nowobogacką pogardą na tych, którzy dziś nadal pozostają tak biedni, jak on był jeszcze wczoraj, sam się przyczynił do pogłębienia tej zawiści. A w dodatku cały czas istniało prawdopodobieństwo, że Kapitan Generalny spróbuje się go pozbyć, bo chodzą słuchy, że bardzo mu zależy na pozbawieniu mnie stanowiska, zanim on sam zostanie odwołany. No, ale to wszystko głupstwo w porównaniu z nowym zagrożeniem. Don Rafela od wielu dni dławił strach i tylko jedno go interesowało, o mój Boże, kiedy wreszcie powieszą tego Perramona, żebym mógł żyć spokojnie. Ta myśl nie opuszczała go od dłuższego czasu; stała się obsesją uniemożliwiającą snucie marzeń o nieosiągalnej doñi Gaietanie. A pod jedną myślą kryła się druga – niechby wreszcie Setúbal zniknął mi z oczu. O mój Boże, jak ciężko jest żyć.

Don Rafel westchnął i sięgnął po *Traktat o podstawach obserwacji nieba* Dalmasesa. Książka otworzyła się na stronie poświęconej konstelacji Oriona. Już od paru dni nie rozstawał się z tym dziełem, bo ostatnie pogodne noce spędził w ogrodzie, obok ukwieconych klombów, obserwując niebo, jakby było moją ukochaną doñą Gaietaną, spacerując między nieszczęsnymi, ściganymi Plejadami, wypatrując Byka, ich obrońcy. Stracił dużo czasu na obserwację Aldebarana, dumnej, mitycznej kozy, żeby wyciągnąć od niej jakiś sekret. Z dużym zainteresowaniem przeczytał w książce Dalmasesa opis odkryć Messiera, który śledząc na niebie komety, znalazł dziwny, trudny do zakwalifikowania obiekt, w pobliżu Zeta Tauris. Nie wiedząc, co z nim zrobić, ochrzcił go mało poetyczną nazwą M-1. Z perspektywy don Rafela, dysponującego dość prymitywnym teleskopem, ten dziwny obiekt, nieznaną mgławicą, miał kształt rozprysniętej kropli czy, jak się dobrze przyjrzeć, raka. Jak to możliwe, że na niebie mieściło się tyle

różnych form inspirujących do snucia tyłu niesamowitych historii, czytelnych tylko dla nielicznego grona wybrańców? Don Rafel nie miał solidnego przygotowania, ale godziny spędzone na obserwacji przy kwietnym klombie w ogrodzie uruchomiły jego wyobraźnię i już umiał bez pomocy rozpoznawać asteryzmy na niebie. Nawet więcej: potrafił wzbogacić je wymyślanymi przez siebie historiami. Wystarczyło mu spojrzeć na Bliźnięta lub na gwiazdozbiór Wężownika, by zobaczyć przenikliwe, pytające spojrzenie ciemnych oczu Elviry, której nigdy do końca nie zrozumiał.

Najbardziej w wywodach Dalmasesa interesowało go to, co pobudzało wyobraźnię. Że w konstelacji Oriona można zobaczyć nieuzbrojonym okiem sto dwadzieścia pięć gwiazd? On zobaczył sto sześćdziesiąt. Że Betelgeza jest czerwona, a Rigel i Bellatrix, wojowniczką, są błękitne? Tak. I co z tego? Mintaka, Alnilam i Alnitak, popularnie zwane trzema Mariami w Pasie Oriona, też są błękitne. Doktor Dalmases pisał, że według Herschla Alnilam, epsilon Orionis to samotny gigant, ale jej towarzyszyki, Mintaka i Alnitak, nie są tym, czym się wydają: tworzą układ wielokrotny. Jednakże on tego nie mógł sprawdzić, posługując się swoim teleskopem. Istniało jeszcze wiele rzeczy, o których nie mieli pojęcia ani don Rafel, ani doktor Dalmases, ani Herschel, ani Messier, jak choćby to, że Orion jest rzeczywistym zespołem, bez deformacji perspektywicznej, położonym w odległości tysiąca trzystu lat świetlnych od ogrodu don Rafela, z wyjątkiem Ibt-al-jauzà, gwiazdy giganta, alfa Orionis, Betelgezy, czerwonego zmiennego nadolbrzyma, która na wieczność ulokowała się między klombem z zimowymi begoniami w ogrodzie don Rafela i resztą konstelacji. Don Rafel nie wiedział, że Ibt-al-jauzà była w odległości zaledwie czterystu sześćdziesięciu lat świetlnych, dosłownie na wyciągnięcie ręki. Nie wiedział też, że półtora wieku później Ambarcumian określi wiek Trapezu w Wielkiej Mgławicy na zaledwie czterysta tysięcy lat. To wszystko niewiele obchodziło jaśnie pana. On wolał puścić wodze fantazji i wyobrażać sobie życie pięknego Oriona, który dzięki ojcu, Posejdonowi, posiadał umiejętność chodzenia po wodzie. Don Rafela oszałamiała mnogość legend opisujących życie dzielnego myśliwego. Wszystkie miały swój urok. Mówi się, że zakochała się w nim Eos, jutrzienka (kiedy pojawia się na wschodzie, Orion spoczywa obok jutrzienki...) i zazdrosna Artemida uśmierciła go za pomocą skorpiona. Zarówno skorpion, jak i myśliwy zostali uwiecznieni na zawsze na niebie. Ale don Rafelowi bardziej podobała się inna legenda: Orion, szlachetny i piękny myśliwy, w towarzystwie swego psa Syriusza, gonił Plejady, które stałyby się jego ofiarami, gdyby nie Byk. Bronił się przed nim czymś w rodzaju maczugi, rozciągającej się od gwiazd Mi i Ni Orionis, która ciągnie się w kierunku północnym. No więc Artemida, siostra Apolla, dziewica z zasadami, wiecznie młoda bogini czystości, ta piękna i okrutna Artemida zakochała się w uroczym myśliwym Orionie i Apollo, oburzony słabością swojej siostry, zaprosił ją do zawodów w strzelaniu do celu z łuku. „Widzisz ten punkt na horyzoncie?”, zapytał. „Założę się, że nie trafisz”. A ona wycelowała, wypuściła strzałę z łuku i trafiła. Prosto w głowę ukochanego Oriona, który po śmierci wstąpił na nieboskłon. Co za rozkosz wyobrazić sobie płacz Artemidy, kiedy się dowiaduje, że zabiła ukochanego! Musiał to być lament porównywalny tylko z cierpieniem Orfeusza po utracie Eurydyki (Che farò senza Euridice!... śpiewał Herr Gluck) czy z rozpaczą Ariadny, gdy rano obudziła się na plaży i stwierdziła, że jej ukochany Tezeusz uciekł. Och, nie ma to jak legendy o miłości, wzruszył się don Rafel. Nic nie mógł na to poradzić, że miał takie czułe serce. Wszystkie opowieści mu się podobały, a było jeszcze więcej wersji dramatycznych dziejów Oriona. Według jednej z nich, bardzo ładnej, to Orion napastował Artemidę, wieczną dziewicę, a ta, w gniewie, zabiła go, nasyłając na niego skorpiona. Och, okrutna Artemido, o moja Gaietano, która mnie trzymasz na dystans teleskopu!

Don Rafel zamknął książkę tak gwałtownie, że jego westchnienie uwięzło na dobre między jej kartkami. Jakby to było dobrze żyć w pokoju, pomyślał. Jak dobrze byłoby obudzić się i słyszeć tylko śpiew ptaków, z perspektywą obfitego śniadania. Jak dobrze byłoby spokojnie przespać noc... Mieć w zasięgu wszystkie kobiety świata, o moja Gaietano. Nie musieć myśleć o Elvirze i o Setúbalu. Ale życie ułożyło się inaczej. Don Rafel Massó i Pujades, cywilny prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie, opływał w zaszczyty, pieniądze, zawiść, jadowite uśmiechy, łapówki, ukłony, prośby o pomoc, naciski z góry, ważniejsze niż rozkazy, przeczucia, że może stracić urząd, który zawsze wisiał na włosku, plotki, nudę (dłużyły mu się wieczory bez Elviry, nudziły go gry salonowe), samotność, samotność, samotność. Był sam jak palec. Ciężka mu wiedza, że swoim sprytem osiągnął pozycję osoby, która stała się przedmiotem największej zawiści, ale też najbardziej oczernianej. I na pewno najbardziej znienawidzonej, tuż za Kapitanem Generalnym. Tak przypuszczał.

Podniósł się z krzesła z głową pełną czarnych myśli. „Tę noc spędzę w ogrodzie”, postanowił, nie biorąc pod uwagę pogody. „Znów będę podróżował po niebie, tak jak wczoraj i przedwczoraj”. Podszedł do balkonu i odsunął firankę z gazy. Znów padał deszcz i niebo skromnie przykryło się po sam nos prześcieradłem z chmur.

– Gówno – podsumował jaśnie pan.

Fraga, 13 grudnia 1799 roku

Ach, te koleje losu, mój drogi Andreu! Dziś, dwa tygodnie po wypadku, można uznać, że już odzyskuję formę. Wyobrażam sobie, jaką robisz minę, czytając: Fraga? Wypadek? Postaram się wyjaśnić Ci wszystko po kolei. Żeby ująć to krótko i dosadnie, należałoby powiedzieć, że jestem chory z miłości. Albo, jeśli wolisz, jestem miłosnym rekonwalescentem... Pamiętasz mój ostatni list? Pisałem go w Candasnos. Ach, Candasnos! Pamiętasz, jak Ci wspominałem, że najlepszy moment, by wyruszyć na poszukiwanie ukrytej na strychu tajemniczej piękności tego domu przyjdzie, kiedy wszyscy będą pogrążeni we śnie? No więc, na moje nieszczęście, jak pomyślałem, tak zrobiłem. I tu zaczęły się problemy. Ale kto mógł przypuszczać? Cierpliwie odczekałem, aż cały dom zaśnie. Oświetlając sobie drogę wątlym światłem świeczki, wyszedłem do czegoś w rodzaju sieni, skąd prowadziły schody na strych. Tutaj wszystko się buduje z kamienia albo z cegły, bo nie mają drewna. Czyli że nawet schody na strych nie były drewniane! Tak więc nie istniało ryzyko żadnego niefortunnego skrzypnięcia: poruszałem się cicho jak cień, o bogowie! Drzwi na strych ktoś zostawił uchylone. Otworzyłem i zobaczyłem w głębi, w świetle podobnej do mojej świeczki, dziewczynę w wieku... ile bym jej dał? Piętnaście? Tak, piętnastoletnią. Cera ciemna, delikatna, włosy czarne, kręcone, krótkie; piegowata, ale z żywym spojrzeniem i świeżutka jak róża o poranku. Wszystko objąłem wzrokiem, drogi Andreu, w jednej chwili. Ale to wystarczyło, by zachować żywy obraz, by go później odtworzyć, i to właśnie robię, przyjacielu: to czysta literatura. Nikt, chyba tylko śmierć, nie odbierze mi słodkiego wspomnienia brunetki z Candasnos. Wiesz, że przez parę sekund miałem wrażenie, że ta bezimienna ciemnowłosa dziewczina mnie oczekuje? Że żywość jej spojrzenia wynikała z pożądania wywołanego obecnością pod jednym dachem mężczyzny, którego głos słyszała, kiedy rozmawiał, a nawet coś tam zaśpiewał przy gitarze? Ile skojarzeń może wywołać przeżycie trwające chwilę! Powiem Ci, wszystko mi jedno, czy ta tajemnicza kobieta wpatrywała się w drzwi, czekając na innego kochanka albo na szklanek mleka z ręki matki, i tak zachowałem na wieczność tę miłosną historię i więcej mi do szczęścia nie trzeba.

Ale szczęście ma swoją cenę, Andreu, przyjacielu. Kiedy już chciałem otworzyć usta, by powiedzieć witaj, kochana Penelopo, jak ci na imię? usłyszałem za sobą szelest. Nie mogłem się odwrócić: tysiące wściekłych ramion zaatakowało mnie jak potwór Laokoona, zrzuciło mnie ze schodów, nie szczędząc kopniaków, ciosów, przekleństw i złorzeczeń. Czy to był podstęp? Usłyszeli mnie przypadkiem? Urządzili zasadzkę? Nigdy się tego nie dowiem. Prawda jest taka, że kiedy znalazłem się na dole, miałem złamane dwa żebra, roztrzaskaną kość jednej ręki, nadwerżoną godność, siniaki na całym ciele i oczy podbite kułakami. Spędziłem straszną noc (ach, ten żołnierski honor), nie prosząc nikogo o pomoc. Nazajutrz, kiedy przyszedł mój adiutant i zobaczył na mojej skórze wszystkie kolory tęczy, wezwano lekarza, by mnie dokładnie obejrzał. Oceniał, że w tym stanie nie nadaję się do służby, i odesłali mnie do Fragi, abym doszedł do siebie. Pułkownik, chwala mu za to, nie czepiał się i uznał, że przytrafiło mi się wyjątkowo pechowe potknięcie i upadek ze schodów, z opłakany skutkiem, ale

cóż, zdarza się, jak to w życiu. Nie wszczęto żadnego śledztwa; nie było żadnych przesłuchań w tej sprawie, nikt nie miał z tego powodu przykrości; nikogo nie interesował kąt nachylenia schodów ani liczba stopni. Doskonale. Wszystko ułożyło się po mojej myśli, bo rola, jaką odegrała w tej sprawie urocza czarnulka o wyzywającym spojrzeniu, z piegowatą buzią i lokami, pozostała moją słodką tajemnicą.

Oto cała prawda, mój Andreu. Od dwóch tygodni jestem miłośnym rekonwalescentem. Doktor, który się mną opiekuje i odwiedza mnie co dwa–trzy dni, twierdzi, że będę jak nowy. A kiedy już się z tego całkiem wyliżę, będę musiał się stawić w Lleidzie, w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Teraz, kiedy do Ciebie piszę, mam takie dziwne, niesłychane wrażenie, zupełnie jakbym nie był w wojsku, że jestem poza kontrolą. To znaczy, gdyby ktokolwiek mnie szukał, to mnie po prostu nie ma. Nikt nie wie, gdzie jestem. A tych dobrych ludzi, którzy wiedzą, moich gospodarzy, nic a nic nie obchodzę. Teraz wiesz jeszcze Ty, że jestem we Fradze, oglądając chmury i mgłę za oknem domu, w którym mnie goszczą za parę groszy. Wiesz, że znów rozpadało się na dobre? Odwiedza mnie tylko lekarz, bardzo skuteczny, ale niezbyt rozmowny. W tym domu, na szczęście dla mnie, nie ma żadnej kochliwej dziewczyny. Zabijam czas, komponując dużo muzyki, i myślę o bezimiennej Penelopie, o czarnulce, albo o mojej, z każdym dniem coraz bardziej mojej, jasnowłosej Rosie, córce mgły z Calafu. Życzę Ci szczęścia, Andreu, a przede wszystkim: zakochaj się.

Twój przyjaciel Nando

Następnego dnia po Zaduszkach Galana, skulona pod workiem, jej ochroną przed deszczem, przysłała do domu Peric o tej samej co zawsze porze, zastanawiając się, jak spędził noc biedny pan Ciset, tak mi go żal, musiał być bardzo przywiązany do pani. Ona mu proponowała, żeby ten pierwszy raz zanocewał gdzieś poza domem, u kogokolwiek, a on nie i nie, uparł się, że zostanie u siebie, żeby odprawiać żałobę po Remei, teraz, parę godzin po tym, jak zabrano ją na cmentarz, ten na górze, a w domu mogło jeszcze pozostać gdzieś głęboko w ścianach trochę jej ciepła. Nawet koszuli, której pani nie dokończyła cerować, nie pozwolił dotknąć. Wedle życzenia, pomyślała Galana, ale jakie to smutne. I co im teraz po pieniądzach, jeżeli faktycznie je mają. To ich tajemnica.

Galana weszła do domu Peric tak jak codziennie, ze słowami niech będzie pochwalony, pamiętając, że pani Remei jej odpowiadała, dzień dobry, Galano. Ale zamiast dzień dobry, Galano, usłyszała złowieszczy kaszel pana Ciseta, znak, że jeszcze żył, że przetrwał tę pierwszą noc bez pani Remei, że nie umarł, jak zapowiadał, kiedy wyrwał jej koszulę z igłą pozostawioną przez żonę i powiedział Galano, ma zostać tak jak było, aż do mojej śmierci, obym umarł jeszcze tej nocy. Na co ona, panie Ciset, nie można tak mówić, a on przytulił cerowaną koszulę do piersi i zamiast jej odpowiedzieć, zaczął kaszleć. Teraz Galana ściągnęła z głowy worek, chroniący ją przed deszczem, otrzepała go z wody i nie dodając nic więcej do pozostawionego bez odpowiedzi chrześcijańskiego pozdrowienia, weszła po schodach do sypialni i zobaczyła go siedzącego na łóżku, już bez pani Remei, z kocem narzuconym na plecy, wpatrującego się z absurdalnym zainteresowaniem w grudkę stopionego, zimnego wosku na lichtarzu. Ponieważ się nie poruszył, Galana zdała sobie sprawę, że jej nie usłyszał, i kaszlnęła dyskretnie, by zwrócić na siebie uwagę. Dzień dobry, panie Ciset, powiedziała. A Ciset podniósł głowę i spojrzał na nią zdziwiony. Minęła chwila, zanim zareagował, a kiedy chciał się do niej odezwać, znów miał atak kaszlu i wypluwał kawałki duszy przez usta, a jego twarz kurczyła się z wysiłku. Galana pomyślała biedny człowiek.

Ciset podniósł się powoli i podszedł do drzwi sypialni. Dzień dobry, pozdrowił ją. I przyszło mu do głowy, że mimo naprawdę ciężkiej nocy, w tej chwili zaczynało się najgorsze, i przerażenie go ogarnęło na myśl, że trzeba będzie stawić czoło długiej serii nieznanych dni i nocy. Będą się snuły jedne za drugimi, bez przerwy, bez Remei, z tamtym plaf! w głowie. Aż nadejdzie ostatni dzień, oby jak najszybciej, o mój Boże, a wtedy ulotni się to plaf z mojej duszy.

Dzień dobry, powtórzył. I zaczął schodzić po schodach, nie wiedząc jeszcze, w jakim celu. Kiedy go Galana zapytała, jak pan się dzisiaj czuje, panie Ciset, on się zatrzymał i odwrócił w jej stronę. Nic nie powiedział, ale w jego dziwnym spojrzeniu dało się wyczytać, że już podjął decyzję, że był jakiś pożytek z nocy spędzonej na czuwaniu, że nic go nie cofnie z drogi, którą sobie wyznaczył, bez względu na konsekwencje, teraz, kiedy już nie musiał się obawiać, że ktoś może zrobić krzywdę Remei. O sobie się nie martwił, już i tak był prawie martwy, już był nikim. To wszystko próbował jej przekazać spojrzeniem, zanim skierował się do kuchni, ale Galana nic z tego nie rozumiała.

Wiadomość o bliskim terminie wykonania wyroku po odrzuceniu wniosku o ułaskawienie przyniósł rodzinie Andreu umyślny wysłany przez obrońcę. Mistrz Perramon i Teresa oszołomieni, przerażeni, z bijącym sercem stawili się przed bramą więzienia w absurdalnej, bo nieprzewidzianej przez prawo nadziei, że naczelnik pozwoli im na widzenie ze skazańcem. Nie dostąpili nawet widzenia z naczelnikiem. Kiedy wracali jak niepyszni, zanim jeszcze zdążyli wdepnąć w czarne, śmierdzące błoto stromej uliczki, którą zamierzali wspinać się pod górę, wartownik kiwnął na Teresę i powiedział jej na ucho:

– Wejdźcie przez ulicę Tapineria. Drugi dom. Koło siódmej, gdy będzie ciemno.

O siódmej wieczorem, po zmroku, Teresa i mistrz Perramon jak tonący brzytwy chwycili za kłamkę drugiego domu przy ulicy Tapineria. Otworzyła im bez słowa jakaś kudłata baba. Mistrz Perramon zaczął się mętnie tłumaczyć, że powiedziano mu, żeby tu zapukać, ponieważ... żeby zobaczyć syna, jutro go mają powiesić. Kobieta wpuściła ich do środka i spod kudłatej grzywy padły słowa:

– Pięćdziesiąt reali. I dziesięć dla wartownika. Będziecie mieli kwadrans.

– Teraz?

– Tak. Teraz.

Mistrz Perramon zapłacił, ile kazała. Serce waliło mu jak młotem i nie mógł się doczekać, kiedy kobieta przy chybotliwym świetle świecy skończy liczyć monety.

– Zgadza się – usłyszeli głos spod kudłów. – Teraz macie czekać.

Czekali nie wiadomo na co w ciemnej sieni, gdzie ich zostawiła. Kiedy już byli przekonani, że świat o nich zapomniał i na zawsze zostaną w tym kącie śmierdzącym gotowaną kapustą, otworzyły się drzwi i z ulicy wszedł do domu jakiś zasapany cień, który wpadł prosto na nich.

– Szlag by to trafił – wymamrotał przez zęby strażnik, natrafiając w ciemnościach na mistrza Perramona. Z głębi mieszkania wyłonił się chybotliwy płomyk świecy w rękach kobiety i mężczyzna w lot zrozumiał w czym rzecz.

– Kogo chcecie zobaczyć?

– Mojego syna. – Drżącym głosem. – Andreu.

– Aha... – Strażnik pytająco spojrział na żonę. Ta mrugnęła porozumiewawczo, a wtedy dodał: – Dobrze... Ale tylko dziesięć minut, ryzykuję życie.

– Przedtem była mowa o kwadransie – upomniała się Teresa.

– Jeśli chcecie go zobaczyć, chodźcie za mną...

Ku ich zaskoczeniu, strażnik poprowadził ich w głąb domu. Kiedy stanęli przed podziurawionymi przez korniki drzwiami, przekreślił klucz pozostawiony w zamku. Wziął świecę z rąk kobiety.

– Chodźcie za mną – powtórzył.

Znaleźli się w czymś w rodzaju korytarza wykutego w skale, a może w starożytnych murach. Pokonali kolejnych troje drzwi, otwierających się na podobne korytarze, puste i ciemne.

– To część starego więzienia. Tu są dziury. Widzicie? – Schylili się i dostrzegli w ziemi otwory, zabezpieczone kratami. – Tu macie czekać – nakazał stary.

Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, zniknął tą samą drogą, którą przyszli, zabierając ze sobą światło. Czekali w ciemnościach, nie mając żadnego punktu odniesienia w całkowitej, rozpaczliwej samotności. Teresa zaczęła płakać. Mistrz Perramon chciał ją pocieszyć, ale w głowie miał pustkę,

zresztą on sam też płakał pod osłoną mroku.

Minęło dużo czasu, zanim ich oczy zaczęły dostrzegać słabe światło, dochodzące z tych zakratowanych otworów pod ich stopami. Pochylili się oboje. Zobaczyli poniżej wartownika, który dał im adres, uzbrojonego jak na służbie, a za nim strażnika. Ten podniósł do góry świecznik, a jednocześnie ustawił w środku pomieszczenia jakąś wynędzniałą postać spoglądającą w ich stronę.

– Andreu? – upewnił się mistrz Perramon.

– Ojciec...

– Witaj, Andreu. To ja, Teresa.

– Witaj... Nie widzę was...

– Andreu... Kocham cię.

– Jutro mnie zabiją.

– Nie myśl o tym. Módl się.

– Dziękuję, że przyszliście mnie odwiedzić... Czułem się taki samotny.

Andreu z uniesioną głową próbował coś dostrzec w otworze na suficie. Zobaczył palce zaciśnięte na pręcie.

– Czyja to ręka? – zapytał.

– Moja – odpowiedziała Teresa.

– Mogłabyś poruszyć palcami... O tak... Tak się cieszę, że przyszliście...

Przez moment nikt się nie odzywał. Teresa z niemal świętym namaszczeniem poruszała ręką, a spragnione oczy Andreu, ukryte za światłem kinkietu, napawały się tym ruchem. Nie chciał zakłócić słowami magicznego momentu, dlatego się nie odzywał. W jednej chwili przemknęło mu przez myśl wiele rzeczy: teraz sobie uświadomił, że kochał tę dziewczynę, która z miłością machała do niego ręką; że cierpiał z powodu ojca, biedny człowiek, musi to ciężko przeżywać. To mniej więcej znaczyło milczenie Andreu, a towarzyszyło mu kilka łez wzruszenia, że już nie jest taki samotny. Tamci na górze słyszeli tylko nierówny oddech, bo płynących wolno łez nie dało się dostrzec.

– Synu... – przerwał milczenie mistrz Perramon. – Robię, co mogę... Chodziłem do władz... Wysłałem wiadomość do Nanda... Dziś na poczcie powiedzieli mi, że nie sposób go odnaleźć. Że nikt nie wie, gdzie go szukać.

– Ja tego nie zrobiłem. Nando wie: spędziłem noc w jego towarzystwie, razem spacerowaliśmy. On może zaświadczyć! Słyszycie? Sprowadźcie go!

Pomiędzy pręty wpadła łza Teresy, ale Andreu jej nie dostrzegł.

– Wiemy, że tego nie zrobiłeś. Ale nie możemy znaleźć Nanda, synu. Gdzieś przepadł. Zapadł się pod ziemię.

– Wszyscy uważają, że ją zabiłem. Wszyscy. Chyba zwariuję i w końcu sam uwierzę, że to ja.

– Bardzo cię kocham – powiedziała Teresa, jakby to była właściwa odpowiedź.

– Odszukajcie Nanda, na litość boską!

– Prosiłem o pomoc proboszcza Matki Bożej Sosnowej i dwóch kanoników z katedry – zdawał sprawozdanie mistrz Perramon. – I markiza de Dosrius, i sędziego, i wszędzie... Ale najwyraźniej nic się nie da zrobić.

– Naprawdę, bardzo cię kocham, Andreu...

– Chcą mnie zabić. Nie wiem dlaczego, ale nastają na moje życie. Tylko Nando, ojciec! On ma

znajomości.

– Kocham cię.

– Naprawdę nie wiem już, gdzie się udać, Andreu.

– Wybaczcie, nie możemy tu stać całą noc. Mam wiele do stracenia.

– Jeszcze chwilę! – Wydawało się, że Andreu nagle się obudził. – Piosenka, ojcze!

– Jaka piosenka?

– Ejże, młodzieńcze, już dość! Za długo tu jesteśmy, a ja... i ten żołnierz także...

– Piosenka o słowiku. Nando skomponował muzykę do mojego wiersza. Jest bardzo ładna.

– I co z tą piosenką?

– Żeby nie zginęła, ojcze...

– Nie martw się.

– No, wystarczy. – Strażnik chwycił Andreu za ramię, ale ten stawiał mu opór. Od początku rozmowy aż do tego momentu nie wykazał podobnej energii.

– Tylko chwilę, przez jedną chwilę świat się nie zawali. – Andreu z odrazą stracił z ramienia rękę strażnika. Wskazał otwór w suficie. – Tę kartkę zostawiłem.. na tym stole, przy którym piszę. Zostawiłem ją pod lichtarzem.. Ojcze... dopilnuj, żeby nie zginęła. Melodię możesz zagrać na fisharmonii... Nando ci ją zaśpiewa, kiedy wróci. Żeby, broń Boże, nie zginął tamten wiersz.

Andreu martwił się tylko o wiersz, żeby nie zginął. Tym samym dawał do zrozumienia, że siebie już uważa za martwego, że nie warto tracić czasu na bezużyteczne interwencje, skoro zawzięli się, że muszą go zabić i tyle; że jeżeli ktoś będzie śpiewał tę piosenkę, będzie powtarzał jego słowa i on będzie w nich żył, choćby nie wiem ile razy go uśmiercili, i w ten sposób wykpi się od szubienicy.

– Żeby tylko nie zginął – jeszcze raz powtórzył, chcąc podkreślić wagę tego argumentu. – Żeby nie zginął, ojcze – powtórzył swój testament.

– Niektórzy twierdzą – perorował na cały głos major Cisneros, z tłustymi wargami i kawałkiem mięsa wplątany w brodę, podnosząc do góry na widelcu udko indyka – że te zwierzęta mają duszę. – Parsknął śmiechem i zaraz się opanował, sapiąc przez nos. Zatopił zęby w mięsie i westchnął. Wyciągnął widelec w stronę jaśnie pana, starając się powstrzymać beknięcie. – Zastanawiam się – filozofował – jak by smakowała dusza tego bydłatka.

Jaśnie pan się roześmiał. Brzydził się majorem, uważał go za beznadziejny przypadek samca rozplodowego rasy wojskowej, niezdolnego do uczestniczenia z honorem w jakiegokolwiek wojennej potyczce, zarówno z powodu nadmiernego ciężaru medali, jak i z powodu brzucha, jednego z największych przy stole. Ale roześmiał się, bo chodziło o majora Cisnerosa, wojskowego pozostającego w najbliższych relacjach z Jego Eksceleńcją, zresztą przy jedzeniu lepiej nie ryzykować. Tymczasem Jego Eksceleńcja don Pere Caro de Sureda-Valero i Maça de Liçana wpatrywał się zadowolony w dno kieliszka, cztery miejsca w lewo od niego, i słuchał wesołego świergotania obu dam, które go kokietowały, a jedna z nich pod stołem pieściła stopą. Tak więc odchyliwszy się na chwilę, by lokaj mógł mu napełnić kieliszek, jaśnie pan znów się uśmiechnął i dorzucił komentarz zastanawiam się, panie majorze, jak wygląda dusza sałaty albo kapusty, na co Cisneros, ha, ha, ha, rechotał w sposób doprawdy żaloszny. Don Rafel szybko odsunął kieliszek, żeby major, uniesiony entuzjazmem, nie napluł mu do niego. Ogarnął go dziwny niepokój i skoncentrował się na swoim kawałku indyczego udka. Przez chwilę przeszło mu przez myśl to wszystko, co pozostawił za sobą, przychodząc na bankiet. Energicznym

ruchem głowy odpędził złe myśli. Po raz dziewiętnasty od początku kolacji zaryzykował i wyciągnął szyję, by przyjrzeć się delikatnym gestom baronowej de Xerta, jego nieosiągalnej Gaietanie, trzy miejsca w prawo. To biedactwo, jego oczko w głowie, miało za towarzysza podekscytowanego pułkownika Cobosa – właśnie na cześć jego zawrotnej kariery wojskowej wydano ten bankiet. Awansował do korpusu przy królewskim dworze (w randze i z żołdem generała). Teraz demonstrował na ogryzionym do połowy szkielecie królika strategię obrony Cervery, a może powiedział Figueres? podczas Wielkiej Wojny. Don Rafel nie mógł wiedzieć, że doña Gaietana już osiągnęła ten słodki moment, kiedy człowiek przymyka oczy pod wpływem wina z Sant Sadurní, kołysana do snu chrapliwym głosem czerwonego na twarzy pułkownika. Właśnie ją przekonywał z zapalem godnym lepszej sprawy, wskazując czwarte zebro królika, że bastion Santa Maria był z całą pewnością ze wszystkich najslabszy. Baronowej de Xerta nie interesowały słabe punkty fortecy w Cerverze. Całą uwagę skupiła na swoim mężu, na baronie, tym osle, który właśnie pożerał wzrokiem jakąś nieznaną, kochankę jednego z wojskowych, wystrojoną zupełnie bez gustu, niczym drugorzędna tancereczka z teatru, jedna z tych nieszczęsnych kobiet zarabiających na misce soczewicy podskakiwaniem na scenie, podczas gdy grabarz już gdzieś im kopie grób. Ale pan baron był w euforii. Kiedy się upewniła, że mąż wpadł po uszy, młoda baronowa de Xerta... Ach, nie: Solsona; ani Cervera, ani Figueres, to chodziło o Solsonę. A sztab główny znajdował się przed przednią łapą królika. W tym momencie młoda baronowa de Xerta zaczęła wpatrywać się z nieklamana rozkoszą w wysokiego, przystojnego porucznika z jasnym wąsem i zielonymi oczami. Wzięła do ręki kieliszek i podniosła go na wysokość ust, jakby chciała się za nim ukryć. Pożerała porucznika wzrokiem, podczas gdy francuska hałastrą uciekała przerażona przed zmasowanym kontratakiem obrońców kości udowej królika. W myślach rozbierała już porucznika z jasnym wąsem i zielonymi oczami, i doszła do wniosku, że ten mężczyzna na schwał zdecydowanie musi mieć między nogami broń solidną, zaprawioną w boju, niezmordowaną, nieujarzmioną, mocną i dumnie wyprężoną. Doña Gaietana upewniła się, jednym rzutem oka, że jej mąż nadal się ślini do tej żalosnej tancereczki i odstawiła kieliszek. Wzięła w usta spory kawałek kaszanki, dokładnie kiedy Francuzi rzucili się do ucieczki w rozsypce i obrońcy, o cholera, teraz się okazuje, że to obrona Manresy? wznosili z dumą sztandar i deklarowali wieczystą wierność jego wysokości, temu rogaczowi Don Carlosowi. Baronowa trzymała kaszankę w ustach, nie jedząc jej, w sposób jednoznacznie obsceniczny, i mierzyła wzrokiem od stóp do głów porucznika z jasnym wąsem, nieujarzmionym członkiem i zielonymi oczami, starając się ściągnąć na siebie jego wzrok. Teraz, no, wreszcie; uf, nie było łatwo: teraz porucznik zauważył podchody baronowej i podjął ekscytującą grę. O cholera, co za bezwstydnica: robi mi awanse, a tu ten idiota pułkownik nic, tylko gada i gada. Porucznik z zaprawionym w bojach członkiem, jasnym wąsem i zielonymi oczami uśmiechnął się dyskretnie i spróbował dotknąć jej nogi pod stołem, co uniemożliwiła szerokość mebla. Doña Gaietana domyśliła się, co tam się dzieje pod spodem. Odgryzła kawałek kaszanki i uśmiechnęła się. Pułkownik na chwilę podniósł wzrok znad szkieletu królika i spojrzał na sąsiadkę. Uznał, że rozbawił ją wymyślony na poczekaniu dowcip o Francuzach i pogratulował sobie subtelny humoru, który tak bawił piękne panie. Doña Gaietana wzniosła toast za powodzenie ściągnięcia młodego porucznika do łóżka. Wypiła z prawdziwą rozkoszą, a kiedy odstawiła kieliszek, jej spojrzenie napotkało wzrok tej żalosnej, obmierzłej ropuchy, don Rafela, i uśmiechnęła się do swoich myśli. W gruncie rzeczy czuła dumę, że ten mężczyzna liże proch pod jej stopami. Taką dysponowała władzą, w tym jej siła... A na dodatek, jak jej oświadczył z niesmakiem mąż, don Rafel był osobą wpływową, mimo że to przybłąda bez tytułu,

wyłącznie dzięki temu, że piastował urząd prezesa Trybunału. Wiedziała, że don Rafel ją śledzi. Najpierw kilka dziwnych zbiegów okoliczności, oboje w tym samym czasie pojawili się w oknach swoich domów; później niezręcznie skrywane podglądanie zza przezroczystej firanki. A ostatnio ten śmieszny teleskop. Gdyby don Rafel wiedział, że ona wie, że ją namierzał obiektywem, zapadłby się pod ziemię ze wstydu. Natomiast doña Gaietana nie była pewna, czy on zdaje sobie sprawę, że ona wie o jego teleskopowych sesjach, a ta niepewność dodawała pikanterii całej sytuacji. Podjęła grę i pozwalała się adorować na odległość; rozsuwała zasłony w porze sjeisty, rozkładała się na łóżku, udając zmęczenie, podciągała spódnicę, wystawiała na widok kształną, bielutką jak mleko kostkę albo bieliznę, której widok musiał doprowadzać jaśnie pana do szaleństwa. Na tym polega władza kobiet, myślała, spoglądając na prezesa i oblizując językiem wilgotne wargi. Prezes spojrział na nią w tym samym momencie i o mało nie zakrztusił się winem. Musiał zasłonić usta serwetką, żeby dyskretnie odkaszlnąć. Dla ścisłości trzeba zaznaczyć, że doña Gaietana nie miała pojęcia o poważnym problemie odwróconego obrazu, przyczyny tylu zmartwień jaśnie pana, zanim go rozwiązał z pomocą doktora Dalmasesa. Don Rafel, kiedy już opanował kaszel, spojrział na baronową. Poszedł w jej ślady – pradawny gest utwierdzający pokrewieństwo duchowe – podniósł kieliszek i wychylił do dna. Wyobrazil sobie, że ten toast to namiętny pocałunek, a wino jest łączącym ich miłosnym tchnieniem. Don Rafel zdobył się na wysiłek, by skoncentrować się wyłącznie na tej kolacji, na żywej, namacalnej obecności mojej wspaniałej Gaietany, pani mego serca, w naturze, nieodwróconej do góry nogami. Co za szczęście, że Marianna tego wieczoru nad kolację przedłożyła zajęcie płaczki w towarzystwie tego jej Bractwa. Don Rafel odpowiedział, tak, jakże by nie, na jakieś pytanie zadane przez siedzącego po jego lewej ręce inżyniera wojskowego o smutnych oczach. Inżynier wojskowy zdziwił się na tak absurdalną odpowiedź, wzruszył ramionami i postanowił już więcej się nie odzywać.

Po deserze, kiedy wino rozpaliło wszystkim wzrok ogniem ledwie skrywanego pożądanego, biesiadnicy wstali, by przejść do salonów, gdzie miano serwować likiery, kawę i cygara dla amatorów tych przyjemności. Jakby ktoś dał milczący sygnał do rozpoczęcia polowania, spojrzenia zaczęły szukać się nawzajem, a ciała, ledwie zachowując pozory, natykały się na siebie. Jedni robili to bez wdzięku, jak nieobdarzony darem wymowy baron de Xerta, który siedział, uśmiechając się jak idiota, wpatrzony w cycki aktorki. Inni w sposób rozpaczliwy, jak don Rafel, szukali, gdzie do cholery się zawieruszyła doña Gaietana. Jeszcze inni od razu przechodzili do rzeczy, jak ta ostatnia. Gaietana w bocznym korytarzu prowadzącym do ubikacji całowała się zachłannie z porucznikiem z jasnym wąsem i zielonymi oczami, sprawdzając ręką, przez ubranie, że faktycznie, członek jest jak trzeba, dumny i mocny, a nie jak ten smętny zwis między nogami barona.

Don Rafel, niczym zdesperowany rozbitek, przeszukał sześć czy siedem salonów w pałacu. Ciągłe odwracał oczy, a to żeby nie patrzeć, jak markiza de Sentmenat, zaśmiewając się z jakichś bzdur, kładzie rękę na marsowym, młodziutkim kroczu chorążego, to znów udawał, że nie widzi, jak szanowany architekt, bogobojny człowiek, don Arcadi Oliva, obmacuje piersi hrabiny de Creixells, i że nie słyszy, jak hrabina śmieje się zadowolona. Zdecydowanie, wszystkie hamulce puściły, ale zrozpaczony myśliwy don Rafel zgubił trop zwierzyny. Gdzie się podziała jego dumna mina Oriona? Kiedy go opuścił zapach zdobywcy? Być może po tym, co się stało z Elvirą, moim biedactwem, don Rafel stracił animusz, nie to, co dawniej. Błądząc po salonach rezydencji, pokonany, bo wracał z polowania z pustymi rękami, zły, bo nie po to zdecydował się wziąć udział w uroczystości, żeby wpaść w jej sidła, on tylko chciał skrócić tę

trudną noc, westchnął i postanowił oddać moc.

Odgłos zmęczonych kroków, butów szurających po podłodze, ostrzegł napalonych kochanków o niebezpieczeństwie. Odskoczyli od siebie w ostatniej chwili i porucznik zdążył ukryć się w ciemnym korytarzu. Doña Gaietana stanęła naprzeciwko don Rafaela. Patrzył, jakby zobaczył ducha.

– Baronowo... – wymamrotał jaśnie pan. Oczywiście nie mógł jej powiedzieć ani że jej szukał jak desperat, ani że znalazł się tu, bo miał pełny pęcherz i już dłużej nie mógł czekać.

– Don Rafaelu... – odpowiedziała baronowa tym samym tonem i też nie wiedziała, co mogłaby dodać. Wiedząc, że w ciemności stoi wpatrzony w nią porucznik, poczuła perwersyjny dreszczyk. Przyszło jej do głowy, że byłoby zabawnie wywołać jego zazdrość, mizdrząc się do prezesa, ale szybko odrzuciła ten pomysł, bo staruch budził w niej wstręt.

– Baronowo – powtórzył oszołomiony prezes. Podeszedł bliżej, ujął jej dłoń i ucałował namiętnie. – Od wielu miesięcy myślę tylko o pani...

Baronową, która nie mogła oswobodzić ręki, wydanej na pastwę wilgotnych pocałunków, zawiódł instynkt samozachowawczy. Ogarnęła ją niepohamowana wesołość i wybuchnęła śmiechem. Don Rafaelowi zastygła krew w żyłach i mocz w pęcherzu; na moment przestało mu bić serce. Poczł nagle całą brutalność życia, cały ciężar okrutnego upokorzenia. Najpierw znieawidził baronową, potem znieawidził sam siebie za to, że odkrył karty w złym momencie. Wreszcie cofnął rękę, jakby dłoń baronowej go parzyła. Bez słowa wycofał się w kierunku ciemnego korytarza, odprowadzany jej śmiechem. Porucznik z imponującymi atrybutami, jasnym wąsem i zielonymi oczami wszedł do ubikacji, żeby zejść mu z drogi. Ale tamten również tam się wybierał, czerwony jak piwonia. Wewnątrz zobaczył jakiegoś młodego oficera pochylonego nad nocnikiem. Ciągle jeszcze zirytowany wstydem, na jaki się naraził, rozpiął culloty, energicznie chwycił członek i wycelował w wolny nocnik. Kiedy puścił obfity strumień, zauważył, że plecy porucznika gwałtownie się poruszają, aż nagle rozległ się głośny, zbyt długo powstrzymywany śmiech. Don Rafael zastanowił się, jak wiele jest w życiu bezsensownych sytuacji. I z czego się tak śmieje ten młokos?

Zabawa dopiero się rozkręcała, ale jaśnie pan poszedł się pożegnać z pułkownikiem Cobosem. Życzył mu powodzenia w jego dworskiej karierze. Zgięty w ukłonie zbliżył się do Jego Ekscelencji tylko po to, żeby się przekonać, jak bardzo absorbuje go towarzystwo rozbawionych dam, które śmiały się z jego żartów. Jaśnie pan usprawiedliwił się przed adiutantem polowym Kapitana Generalnego, że obowiązki służbowe go wzywają, i opuścił Kapitanat. Zostawił za sobą śmiechy, roziskrzone, ulotne spojrzenia, rozgardiasz, doñę Gaietanę i zawstydzenie tym bezlitosnym śmiechem. Wsiadł do powozu zły, smutny, zrozpaczony, ofiara miłosnego cierpienia.

O tej samej godzinie owego czwartku dziewiętnastego grudnia roku Pańskiego tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego, kiedy doborowe, godnie reprezentujące arystokrację i śmietankę towarzyską miasta grono przyprawiało sobie nawzajem rogi na bankiecie wydanym przez pułkownika Cobosa w salonach Kapitanatu, Andreu odtrącił gliniany rondel, nawet nie zaglądając do środka.

– Musisz coś zjeść – nalegał strażnik. Przysiadł na stołku w korytarzu przed celą, oddzielony od więźnia kratą. Andreu wytrzymał spojrzenie mężczyzny bez słowa. Objął rękami głowę i próbował płakać, ale chyba w ostatnich dniach wypłakał już wszystkie łzy.

– Zostaw mnie samego – powiedział w końcu.

– Lepiej, żebyś miał towarzystwo, słyszał ludzki głos... inaczej zwariujesz.

– Już zwariowałem. Ja nie chcę umierać.

Zakłopotany strażnik podrapał się po głowie. Aż trudno uwierzyć, że po tylu latach pracy serce mu nie stwardniało. Na myśl o śmierci nadal robiło mu się nieswojo. Cudzej śmierci, bo własną, w jego podeszłym wieku, wyobrażał sobie jako coś tak prostego jak koniec cierpienia.

– Wykorzystujesz mnie – nagle zarzucił mu Andreu. Strażnik uchwycił się kraty w drzwiach, zaskoczony.

– Ja?

– Wszystkie te wizyty... Panie z dobrego domu... – Na cały głos krzyknął: – Tak czy nie?

Stary poczuł się niezręcznie i odwrócił wzrok. Andreu nadal go atakował:

– Te damy, które przychodzą mnie oglądać, chociaż o to nie prosiłem, z pewnością dają ci pieniądze.

– No wiesz... Musisz mnie zrozumieć... Życie jest ciężkie, a ja... potem... muszę żyć dalej...

Rozumiesz?

– Nie. Dlaczego nie odwiedzają mnie bliscy? Ta dziewczyna, która tu była dziś wieczorem...

– No to już była – uciał strażnik. – Ja ryzykuję życiem. Nie rozumiesz, że jesteś w izolatce, bez prawa kontaktu ze światem?

– Dlaczego?

– Skąd mam wiedzieć? Od tego są prawnicy. Mnie mówią tego człowieka masz zamknąć w korytarzu na dole, i ja zamykam w korytarzu na dole.

– Gównu – powiedział Andreu. I zamilkł. Stary uszanował jego milczenie. Znow nasza go refleksja, że to pełne życia ciało za parę godzin znieruchomieje i zostanie wydane na żer robakom. A tylu ludzi chciałoby odejść na zawsze i nie mogą, bo nie da się umrzeć z samej chęci śmierci.

– Weź, jedz, żona przygotowała specjalnie dla ciebie. Rydze.

Andreu podniósł głowę. Uśmiechnął się smutno i odkrył rondel.

– Rydze zbierane na Montjuïc – zachęcał tamten. – Jest dobry rok na rydze, tyle było deszczu.

Andreu wziął jeden grzyb i włożył do ust. Żuł powoli, jakby gryzł kamienie...

– Nie mogę nic przełknąć, bardzo mi przykro... Mdli mnie ze strachu. Bardzo się boję... – Andreu drżał na całym ciele i nawet nie próbował tego ukryć. – Jakby spadły na mnie nieszczęścia całego świata.

Bardzo długo siedzieli w ciszy, jakby obaj mężczyźni doszli do wniosku, że mają dużo czasu na rozmowę, a rondel z grzybami służył im za świadka.

– Rano mnie zabiją.

– Nie myśl o tym.

– Zabiją mnie za coś, czego nie zrobiłem. Ja nie chcę umierać, jestem za młody.

– Mówią, że się nie cierpi. Że to się dzieje tak szybko, że...

– Co ty możesz wiedzieć! Tego nikt nie wie.

– Na pewno nie będzie bolało.

– Zamknij się.

Strażnik popatrzył na rydze. Zmarnują się, pomyślał. Ułamał sobie kawałek palcami. Pyszne.

– Weź, jedz, choćby dla zabicia czasu.

– Wszystko mi staje w gardle, naprawdę. Wody. Daj mi wody.

Chociaż woda była ciepła i śmierdząca, wypił łyk. Oparł się o ścianę i znow zaczął jęczeć, tak jak przez całe popołudnie, to niesprawiedliwe, o mój Boże, nikt mnie nie wysłucha, choćbym krzyczał na

cały głos, o mój Boże, a strażnikowi, mimo że niejedno już widział w swoim długim życiu, aż ścierpła skóra.

Ostatnią w swoim życiu noc Andreu spędził na czuwaniu. Próbował zasnąć; próbował opanować płacz, myślał o matce, wspominał, jak w dzieciństwie biegał szczęśliwy po zabłoconych ulicach w pobliżu kościoła Świętej Anny, kiedy gonił wróble i łowił kijanki w sadzawce przy Portal de l'Àngel, kiedy kumkał jak żaba, chrząkał jak świnia i gruchał jak gołębie z domu Masdéu, bo wszystkiego tego można było się nauczyć w murach Barcelony. Myślał też o czasach, kiedy opanował sztukę pisania, kiedy odkrył przyjemność lektury, i o swoim ojcu, który chciał z niego zrobić muzyka. Patrzył z rezygnacją, że coraz bardziej go pociągały rymy i metafory, i nie protestował. O pierwszym nieporozumieniu, kiedy zdecydował się porzucić dom rodziców. I o śmierci matki, i jak jego ojciec namówił Teresę, żeby zrezygnowała z pracy w sklepie i zajęła się ich domem, gdzie przejęła wszystkie obowiązki, zmywanie i gotowanie, a przy okazji zakochała się w synu mistrza Perramona i podarowała mu medalion, przyczynę jego nieszczęścia.

– Czas na pociechę duchową, mój synu...

Już miał powiedzieć niech ksiądz wejdzie, bo potrzebne mu było ramię, na którym mógłby się wypłakać. Ale gdy tylko się przekonał, że to ten sam kapelan, który parę dni wcześniej nie uwierzył w jego niewinność, cała nagromadzona gorycz wywołała nagły atak gniewu. Ksiądz Terricabres zdarł już sobie palce od błogosławieństw in articulo furcae, więc natychmiast się zorientował, że ten chłopiec nie miał zamiaru współpracować w dziele zbawienia własnej duszy. I powiedział sobie no cóż, wszystko w mocy Boga, zawsze się znajdzie jakiś uparciuch. Przykro mi, ale tak już jest. Nie nalegał, bo wolał nie wywoływać skandalu teraz, kiedy lada moment powinni się zjawić ci z Bractwa Krwi, żeby lizać rany skazańca, te pijawki, nietoperze, wampiry, ci kombinatorzy. Pozdrawiali go uprzejmym uśmiechem, a za plecami spiskowali, ku jego utrapieniu, jak by tu przejąć posadę kapelana więzienia przy placu Błat właśnie teraz, kiedy podobno miano z niej zrezygnować na rzecz opasłego, pozbawionego skrupułów kapelana wojskowego z Cytadeli. Tamten to ma szczęście, mówią, że zgarnia, no nie wiem, prawdziwą górę reali żołdu, a nie tak jak ja, nędzne grosze.

– No cóż, mój synu – odezwał się po długiej chwili ciszy, opierając ręce na kracie. – Jeśli nie chcesz duchowego wsparcia, nie mogę cię zmusić. Jeśli mnie poprosisz, wysłucham twojej spowiedzi i udzielenie ci ostatniego namaszczenia.

– Ja niczego nie chcę.

– Czy chcesz, czy nie, później ci go udzielenie – odpowiedział ksiądz, urażony. I poszedł, bo jego duszpasterski zapał spalił na panewce. Był oburzony, co też ten młokos sobie wyobraża. W tym samym czasie młokos płakał, bo już go uznali za zmarłego: ostatniego namaszczenia udziela się umierającym. W tym momencie pomyślał o trumnie: jaka będzie ta jego trumna? Wstał zrozpaczony i uchwycił się prętów w drzwiach.

– Ja jej nie zabiłem! Powiesicie niewinnego! – krzyknął.

Ksiądz, oddalając się korytarzem, zrobił kwaśną minę i nakazał strażnikowi:

– Zamknij drewniane drzwi celi, żeby się tu nie awanturował.

O północy Andreu poprosił o wodę, papier, coś do pisania i miejsce, gdzie mógłby usiąść. Na wszystko to naczelnik wyraził zgodę. Andreu chciał zrozumieć swój dziwny stan, w czym zawsze okazywała się przydatna czysta kartka. Drżącą ręką zapisał nie wiem, czemu mam umrzeć i wybuchnął

płaczem.

Więzienie przy placu Blat zachowało przywilej trzymania więźniów skazanych na karę śmierci za pospolite przestępstwa. Obyczaj tam obowiązujący pozwalał w nocy poprzedzającej egzekucję na uwzględnianie życzeń skazańca aż do czwartej nad ranem. Konkretnie znaczyło to, że miał wybór, czy chce być sam, czy woli otrzymać duchowe wsparcie od więziennego kapelana. O czwartej wpuszczano członków Bractwa Krwi w habitach, z ponurymi minami, którzy czekali już od zmroku u naczelnika. Po tej zwyczajowej wizycie przez celę skazańca przechodziło wielu urzędasów i oficjeli. Woźny sądowy niewyraźnym, urzędowym głosem odczytał odmowną odpowiedź na odwołanie przedstawione przez obronę, a Andreu właśnie się dowiadywał, że składał jakieś odwołanie. Plenipotent Trybunału pytał, jaka jest jego ostatnia wola, a audytor Departamentu Kryminalnego informował go, o której odbędzie się wykonanie wyroku. Cały ten ruch oznaczał, że tej nocy więzienie przy placu Blat czuwało. Ale o dziwo, nie słychać było w budynku żadnego hałasu; wszyscy, świadomi, że jest to szczególna noc, mówili półgłosem, chodzili na palcach i unikali patrzenia sobie w oczy, czekając, aż wybije czwarta, żeby podjąć działania. Problem ze skazanymi na karę śmierci polegał na tym, że ostatniej nocy nikt w więzieniu nie mógł odpocząć, zwłaszcza gdy skazańców było dwóch. A ksiądz Terricabres, kiedy egzekucja się przeciągała, mógł nie zdążyć na mszę w klasztorze Świętej Moniki, a ponieważ nie hołdował obyczajowi sjesty, zapowiadał mu się dzień senny i z bólem głowy. Głównie z tego powodu nienawidził egzekucji.

– Nie chce mojego towarzystwa – przyznał się naczelnikowi. Mówił cicho, żeby go nie usłyszały te wilki z Bractwa czatujące za drzwiami.

– W porządku, proszę księdza. Napije się ksiądz kawy? – Naczelnik wskazał kawiarkę na stole. Ksiądz sam sobie nalał. Coś go trapiło.

– Na którą godzinę zaplanowana jest egzekucja?

– Wpół do szóstej.

– Nie mogłoby być trochę wcześniej?

Naczelnik wypił łyk kawy i się uśmiechnął.

– Zawsze ksiądz mówi to samo. To nie ode mnie zależy, proszę księdza. Musi ksiądz się udać z reklamacją do Trybunału.

Ksiądz zbliżył filiżankę do ust. Dobra ta kawa. Szczęście, że naczelnik był zdeklarowanym kawoszem... Być może to jeden z tych powodów, który sprawiał, że mężczyźni się dogadywali albo, żeby to bardziej precyzyjnie wyrazić, nie kopali pod sobą dołków. Degustując gorącą kawę, ksiądz wymamrotał przez zęby:

– Trzeba z nimi skończyć jak najszybciej. Ten chłopiec w nic nie wierzy. A co do Holendra, nie wiadomo, czy w ogóle jest człowiekiem.

– Może się ksiądz modlić o jego nawrócenie.

Ksiądz podniósł głowę, urażony tym komentarzem. Bardzo nie lubił, kiedy ktoś wtrącał się do jego roboty. On na ten przykład nie wypowiadał się ani na temat jakości jedzenia w więzieniu, a byłoby o czym mówić, ani o remoncie na małym patio, którego budżet skandalicznie zawyżono. Z trudem opanował oburzenie:

– W tym są najlepsi ci z Bractwa. W kwestii liczby modlitw skazańcy są dzięki nim dobrze obsłużeni. Czego nie da się powiedzieć o kolacji, na którą im podano jakieś świństwo.

Wypił jeszcze jeden łyk znakomitej kawy. Coraz bardziej mu smakowała.

W swojej celi skazańca Andreu znów spojrzął na kartkę. Bardzo chciał pisać, ale po słowach nie wiem, czemu mam umrzeć nie miał już nic do dodania. Wiedział, że śmierć zbliża się do niego w sposób nieubłagany, co wywoływało w nim lęk, ogromny lęk. I nie mógł nic zrobić, żeby temu przeszkodzić, och, jak nieludzka jest samotność, teraz, kiedy chciałbym usłyszeć bicie czyjś serca, teraz, kiedy nie mogę być sam... Ale nie mógł się zdobyć, by zapisać nawet to, o czym teraz myślał. Nie wiedział, że ta samotność nie wynikała z rutynowego postępowania wobec skazańców, lecz stanowiła konsekwencję szczegółowych zaleceń jasnie pana, który zarządził pełną izolację obu więźniów i wszystko wskazywało na to, że bardzo sobie wziął do serca ten przypadek, jakby dotyczył go osobiście.

Andreu westchnął. Chciał pisać dalej, bo w głębi duszy wierzył, że dzięki pozostawieniu czegoś na piśmie umrze jakby trochę mniej. Znów zaczął myśleć o śmierci, o swojej śmierci: o szubienicy, o zimnie, o bólu, o uduszeniu, o okrucieństwie ludzkich spojrzeń... A potem Bóg, niebo i piekło, wieczność, ciemność, nicość, nieskończona przestrzeń... Andreu wierzył w Boga tak jak wszyscy; był katolikiem, jak wszyscy. Ale od jakiegoś czasu popisywał się antyklerykalizmem, modnym wśród jego rówieśników. Odezwał się w nim teraz, kiedy doszło do konfrontacji z tymi obmierzłymi księżmi, którzy chcieli grzebać mu w duszy. No, ale Bóg? Wieczne potępienie? Co jest za sznurem na szyi? Jak się żyje w nicości? I ta uporczywa myśl, że już nigdy więcej... Śmierć dla Andreu miała wiele znaczeń: to był lęk przed nieznanym i niewyjaśnionym, ale również droga bez powrotu, pożegnanie. Nie chodziło o coś wielkiego, o wspaniałe perspektywy (zawsze marzył o przyszłości uznanego, wielbionego poety, choć teraz chętnie by ją zamienił na anonimowy żywot subiekta odważającego makaron), lecz o rozstanie z dniami słonecznymi i deszczowymi, z dziecięcym śmiechem, z zapachem mokrej trawy, z nudnymi popołudniami, z chmurami na niebie, ze spacerami, z natchnieniem poetyckim i ze świeżą wodą.

Nie napisał jeszcze ani linijki. Namoczył pióro w kałamarzu i znów powtórzył zdanie „nie wiem, czemu mam umrzeć”. A poniżej, dzięki nadludzkiemu wysiłkowi, dodał jeszcze pięć lub sześć linijek drżącą ręką, próbując wyjaśnić swój stan zagubienia. Ale nie była to wzniosła deklaracja ani żaden literacki wiekopomny testament, tylko pół tuzina nierównych linijek napisanych przez człowieka osaczonego przez lęk i bezsilność, który całą energię wkłada w ciężki trud oddychania, żeby nie paść martwym na brudną podłogę celi. I wtedy wszystkie dzwony zaczęły wybijać czwartą.

Don Rafel wpatrywał się w pełgający płomień szczap w kominku w swoim gabinecie. Odsunął się od ognia i podszedł do stołu. Spojrzął na zegar: czwarta rano. W tym momencie, jakby na potwierdzenie tej informacji, dzwony Świętego Franciszka wybiły godzinę. Chwilę później jak echo odezwał się wyszczerbiony dzwon od Świętej Moniki. Teraz wszystko się zacznie, pomyślał. Jaśnie pan chodził po pokoju zdenerwowany. Jeszcze nie zdążył przetrawić alkoholu wypitego w pałacu, a przede wszystkim pogardliwego śmiechu mojej Gaietany, ukochanej, znieawidzonej, okrutnej, ale jakże pięknej... Usiadł zdenerwowany i zakrył twarz dłońmi. Pewna nieco bardziej oddalona dzwonnica upierała się, że ona też musi ogłosić czwartą, co wzbudziło protesty przygodnego kundla, który zareagował wyciem. Zdenerwowany z powodu podwójnej egzekucji? Upokorzony pogardą dońi Gaietany? Wystraszony ponurą postacią don Jerónima Manuela Cascala de los Rosales y Cortésa de Setúbal, komisarza policji, który mógł go złapać za jaja? Poruszony, ponieważ już niebawem, kiedy usłyszy dzwony z Born, skończą się jego zmartwienia?

Znów spojrzął na zegar, żeby nie odpowiadać sobie na te pytania. Ciągłe była czwarta, jakby czas postanowił zatrzymać się w miejscu i sprawić, by noc udręki jaśnie pana trwała wiecznie. Podszedł do kominka. Z tej odległości przyjrzał się swemu portretowi pędzla Tremullesa i wcale nie poczuł się dumny z tamtego pewnego siebie, agresywnego, przenikliwego spojrzenia, które dostrzegł u niego malarz. Jedyne, co osiągnął, to tęsknota za tamtymi szczęśliwszymi latami, kiedy nie musiał żyć z duszą na ramieniu, kiedy mógł beztrąsko się uśmiechać i szczerze się śmiać, i dopytywać się Marianno, co dziś będzie na kolację, bo już miał swoje miłosne środy i piątki w gniazdku miłości, przybytku zalotników, zakątku twoim i moim i tak dalej, z Elviretą, najpiękniejszą i najbardziej powabną ze wszystkich kobiet, o, Elvireto, moje ty biedactwo, co ci się stało. Stał pod obrazem. Nie dlatego, żeby pokój nie był dostatecznie oświetlony, ani z powodu lekkiej nadwzroczności, uniemożliwiającej percepcję szczegółów, po prostu tyle razy oglądał ten obraz, że znał go na pamięć. Westchnął zmartwiony. Nie umiał tego wyrazić słowami: w tym momencie obnażonej samotności, kiedy skupiał się na nasłuchiowaniu złowieszczych dzwonów, czuwając, z uczuciem pieczenia w żołądku, z krwią ciągle jeszcze zmrożoną strasznym upokorzeniem, jakiego doznał od ukochanej i okrutnej Gaietany, pani mego serca, don Rafel Massó, cywilny prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie, zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem życie nie polega na tym, że zawsze się tęskni za utraconym rajem. Bo zawsze były jakieś szczęśliwe chwile, które przetrwały we wspomnieniach i teraz są punktem odniesienia dla rzeczywistości; czas, kiedy powstał portret, to utracony raj, bezpowrotnie go utracił, kiedy odeszła Elvireta i kiedy opuściła go energia młodości, ponieważ nawet w kwestiach miłosnych upływ czasu jest równie bezlitosny jak doña Gaietana, bo chociażby się odwoływał do doświadczeń, jakie nagromadził (zobaczysz, Elvireto, sprawię, że sama zaśpiewasz duet Idomeneo di Creta, na co ona, co mówisz, kochany?), żeby uchodzić za wspaniałego kochanka, należało się pogodzić z oczywistością, ponieważ, żeby podać pierwszy z brzegu przykład, już mu nie stawał tak jak kiedyś. A to dla don Rafaela było kolejnym utraconym rajem.

Czwarta z minutami, stwierdził, spoglądając po raz kolejny na zegar. Choćby nie wiem jak się człowiekowi spieszyło, czas miał czas. Rozboleła go głowa. Podszedł do balkonu, gdzie ciągle stał teleskop. Uczepił się go obiema rękami i zaczął głęboko oddychać: poczuł chęć, żeby go wyrzucić przez balkon, na ulicę, i w ten sposób dokonać publicznej zemsty na tej podłej, ukochanej Gaietanie, ty wstrętne dziwko, dlaczego mnie wyśmiałaś, kiedy otworzyłem przed tobą serce?

Zostawił teleskop w spokoju i wrócił na krzesło. Teraz oglądał swój portret z dystansu. Naszła go refleksja, że w tamtych czasach wiedział jeszcze, co to sumienie. Pamięć mu podpowiadała, że w młodości czasem cierpiał z powodu jego dotkliwych wyrzutów. Teraz, w jego wieku... co najwyżej mógł czuć lęk, wstręt, nienawiść, wstyd albo, jak się przytrafiło, trochę radości, ale wyrzutów sumienia już nie... Lata bezustannego przebywania w bezpośrednim kontakcie ze światem prawa odcisnęły się w jego duszy. Każdego dnia widział, jak defilowali przed Trybunałem mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. Ich czyny były sądzone przez niekompetentną bandę, do której on też miał honor się zaliczać, przez ludzi bardziej zainteresowanych własnymi rywalizacjami, zawiścią, intrygami i plotkami niż przypuszczalnym, nierozpoznanym dramatem osobistym tych nieszczęśników z szeroko otwartymi oczami i tyłkiem ściśniętym przerażeniem słuchających wyroku, który skracał ich życie o pięć, dziesięć, dwadzieścia lat albo, przy odrobinie szczęścia, o głowę. Nie minął jeszcze kwadrans na piątą.

Kwadrans na piątą, ogłoszony pianiem jakiegoś nadgorliwego koguta. Zimno i wilgotno. Poranek dnia dwudziestego grudnia roku Pańskiego tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego, po najdłuższej zimowej nocy, na jedenaście dni przed końcem roku i końcem wieku. Andreu Perramon, z rękami związanymi na plecach, wychodząc na patio, na chłodne, świeże powietrze, mrugał, jakby oślepiły go ciemności panujące na zewnątrz. Zobaczył wóz i aż się wzdrygnął. „Nie pada”, pomyślał z ulgą, jakby to coś zmieniało w jego sytuacji; może chciał odsunąć od siebie myśl o tym, co go czeka. Podniósł głowę i zauważył kilka gwiazd na niebie. Skąd mógł wiedzieć, że ta najjaśniej świecąca to Betelgeza, usytuowana na klatce piersiowej żadnego krwi myśliwego! Nie mógł odgadnąć, że żył pod znakiem Oriona! On tylko zadzierał głowę ku chmurom i gwiazdom jak ciernie. „Nie pada”, powtórzył w myślach, ze zdziwieniem, obrzuciwszy wzrokiem niebo.

W ciemnościach panujących na dziedzińcu więzienia obecności dużej liczby osób można było się domyślać po szczęku metalowych części umundurowania żołnierzy. Na środku dziedzińca paru rekrutów trzymało pochodnie, przydające całej scenie jeszcze bardziej ponurego wyglądu.

– Nie pada – powiedział sam do siebie.

– Co mówisz, synu? – rzucił się w jego stronę z nadzieją starszy konsyliarz Bractwa Krwi, odprowadzany pogardliwym spojrzeniem księdza Terricabresa, który, wedle zwyczaju, miał iść za Bractwem, relegowany na dalszy plan, nawet za braćmi świeckimi, dobrze przynajmniej, że to się odbywa tak wcześnie, nie powinienem narzekać na porę. No bo gdyby to się działo po południu, chyba bym się spalił ze wstydu. Szczęście, mieli aż dwóch skazańców wymagających posługi duszpasterskiej.

– Że jestem niewinny – powiedział głośno Andreu. Bellatrix zamruła zza chmur zdziwiona, a strażnik, który z pustej celi śledził wydarzenia na patio, nieoczekiwanie się wzruszył, mimo woli uronił pół łyżę i pomyślał biedny chłopiec, idzie na stracenie. I żeby dłużej się nie zamartwiać, skupił uwagę na tym diabelskim Holendrze od dziwek, którego teraz wsadzano na drugi wóz.

Kiedy obaj skazańcy ulokowani zostali we właściwym miejscu, rozpoczęła się procesja śmierci. Starszy konsyliarz Bractwa z dumą i satysfakcją zaintonował *dies irae, dies illa, solvet saeculum in favilla*, a ksiądz Terricabres zauważył z niesmakiem, że strasznie kaleczy łacinę i jeszcze zainspirowany okolicznościami pozwolił sobie na czysto profesjonalną refleksję na temat *favilla*, wszyscy skończymy pogrążeni w prochu po szyć, a ci dwaj nieszczęśnicy wcześniej niż cała reszta. On też zaczął odmawiać *dies irae*, w intencji tego barbarzyńcy od dziwek.

Było bardzo zimno. Andreu nie zauważył, kto mu zarzucił na ramiona gruby, prosty kaftan, który zakrył jego związane ręce. To było ważniejsze niż zimno, do zimna zdążył się przyzwyczaić w lochu, gdzie chłód przenikał do szpiku kości. Pochodzenie kaftana podarowanego skazańcowi dobrze znały przyjaciółki doñi Marianny. Bo to właśnie ona, za własne pieniądze (ej, nie myślcie sobie, że to z funduszu Bractwa, to moja inicjatywa) obstalowała okrycie szyte na miarę dla tego biednego chłopca (jako że teraz, z okazji balu sylwestrowego i uroczystego *Te Deum* całymi dniami przesiaduje u mnie w domu krawcowa), uzyskała też przywilej przygotowania śmiertelnego całunu (Która krawcowa? Paquita Torres, tak, tak; już od lat korzystam wyłącznie z jej usług), wyręczając Bractwo Matki Bożej Opuszczonych – niby koledzy, ale poróżnieni od czasu sprzeczki podczas procesji Bożego Ciała w osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy poszły w ruch świece i krzyże, a przyczyną nieporozumienia były przechwałki tych Opuszczonych, że zamówią sobie figurę Chrystusa większą niż Duży Chrystus Bractwa

Krwi – do obleczenia zwłok młodzieńca. (Wiesz, że osobiście udałam się do więzienia, żeby go zobaczyć? Tak, tak, poszłam do niego z chrześcijańską pociechą: wiadomo, miłosierny uczynek. To było bardzo, no nie wiem, jak to opisać: bardzo trudne do zniesienia.) Tym Holendrem, mordercą dziwek, zaopiekowała się doña Rosalia, która ciągle pozostawała pod wrażeniem bezwstydnego spektaklu, jaki im urządził tamtego dnia. Teste David cum Sibylla, tuba mirum spargens sonum, dukał starszy konsyliarz i ksiądz Terricabres, nadstawiając uszu, uznał, że jeżeli to jest łacina, to ja jestem marynarzem żeglugi rzecznej.

Nigdy, nawet w najgorszych koszmarach, Andreu nie wyobrażał sobie, że mógłby wystąpić w głównej roli jednej z tych makabrycznych procesji, które wyruszały z placu Blat i przez Bòrię kierowały się w stronę placu Born, gdzie zbudowano szubienice. Per sepultura regionum, coget omnes ante thronum, a ksiądz Terricabres zrzędził, do seminarium powinienes wrócić, żeby cię nauczyli wymawiać coget jak Bóg przykazał. Andreu nigdy wcześniej nie chciał oglądać tego przygnębiającego spektaklu. Wielu mieszkańców, którzy mogli sobie na to pozwolić, wykorzystywało dzień egzekucji na wyjazd z miasta, z dziećmi i z małżonką, byle jak najdalej od tego barbarzyńskiego, lecz koniecznego aktu. Ale po powrocie wypytywali żądni sensacji tych z mniej delikatnym żołądkiem albo zdanych na Barcelonę z braku rezydencji w Santa Coloma, może przypadkiem uczestniczyli w egzekucji. Chcieli wiedzieć, czy skazaniec był młody, czy był nieogolony, czy trzymał się prosto, czy raczej trzeba go było podtrzymywać, czy szydził z żołnierzy i z publiczności, czy splunął na kapelana – Boże, ludzka podłość nie zna granic! – czy ucałował krucyfiks w trakcie recytacji słów *judicandus homo reus, huic ergo parce Deus*, tak? czy wszedł na szafot o własnych siłach; i który kat go wieszał, ten gruby i krzepki czy ten chudy. Ten chudy... I co jeszcze, opowiadaj: dużo przyszło ludzi? Powiedział parę słów, co? No, a tamto, sam moment, no wiesz, wieszanie: jak przebiegło, co? A ci znający się na rzeczy, jeśli byli w męskim gronie, przy kawie czy czekoladzie przy ulicy Santa Anna, w cukierni Geli, zmieniali ton głosu i pytali po cichu, czy to prawda, że im staje, kiedy ich wieszają? I zależnie od tego, kim był rozmówca, odpowiadał och, co za skandal albo nie, nie zwróciłem uwagi, albo trudno powiedzieć, pod tym luźnym ubraniem, jakie na nich narzucają te pijawki, damy z bractw, nie da się zauważyć, czy skazaniec ma wzwód jak Bóg przykazał i jak zwykle się oczekiwać. Tak czy inaczej, egzekucja złoczyńcy, buntownika, złodzieja czy dezertera, mężczyzny czy kobiety, wszystko jedno, była tematem rozmów, wywoływała trwogę, westchnienia, a nawet podniecenie u co bardziej narwanych. Dobrze przynajmniej, że teraz egzekucje tych skazańców, których przyprowadzano z placu Blat i tych z Cytadeli, odbywały się w bardzo niedogodnej porze, nie jak piętnaście lat temu. I chociaż każdy mógł się przyglądać, kto by tam się interesował wisielcami wczesnym rankiem, w taki chłód.

Procesja wyszła z placu Blat o wpół do piątej. Andreu stojąc na wozie, oparty o drąg, patrzył na plac przez mgłę łez, zachłannie, z pragnieniem pozostawienia części siebie w tych miejscach. Kiedy wóz zaczął podskakiwać na wybojach, przytrzymał się poręczy, na ile mu pozwalały związane ręce, przykryte kaftanem. Na wysokości ulicy Bòria zauważył grupę ludzi drżących z zimna, przyglądających się żalobnemu orszakowi. Może to byli podróżni zmierzający w stronę kaplicy Marcúsa, skąd odjeżdżał dylizans. A jeśli to był... ojciec i Teresa... albo Nando czy jeden z przyjaciół?... Nie miał odwagi tego sprawdzić. Pochylił głowę na piersi. „Nie chcę, żeby oglądali moją śmierć”, powiedział, i konsyliarz podsunął mu krzyż do ucałowania. „Nie chcę, żeby oglądali moją śmierć”, powtórzył, i konsyliarz ponowił swoją propozycję, jakby to było czymś oczywistym w jego sytuacji. „Jestem niewinny”,

odpowiedział Andreu, ale cała pogarda zawarta w jego spojrzeniu przepadła w słabo oświetlonej ulicy. Liber scriptus proferetur in quo totum continetur, unde mundus judicatur, recytował starszy konsyliarz, a ksiądz Terricabres, który jechał tuż za nimi, na wozie Holendra, gdzie nie miał wiele roboty, bo ten nadąsany morderca dziwek odmawiał jakiegokolwiek kontaktu, zastanawiał się, o czym tamci dwaj rozmawiają.

Z głębi bólu, jakiego doznawał, wyrażonego łzami, które same płynęły mu z oczu, Andreu chciał powiedzieć tej nieruchomej grupie przechodniów i zaintrygowanym nietoperzom, że to potwornie upokarzające kończyć życie jako morderca, że spektakl z jego udziałem, jaki miał zostać przedstawiony zachłannym spojrzeniom gawiedzi, był po prostu obsceniczny, bo śmierć jest czymś osobistym, co wymaga prywatności. Kto wie, może ci, których chciał prosić, żeby nie oglądali jego zgonu, właśnie udawali się na egzekucję. Śmierć jest aktem unikatowym, transcendentalnym, niepowtarzalnym, strasznym i niepożądanym. W żadnym razie nie powinna być spektaklem. Nie chciał, żeby Teresa albo ojciec, albo... widzieli, jak drży z lęku. Zwłaszcza oni. Nie. Tylko nie to, w żadnym wypadku. Odwrócił się, żeby spojrzeć po raz ostatni na nieruchomą, milczącą grupę ludzi, w której być może stali jego bliscy.

Chwiejąca się na wybojach, niewyraźna sylwetka Andreu na wozie, wstrząsana szlochem, w wąłym świetle gromnic dwunastu zakapturzonych członków Bractwa, niesionej na przedzie latarni przy rzeźbie Dużego Chrystusa i pochodni żołnierzy rozplynęła się w ciemności w głębi ulicy Bòria.

Dokładnie o piątej, z punktualnością godną śmierci, skończyły się przygotowania na placu Born. Andreu stał na szafocie, podtrzymywany przez namolnego konsyliarza z Bractwa, który nie przestawał się naprzykrzać ze swoją łaciną tuż nad uchem pobladłego chłopca. Na szczęście los zadecydował, że on miał być pierwszy; ponury Holender dłużej będzie się męczyć na swoim wozie. „Boję się”, powiedział, a ksiądz Xicart zapytał co mówisz, synu? Kat, który go usłyszał – tego ranka przypadła kolej na chudego – pomyślał, co za tupet mają ci od Krwi, żeby wysyłać na szubienicę przygłuchego kapelana. Andreu głową dał znak, że prosi o krucyfiks i w niepewnym świetle pochodni przez chwilę przyglądał się boskiemu skazańcowi, ale szybko ten wizerunek się rozmył, ponieważ jego oczy wypełniły łzy i pomyślał płacząc ostatni raz w życiu. Kat uchwycił go mocno i ustawił na stołku. Ścierpły mu związane ręce, ale było mu wszystko jedno: dolegliwości oznaczały, że jeszcze żyje. Rozejrzał się z żalem wokół siebie, żegnając się ze światem. Zobaczył ze dwadzieścioro nieznajomych, że też chciało im się tak wcześniej wstać. Stali przed nim i przyglądali mu się lekko zniecierpliwieni. „Ja jej nie zabiłem”, zwrócił się do najbardziej odrażającego. „Co mówisz, synu?”, podszedł do niego konsyliarz z Bractwa Krwi. Andreu odmówił odpowiedzi, kręcąc głową. Po prawej zbici w grupkę stali w ciemnych strojach przedstawiciele władz. Nie patrzyli mu w oczy, jakby im było wstyd. Nikogo z nich nie znał. Westchnął ciężko, na pożegnanie. Ksiądz Xicart, w bardzo kontrowersyjnym stylu, bezlitośnie krytykowanym przez księdza Terricabresa, który wszystkiemu się przyglądał, stojąc przy tym marynarzu od dziwek, gdzie miał niewiele do roboty, podniósł księgę i w świetle pochodni, trzymając krucyfiks mniej więcej na wysokości twarzy skazańca, powtórzył już po raz trzeci dies irae, dies illa, w kulminacyjnym punkcie swojej kariery konsyliarza w Bractwie Krwi. Szkoda, że egzekucja nie odbywa się po południu. Andreu odbierał tę łacinę jak odległy szum niemający z nim nic wspólnego, a tymczasem na wysokości klatki piersiowej głos kata, który uprzejmie go pocieszył zapewniam cię, że nie będziesz cierpiał. Andreu pomyślał a skąd ty możesz wiedzieć i w tym momencie zaczął siąpić deszcz. Poczł się jeszcze bardziej opuszczony, bo grupa przedstawicieli władz odbiegła daleko, żeby się schronić pod arkadami. Tylko żołnierze, konsyliarz,

skazaniec i kat zaregowali na opady z zawodową rezygnacją. Deszcz był bardzo zimny. *Lacrymosa dies illa, qua resurget ex favilla.* Andreu spojrział na zachmurzone niebo i przez chwilę miał nadzieję, że ta zmiana pogody go ocali, że przerwie ceremonię. Jednak nie: kat, w coraz większych ciemnościach, bo woda zalała płomień kilku pochodni, a słońcu się nie spieszyło, w końcu to była najdłuższa noc w roku, wziął sznur. Gdy zdał sobie sprawę, że kat już się szykuje, żeby założyć mu kaptur, napełnił płuca całym powietrzem świata i powiedział żegnaj. Poczł, że mu zakładają pętlę na szyję. NIE: deszcz go nie wybawił. Był tylko znakiem, że również niebo płakało nad jego nieszczęściem.

Kiedy brakowało trzech minut do wpół do szóstej, Andreu nadal nie wiedział, dlaczego umiera. Na szafocie został tylko kat i skazaniec. *Judicandus homo reus, huic ergo parce Deus, Pie Iesu Domine...* Z zawiązanymi oczami nie mógł widzieć, jak *Bellatrix* i *Rigel*, z konstelacji dzielnego myśliwego, i *Alkione*, ta, która była ścigana, bardziej na zachód, mrugały zasmucone zza deszczowych chmur. Po odmówieniu wszystkich ekshortacji nakazanych prawem, Prokurator Generalny Departamentu Kryminalnego dał złowrogi znak ręką. Kat wyszeptał tradycyjne powodzenia, dodał przebac i z energią, której wcześniej nie wykazywał, z całej siły kopnął stołek. Andreu Perramon, barcelończyk, zamieszkały w mansardzie przy ulicy *Capellans*, z zawodu, jak twierdził, poeta, spadł całym ciężarem ciała parę piędzi w dół i zarówno on, jak i jego lęk, pomieszane ze łzami deszczu, wszystko skoncentrowało się na duszeniu, którego tak się obawiał. Nie nastawiał się jednak na silny ból w potylicy i w gardle. Andreu poczuł brutalny, agonalny skurcz, *Pie Iesu Domine, dona eis requiem*, a zaraz potem gwałtowny wstrząs przeszył całe jego ciało, mniej więcej tam, gdzie dusza ma pępek. Amen.

Przerażone Plejady

Plejady, wiecznie ścigane ofiary ukryte wśród chmur, zostały skatalogowane w swojej wersji niebieskiej przez monsieur Messiera pod nazwą gromada czterdziesta piąta albo M45, co oznacza, że uznał je za rzeczywisty zespół gwiazd. Ta konstelacja, w pewnych okolicach nazywana Kozami, zajmuje na niebie niewielki obszar, raptem dwa stopnie. W rzeczywistości gromada ma więcej niż te siedem gwiazd możliwych do zobaczenia gołym okiem. Astronom Galileo Galilei, pierwszy człowiek, który wycelował w niebo teleskop, doliczył się trzydziestu sześciu. Dziś, dzięki lepszej aparaturze, możemy ich zidentyfikować ponad sto. Najważniejsze z nich to błękitne olbrzymy. Osobiście uważam, że ta gromada, razem z sąsiednią konstelacją, Orionem, jest jednym z najpiękniejszych obiektów na firmamencie.

*Traktat o podstawach obserwacji niebieskich,
Jacint Dalmasas, Barcelona 1778.*

Na tydzień przed tym, jak słowik z Orleanu został zamordowany przez młodego Andreu Perramona, który później musiał zapłacić za swój zbrodniczy czyn jak każdy inny przestępca, pod warunkiem, że sprawiedliwość czuwa; dwa dni po tym, jak Ciset przepłakał swoją pierwszą samotną noc, noc Wszystkich Świętych Zbawionych w Niebie, w samotności, kiedy Remei zmarła na jego oczach, stojąc na podwórku z książeczką do nabożeństwa w dłoni; zaledwie dwa dni po tym zamieszeniu, czwartego listopada bieżącego roku Pańskiego, otwarty pojazd, cudem utrzymując równowagę, zjeżdżał w dół zbocza aż na plac przed plebanią. Inaczej niż w innych miejscowościach, gdzie, jak Bóg przykazał, kościół budowano na wzniesieniu, w Murze akurat usytuowany został w najniżej położonym punkcie, nad rzeką. Koń, z wyrazem znudzenia na pysku, zatrzymał się przed budynkiem. Notariusz Tutusaus z Feixes siedział jeszcze chwilę w powozie, mimo że służący już mu otworzył drzwiczki. Nienawidził tego typu zleceń. Nienawidził wszystkiego, co zmuszało go do podróżowania, zwłaszcza gdy chodziło o okolice tak dzikie jak ta, daleko od Feixes i od cywilizacji, wymagające pokonania niebezpiecznej, karkołomnej drogi. Notariusz Tutusaus z Feixes westchnął zrezygnowany i ruszył się z miejsca. Zanim zdążył się rozejrzeć, jego służący już pociągnął za łańcuch przy drzwiach. Odezwał się wyszczerbiony, rachityczny dzwonek i Tutusaus miał ochotę natychmiast wziąć nogi za pas.

Drzwi otworzyła gospodyni z oczami kuny. Zmierzyła notariusza wzrokiem i odsunęła się na bok, żeby go wpuścić do środka.

– Dzień dobry – wymamrotała. – Ksiądz proboszcz już na pana czeka.

Wpuściła go do czegoś, co zapewne pełniło funkcję kancelarii parafialnej: do pustego pokoju z ciemnymi ścianami, wyposażonego w stół, dwa krzesła i zabójcowaną na ciemno szafę. Korniki, kurz i cisza dopełniały całości umeblowania. Kiedy tylko gospodyni zostawiła go samego, drugimi drzwiami wszedł proboszcz Parafii Świętego Marcina w Murze, wciśnięty w zatłuszczoną sutannę.

– W rzeczy samej... Jestem wdzięczny, że zechciał pan przyjechać – powiedział na powitanie, po czym usiadł, najwyraźniej zmęczony, nie przejmując się zasadami dobrego wychowania.

– Mhm... – odpowiedział notariusz. On też usiadł.

– Przypuszczam, że chce pan wiedzieć, w rzeczy samej, czemu pana wezwałem i skąd ten pośpiech.

– Tak, oczywiście. Chciałbym też wiedzieć, ile czasu nam to zajmie. – Ziewnął. – Muszę wydać odpowiednie zlecenia co do podróży powrotnej.

– Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, w rzeczy samej... proszę się uważać za mojego gościa i pozostać tu na noc. Lubi pan dziczyznę?

Notariusz pomyślał sobie, że wreszcie zaczyna się robić interesująco i uśmiechnął się, starając się wywołać wrażenie osoby zmęczonej.

– Nie mam nic przeciwko.

– Popijana winem naszego wyrobu... to prawdziwy rarytas, że tak powiem. W rzeczy samej. – Mrugnął porozumiewawczo.

Faktycznie, po tych wyjaśnieniach nie miało już sensu dłużej udawać, że mu się spieszy.

– Dobrze, w porządku. Przyjmuję zaproszenie. – Podniósł palec. – Bierzemy się do pracy?

Ksiądz proboszcz bez zbędnych wstępów powiedział, że chodzi o Cisetę z domu Peric, który właśnie dogorywał. Nie pochodził z Muru, no, w rzeczy samej, ten cały Ciset. Przyjechał tu jakieś dwa lata temu, dokładnie nie pamiętał kiedy, i oboje z żoną wprowadzili się do tego, że tak powiem, pustego domostwa.

Od tamtego czasu, w rzeczy samej, nikt w miasteczku nie widział, żeby robili cokolwiek pożytecznego, poza uprawianiem małego, no, tak jakby ogródka, z paroma główkami kapusty i czterema cebulami na krzyż, rozumiemy się? Było jeszcze coś, co bardzo dziwiło miejscowych, że mianowicie zamienił ugor przy domu Peric w ogród pełen przeróżnych kwiatów i podobno jego plantacja tych no, chciałem powiedzieć, róż, nie miała sobie równych. Ale nikt nie widział, żeby pracowali w pocie czoła, rozumie pan, co mam na myśli? No i, że tak powiem, właśnie zmarła mu żona, to znaczy wczoraj ją pochowaliśmy. No i widać, że on wcale nie ma ochoty, w rzeczy samej, bez niej żyć. Ksiądz proboszcz dodał jeszcze, że krążą plotki, sam pan rozumie, ludzie wtykają nos w nie swoje sprawy, no więc okazuje się, że podobno Ciset z domu Peric ma pełen worek złotych dublonów i żyje z tych pieniędzy.

– A teraz umiera – podsumował notariusz.

– W tym rzecz. I poprosił, no, w rzeczy samej, o coś bardzo dziwnego.

Musieli przerwać rozmowę, bo weszła wścibska gospodyni z tacą ciasteczek i dzbankiem ratafii. Kiedy kobieta wyszła, proboszcz wyłuszczył, o jaką to dziwną rzecz poprosił Ciset z domu Peric: o spowiedź w obecności no, w rzeczy samej.

– Spowiedź w obecności notariusza? – zdziwił się notariusz.

– Dobrze pan zrozumiał. – Pokiwał głową spowiednik. – Ciset ma zamiar się wypowiedzieć, ale chce, żeby po jego spowiedzi został ślad...

– No a... tajemnica spowiedzi?

– Z tego, co pamiętam z prawa kanonicznego, że tak powiem, panie Tutusaus, spowiednik ma obowiązek zachować tę no, w rzeczy samej, tajemnicę. Ale jeśli penitent chce o tym opowiedzieć... chce panu opowiedzieć... nie widzę powodu, żeby mu tego odmawiać... – Zaproponował ciasteczka notariuszowi i sam po nie sięgnął. – Naturalnie pana też obowiązuje zachowanie tajemnicy. Prawda, że się rozumiemy? Tak samo rygorystycznie jak mnie. W rzeczy samej.

Pyszne te w rzeczy samej ciasteczka o smaku kminku. Notariusz Tutusaus zawsze uważał, że ludzie na prowincji świetnie się urządzili w kwestii jedzenia. Nie organizowali wyrafinowanych wieczorków z gęsią wątróbką i kawiozem, ale jak już jedli, to sobie dogadzali. Och, a likier był doprawdy wyborny...

– Prawda, że się rozumiemy? – powtórzył ksiądz, kończąc krótki wykład na temat spowiedzi, adresowany głównie do czterech ścian kancelarii parafialnej.

– Tak, naturalnie – udał tamten, że słucha uważnie. I żeby zrobić na rozmówcy wrażenie, dodał: – W każdym razie widzę tu *contradictio in terminis*.

– Co proszę? – przestraszył się ksiądz. Łaciny starczało mu zaledwie na odprawienie mszy i lekturę brewiarza, byle tylko nikt mu nie kazał tłumaczyć.

Notariusz wyjaśnił cierpliwie jak dziecku. Chodziło o to, że sakrament, którego istotą jest tajemnica, miał zostać udzielony przez dwie osoby, inaczej mówiąc, przy świadkach. Na co ksiądz, może i nie bardzo wykształcony, ale nie w ciemną bitą, przerwał mu, ej, ej, ej, w rzeczy samej, panie Tutusaus, ejże: to nie tak, że sakrament spowiedzi będzie udzielany przez dwie osoby; chciałem powiedzieć, że sakramentu udzielam tylko ja, żeby było jasne. Aż się uniósł, bo co jak co, ale w tej kwestii nie miał wątpliwości: nawet sam Pan Bóg nie może mnie zastąpić w konfesjonale, do diaska. I proszę sobie zapamiętać: nawet Bóg! A jeśli by zaistniała taka sytuacja, co? taka jak teraz, że przy spowiedzi są świadkowie, to mają nabrać wody w usta...

– Tak, ale ja mam spisać akt notarialny.

– No to niech pan piśże, w rzeczy samej, jeśli taka jest jego wola, do diaska! – Ksiądz się rozgorączkował, bo skazany na wieśniaków stracił resztki cierpliwości dawnego pilnego seminarzysty. Zapadła cisza. Proboszcz się uspokoił, a notariusz w tym czasie sięgał po ciasteczka z kminkiem, tylko dwa, nie, jeszcze jedno, no, może jeszcze następne, to już naprawdę będzie ostatnie. I druga szklaneczka likieru. Wystarczyło dziesięć minut i pełna taca ciasteczek, żeby rozwiały się definitywnie wątpliwości teologiczne notariusza. Pomocny okazał się też sfatygowany egzemplarz Kodeksu prawa kanonicznego, wyciągnięty z szafy, artykuł osiemset osiemdziesiąty szósty, osiemset osiemdziesiąty ósmy i osiemset osiemdziesiąty dziewiąty, paragraf pierwszy i drugi.

W pokoju chorego czuło się zapach tymianku i zaduch nieświeżej pościeli. Na życzenie księdza proboszcza Galana, która ich tam zaprowadziła, z ociąganiem opuściła sypialnię. Ciset uważnie przyjrzał się notariuszowi, a potem spojrzął na księdza.

– To notariusz? – zapytał matowym głosem, naznaczonym chorobą i cierpieniem.

– Tak. Tak jak chciałeś.

– Proszę zawołać Galanę, żeby przyniosła ratafię dla księdza i pana notariusza.

– Nie rób sobie kłopotu, Ciset. Możemy przystąpić do dzieła, w rzeczy samej, i bez tego...

– Więc dobrze... – przerwał mu i zamyślony wpatrywał się w pościel, jakby w nogach łóżka spodziewał się znaleźć wspomnienia. – Proszę usiąść, proszę księdza. I pan, panie notariuszu...

Usiedli obaj, skrępowani. Notariusz Tutusaus spodziewał się, że zastanie człowieka w stanie agonalnym, a tu widział przed sobą mężczyznę wprawdzie zniszczonego chorobą, ale wystarczająco energicznego, by wydawać rozkazy.

– Jestem umierający – zaczął Ciset, jakby chciał polemizować z myślami notariusza.

– Co do tego, Ciset, w rzeczy samej... To tylko Bóg może wiedzieć.

– Niech mnie ksiądz nie pociesza... To już koniec. Nie wiem, co tam mam w środku, ale to mnie zżera. A że nie mam chęci życia, to i pan Bóg nie pomoże.

– Do cholery, Ciset! – zirytował się ksiądz. – Jeśli prosisz o spowiedź, że tak powiem, to nie jest najważniejsza, w rzeczy samej, najlepsza postawa wobec tego tam, sakramentu.

Po tych słowach zapadła cisza, zakłócana tylko wyraźnie zniecierpliwionym postukiwaniem buta notariusza na drewnianej podłodze. I jakiegoś psa, który szczekał bez przekonania gdzieś w pobliżu domu Peric.

– Tak, chcę się wyświadczyć...

– I potwierdzasz, że chcesz to zrobić w obecności tego tu, w rzeczy samej, tego pana?

– Jeśli to notariusz, to tak.

– Owszem, notariusz, w rzeczy samej.

– A można wiedzieć, czemu chcesz się spowiadać w taki sposób?

– Zaraz ksiądz sam się przekona. Chcę opowiedzieć o czymś, co... cholera, nie wiem, jak to ująć, no, chcę się wyświadczyć i chcę, żeby pozostał po tym jakiś ślad.

– Nie rozumiem.

– Chcę wyjawic sekret, który już od jakiegoś czasu nie daje mi spokoju. I żeby pan notariusz zapisał to w swoich papierach. Inaczej nie będę mógł spokojnie umrzeć. Chcę to zrobić dla mojej biednej Remei.

– To jego żona, że tak powiem – wyjaśnił ksiądz w odpowiedzi na zdezorientowane spojrzenie notariusza.

Twarz Ciseta przygasła, w miarę jak mówił, i notariusz obserwował, jak początkowe, zaskakujące w tych okolicznościach ożywienie zmieniło się w coś w rodzaju żalostnej, fatalistycznej determinacji, pozbawionej tego sarkazmu, z jakim ich przyjął. Znow zaczął kaszleć.

– To może w takim razie już by pan zaczął – odezwał się notariusz.

– Tak. – Ciset spróbował zażartować. – Zanim umrę, co?

Spojrzał na nich skruszony, chcąc przeprosić, i zamilkł. Tamci dwaj tym razem nie zrobili nic, by przerwać ciszę, i znow usłyszeli szczekanie psa. Wreszcie chory nabrał powietrza w płuca, gotowy i zdecydowany.

– No dobrze, proszę księdza. Przypuszczam, że wszystko, co od tej chwili powiem... to już spowiedź, prawda?

– W rzeczy samej... – odpowiedział ksiądz i wyciągnął z kieszeni stułę. Szybko ją ucałował, założył i przez parę sekund koncentrował się w skupieniu. Później rozłożył ręce i zachęcił Ciseta zaczynaj, synu, że tak powiem.

Ciset z domu Peric zaczął mówić. Na początku ksiądz ze dwa czy trzy razy się wtrącił z rutynowymi pytaniami spowiednika, jak dawno, synu, ile razy, takie tam. Najpierw notariusz ziewał, ale już po dziesięciu minutach spowiedzi obaj zapomnieli o bożym świecie, o niezdecydowanym psie, o zegarze, nie zwracali uwagi, czy im ciepło, czy zimno, ani na Galanę, podsłuchującą za drzwiami. Od czasu do czasu notariusz Tutusaus coś zapisywał na kartce rozłożonej na przenośnym pulpicie. Ale niewiele pisał, prawie nic. Przede wszystkim słuchał i przełykał ślinę. Słuchał, jak Ciset swoim monotonnym, otchłannym głosem umierającego na chorobę płucną wyjaśniał ze szczegółami, jak pochował tanto ciało. Ciągłe kaszlał, widocznie powrót do wspomnień wzmagając objawy choroby. Ale zanim doszedł do tego czynu, musiał im wiele wyjaśnić. Zaczął od słów ja, panowie, urodziłem się w Barcelonie pięćdziesiąt siedem lat temu. Mój ojciec nauczył mnie zawodu ogrodnika. Ten zawód stał się dla mnie nie tylko źródłem utrzymania, ale i prawdziwą pasją. Nie wiem, czy panowie kiedyś słyszeli o róży maculata i róży papierowej... Dwóch odmianach, które udało mi się wyhodować dzięki temu, że mijały lata bezowocnych prób, a ja nie traciłem nadziei... Nie jestem wykształcony, ale mam, miałem, zręczne ręce i dlatego nigdy nie narzekałem na brak pracy.

– W Barcelonie? – upewnił się notariusz.

– W Barcelonie, w Barcelonie. Mimo że w tym mieście błoto leży na ulicach, Barcelona za domami kryje wiele ogrodów. Znam ich sporo.

– No dobrze – zaczął się niecierpliwić notariusz. – Proszę mówić dalej. – Ciset zrozumiał jego intencję, ale potrzebował paru sekund na odpoczynek. Znow dopadł go atak kaszlu. Położył rękę na piersiach, bo poczuł bardzo silne ukłucie. Nabrał powietrza w płuca i podjął swoją opowieść.

– Pewnego dnia, wiele lat temu, przystałem na służbę do don Rafaela Massó, obecnego prezesa Trybunału. Już wtedy się mówiło, że don Rafael jest adwokatem z przyszłością. A ja mu urządziłem ogród, praktycznie od zera. Kiedy przystałem na służbę, państwo Massó dysponowali tylko wodotryskiem na środku placu i kilkoma wytyczonymi klombami, zarośniętymi zielskiem. A źródło znajdowało się na środkowym klombie, który miał kształt... nie wiem, jak to się nazywa: miał osiem boków.

– W rzeczy samej – uściślił ksiądz.

– Ośmiobok – wtrącił się zupełnie zbytecznie notariusz.

– Jak zwał, tak zwał. – Ciset wrócił do przerwanej opowieści. – Chodzi o to, że w ogrodzie było

wiele do zrobienia. Don Rafel przyprowadził mnie pierwszego dnia i powiedział dając ci wolną rękę: zrób tak, żeby mi go zazdrościła cała ulica Ample... – Popatrzył na rozmówców i wyjaśnił, po nowym ataku kaszlu, zakończonym wypluciem, z dużym wysiłkiem, kawałek życia: – Przy ulicy Ample w Barcelonie jest dużo pałaców, wiecie, panowie? – Notariusz, który go doskonale rozumiał, gestem ręki dał do zrozumienia księdzu, że jego zdaniem, jeśli to ma być spowiedź, to ja jestem koziarzem, ale ksiądz mu odpowiedział wymownym spojrzeniem panie Tutusaus, proszę polegać na mnie w kwestii spowiedzi, to znaczy, znam się na rzeczy, że tak powiem, i wiem, że słuchając penitenta, trzeba się uzbroić w cierpliwość. Innymi słowy, Ciset kontynuował swoją botaniczną spowiedź; powtórzył to, co miał do powiedzenia o klombach, i podkreślił, ile wysiłku włożył w wypełnienie życiem i radością tego zapuszczonego ogrodu: hortensje, begonie, niecierpki, pierwiosnki i bignonie latem oraz całe bogactwo fiołków, lilii i nagietek jesienią i zimą. I wszędzie różane krzewy. Przykrył mur od ulicy i ściany domu wychodzące na ogród, przedtem bezwstydnie obnażone, z jednej strony bluszczem, a z drugiej strony, gdzie było więcej cienia, wiciokrzewem. Po dwóch latach ten ogród naprawdę cieszył oczy. Ponieważ obok usytuowanych na środku klombów pozostał kawałek pustego miejsca, posadził tam cyprysy, a tuż przy ścianie dwie lipy i trzy kasztanowce. W ogrodzie już wcześniej rósł majestatyczny dąb i to najprawdopodobniej przy nim wybudowano dom. W tym momencie notariusz parsknął zniecierpliwiony, bo nigdzie nie mógł się dopatrzeć grzechu. Ciset to zauważył i przerwał opowieść. Skorzystał z przerwy, by wypluć kolejny kawałek życia.

– W rzeczy samej, chciałem powiedzieć, do cholery! – obruszył się ksiądz na notariusza. – Wydawało mi się, że nie muszę panu przypominać, że trzeba się uzbroić w cierpliwość. Najtrudniej jest na początku, panie Tutusaus. – Notariusz, zrezygnowany, dał za wygraną. Może w tym momencie przypomniał sobie o dziczyźnie i stwierdził, że warta jest poświęceń.

– Tak, rozumiałem – zakaszła Ciset. – Pan notariusz chce, żebym przeszedł do rzeczy... Ale nie da się tego zrobić bez wyjaśnienia, jak wyglądał ogród. O tym była mowa, zanim pan mi przerwał. – Spojrzał z wyrzutem na notariusza. – W końcu pracowałem wyłącznie dla państwa Massó. Doña Marianna, stara maniaczka, w kwestii kwiatów zawsze zostawiała mi wolną rękę. Jeśli już, to częściej don Rafel wtrącał się do mojej roboty. Aż wreszcie nastał ten dzień, który nie powinien być nigdy nadejść... No dobrze, nie dzień, a noc...

Znów złapał go nowy, jakże niefortunny, atak kaszlu. Musieli poczekać, aż minie, a notariusz pożałował, że nie skorzystali z proponowanej wcześniej ratafii. Ciset, jeszcze skurczony pod wpływem wysiłku, ostrożnie otarł usta brudną chusteczką, jakby chciał usunąć jakieś wykrztuszone fragmenty życia. Kiedy poczuł się lepiej, podjął opowieść. Pewnego dnia, na początku ubiegłej jesieni, krzątał się sam w ogrodzie, zajęty pracą, zadowolony, że nikt mu nie przeszkadza, bo zarówno jego chlebodawcy, jak i służba jeszcze nie wrócili z letniska w Santa Coloma, gdzie zawsze tradycyjnie spędzali koniec lata. Ciset otrzymał polecenie, by przygotować ogród na powrót państwa, i postanowił zapełnić klomby chryzantemami i fiołkami, liliami wodnymi pośrodku i kaliami, rozumieją panowie? Przez całe popołudnie wrywał chwasty i składał je na kupę, żeby później spalić. Chciał oczyścić i przygotować ogród, by następnego dnia zająć się wyłącznie sadzeniem. Skończył późno, kiedy już nie widział, gdzie ma kopać motyczką, i poszedł do domu zmęczony całym dniem pracy. Tamtej nocy czuł się tak znużony, że nie zjadł kolacji. Żona gderała Ciset, do czego to podobne, ale nie pamięta, co jeszcze dodała, bo zaraz zasnął. Już wtedy pokasływał, choć nikt na to nie zwracał uwagi. W Barcelonie wiele osób kaszłało.

Obudziło go głośnie walenie do drzwi. Żona poruszyła się w łóżku, co go ostatecznie rozbudziło. Prawda, że ktoś pukał? odezwał się, a ona już po ciemku szukała świecy i mruczała pod nosem chyba tak, kogo diabli niosą? przyzwoici ludzie nie włączają się po nocy. Próbował ją uspokoić, co też mówisz, ale i on miał złe przeczucia, choć nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Zejdę na dół, powiedział. Wziął zapaloną świecę z rąk Remei i kierując się jej drżącym światłem, zszedł po schodach do drzwi wejściowych. Zobaczyłem mojego pryncypała. To państwo nie jesteście w Santa Coloma? Na co pan: ciii, Ciset, nic nie mów, na litość boską! Sam jesteś? Odpowiedział z żoną, jaśnie panie. Na co don Rafel: to świetnie, ubierz się, to poważna sprawa. Ciset zostawił pryncypała w ciemnościach i zabrał chybotliwy płomień na górę. Pryncypał słyszał szmer głosów, ale nie dosłyszał, co Ciset przekazał żonie. W każdym razie parę minut później zszedł na dół, ubrany, z kaftanem narzuconym na ramiona, bo mimo że dopiero był koniec września, już robiło się chłodno.

Błądzenie po północy opustoszałymi ulicami Barcelony nie należało do bezpiecznych zajęć, ale wtedy jego pan nie przejmował się takimi głupstwami. Szedł bardzo szybko i sprawiał wrażenie, że coś go mocno trapi. Zaprowadził Cisetą do niskiego budynku na rogu ulic Caputxes i Argenteria. Otworzył drzwi dużym kluczem i wpuścił go do małej sionki oświetlonej astmatycznym kinkietem. Kiedy zamknął drzwi, powiedział szeptem słuchaj, Ciset, jestem w trudnej sytuacji, musisz mi pomóc. Dobrze zapłacę, nie będziesz żałował, i Ciset poczuł cuchnący przerażeniem oddech swojego pryncypała i tylko jedno mu przyszło do głowy tak, jaśnie panie, co pan każe, jaśnie panie, i w ten sposób podpisał na siebie wyrok.

– Mówiłeś, w rzeczy samej... – przerwał mu ksiądz, któremu zaschło w ustach – prawda, że wspominałeś coś o ratafii?

– Galana! – powiedział Ciset półgłosem, bo nie miał siły krzyżeć. A kobieta natychmiast otworzyła drzwi z taką miną, jakby wracała z ogrodu.

– Pan mnie wzywał?

– Ratafia dla tych panów – zakaszła. – I ciasteczka, jeśli coś zostało. Biedna Remei upiekła, zanim...

Kobieta skierowała się do wyjścia, ale nim przekroczyła próg, stanęła jak wryta, zatrzymana żelaznym uchwytem ręki na ramieniu.

– Do diaska, Galana, w rzeczy samej! – ksiądz rzucał słowa, poblady z oburzenia. – Podśluchiwanie spowiedzi pod drzwiami to ciężki grzech. Pójdiesz w rzeczy samej do tego tam, rozumiesz?

Galana poszła spełnić polecenie, zawstydzona, ale w głębi duszy uważała, że gorsze niż piekło byłoby niewykorzystanie okazji, żeby się wreszcie dowiedzieć, a potem móc rozpowiadać, jaki to sekret krył Ciset i jego żona.

Trzej mężczyźni czekali w milczeniu, aż Galana wykona polecenie. Ciset potrzebował czasu, by odetchnąć, wykaszleć się i znów odzyskać oddech. Sprawiał wrażenie nieobecnego, jakby się przeniósł na róg ulic Caputxes i Argenteria, w pobliżu Santa Maria, jak tamtej nocy, kiedy czuł za sobą nieprzyjemny, cuchnący lękiem oddech pryncypała, a on, biedny idiota, który stracił rozum, odpowiadał tak, jaśnie panie, co pan każe, jaśnie panie, i dał się zaprowadzić do pokoju, do alkowy oświetlonej słabym światłem kinkietu. Na zmiętej, potarganej pościeli leżała na łóżku kobieta, młoda, naga, ładna i martwa. Cisetowi aż dech zaparło, bo udławił się całym przerażeniem świata połkniętym naraz. Jest martwa? zapytał, żeby coś powiedzieć, a jego pryncypał, ocierając pot z czoła, odpowiedział tak, Ciset, jest martwa; przyszedłem tu i... i zastałem ją martwą. A głos mu drżał, kiedy to mówił. Nie wiem, czy

potrafisz to zrozumieć, Ciset, ciągnął dalej, ale nie mogę dopuścić, by ktokolwiek się dowiedział, że ja i ta kobieta... no, po prostu, ciało powinno zniknąć z tego domu... a Ciset pojął, że ta kobieta, ładna, martwa, naga i młoda, była tajemną kochanką jaśnie pana. Zbliżył się do trupa i obejrzał go dokładnie. Podniósł głowę i powiedział wydaje mi się, że ją udusili, jaśnie panie; i wymownym gestem położył rękę na szyi. Pan tak był rozdygotany, że aż musiał usiąść, bo ugięły się pod nim kolana, odpowiedział tak uważasz, Ciset? i jeszcze bardziej się spocił, chociaż nie było gorąco, a Ciset potwierdził och, tak, proszę pana, a pan mimo woli jęknął głośno z bólu, najwidoczniej bardzo cierpiał, a to ciało młode, ładne, nagie i martwe jeszcze nie wystygło, jaśnie panie; naprawdę niedawno ją zamordowano. Pryncypał spojrział na niego tak, że Ciset jeszcze bardziej się przestraszył i ze zdenerwowania zaczął się bronić ejże, czego pan ode mnie oczekuje, co, jaśnie panie? bo ja nie mam z tym nic wspólnego i nie chcę wpaść w tarapaty, jasne? Pan siedział w fotelu całkiem rozbity i zdruzgotany. Poprosił obsypię cię złotem, Ciset, nie będziesz musiał już nigdy pracować, przysięgam, tylko mi pomóż. A kiedy go zapytałem, co to za pomoc, powiedział, wrzuc ją do morza, Ciset, obciąż ją kamieniem, żeby już nie wypłynęła, a ja pomyślałem trzeba nie mieć serca, wrzucać do morza kogoś, kto jest jeszcze ciepły. Obsypię cię złotem, Ciset, nalegał. Zauważyłem, że płacze, i nie wiedziałem, co robić, no bo założmy, że bym sobie poszedł i odmówił mu pomocy, to przecież zaraz by mi się dobrał do skóry, nawet mógłby mnie zabić. Tak wtedy kalkulowałem, proszę księdza... i przestraszyłem się nie na żarty.

– W rzeczy samej, mój synu. Mów, mów dalej. – Notariusz też cały zamienił się w słuch. Podobnie jak Galana, z pretensjami, że zza drzwi źle słyhać.

Ciset wrócił do wątku lęku i powiedział tak więc, proszę księdza, zgodziłem się, że owszem, że mu pomogę, a mimo że noc była chłodna i ponura, mimo że się obawiałem spotkania ze strażą nocną, wróciłem do pustego domu przy ulicy Ample po taczki służące do pracy w ogrodzie i tak sobie myślałem, że nad morzem na pewno się znajdzie spory kamień do obciążenia ciała tej kobiety. A kiedy tylko Ciset wrócił do domu przy ulicy Caputxes, pan mu otworzył i powiedział gdzie się tak długo podziewałeś. Załadowali taczki, a pan, najbezczelniej w świecie, kładzie mi rękę na ramieniu i mówi Ciset, przyjacielu, w żadnym razie nikt nie powinien widzieć, jak wożę trupy... Powierzam ci ten ładunek i proszę o dyskrecję... Czy coś podobnego, przypominał sobie Ciset, wtedy usłyszał. Pan ciągnął dalej: przypominam ci, że jeśli dobrze się spiszesz, obsypię cię złotem, a ja, jeszcze bardziej wystraszony niż pan, spytałem, a co będzie, jak mnie zatrzyma straż nocna? a on mi na to, nie złapią cię, Ciset. Wtedy ja: no dobrze, ale jeśli mnie jednak złapią? Obruszył się na mnie, można powiedzieć, że się wręcz obraził. Ale ja wiedziałem, niech sobie mówi, co chce, jeśli natrafię na straż, to już po mnie. Wtedy zaczął przekonywać, że całe życie to ryzyko: chcesz dostawać co roku czterysta dublonów? A Ciset zrobił wielkie oczy: czterysta? Pan się zreflektował i udając, że powtarza kwotę, powiedział, tak, tak, trzysta pięćdziesiąt. Ciset mu przypomniał, że wcześniej było czterysta i pan się zgodził. Dam ci tyle co roku, jeśli teraz wrzucisz to ciało do morza. A jeśli mnie złapią? powtórzył, a don Rafel wykrzywił się, jakby kończyła się jego cierpliwość, odczekał chwilę i przygotował sobie odpowiedź, już trochę spokojniejszy: jeżeli straż cię zatrzyma, obiecuję, Ciset, że uruchomię wszystkie moje kontakty, a mam ich wiele, żeby włos nie spadł ci z głowy. Ty masz tylko trzymać język za zębami, a ja cię wyprowadzę z sądu głównym wejściem. I obsypię cię złotem. I tam na miejscu, żeby mnie przekonać, dał mi pięćdziesiąt skudów, a ja nigdy nie widziałem tyle pieniędzy naraz, i w ten sposób ostatecznie mnie przekonał.

– I poszedłeś wyrzucić zwłoki... – wtrącił się notariusz, ze szklaneczką ratafii w jednej ręce i piórem

w drugiej.

– Nie – odpowiedział Ciset. – Nie wrzuciłem ciała do morza.

I znów zaczął kaszleć, i wszyscy troje wysłuchujący spowiedzi, notariusz, Galana i ksiądz, musieli czekać cierpliwie, aż Ciset odzyska głos. Na migi poprosił, żeby mu nalali ratafii, a uczynny ksiądz rzucił się, by spełnić jego życzenie, lekceważąc niefrasobliwie podstawowe zasady postępowania z umierającymi. Notariusz też tylko wzruszył ramionami. Może Galana miałyby w tej sprawie coś do powiedzenia, gdyby tylko mogła się ujawnić.

– Nie powiozłem jej nad morze – ciągnął dalej, trochę wzmocniony ratafią. – To znaczy niby tak, ale jednak nie. Chcę powiedzieć, że to wszystko było straszne. Wyobrażacie sobie, jak to jest, ciągnąć martwe ciało w środku nocy, ryzykując spotkanie ze strażą... Bo pan mnie obarczył zmarłą, a on tam został, żeby zrobić porządek w domu i rano wrócić do Santa Coloma. I sam, głupi osioł, musiałem wieźć tę kobietę, a nie wiedziałem nawet, jak się nazywa. A ciało było jeszcze ciepłe. Nie miałem ochoty przechodzić z nią przez plac Palau, gdzie zawsze kręcili się wartownicy, nie mogłem też nadłożyć drogi przez ulicę Bòria, bo o tej porze mógł tam już czekać na pasażerów obok kaplicy Marcúsa jakiś dyliżans. Bałem się iść nad morze... Przeklinałem pana w żywy kamień, bo byłem przekonany, że on to wszystko przewidział. A ja, naiwny, zostałem z trupem; ale w tym momencie stało się ze mną coś dziwnego: wyobraziłem sobie te czterysta dublonów i pomyślałem, że nie warto się wycofywać. Wtedy zdecydowałem, że zemszczę się za mój lęk. Smakuje panom ratafia?

– Wspaniała – przyznał notariusz.

– Że tak powiem – potwierdził ksiądz.

Wobec tej jednomyślności Ciset ciągnął dalej. Czuję się bezpieczniej na dobrze mi znanych bocznych ulicach. Ulicą Gignàs poszedł w dół i tak oto niebawem znalazł się z makabrycznym ładunkiem w bocznej uliczce na tyłach pałacowych ogrodów; a ponieważ dysponował kluczem do bramki domu państwa, bez trudu dostał się do środka. W ogrodzie panowały ciemności, ale on znał go na pamięć. Postawił taczkę przy fontannie i rozplakał się, Panie Boże, dlaczego dałem się wrobić w taką mroczną sprawę... a kiedy już odpoczął po wysiłku pchania taczek, poczuł zimne dreszcze. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to gorączka. Poczuł też strach, ogarnęło go przytłaczające poczucie lęku, sam na sam z ciepłym trupem o północy w ogrodzie. Twarzą w twarz z wymiarem sprawiedliwości, twarzą w twarz z szubienicą z winy don Rafela. Ta myśl sprawiła, że zaczął działać szybko. Udał się do szopy po narzędzia, a w myślach oceniał stan klombów wokół fontanny. Tam ziemia jest miękka i łatwiej będzie kopać. W szalonym tempie, zalewany na zmianę falami potu, łez, nienawiści i gorączki, wykopał bardzo głęboką jamę na klombie najbardziej oddalonym od domu. Zajęło mu to długie dwie godziny; poświęciłby na to zajęcie jeszcze z dziesięć, byle tylko wykopać grób sięgający do piekła, aby pochować w nim tanto jeszcze ciepłe ciało. Jednak obawiał się, że zostanie go przy tym poranek i oskarżycielskie światło dnia. Dlatego kiedy wyprostował się w grobie, gdzie na dnie ustawił sobie świecznik, i głową sięgał poziomu klombu, powiedział dość, wystarczy, koniec, więcej nie dam rady. Kiedy podnosił pakunek z ciałem, potknął się o rękę trupa i aż zadrżał, ale jednocześnie zauważył na palcu pierścionelek. Już wcześniej zwrócił na niego uwagę, kiedy po raz pierwszy zobaczył dziewczynę na łóżku: bardzo ładny klejnocik, na pewno wart fortunę. Przewyciężając wstręt, obmacywał w ciemności to ciało, jeszcze miękkie, jeszcze niewystygłe, aż trafił na rękę. Zbierało mu się na wymioty. O mój Boże. Jednym pociągnięciem zerwał pierścionelek z palca, ze złością, nadając temu gestowi symboliczne znaczenie

rewanżu na człowieku, który go wplątał w tę sytuację. Kiedy Ciset już podnosił ciało, by je wrzucić do grobu, dzwony na kościele Świętego Fanciszka wybiły trzecią. Znieruchomiał przestraszony, że ten dźwięk i jego echo staną się świadkami grzechu, którym będzie od tej chwili pobieranie czterystu dublonów rocznie. Kiedy znów nastała cisza, Ciset chwycił ciało kobiety, młodej, nieznanej, ładnej, nagiej, jeszcze cieplej, jeszcze nie sztywnej, martwej i milczącej, i wrzucił je do grobu. Usłyszał plaf. To plaf wyryło mu się w sercu i w pamięci. Plaf. Znaczyło tyle, co powiedzieć tu już zostaniesz, niema i cicha, tu wystygniesz, tu się tobą zajmie wilgoć i robaki, nieznana dziewczyno, zabita z nie wiadomo jakiego powodu, połączona ze mną z nie wiadomo jakiej przyczyny. Plaf. I dziewięć piędzi ziemi nad kobietą, młodą, ładną, nagą i martwą, a ja nie wiem, czy to nie grzech pochować ciało jeszcze ciepłe, bo to może jest tak, jakby jeszcze trochę żyło, i miałem wrażenie, jakbym zabijał umarłą, rozumie mnie ksiądz? Bo czy nie jest grzechem zabijać umarłych, proszę księdza? Ale zanim ksiądz zdążył odpowiedzieć w rzeczy samej, synu, że tak powiem, Ciset wrócił do przerwanej opowieści. Wykorzystał resztkę sił, by zasypać dół i uklepać, a każde zamachnięcie się szpadłem stawało się niczym uderzenie ciała dziewczyny, i cierpiał, czy nie robi jej krzywdy, aż zasypał grób do końca i widmo tamtego ciała zaczęło się powoli oddalać. Mimo że klomb był wypukły, zostało mu dużo ziemi. Rozłożył ją na pozostałe trzy i kiedy skończył, zmordowany, osłabiony, w gorączce, nie pomyślał o tym, żeby zmówić modlitwę za zmarłą. Zapadła cisza.

– Co za historia – odezwał się notariusz po chwili. A siedzący obok niego ksiądz i Galana za drzwiami pomyśleli to samo. Ciset, kaszląc, podniósł palec na znak, że jeszcze nie skończył. Wrócił do opowieści monotonnym, przygaszonym tonem. Choć byłem bardzo zmęczony, proszę księdza, nie skończyłem jeszcze zadania. Skoro państwo wracają za dwa dni, należało zrobić tak, żeby niczego się nie domyślili. Dlatego musiałem od razu wykonać całą pracę zaplanowaną na następny dzień. Nad głową nieznajomej posadziłem trzy lilie. Tam, gdzie spoczywają ręce, jeśli ta nieszczęsna dziewczyna padła z rozłożonymi ramionami, posadziłem, proszę księdza, dwa krzaczki białych cyklamenów i dwa czerwonych, przygotowane poprzedniego dnia. W nogach Ciset zasadził ciemnoczerwone prymulki. A na ładnym, choć odrażającym ciełe chryzantemy czerwone i żółte, kwiat Święta Zmarłych, które miały przypominać, nie wiadomo komu, że ten ukwiecony klomb jest grobem, a wspaniały ogród państwa Massó – niczym więcej jak cmentarzem.

Kiedy niebo pojaśniało i mógł już swobodnie pracować, zabrał się do obsadzania kwiatami pozostałych klombów i do poprawiania tego, co w ciemności wykonał niezbyt starannie. O siódmej rano Ciset zmordowany, z gorączką, wylękniony po tej ponurej, nieszczęsnej nocy, położył się do łóżka, witany pytającym, ale milczącym spojrzeniem Remei. Przespał, rzucając się w gorączce, całe dziesięć godzin.

– Od tego momentu aż do dziś – dodał chrapliwym głosem – już nigdy nie spałem spokojnie. Prześladowuje mnie widmo tamtej nieszczęsnej kobiety.

Odwrócił się z wysiłkiem i otworzył szufladę nocnej szafki.

– To ten pierścionek.

Notariusz szybko się zerwał i podszedł do chorego. Bez ceregieli wziął z jego rąk klejnot.

– Dlaczego go zatrzymałeś?

– Nie wiem. Pewnie wart jest sporo grosza.

– To dlaczego go nie sprzedałeś?

– Ze strachu.

Notariusz z ociąganiem oddał mu pierścionek i dyskretnie powstrzymał się od komentowania jego wartości. Wrócił na miejsce i coś tam zapisał w notatkach.

– I otrzymywałeś obiecane wynagrodzenie?

– Powiedziałem mojemu panu, kiedy wrócił z rodziną z Santa Coloma, że nie chcę już dłużej pracować w tym domu. On to sobie przemyślał, powiedział, że mnie rozumie, i zapytał, co chciałbym robić, i w ogóle był mi bardzo wdzięczny. Cały czas przekonany, że wrzuciłem ciało do morza, rozumiecie panowie? Powiedziałem, że bardzo bym chciał zniknąć, a on mi wtedy znalazł ten dom, podobno własność rodziny jego żony.

– Ale otrzymywałeś tanto, w rzeczy samej?

– Tak, proszę księdza. Co dwa miesiące przyjeżdżał zaufany służący z sakiewką dublonów. Już mi uszami wychodzą te pieniądze, bo nie mam na co ich wydawać.

– A dlaczego zgodziłeś się na to wygnanie?

– Ze strachu.

– A tanta, w rzeczy samej?

– Słucham, proszę księdza?

– Żona, Remei. Też się z tym pogodziła?

– Musiałem jej wszystko opowiedzieć. Dobrze jej się tu żyło, mogła sobie urządzić ładny dom, po pańsku... Ale zawsze była smutna. I z tego smutku umarła.

– Dlaczego nie wyjechałeś gdzieś daleko, za granicę?

– I tu dobrze się ukryłem przed światem, panie notariuszu.

– A dlaczego opowiadasz nam teraz całą tę historię?

Kolejny atak kaszlu. Najwyraźniej o wiele gorzej znosił pytania niż własne odpowiedzi. Kiedy kaszel ustał, powiedział:

– Jestem umierający... Boję się... a... Remei umarła ze smutku, z winy mojego pryncypała i tego, co mi zrobił.

– W rzeczy samej, mój synu... Spowiadasz się dlatego, że masz wyrzuty sumienia czy z chęci zemsty, że tak powiem?

– Dlaczego mnie ksiądz o to pyta?

– Bo nie mogę ci udzielić rozgrzeszenia, jeśli nie żałujesz za grzechy...

– Cholera.

Notariusz, mimo że rozmowa zboczyła na tematy obce jego profesji, słuchał zaintrygowany. Pociągnął łyk ratafii i nadstawił uszu.

– Ni dzuma, ni cholera, Ciset, do diaska! Żałujesz czy nie?

Chwila ciszy. Słysząc było tylko ciężki oddech chorego. Notariusz i ksiądz w środku, a Galana po drugiej stronie drzwi, czekali w napięciu. Pies, ten sam, co poprzednio, zaczął szczekać, jakby już się przygotowywał do śmiertelnego wycia. Ciset poczekał, aż pies umilknie.

– Nie chciałbym pójść do piekła... Ale chciałbym, żeby i mój pan umoczył... bo przecież to on zabił, prawda? Niechby zapłacił za swoją zbrodnię... To on mi zabił Remei, bo ona zmarła ze smutku i z lęku, proszę księdza. Chcę, żeby mój pan zapłacił za tę śmierć. Biedna Remei nie była niczemu winna.

Milczeli tak dobre pięć minut, każdy sam na sam ze swoimi myślami. Ciset patrzył przed siebie szklanym wzrokiem i odpoczywał po wysiłku mówienia, zgięty wpół, oddychając ciężko i powoli.

Myślał o Remei, która zmarła, stojąc, na podwórku, kiedy miała powiedzieć Ciset, czas iść do kościoła, z książeczką do nabożeństwa w dłoni. Zabiła ją nostalgia i wyrzuty sumienia, bo milczenie, Cisecie, też jest grzechem, a teraz nie żyła z winy mojego pana, i myślał o ponurym plań. To plań towarzyszyło mu przez tyle czasu i nie dawało spokojnie żyć, plań, ciało pochłonięte przez dół, który sam wykopałem, proszę księdza, strasznie jest żyć w taki sposób i mój pan powinien za to zapłacić. Ksiądz Joan, że tak powiem, poczuł się skonsternowany, bo to był trudny casus i bał się popełnić błąd. Faktycznie, jeśli nie liczyć tamtej sprawy ze zgwałceniem trzech kobiet, to najcięższy przypadek, jaki mu się przytrafił w konfesjonale. Miał poważne skrupuły, bo nie wiedział, czy Tamten, w rzeczy samej, uznawał resentyment, czy tylko żal za grzechy. Bo do niego, w rzeczy samej, należało udzielenie rozgrzeszenia. Natomiast notariusz Tutusaus ze wszystkich czworga okazał się tym, który najściślej trzymał się swojej roli świadka i spokojnie czekał; zajmował godne pozazdrosczenia miejsce w pierwszym rzędzie, ale nikt od niego nie oczekiwał, że przejmie inicjatywę. Może najbardziej przejmowała się Galana, bo zza drzwi naprawdę niewiele słyszała. Zdawała sobie sprawę, że w tamtym pokoju wyjaśniała się wreszcie tajemnica bogactwa Ciseta i Remei, i nie mogła tego przegapić, choćby ją ksiądz straszył teologią. Możliwość rozgłoszenia tajemnicy uzyskanej z pierwszej ręki zapewni jej wyjątkową pozycję w miasteczku na całe życie. A jeżeli podsłuchiwanie to grzech, wypowiada się z niego i po sprawie.

Ciszę przerwał Ciset, starając się nadać głosowi perswazyjny ton propozycji nie do odrzucenia. Dzięki intuicji i sprytowi zwierzył się, że zostało mu jeszcze sporo pieniędzy, że chciał wypłacić szczodre honorarium panu notariuszowi, a ponieważ jego żona nie żyła i nie mieli dzieci, postanowił złożyć hojną ofiarę, praktycznie rzecz biorąc spadek, na rzecz Parafii Świętego Marcina w Murze. Zarówno notariusz, jak i ten w rzeczy samej zrobili się czujni i zaczęli w myślach kalkulować wielkość majątku Ciseta. A Galana zastanawiała się, gdzie mogą trzymać pieniądze, skoro ona nie znalazła ani śladu. Tamci wewnątrz zachowali zimną krew, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo zainteresowała ich ta propozycja i że dzięki tej deklaracji Ciset ich kupił i zagwarantował sobie wieczną chwałę.

– Panie notariuszu, czy mógłby mi pan przeczytać akt?

– Co? Ach tak, oczywiście... Ale najpierw muszę go dokończyć. I będziesz musiał podpisać.

– Nie umiem pisać.

– Wszystko jedno.

– No dobrze... – westchnął, żeby dodać sobie sił. – Jeżeli uznam, że wszystko w akcie się zgadza, będę musiał dać panu instrukcje, co ma pan z nim zrobić.

– No tak. To oczywiste.

Ale wszystko to było mało istotne. Teraz głos należał do księdza. Upłynęło kolejnych kilka minut napiętej ciszy. Galana odniosła wrażenie, że ci w środku usnęli i najchętniej weszłaby tam, żeby ich obudzić. A ksiądz ciągle jeszcze się zastanawiał co i jak, rozdarty między sumieniem spowiednika a obowiązkami proboszcza biednej parafii, która mogła otrzymać prezent, a wszystko to, w rzeczy samej, na chwałę Bożą, że tak powiem.

Kolejny kwadrans upłynął w ciszy, w spokoju, wśród brudnej pościeli, aż się odezwał nagle niepewny głos księdza; najpierw pouczył penitenta o żalu za grzechy, a następnie, cały czas niewyraźnym tonem, ten sam głos wypowiedział formułkę, która rozwiązywała i zamykała sprawę, uwalniała Ciseta od grzechów i podprowadzała go pod bramy Raju, ego te absolvo a peccatis tuis, w końcu, nareszcie, to moja zemsta za śmierć Remei, teraz mogę spokojnie zdechnąć, ten skurwysyn, mój pan, dostanie, na co

zasłużył, in nomine Patris et Filii et Spiritu Sancto. Galana w korytarzu przeżegnała się, zgłodniały notariusz ziewnął, a Ciset swoim chropawym, matowym głosem powiedział amen.

Nora pełna nieczystości, cuchnące gnojowisko, zdeprawowany burdel, obrzydliwy ściek, w którym gromadzą się wszystkie odchody ludzkości, dom schadzek, ściany prześmiardnięte rozwiązłością, okna niezdrowej ciekawości, bezwstydną balkon zachęcający do złego, misa wypełniona gównem z ludzkich serc, śmierdzący wrzód, ujście najniższych instynktów, jaskinia, barłóg niewolników zepsucia i perwersji, piekło występku, królestwo diabła, wyzute z moralności i dogmatów, kosz zgniłych owoców zatrujący powietrze, śmierć i rozkład, podupadły dom publiczny, obrzydliwe stręczycielstwo, lupanar wyuzdania i wszelkiej perwersji, wielka pizda obłudy, którą diabelskie potomstwo pieprzy do upadłego, obrzydliwa plwocina jurnego kozła, studnia zgniłego gówna... To wszystko i jeszcze więcej przeszło przez głowę don Rafaela, kiedy wyciągnął swój klucz, przyzywany pożądaniem, by wejść ukradkiem do gniazdka miłości, zakątka ukrytego przed obcymi, twojego i mojego raję, z ciastem pieczonym na skwarkach w paczusce, w prezencie dla mojej Elvirety, na pewno się mnie nie spodziewałaś, prawda, ślicznotko, pewnie myślałaś, że jestem w Santa Coloma? W małej jadalni nie zastał nikogo. Gdzie ona się podziała, zastanawiał się, trzymając w rękę zapakowane ciasto. A kiedy kręcił się po jadalni, zobaczył, że otwarte są drzwi do świętej, najświętszej, intymnej, przytulnej alkowy w głębi, na końcu korytarza. Don Rafael się przestraszył, bo usłyszał jakieś dzikie sapanie, coś jakby do środka wdarła się dzika świnia. Ale kiedy don Rafael stanął w progu, zamiast dzikiego zwierzęcia zobaczył tyłek swojej ukochanej, wiernej Elviry, wystawiony dla nagiego młodzieńca z fiutem na baczność gotowym do akcji, podczas gdy ona zachłannie, och, don Rafael dobrze wiedział, na co ją stać, obciągała członek innego muskularnego młodzieńca, który leżał na łóżku i przymykał oczy z wyrazem pełnej satysfakcji.

Wszyscy troje uczestnicy spektaklu byli tak zajęci sobą, że nie od razu zauważyli obecność intruza odkrywającego w tym momencie, jak mu rosną monumentalne, solidne rogi, przebijają się przez perukę i tworzą koronę na głowie. Pochłonęła ich wszak robota: klęczący młodzieniec wyładował całą nagromadzoną napiętność na tyłku Elviry, a ta zaczęła jęczeć, doznając rozkoszy. Jaśnie pan jeszcze trzymał za sznurek paczuszkę z ciastem na skwarkach kupionym w cukierni Palau. Leżący młodzieniec, z miną zapowiadającą rychły wytrysk, tak szeroko otworzył oczy, kiedy don Rafael pojawił się w drzwiach, jakby zobaczył ducha. Z przerażenia poczuł nagły spadek żywotnych sił, a sperma wróciła tam, skąd przysła, i w panice zaczął mocno uderzać Elvirę po ramionach, na co tamta nie zwróciła uwagi, biorąc te uderzenia za część miłosnej gry. Aż wymierzył jej mocny policzek z otwartej ręki. Elvira musiała wypuścić z ust fiuta, żeby zapytać chłopię, o co ci chodzi? Co to ja bęben jestem czy co? Ale idąc za przerażonym wzrokiem młodzieńca, odwróciła głowę. W drzwiach nie było już nikogo, pusto. No, nie całkiem: tylko starannie zawiązana paczuska, zwyczajowy prezent don Rafaela, kiedy przychodził do gniazdka miłości z wizytą.

– Co się dzieje? – przestraszyła się.

– On tu był...

Elvira wyprostowała się, niemile tym zaskakując drugiego młodzieńca, zajętego swoim bara-bara, nieświadomego zmiany sytuacji.

– O mój Boże! – Wyskoczyła z łóżka i pobiegła korytarzem, wołając Falecie, mój Falecie! To nie to, co myślisz! Ja ci wszystko wyjaśnię... Nie jesteś w Santa Coloma?... Ale don Rafael nie mógł usłyszeć tego steku bzdur; skręcał właśnie w ulicę Argenteria, szybkim krokiem, w aureoli rogów, mimo świętości

jego pruderyjnej małżonki Marianny, i kierował się w stronę placu Biat. Don Rafel obmyślał zemstę. Zanim doszedł do placu, zmienił zamiar. Wrócił i wpadł jak furia do swojego gniazdka miłości, które za jego plecami zamieniło się w najbardziej wyuzdany burdel Barcelony. Z impetem godnym najbardziej zagorzałych wystąpień w Trybunale don Rafel wtargnął do alkowy z zamiarem zmierzenia się z tamtymi lubieżnikami. Ale już ich nie zastał, bo w tajemnej miłości szybkość reakcji odgrywa zasadniczą rolę. Zostało tylko ciasto na ziemi i płacz Elviry, dochodzący z pomieszczenia w głębi domu.

– Dziwka!... Od kiedy...

Elvira odpowiedziała płaczem. Zresztą o czym tu było rozmawiać. Nagle don Rafel ujrzał jasno wszystkie lekceważone dotąd poszlaki wskazujące na niewierność: począwszy od ukradkowych spojrzeń Elviry aż po wujka Venture; wszystko naraz stało mu przed oczami i wtedy zrozumiał, że rogi hodował już od dłuższego czasu oraz że stał się ofiarą, potwierdzającą bezlitosną zasadę, że rogacz jest ostatnią osobą, która zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje. Uświadomił sobie również, że sam ułatwił i sponsorował orgie sporej liczbie obywateli, w poniedziałki, wtorki, czwartki, soboty i niedziele, ze swoją wyuzdaną ukochaną, która wstydu nie ma, której moja miłość nie wystarcza... Ta świadomość zaćmiła mu jasność myślenia. Chwycił Elvirę i zaczął ją potrząsać, ty dziwko, nierządniczo, wycieruchu, wywłoko, jesteś większą kurwą niż twoja matka! a Elvira zalewała się łzami i nagle zapanowała cisza, bo z tego oburzenia don Rafelowi wyczerpał się repertuar obelg, dzięki czemu ona przejęła inicjatywę.

– Mniej masz wstydu niż kury w kurniku! – podsumował z pogardą don Rafel.

– A ty się pieprzysz jak królik! – wymknęło się Elvirze, w ten obrazowy sposób dającej mu do zrozumienia, że niewiele mógł zrobić, by ją zaspokoić, i dlatego szukała sobie jurnych samców. Don Rafel, domyślając się intencji i doprowadzony do ostateczności, rzucił się na nią wściekły, zaślepiony, straszny i przestraszony, i zaczął zaciskać palce na jej szyi. Już mu oczy wychodziły z orbit, kiedy zdał sobie sprawę, że od dłuższej chwili biedna, nieszczęsna Elvira nie oddycha i nie daje znaków życia. Elviro, ej, Elviro, no co ty! Ja nie chciałem.. Elviro, do cholery! Odezwij się!... Co ci się stało, Elviro. Ja nie chciałem...! Obudź się, do cholery! Nie udawaj, że śpisz... I jaśnie pan rozplakał się nad martwym ciałem ukochanej Elviry, mojej Elvirety, i po raz pierwszy miał wrażenie, że przekroczył granicę tego, co nieodwracalne, i zrozumiał, że od tej chwili jego życie będzie naznaczone lękiem. A wszystkie te uczucia mieszały się ze łzami, podczas gdy potrząsał brutalnie ciałem swojej dziwki, mojego biedactwa, z szaloną nadzieją, że dusza jeszcze nie odleciała i że to potrząsanie przywoła ją z powrotem. Moja Elvireto, ja nie chciałem, zapłakał.

– Tuietes, nie słyszałaś hałasu, że tak powiem, na górze?

– Nie, proszę księdza.

– Pewnie znowu się zagnieździły, w rzeczy samej, myszy, że tak powiem.

Tuietes, istny kłębek nerwów, zaczęła sprzątać ze stołu. Gdyby ksiądz okazał się lepszym obserwatorem, zauważyłby, że gospodyni, sięgając po talerze, co rusz rzuca ukradkowe spojrzenia na sufit. Ale największym zmartwieniem księdza było ukontentowanie pana notariusza obfitą kolacją, i to na nim skoncentrował swoją uwagę.

– Tuietes, zostaw to na jutro, w rzeczy samej, my tu chcemy spokojnie porozmawiać.

Kobieta wyszła, zabierając brudne talerze. Na stole pozostały butelki, popielniczki, szklanki i półmisek z resztkami dzika w marynacie, ostatnia rzecz, którą człowiek z żołądkiem tak delikatnym jak notariusz powinien spożywać na kolację. Ale mięso tak mu smakowało, że nie mógł się oprzeć. A wybornemu trunkowi tym bardziej... Notariusz Tutusaus z premedytacją rozkoszował się stanem poprzedzającym upojenie alkoholowe, błogością, która go wypełniała i unosiła... Bawił się kieliszkiem napełnionym przez księdza anyżówką... Dymiąca kawiarka pomiędzy nimi roztaczała rozkoszną woń, a teraz jeszcze ksiądz podsuwał mu właśnie pudełko z cygarami. Zapalili z niemal liturgicznym namaszczeniem pośród ciszy deszczowej nocy w Murze. Słysząc było energiczne cmokania jednego i drugiego i niebawem do innych miłych zapachów doszła niezrównana woń hawańskich cygar przywiezionych przez notariusza. Jakże piękne jest życie, wzdychał każdy z nich w myślach. Notariusz pociągnął odrobinę anyżówki i nadmiernie rozluźniony, jak zawsze, kiedy nadużył alkoholu, wymierzył cygaro w księdza.

– Chcę zatrzymać ten pierścionek.

– Zgoda, że tak powiem, to znaczy. Ale jeśli, w rzeczy samej, dojdzie do, to co wtedy?

– Słucham? – Notariusz za krótko znał księdza Joana.

– No, że tak powiem, do dochodzenia. Może być potrzebny jako dowód.

– Naturalnie, naturalnie – uspokoił go notariusz. – Naturalnie – powtórzył. – Dlatego chcę go mieć pod ręką, mam nadzieję, że ksiądz mnie rozumie.

Przez chwilę w ciszy palili cygara. Notariusz okazał się bardzo obrotny i zaproponował choremu, by od razu spisać testament, korzystając z jego obecności. Ciset, osiągnąwszy wszystko, czego w tym momencie najbardziej pragnął, natychmiast się zgodził. Testament był prosty, ponieważ prawie wszystko sprowadzało się do żywej gotówki, reali i duros, których nie miał okazji wydać w ciągu życia. Jednakże chory zastrzegł, że toaletkę z lustrem zostawia Galanie, ponieważ się nim zajmowała w ostatnich dniach życia, a Galana, stojąc za drzwiami, myślała obyś szczeł, kurwa twoja mać, ty kutwo, a mnie na jaką cholere ta zasrana toaletka. Ja chcę gotówki! Co ty sobie myślisz, że dla przyjemności sprzątam twoje szczochy? Ale nie mogła wyrazić swojej opinii, bo była po drugiej stronie drzwi. Tymczasem Ciset kontynuował: trzynaście luster zakupionych przez Remei na plebanię; łóżka, kozetka i stół z jadalni, z krzesłami, na plebanię, a mój szczególny skarb, proszę zapisać, panie notariuszu, o trudnej do oszacowania wartości, pozostawiam do osobistej dyspozycji księdza proboszcza, na którego mogłem liczyć w ostatnich chwilach.

– A cóż to takiego, synu? – zapytał ksiądz, czując przyspieszone bicie serca.

– Skarb... – I przerwał, zanosząc się kaszlem. Obaj mężczyźni patrzyli na niego wyczekująco,

a Galana płakała z wściekłości w korytarzu. – Skarb, któremu zamierzałem poświęcić wiele lat mojego życia... Moich sto dwadzieścia dziewięć krzewów różanych.

– Ach, to, w rzeczy samej... – wyraził swoją opinię ksiądz. W tym momencie serce Galany zabiło ze złośliwą satysfakcją. – Ale to, w rzeczy samej... jak je mam..

– Kiedy przyjdzie czas na podcinanie pędów, wtedy można je przesadzić. Martí z domu Carner wie, jak się do tego zabrać.

Na zakończenie Ciset przekazał wszystkie swoje pieniądze, kapitał sięgający tysiąca dublonów z czystego złota, czyli coś około trzystu tysięcy reali w bilonie, że tak powiem, dla Parafii w Murze, odliczając to, co ksiądz proboszcz w swojej hojności uzna za stosowne, a pan notariusz zaakceptuje, jako honorarium i opłatę za testament, oświadczenie i późniejsze procedury. Ach, no i jeszcze na msze, proszę księdza.

– Codziennie będę się za ciebie modlił, jakżeby inaczej, w rzeczy samej.

Notariusz i proboszcz szybko porozumieli się co do honorarium. Faktycznie kolacja stała się czymś w rodzaju ratyfikacji milczącego porozumienia, które ich obu wzbogaciło.

– To hawańskie cygaro jest wyborne – ocenił Ten w Rzeczy Samej. – Pierwszy raz palę coś takiego.

W ciszy wypili kawę. Myszy najwyraźniej postanowiły przestać hałasować w pokojach na górze, ach, czy to nie przesada tak się objadać.

– Jeszcze trochę anyżówki?

– Nie, dziękuję księdzu, ale nie. Potem trudno mi będzie trafić do łóżka. – Podniósł cygaro, żeby zwrócić na siebie uwagę tego drugiego. – Zastanawiam się, jak taki człowiek jak ten Massó mógł sobie skomplikować życie w podobny sposób... Prawda, proszę księdza?

Ale ksiądz nie odpowiedział na to niestosowne pytanie. Notariusz spojrział na niego zdziwiony, więc tamten się wytłumaczył:

– Nie mogę rozmawiać o tajemnicach spowiedzi, że tak powiem.

– Nie mówię o tajemnicach spowiedzi, ale o treści aktu notarialnego, który ksiądz zna. I tylko chciałem zauważyć – zaznaczył nieco urażony notariusz – że choć zastraszył groźbami tych nieszczęśników i zatkał im usta pieniędzmi... oni cały czas mieli go w garści.

– Nie da się ukryć – potwierdził niechętnie ksiądz. – Ten papier może, w rzeczy samej, bardzo zaszkodzić temu tam z Barcelony.

– Tak. Cięży na mnie wielka odpowiedzialność – przesadził notariusz. – Ale czuję się zobligowany zastosować do poleceń mojego... mojego klienta... A właśnie: co powiedział lekarz o stanie zdrowia Cisetę?

– Tu nie mamy lekarza. Z tego, co wiem, nie przeżyje jutrzejszego dnia.

– Biedny człowiek...

Usłyszeli jakieś głosy na zewnątrz i ksiądz, lekko oszołomiony alkoholem, zawołał gospodynię.

– Kto tam jest? – zapytał, kiedy kobieta zajrzała do pokoju.

– Galana – odpowiedziała, lekko przestraszona.

Mężczyźni zerwali się jakby poderwani sprężyną. Szybszy był notariusz.

– Są jakieś nowiny?

– Nie, nie... Przyszła pożyczyć... przyszła po smolniaki na rozpałkę.

– O tej porze, w rzeczy samej? Ciekawe, czy...

– Już poszła. – Gospodyni stanęła mu na drodze, jakby chciała przeszkodzić w opuszczeniu jadalni.

Mężczyzna wzruszył ramionami i zaciągnął się cygarem.

– Chyba jej rozum odjęło, że tak powiem, tej biednej kobiecie. – Wrócił na swoje miejsce. – Moknąć na deszczu, żeby iść po smolniaki...

– Nie powinno się go zostawiać samego, tamtego nieszczęśnika...

– Nie, tamta kobieta zobowiązała się, że będzie przy nim czuwać aż... w rzeczy samej, aż przyjdzie na niego czas.

Ksiądz się przeżegnał, a notariusz gestem uprzejmie wyraził współczucie. Tuietes wykorzystała chwilę ciszy, by wycofać się z jadalni, i obaj mężczyźni znów zostali sam na sam ze sobą i z kalkulacjami zysków z tej dziwnej operacji, dzięki której stali się spadkobiercami człowieka bogatego, samotnego, chorego i zgorzkniałego.

Niezbadane są wyroki opatrności. Równie niepojęte prawa rządzą pechem. A jak się komuś w życiu nie wiedzie, to nic tylko sięść i płakać, bo jak wszyscy wiedzą, skoro szczęście się od ciebie odwróciło, żaden bunt nie pomoże, równie dobrze możesz sikać pod wiatr albo pluć w niebo. A nieszczęsnemu Andreu Perramonowi wydarzyło się to, co się wydarzyło, tylko dlatego, że wicehrabia de Rocabrana poświęcał swój pracowity żywot na obijanie się całymi dniami. Ten młody panicz, należący do ścisłego grona dworskiej arystokracji Barcelony, zazwyczaj wstawał w południe, w złym humorze, z niesmakiem w ustach i zamroczoną głową. O tej porze czekała już na niego kąpiel. Wicehrabia de Rocabrana życzył sobie, aby kąpielą zajmowała się Agustina, kobieta około czterdziestoletnia o miłej powierzchowności, która może nie miała najdłuższego stażu na służbie, ale cieszyła się największym zaufaniem. Nad tym, co wicehrabia i Agustina robili zamknięci przez godzinę w łazience, w oparach kąpeli, zastanawiało się pół Barcelony, ale nikt tego nie wiedział na pewno. Oczywiście okazywało się tylko jedno: wicehrabia wychodził z takiej kąpeli odświeżony, wystrojony, gotów rozpocząć kolejny dzień uganiania się za spódniczkami, co było jego głównym zajęciem i pomysłem na życie. W wieku dwudziestu sześciu lat opanował do perfekcji strategię zręcznego lawirowania w gęstej sieci rogów, na których hodowaniu i plątaniu trawiła życie podupadła arystokracja szlacheckiego miasta Barcelony. Nieraz już musiał instruować jakąś zapłakaną młodą kobietę, zaskoczona jego cynizmem, i dawać jej lekcję życia. Droga pani, nie należy nikogo kochać, tout court, a ponadto to w złym guście, ludzie zaraz zaczynają plotkować i robi się z tego magiel, jasno się wyrażam? a na dodatek się cierpi i to jest najgorsze. Konkludując, ma chérie: trzeba żyć z dnia na dzień, bawić się, dbać o swoje interesy, niczego nie oczekiwać, a w zamian nikt niczego nie będzie oczekiwał od pani. Ach, i jeszcze trzeba uważać, żeby nie zajść w ciążę. A kiedy zapłakana, zagubiona młoda kobieta pociągała nosem coraz bardziej zagubiona i chlipała, zastanawiając się, czy z taką mentalnością w ogóle warto żyć, wicehrabia, śmiejąc się, replikował ależ właśnie dokładnie tak warto żyć, droga pani, wszak żyje się tylko raz. I kłaniał się, po czym odchodził i zostawiał młodą kobietę jeszcze bardziej zapłakaną, samotną i zagubioną.

Niepojęte prawa rządzą pechem. A to znaczy, że jak się na kogoś uweźmie, to nie odpuści. Pech zdecydował, że notariusz Tutusaus z Feixes, niewyspany, z nieprzetrawioną marynatą z dzika (po liściach laurowych zawsze mam zgagę), zmordowany podróżą powrotną do Feixes (to nie droga, tylko kartoflisko), zmartwiony, bo nigdzie nie mógł znaleźć pierścionka Ciseta (że też ja... Czy to przypadkiem nie ten przeklęty proboszcz; nikomu już nie można ufać; no i jak go teraz oskarżyć...), był zdecydowany jechać do Barcelony, by wręczyć byle jak zalakowany dokument adwokatowi Terradellesowi, tak jak zadysponował zmarły. Bo już zostały spełnione warunki określone przez klienta, czyli: a) po jego śmierci (co się stało tej samej nocy, kiedy jedli marynatę, w cierpieniu, które nie uszlachetnia, bez żadnej wiekopomnej sentencji na ustach, tylko z westchnieniem smutku na wspomnienie Remei, między jednym a drugim atakiem kaszlu, w obojętnej obecności Galany, wrogo do niego nastawionej z powodu uzasadnionych pretensji co do spadku) i b) kiedy zostaną wykonane zapisy testamentalne uniemożliwiające zwrot choćby jednego reala rzeczonemu don Rafelowi Massó (dyspozycja, która została wykonana z przykładną gorliwością): pieniądze – och, Galano, kurwa mać, że też sama na to nie wpadłaś! – zostały zakopane na plantacji róż w dwóch skrzyniach wypełnionych ćwierćdublonami, całymi duros i połówkami, dublonami i połówkami dublonów, prawdziwa fortuna, o mój Boże, aż dech zapiera. I cały ten brzęczący skarb dostał się w kościelne i notarialne ręce, nim jeszcze ciało wystygło, i:

masz, Galano, to dla ciebie, czyli za twoją, w rzeczy samej, fatygę. Innymi słowy, notariusz przygotował dokumenty, gotów do podróży do Barcelony, ale wątroba powiedziała mu nie. Żółty jak gromnica, biedny notariusz Tutusaus, czekolada musiała mi zaszkodzić. Jednak tak się złożyło, że w chwili ataku hepatycznego miał przed sobą wicehrabiego de Rocabrana, który przyjechał do Feixes, ponieważ on i tylko on, osobiście, mógł odebrać w kancelarii notariusza uprawnienia, dzięki którym stawał się niepodzielnym dziedzicem połowy Góry Świętego Wawrzyńca i czterdziestu gospodarstw na wyżynie Obac, z woli jego ciotki, markizy seniorki de Sentmenat (już od trzech miesięcy gniła w piekle), i notariusz powiedział, och, szanowny panie, a ja właśnie wybierałem się do Barcelony, żeby zawieźć pewien pilny dokument, a wicehrabia, w euforii, że stał się jeszcze bogatszy, pogwałciwszy zasadę minimalnego wysiłku, zaoferował się, że ten dokument osobiście doręczy, a notariusz nie umiał mu odmówić i zrewanżował mu się komplementem, że ten pakiet nie mógłby sobie życzyć lepszej poczty niż karetą wicehrabiego, a sam położył się do łóżka, by się leczyć z niedyspozycji.

Dokument z wyznaniem Ciseta oskarżającym don Rafela Massó o zabójstwo kobiety młodej, ładnej i nagiej, a potem martwej, długo kluczył od momentu, gdy wpadł w ręce lekkomyślnego wicehrabiego de Rocabrana. Spędził noc w burdelu we Freixes, w drodze do Barcelony zmieszał się z brudną bielizną wicehrabiego, znosił deszcz w Montcadzie, gdzie wicehrabia zatrzymał się na obiad, i przez trzy czy cztery dni leżał zapomniany w podróżnej walizce, aż znalazła go Agustina, kiedy pan wybierał się do kąpieli. Ponieważ nie chciał sobie komplikować życia, pozbył się go przy najbliższej okazji w najprostszy możliwy sposób, pytając przyjaciół, których zaprosił, by uczcić powiększenie majątku, kto z was zna niejakiego Terradellea, adwokata, no, kto, będę bardzo wdzięczny za przysługę, i pewien nieśmiały, nikomu nieznany młodzik, który przygrywał im na gitarze dla rozrywki, odezwał się ja go znam, panie wicehrabio, i właśnie tego wieczoru powinienem go spotkać, bo na pewno nie przegapi recitalu mademoiselle Desflors w pałacu markiza de Dosrius. I kompromitujący pakiecik przeszedł z rąk do rąk, a był właśnie dzień świętego Marcina i od wielu dni w Barcelonie padał deszcz.

Zbłąkany Pluton

Pluton w naszym Układzie Słonecznym zaskakuje skromną wielkością. Odkryty został dopiero sto trzydzieści lat po tamtym końcu wieku. Ale już wtedy tam był. Ani don Rafel, ani doktor Dalmases, ani monsieur Messier, ani mister Huygens nie podejrzewali nawet jego obecności. Upłynęło jednak dopiero dziewiętnaście lat, od kiedy człowiek odkrył Uran, i brakowało jeszcze czterdziestu sześciu do odkrycia Neptuna. Ale Pluton, bóg piekieł, już podążał drogą śmierci w towarzystwie ciężkiego Charona, odkrytego dokładnie w roku 1978. Charon, przewoźnik śmierci, syn nocy, gigantyczny księżyc niemal takich rozmiarów jak jego pan. I obaj, Pluton i Charon, nieustraszeni, niemi, znudzeni, podążali przed siebie powoli i majestatycznie w królestwie cieni i lodu, z minimalnym odchyleniem od elipsy, w strefie Byka, między Myśliwym i jego Ofiarami. Pluton i Charon podążali własną drogą jak śmierć, nieznani i niewidzialni, ale zawsze obecni – jak śmierć. A ludzie, którzy patrząc w niebo w owym roku Pańskim 1799, ich nie dostrzegali, zachowywali się podobnie jak my wszyscy – mamy przed oczami własną śmierć, ale udajemy, że jej nie widzimy.

Egzekucja nieszczęsnego Perramona okazała się prawdziwym sukcesem. A egzekucja tego marynarza od dziwek stała się ostatecznym potwierdzeniem ważnej roli doñi Marianny, żony jaśnie pana Massó. O ile w pierwszym wypadku wszyscy się dowiedzieli, że ona osobiście, tak, osobiście, opłaciła całun skazańca, o tyle w drugim posunęła się nawet do tego, by osobiście interweniować w sprawie przyznania mogiły, skoro nie miał rodziny, która mogłaby się tym zająć, Holender i marynarz, co ci będę tłumaczyć. Doña Marianna mogła uczestniczyć z wysoko podniesioną głową w zebraniach Bractwa, wykorzystywanych przez nią, ku utrapieniu zarządu, do propagowania ekstrawaganckich pomysłów, by kobiety odgrywały aktywną rolę w publicznych wystąpieniach Bractwa Krwi. Natomiast przyjęto bez dyskusji i bez poprawek zaproponowany przez nią projekt nowego habitu na procesje oraz żądanie umieszczenia emblematu brackiego na gromnicy, przywilej, którym dotychczas cieszyli się tylko członkowie Bractwa Matki Bożej Opuszczonych, jakby oni byli w czymś od nas lepsi.

Tak więc życie toczyło się raz tak, raz siak; doñę Mariannę bardzo zajmowały nowe obowiązki, które pojawiły się w ślad za jej sukcesem towarzyskim, a ten z kolei przełożył się na coraz liczniejsze wizyty i rewizyty, będące odpowiedzią na uprzednią wizytę, co otwierało furtkę kolejnej re-re-wizycie i dzień musiały mieć sto godzin, po prostu nie wiem, jak ludzie mogą się nudzić. Don Rafel czuł się teraz spokojniejszy, bo w porę udało mu się powstrzymać własną zgubę. Ludzie plotkowali – i w innych okolicznościach uległby panice – że początek nowego wieku nie przyniesie zmiany Kapitana Generalnego, mimo że wydawała się niemal pewna zeszłego lata. Jak by nie patrzeć, o wiele lepsze było nieszczęście tego rodzaju (będzie sobie jakoś radził, tak jak dotąd) niż to, które nad nim zawisło za przyczyną przekłętą Perramona i jego papierów, grożąc mu utratą honoru, a mogło go nawet zaprowadzić na szubienicę. I do tego Gaietana śmieje się okrutnie z mojej miłości. Pożyjemy, zobaczymy, taka była prowizoryczna konkluzja na temat sytuacji duchowej, legalnej, zawodowej, politycznej, seksualnej, miłosnej i ekonomicznej don Rafaela, który pod koniec grudnia roku Pańskiego tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, żeby chmury bez przerwy zakrywały niebo, i to od tylu dni. Zrezygnował z wynoszenia teleskopu do ogrodu i kombinował, by spędzić nudne piątkowe popołudnie jak najdalej od Marianny, czemu ona tak przynudza, mam powyżej peruki jej zawiłych brackich opowieści.

Barcelona przeżyła te egzekucje tak jak zwykle: w ciszy, odwracając wzrok; pewnie kto mógł, uciekł na wieś na dwa–trzy dni, żeby nie stać się pośrednim świadkiem tego przykrego aktu... Słysząc było głosy nielicznych entuzjastów tej rozrywki, oburzonych, że obie egzekucje wykonano w niedogodnej porze. Czyli nikt nie był zadowolony. Ale miasto, każdy jego kamień, jakoś sobie radziło, zmoczone uporczywym kap-kap i mgłą, z powodu których ten grudzień zasłużył na miano najbardziej deszczowego w całym stuleciu. Choć tego nikt tak naprawdę nie wiedział, poza kamieniami. W każdym razie Barcelona przymierzała się teraz ze zbiorową rezygnacją do zakończenia miesiąca, roku i wieku. Można sobie wyobrazić, jakie panowało zamieszanie w kwestiach teoretycznych, podsycane przez sfrancuziałych racjonalistów, tych zaprzańców i masonów; zawsze się znajdzie taka mniejszość, która podważa przekonanie, że pierwszy stycznia tysiąc osiemsetnego roku to pierwszy dzień wieku dziewiętnastego. Ponieważ – argumentowała banda niedowiarków, sceptyków, nieodrodných synów oświeconej rewolucji i republikańców – nie było wcale takie oczywiste, że rok tysiąc osiemsetny jest pierwszym rokiem nowego wieku. Bronili poglądu, że tysiąc osiemsetny rok rozumu jest ostatnim rokiem sędziwego wieku

osiemnastego, a pierwszym rokiem wieku dziewiętnastego będzie rok tysiąc osiemset pierwszy. Powody? Rozliczne: pieniactwo, złośliwość, upierdliwość, chęć ośmieszenia kapituły katedry, która organizowała w Domu Bożym wystawne Te Deum, chęć popsucia humoru uczestnikom organizowanych naprędce balów i uroczystości, jednym słowem, chcieli zagrać ludziom na nerwach z czystej złośliwości. Przytaczali też argument, że nasza era, jeśli można ją nazwać erą, i naszą (skoro już wszystko kwestionowali), nie zaczęła się w roku zero, ale w roku pierwszym. Dlatego (dowodzili upierdliwie), że wiek pierwszy, to znaczy pierwsze sto lat, trwał od roku pierwszego do roku setnego. A drugi wiek zaczynał się w roku sto pierwszym i kończył w roku dwusetnym. Z tego wyciągali wniosek, że rok tysiąc osiemsetny jest ostatnim rokiem wieku osiemnastego. Członkowie Komitetu Organizacyjnego Jednego z Balów na Zakończenie Wieku, które ukonstytuowały się w Barcelonie, odpierali te fałszywe argumenty, przypominając, że nie wypada powoływać się na to, co się działo w roku pierwszym czy setnym, co za pomysł, ludzie w tamtych na wpół pogańskich czasach byli ciemni jak tabaka w rogu, tak czy nie? i nie umieli zliczyć do trzech. A tak naprawdę przesądzał fakt, że rok tysiąc osiemsetny, no sami powiedzcie, inaugurował w dacie ósemkę, po raz pierwszy, jak era długa i szeroka. I że ta zmiana setki w dacie oznacza zmianę wieku. A kto nie chce miodu, niech nie idzie do pasieki; kto to wie, co z nami będzie w roku tysiąc osiemset pierwszym, po jaką cholere odkładać na później tak wielkie wydarzenie. Innym argumentem, na który się powoływano w polemikach z masonami i republikanami, był ten idiotyczny, śmieszny kalendarz wymyślony przez żabojadów, czyli, uwaga, uwaga, nie mamy teraz piątku dwudziestego siódmego grudnia tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, świętego Jana Ewangelisty, nazajutrz po świętym Szczepanie, żebyśmy się dobrze zrozumieli, ale jest Quintidi Nivós Roku Ósmego, cokolwiek by to miało znaczyć. Reasumując – ogromna większość poddanych Jego Wysokości Don Carlosa optowała za obchodzeniem końca wieku, bo żyje się raz. Drobnomieszczanie liczyli każdy grosz, gromadzili wino, tuczyli drób, obmacywali, która gęś jest najtłustsza, który kapłon najdorodniejszy, a indyk – właśnie nastała moda na indyki – ma najlepsze mięso. I nastawiali się na świętowanie. Lepsze towarzystwo, czyli niezbyt pewna siebie burżuazja wzbogacona na handlu z Ameryką – adwokaci, lekarze, zamożni kupcy, najemcy statków, eksporterzy, plenipotenci, inżynierowie... – gorączkowo wymieniali się zaproszeniami i umawiali na wspólne świętowanie nocy Końca Roku i Końca Wieku, czujnie rozglądając się, czy w międzyczasie nie pojawi się na horyzoncie wysoce nieprawdopodobna szansa, że jakiś herbowy baron czy roztargniony markiz ich do siebie zaprosi, a wtedy należałoby anulować wcześniejsze ustalenia, informując mimochodem o zaproszeniu, którego tak naprawdę już dawno się spodziewałem, bo ja i pan baron jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. Cuchnąca naftaliną arystokracja w komitywie z wyższym dowództwem wojskowym też miała swoje kalkulacje, opierając wymianę zaproszeń na elementarnej strategii przysług wyświadczonych i oczekiwanych. A i Kościół Święty, nasza matka, chciał wystąpić w pełnej gali w ostatnie popołudnie wieku, jeszcze przy świetle dziennym. Dla bezstronnego obserwatora program uroczystości sprowadzał się do następującego schematu. Po pierwsze, zwykły, prosty lud, drobnomieszczactwo, pospólstwo, po prostu wszyscy organizowali zabawy w swoich dzielnicach, z muzyką i tańcami, porronami pełnymi wina, zakąską i dużą dozą wyobraźni na okrasę. Jeśli nadarzył się jakiś lokal – magazyn zbożowy czy skład bławatny – to pod dachem, jeśli nie, to na ulicy, na zimnie. Burżuazja miała się spotkać na dwóch zabawach: u don Paciàna Garcii, eksportera win i wódek z Reus, który się przeniósł do Barcelony z rodziną i majątkiem, oraz na zabawie kupców, trochę skromniejszej, organizowanej przez Amadeu

Collella, sprytnego producenta makaronu. Ten z kolei wzbogacił się w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym podczas chlebowej rewolty, kiedy poszło o podwyżkę cen chleba, a teraz zaprosił wszystkich niemogących liczyć na inne zaproszenia. Było jeszcze trzecie grono, ale nie wiadomo jak je traktować, bo gromadziło racjonalistów, oświeceniowców, rewolucjonistów i niedowiarków, optujących za rokiem następnym. Nie zgadzając się, by rok tysiąc osiemsetny rozpoczynał wiek, ogłaszali z emfazą, że nie będą organizować z tej okazji żadnej uroczystości, bo to, co obchodzą inni, to obchody nadejścia widma nowego wieku. I oczywiście ich noga nie postanie na ulicach, którymi miała przejść procesja zorganizowana przez Kościół Święty, naszą matkę, ignorantkę wśród ignorantów, przesadną czarownicę w świecie ciemnych dzikusów. I żeby nie pozostawić najmniejszej wątpliwości co do ich postawy, w tym roku, ku rozczarowaniu żonek i dzieci, nie zamierzali organizować nic szczególnego na Koniec Roku, żeby nie zostało to przypadkiem mylnie zinterpretowane. Natomiast arystokracja, najmniejsza z grup, ale powiększona o wysokich rangą urzędników i wyższe szarże wojskowe, zwierzała szeregi na dwóch uroczystościach: na Te Deum w katedrze, gdzie na wybrańców czekały zarezerwowane specjalnie dla nich miejsca, oraz na balu w pałacu markiza de Dosrius, który bez wątpienia złożył najbardziej interesującą ofertę na tej nieoficjalnej giełdzie świętowania nowego wieku.

Było oczywiste, że śmierć nieszczęsnego Andreu Perramona nikogo już nie obchodzi. A śmierć holenderskiego mordercy jeszcze mniej, bo czy on w ogóle miał jakąś duszę? Życie toczyło się swoim rytmem. Wszak ludzie nie mogą żyć wspomnieniami, bo to nic przyjemnego, poza Teresą i mistrzem Perramonem, którzy zamierzali uczcić Koniec Roku westchnieniem i łzą, wspomnieniem o swoim Andreu i może też jego piosenką odnalezioną w mansardzie.

Stało się tak, jak los zdecydował; po prostu postanowił wejść do gospody i zapytać, czy tam odbierali pocztę i kiedy. I zamiast gospodarza z czerwoną gębą natknął się na posłańca, który już od miesiąca go szukał i który teraz załatwiał tu inną sprawę, ale z zawodowego nawyku zapytał na wszelki wypadek, czy nie zna niejakiego Sortsa, wojskowego, podobnie jak on. Nando nie poznał dokładnych słów mistrza Perramona. Tamten napisał Nando, drogi chłopcze. Przyjedź. Wracaj. Mój syn siedzi w więzieniu. Oskarżają go o zabicie śpiewaczki Desflors. Zamiast tego usłyszał z ust posłańca treść listu w ogólnym zarysie, że pewien pański przyjaciel, porucznik, niejaki Andreu, siedzi w więzieniu oskarżony o morderstwo i w tej sprawie szuka pana pewien staruszek, niejaki Perramon. Szuka pana rozpaczliwie, ale pan, panie poruczniku, jakby się zapadł pod ziemię. I Nando Sorts, porucznik piechoty armii Jego Królewskiej Mości, zostawił posłańca ze smakiem czerwonego wina na wargach i niedokończonym zdaniem na ustach i wybiegł szukać dobrego wierzchowca. Dochodziło popołudnie, zanim wszystko było gotowe. Nie tłumacząc się przed żadną władzą, wojskową, kościelną czy cywilną, lekceważąc zakaz medyka wyruszania w jakąkolwiek podróż, ulotnił się z Fragi z drugim koniem na zmianę. Zostawił na podłodze pospieszne pożegnanie dla gościnnych gospodarzy oraz rekompensatę finansową dla swoich dobrodziejów i wyruszył gnany dręczącą go myślą: co też mogło się wydarzyć w ciągu miesiąca? Dlaczego Andreu? W jaką awanturę się wplątał? Kiedy miał już za plecami oddalające się słońce, uświadomił sobie, że wyjeżdżając z Fragi w ten sposób, mógł, ściśle rzecz biorąc, zostać uznany za dezertera.

Punktualnie o dziesiątej rano jaśnie pan don Rafel Massó, cywilny prezes, zasiadł w swoim obszernym gabinecie w obecnej siedzibie Trybunału Królewskiego, w dawnym pałacu Generalitat.

Jeszcze miał tyłek ściśnięty strachem, bo wszystko mogło się źle potoczyć i o mały włos zrobiłby się poważny problem. Ale powoli się uspokajał: sprawy nie zaszły za daleko... Otworzył pustą szufladę i znów ją zamknął. Zacisnął dłonie na oparciu wygodnego fotela i zaczął się przyglądać obrazom i kotarom. Mało brakowało, a to wszystko by stracił... a co gorsza, był o krok od utraty honoru, dobrego imienia, sławy... Mimowolny dreszcz przeszył jego ciało i łysina zaczęła się pocić pod peruką. Posada głupstwo, pomyślał. Wszak wiedział, że nikt, choćby nie wiem jak zaszczytną miał funkcję, nie sprawował jej wiecznie i zawsze istniało niebezpieczeństwo, że ktoś go zastąpi, żeby przypomnieć wszystkim poddanym arbitralność autorytetu rogatego króla, Don Carlosa Czwartego Rogacza, Carlosa Czwartego, Jelenia z królewskiej rezydencji La Granja.

Don Rafel westchnął. Z jakiej racji narzekał on, który pobił już wszelkie rekordy utrzymania się na stanowisku rotacyjnym w niespokojnej burbońskiej Barcelonie! Przeżył rotację ośmiu Kapitanów Generalnych, trzymając się zębami i pazurami swojej synekury. Namaścił go na to stanowisko nieznośny, ale jakże użyteczny don Jerónimo Girón de Moctezuma Ahumada y Salcedo, markiz de las Amarillas. Moctezuma był imbecylem, niepoprawnym dziwkarzem, dumnym ze swojej bezużyteczności obibokiem, ale don Rafelowi udało się wejść z nim w układ wymiany wzajemnych uprzejmości, czyli nawiązać szlachetną męską przyjaźń, której kulminacją stała się sprzedaż Moctezumie za symboliczną cenę floty handlowej don Jacinta Recasensa, składającej się z pięciu okrętów, obsługującej z powodzeniem połączenie między Kubą a Sewillą, ponieważ jej poprzedni właściciel okazał się na tyle krótkowzroczny, że zdradził się z sympatią do Habsburgów, kiedy odmówiono mu, pozornie bez powodu, zgody na handel z Londynem, i biedaczek chciał się odwołać od tej decyzji. Stracił wszystko do ostatniej koszuli, w tym owe pięć okrętów, bo jak policja zaczyna węszyć, zawsze znajdzie jakiś corpus delicti. A przeszłość polityczna jego dziadka i stryjecznego dziadka też mu nie pomogła, bo to szczyt wszystkiego, żeby się powoływać na Habsburgów pod koniec wieku, choćby się należało do rodu Recasens. A po Moctezumie jaśnie pan przeżył w ciągu długich sześciu lat kolejno hrabiego de La Unión, Urrutię, hrabiego de Revillagigedo, Lancastra, Cornella, Izquierda, ale teraz na stanowisku Kapitana Generalnego utrzymywał się zdecydowanie za długo don Pere. Ich relacje stały się bardzo napięte, od kiedy don Rafel postanowił usunąć z miasta pewną damę, z którą don Pere utrzymywał intymne stosunki. Kapitan Generalny nie tylko nigdy mu nie wybaczył, ale też z tej właśnie przyczyny poprzysiągł zatruć mu życie. Aż go całkiem pogrzyży. Mimo wszystko don Rafel intuicyjnie znajdował sposoby, jak sobie radzić w tej sytuacji. Z duszą na ramieniu, ale utrzymywał się na powierzchni. Aż w końcu osiągnął kategorię polityka niezatapialnego, z tych, co to potrafią głosić, że polityka ich nie interesuje, że nie są politykami, co za pomysł, że tylko po to się nią zajmują, żeby służyć społeczeństwu, ale ani im w głowie kariera polityczna, absolutnie. A don Rafel dodawał jeszcze, że on był tylko skromnym prezesem Trybunału Królewskiego w Barcelonie z woli Bożej, koniec kropka.

Don Rafel wstał i podszedł do okna, żeby wyjrzeć na ulicę. Czasami źle jest, kiedy człowiekowi brak zajęcia, bo ma się za dużo czasu na myślenie. Stał przy oknie: znowu szaruga, o Matko Boska, ile może trwać niepogoda. Stanął bokiem, by mieć w zasięgu wzroku drzwi. Najwyższy czas, by stawił się już prokurator d'Alòs. Wezwał go na tę niedogodną godzinę głównie po to, aby się upewnić, że wszystko przebiegło tak, jak prawo stanowiło, a wymiar sprawiedliwości egzekwował, dzięki czujności swoich funkcjonariuszy. Chociaż to tylko protokolarny gest, don Rafel bardzo chciał usłyszeć z ust prokuratora potwierdzone przez audytora słowa, że ten przeklęty Perramon jest już w piekle. O istnieniu Holendra

chyba całkiem zapomniał. Drzwi pozostawały zamknięte. Nie; usłyszał jakiś szelest, jakby ktoś je uchylił, dlatego spojrzął w tamtym kierunku zde gustowany, tak samo zde gustowany jak pierwszego dnia, sześć lat temu, kiedy wszedł tamten woźny... Też wtedy wezwał don Manuela d'Alòs... Don Rafel uśmiechnął się, zamyślony, i przeszedł parę kroków po swoim obszernym gabinecie. Westchnął z satysfakcją: minęło sześć lat, a ten gabinet nadal należał do niego. Również sześć lat temu miał na niego chrapkę ten głupi d'Alòs, który wierzył, że mógłby wyprzedzić don Rafela w kolejce do godności udzielanej in pectore przez Kapitana Generalnego. Bo trzeba chyba wykazać się skrajnym kretynizmem, żeby opowiadać znajomym, kiedy prezes Pàmies nie mógł dojść do siebie po ataku serca, że już prawie ma się w kieszeni nominację na nowego cywilnego prezesa Trybunału Królewskiego, gdy tylko prezes Pàmies przestanie być prezesem chorym i stanie się prezesem martwym. Kiedy prezes Pàmies zmarł (zawsze odchodzą najlepsi; święty człowiek, bez wad, lojalny patriota i wzór pracowitości, wierny monarchii, a przecież nie był wcale taki stary, kto by przypuszczał). Minęły pełne napięcia dwa tygodnie, zanim Moctezuma – czasowo pełniący obowiązki Kapitana Generalnego – zdecydował, kto powinien zostać nowym prezesem, wybierając jednego spośród trzech kandydatów, wyłonionych przez palestrę i tak dalej, i tak dalej. Jedną z tych pogłosek, rozpowszechnianą w ewidentnie złej wierze, przechwyciły doświadczone uszy don Rafela Massó pewnego wieczoru podczas balu w domu Masdexaxart. Bardzo śmieszne. Co za... sam nie wiem, jak to nazwać. Podłość. Co za nędznik, ten d'Alòs. Gnida. Idiota. Bo don Rafel już trzymał w kieszeni, równiutko złożoną w kostkę, nominację, której dostojny Moctezuma jeszcze nie ogłosił publicznie. Przecież don Manuel, zdaniem don Rafela, nie miał żadnych atutów: był ograniczony, brzydki, prymitywny, jednym słowem, skurwysyn. No i stał na straconej pozycji. Proszę mi więc tu nie zawracać głowy głupim gadaniem, bo don Rafelowi w tych dniach poza zdenerwowaniem wiążącym się z nominacją, jeszcze zaczęła się stawiać ukochana Elvira i naprawdę nie rozumiem, o co jej chodzi. Don Rafel uważał, że nie po to ma na boku utrzymankę, żeby mu przysparzała problemów. W każdym razie nazajutrz po balu w domu Masdexaxart szacowny Moctezuma wezwał oficjalnie do pałacu debiutującego, ale już zasłużonego, cywilnego prezesa Trybunału Królewskiego w Barcelonie, don Rafela Massó i Pujades. Pierwszą decyzją, jaką podjął don Rafel, kiedy objął stanowisko, było wezwanie don Manuela do swojego oficjalnego gabinetu – gdzie jeszcze leżały osobiste notatki zmarłego Pàmiesa – żeby mu zagrać na nosie. Jakież to zdrowe uczucie widzieć przed sobą tę zwalistą sylwetkę, stojącą na baczność, z oczami wybałuszonymi z zaskoczenia, że to nie on, a ten potwór Massó, tak, o mój Boże, źle jest ten świat urządzony, za jaką to przysługę, o której nie wiem, odwdzięcza mu się ten pierdolony skurwysyn Moctezuma. Dwie minuty. Dwie minuty z zegarkiem w ręce trzymał go na baczność przed biurkiem, udając, że przegląda dokumenty w teczce, pozostawionej przez zmarłego Salvadora Pàmiesa na blacie biurka w dniu, kiedy serce odmówiło mu posłuszeństwa. Dwie minuty, najpierw jedna, potem druga. Co za radość z tych dwu minut!... I naoglądał się tych nieznanomych papierów, które nic go nie obchodziły, jakby... ejże! To wtedy znalazł tę rycinę, która... Ale nie: zakrył ją, przykrył czymś, ukrył lęklawie... On powinien się skoncentrować na tych dwóch niezapomnianych minutach. Dopiero kiedy upłynęły, podniósł wzrok i powiedział ach, to pan, don Manuelu! proszę, proszę siadać, panie prokuratorze, proszę; musi mi pan wybaczyć, bo właśnie obejmuję w posiadanie ten gabinet i... Powiedział to, wznosząc ręce niczym celebrans, by objąć tym gestem gabinet, ściany, trzy wspaniałe, imponujące malowidła, biurko, imponujący fotel, tylko co zainaugurowane stanowisko, satysfakcję, jaką czuję z tego powodu, a pana niech żółć zalewa, bo to mnie się udało, a nie panu. Don Manuel d'Alòs, prokurator, dawny kolega

audytora Massó w Trzecim Departamencie, usiadł z nieszczerym, pełnym gorczy uśmiechem. Tym gestem potwierdzał swój status podwładnego, a zarazem nieprzejednanego wroga don Rafaela. Takie jest życie.

– Obejmując stanowisko, drogi don Manuelu, od razu pomyślałem o panu...

– Bardzo jestem wdzięczny za zaufanie. – Biedny d'Alòs, kiedy mu przerwano sjęstę, aby go wezwać do Trybunału, myślał już, że to jego mają mianować prezesem.

– ...żeby panu zakomunikować, że zatrzymuję pana na stanowisku prokuratora Trzeciego Departamentu.

Mimo porażki, to była dobra wiadomość. Bo don Manuel już się obawiał, że tamten zakomunikuje mu, że wysyła go na zieloną trawkę, bo tak serdecznie układały się dotychczas ich wzajemne relacje. Ponieważ najgłębiej zakorzenionym instynktem dzikiego zwierza jest instynkt samozachowawczy, don Manuel wymamrotał jestem panu bardzo wdzięczny... jaśnie panie.

Właśnie tak. Doskonale. Jaśnie pan. Ten idiota już zaczyna postępować ostrożnie, pomyślał jaśnie pan. I pokazał naostrzone zęby w czymś, co miało przypominać imitację uśmiechu. Teraz don Rafael przypomniał sobie, że ta rozmowa sprzed sześciu lat była długa, bo rozmawiali o wielu nieistotnych sprawach; a między wierszami dał mu do zrozumienia, że nie zamierza przesadzać z gorliwością i uważa, że stanowisko ma mu przysparzać splendoru, a nie pracy. Pożegnali się wzajemnym ukłonem i kiedy tylko don Rafael został sam, otworzył teczkę swojego poprzednika. Gdzie się podziała tamta... Ach, tutaj: to ta rycina. A więc jaśnie pan don Salvador Pàmies, były już, z woli siły wyższej, prezes, zabawiał się takimi... Czyli były jaśnie pan don Salvador, homo notabilis tanquam pristinus in Barcinona, lubił sobie pooglądać... Biedny człowiek... Zawsze znajdzie się jakaś niespodzianka... Jaśnie pan położył rycinę na biurku i już miał zamiar przejrzeć całą teczkę, czy nie znajdzie tego więcej. Ale właśnie w tym momencie w otwartych nagle drzwiach stanął woźny.

– Czeka się na zaproszenie! – ryknął jaśnie pan. Zerwał się oburzony i wykorzystał ten moment, by przykryć rycinę teczką.

– Proszę wybaczyć, jaśnie panie... – przeprosił skruszony podwładny. I od tamtego dnia, żeby wejść do gabinetu jaśnie pana, należało pukać, a w gabinecie, w obu szufladach, znalazł jeszcze dwie podobne ryciny. Niewiarygodne. Realistyczne. Imponujące. Coś niesamowitego. Jaśnie pan zabrał je do domu i zamknął na klucz w swoim biurku, jak najdalej od szponów doñi Marianny. W końcu sobie na nie zasłużył.

Don Rafael jeszcze raz rzucił okiem na drzwi. Prokurator się spóźniał. Nie szkodzi, jemu się nie spieszyło. Ziewnął, stojąc na środku gabinetu. Było mu dobrze, dobrze i błogo. Podszedł do biurka i otworzył drugą szufladę, w której trzymał tytoń. Naszła go chęć, by zapalić jedno z cygar z kubańskiego pudełka.

Patrząc na unoszący się leniwie dym, don Rafael wyobraził sobie, że ten dym to mgławica kosmiczna, i zrobiło mu się jeszcze przyjemniej. Przeszło mu przez myśl, że czekają go bardzo pracowite dni; protokolarne uroczystości związane z podsumowaniem roku w Trybunale, ale przede wszystkim cały ten Koniec Wieku, który mógł przejść do historii, jeśli deszcz nie popsuje szyków, a znów zanosilo się na porządną ulewę. Przez chwilę wsłuchiwał się w przytłumiony szum strug deszczu na zewnątrz. Odsunął się od okna z cygarem w dłoni: przyszło mu do głowy... ale przy takiej ulewie trzeba było uzbroić się w cierpliwość. Podczas gdy kalkulował sobie, czy warto, czy nie warto, usłyszał trzy uderzenia do drzwi.

Pan prokurator don Manuel d'Alòs alias Idiota przyniósł mu oczekiwaną nowinę: na obu skazańcach, zabójcy słowików i zabójcy dziwek, wykonano wyrok zgodnie z Prawem. Laus Deo. W ślad za prokuratorem pierwszy audytor Trzeciego Departamentu, czyli Departamentu Kryminalnego, wszedł do gabinetu, w którym prokurator i prezes, stojąc w protokolarnej pozycji z rękami na genitaliach, już czekali, by potwierdził to, co już zakomunikował prokurator, że wyrok został wykonany, sprawiedliwości stało się zadość i chwała Bogu. Don Rafel skorzystał z okazji, by przekazać Trzeciemu Departamentowi godnie tu reprezentowanemu przez funkcjonariuszy najwyższych rangą, że pozwalał ze względów humanitarnych, by ciało więźnia Perramona zostało pochowane, tam gdzie uznają za stosowne jego krewni. Pan audytor wolał go nie informować, że zapobiegliwość doñi Marianny czyniła to polecenie bezprzedmiotowym, bo na pewno jaśnie pan by się obruszył. Ale nie mógł się powstrzymać i zapytał, a co zrobimy z ciałem tamtego drugiego, tego Holendra, jaśnie panie. Jakie pan wyda dyspozycje w tej sprawie, jaśnie panie.

– Holendra niech szlag trafi.

Przełożone na język prawniczy polecenie don Rafaela miało taką wykładnię praktyczną, że zwłoki nieszczęsnego amatora dziwek portowych należało ekshumować, spalić całun sfinansowany przez doñę Mariannę i wystawić na dwadzieścia osiem dni w Creu Coberta, zgodnie ze zwyczajem, ku przestrodze mieszkańcom Barcelony – żeby im nigdy nie przyszło do głowy robić rąbankę z portowych dziwek. Laus Deo.

Don Rafel mógł westchnąć z ulgą, kiedy wreszcie został sam w służbowym gabinecie po odbyciu protokolarnej rozmowy z Trzecim Departamentem. Znów zapalił cygaro, które podczas ceremonii smętnie się tliło porzucone w srebrnej popielniczce. Delektując się, wydychał dym, nie zdając sobie sprawy z historycznej doniosłości tej czynności: ludzie postępowi, jak powiadano w kręgach oświeconych, wybierali tytoń spalany i woleli wdychać dym, bo mimo wspaniałych mieszanek tabaki, jakie teraz wyrabiano, chusteczki po niej nadawały się tylko do wyrzucenia. Natomiast dym znika, ulatnia się i nie jest szkodliwy dla zdrowia, bo nie powoduje kichania. Don Rafel czuł się spokojny, gdyż ten krótki akt protokolarny potwierdzał, że przekłety Andreu zabrał ze sobą do grobu wszystko, co wiedział. Niebezpieczeństwo zażegnane. Teraz mógł się zająć innymi sprawami. Znów westchnął, ale tym razem westchnieniem świadomym tego, że szczęście nigdy nie może być pełne: doña Gaietana ciągle pozostawała obojętna na jego zapewne zbyt lękliwe awanse. Co tam obojętna! Śmiała mu się w nos i upokorzała, lekce sobie wając jego cierpienie! To był wielki nierozwiązany problem i nie zanosilo się na satysfakcjonujące rozwiązanie, ponieważ doña Gaietana od momentu tamtego okrutnego żartu stała się dla niego Nieosiągalną Górą Lodową z Każdym Dniem Coraz Ładniejszą i Coraz Bardziej mi Obcą. O mój Boże, jaki wstrętny jest tytoniowy dym! zaniósł się kaszlem zde gustowany.

Notariusz Tutusaus parsknął zniecierpliwiony, choć jednak przeszło mu przez myśl, że owszem, ten upierdliwy Terradelles ma trochę racji, kiedy się upiera, że to jego wina. Ale nie chciał tego powiedzieć głośno.

– Drogi kolego – bronił się bez przekonania – moim zdaniem wicehrabia de Rocabrana jest osobą, która w pełni zasługiwała na moje zaufanie... aż do dziś.

– Wicehrabia de Rocabrana to ladaco i obibok. Jedyne co potrafi, to dobierać się służącym do tyłka. I jest bardzo bogaty.

– Ja mam nadzieję, że jak wróci, udzieli nam wszelkich wyjaśnień co do sprawy i oczywiście odda

dokumenty.

Wyglądało to tak, że posłaniec adwokata Terradellea zastał wicehrabię w łóżku, ponieważ była dopiero jedenasta rano. A kiedy wobec natarczywości aplikanta tamten przyjął go w salonie, słowa intruza dotarły do niego w postaci kolców boleśnie wbijających mu się w głowę. Nic z tego nie rozumiał: poszedł spać o wpół do piątej po opróżnieniu dwóch butelek koniaku i połowy butelki rumu i nie pamiętał, co zrobił z dwiema szykownymi kurwami, które bez przerwy chichotały i grzebały mu w cullotach.

– Czy mógłby mi pan powtórzyć? – odezwał się zza mgły wesołej nocy.

Aplikant adwokata Terradellea wyrecytował mu po raz trzeci, że jego pryncypał wzywa go w trybie pilnym do swojej kancelarii z papierami, które parę dni temu powierzył mu notariusz Tutusaus z Feixes. I że to sprawa życia i śmierci.

Ponieważ nie pozostawiono mu czasu na jego zwyczajowe ablucje seksualno-higieniczne, młody wicehrabia był maksymalnie wkurzony na świat, na życie i na tych dwóch siedzących przed nim w gabinecie adwokata upierdliwych głupców.

– Nie wiem, co z nimi zrobiłem – wyznał. I podniósł palec. – A właściwie tak: komuś je przekazałem. Nie pamiętam komu.

Adwokat Terradelles parę razy postukał w biurko końcówką pióra. Nienawidził z całego serca tego imbecyla, gdyż odbierał mu możliwość pogięcia prezesa Massó.

– Proszę wyteżyc pamięć... – poprosił, dławiąc się żółcią.

– Nic nie wymyślę, choćbyś mnie pan zabił...

W tym momencie Terradelles chciał go udusić i wtedy zrozumiał, że wcale nie jest trudno ulec morderczym instynktom, które wszyscy mamy. Rzecz w tym, że tego wybitnego prawnika, uchodzącego za jednego z najlepiej zorientowanych w sprawach karnych, już od wielu lat żółć zalewała na myśl o don Rafelu. Według niego obecny prezes był marnym adwokatem. Rozpoczął karierę, prowadząc tylko te sprawy, które mogły mu przynieść zysk, i szybko zasłużył sobie na pogardę kolegów. Świadom swoich ograniczeń, jak twierdzi Terradelles, don Rafel Massó skoncentrował się na trudnej i wyboistej karierze politycznej, a w tamtych czasach polegała ona na umiejętności znalezienia właściwego protektora dla każdej sprawy. Zaprzyjaźnił się z prezesem Pàmiesem, skłócił z niezależnymi adwokatami i uzyskał nominację na stanowisko zastępcy drugiego audytora w Trzecim Departamencie. Od tego momentu zapomniał o prawie i skupił się na karierze. Podlizywał się wszystkim zwierzchnikom, aż wreszcie się zorientował, że rzeczywistość stanowi wierną kopię teorii: faktyczną władzę sprawował aktualnie urzędujący Kapitan Generalny, prawdziwy król, i to on podejmował decyzje według własnego widzimisie, z pełną świadomością, że Madryt leżał w odległości sześciu dni podróży, a szpony Godoya – jedyne, na które lepiej uważać – były długie, ale powolne. Don Rafel tak się urządził, żeby zawsze utrzymywać dobre stosunki z adiutantami kolejnych ekscelencji, a oni torowali mu drogę do swojego zwierzchnika. Aż nastał Moctezuma, człowiek bardzo łasy na komplementy, który – po śmierci Pàmiesa – mianował go prezesem, dając mu pierwszeństwo przed prokuratorem Manuelem d'Alòs (ku zdziwieniu palestry), przed audytorem Zapatą (ku zdziwieniu wyższych urzędników) i przed Terradellesem (ku zdziwieniu jego samego, ponieważ już wtedy marzyło mu się to stanowisko). Kiedy don Rafel je obejmował, wiedział, że od tego momentu ma przeciw sobie wszystkich prawników w mieście. Ale przyjął wyzwanie, myśląc naiwnie, że nie ma nic do ukrycia. Aż do momentu, kiedy życie mu się

skomplikowało. A teraz okazuje się, że ten chłystek Rocabruna bronił don Rafela Massó swoją własną indolencją.

– I co teraz? – zapytał notariusz, kiedy wicehrabia sobie poszedł, by wpaść prosto w ramiona służącej.

– Musimy odzyskać ten testament, wyznanie czy cokolwiek to jest, żeby móc spełnić ostatnią wolę pańskiego klienta.

Jasne. Ale to nie będzie bułka z masłem. Żaden z nich nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Obaj zdawali sobie sprawę, że jeśli się postarają, mogą osiągnąć duże korzyści z tej wiadomości. Nie oparli się pokusie, żeby się pogodzić i połączyć siły, by opracować dobrą strategię.

– To oczywiste, don Fèlixie, że system zaproponowany przez Tycho Brahe nie ma sensu.

Don Fèlix Amat spojrział spod oka na jaśnie pana i na razie powstrzymał się od komentarza. Przyjemnie mu się spacerowało po gotyckim patio dawnego pałacu Generalitat. Zawsze mu się podobały budynki z historią wpisaną w kamienie, więc wykorzystał grzecznościową wizytę u jaśnie pana i zaproponował, by rozprostowali nogi na wewnętrznym dziedzińcu. Obaj mężczyźni zatrzymali się przed kaplicą Świętego Jerzego.

– Powiedziałem – powtórzył don Rafel, rozpromieniony, bo wreszcie uwolnił się od swego koszmaru – że system, który proponuje Brahe, twierdząc, że słońce i planety krążą wokół Ziemi...

– Słyszałem, słyszałem – odpowiedział tamten, niezadowolony. – Więc jeśli mam być szczerzy, system Tycho jest najbardziej prawdopodobny jako teza fizyczna i najbardziej ostrożny jako teza astronomiczna.

– Wskazał głową zachmurzone niebo. – Ziemia tkwi nieruchomo w centrum świata i głoszenie czegoś przeciwnego, drogi don Rafelu, to prawdziwe delirium evidens filosofo indignum.

– Odrzuca pan system kartezjański i newtonowski! – zgorszył się don Rafel.

– Oczywiście. Teorię Kopernika należy odrzucić. Tak nakazuje wiara i ostrożność...

– Obawiam się, że nie. Ja wiem, że obracamy się wokół Słońca. Nie czytał pan Dalmasesa?

– Stek bzdur. Dalmases uczeplił się Kopernika z braku czegoś lepszego.

– Dalmases, szanowny panie, opiera się na doświadczeniu, na obserwacji.

– I co też on może zaobserwować.

Zamilkli. To, co zapowiadało się jako propozycja miłej przechadzki, przyjęta z przyjemnością, przerodziło się w nieprzyjemną dyskusję. Don Rafel nie miał cierpliwości, by wysłuchiwać bez szemrania idiotyzmów wygłaszanych przez szacownego don Fèlixa Amata, byłego rektora seminarium duchownego w Barcelonie. Don Jacint Dalmases nie cieszył się sympatią don Rafela, ale wszystko w nim się burzyło, kiedy słyszał, jak Amat, ten ignorant wierzący w czarownice, upierał się przy swoim, nie mając żadnych argumentów. W takich chwilach chciał być uczonym, znać się na mechanice newtonowskiej i odwoływać się do Leibniza i Kartezjusza, by móc podbudować teorią to, co obserwował przez teleskop. Ale musiał się zadowolić półśrodkami – intuicją i teoretyczną zasadą, że prawda o systemie świata wynika z matematyki i z obserwacji. Jakiś kos z czerwonym dzióbkiem odważnie przebiegł ścieżkę przed mężczyznami. Ksiądz zatrzymał się i wygłosił:

– Jest rzeczą oczywistą, don Rafelu, że system ptolemejski powinien zostać skorygowany, ponieważ Wenus i Merkury krążą wokół słońca. To właśnie udowodnił Brahe.

Don Rafel też się zatrzymał. Podążył wzrokiem za kosem szukającym okruchów na mokrej ziemi gotyckiego dziedzińca.

- Merkury – zwierzył się. – Merkury to moja porażka. Nigdy jeszcze nie udało mi się go zobaczyć.
- Tak przypuszczałem. Dalmases też go nie widział.
- Ależ tak, widział. Opisał go.
- Bzdury.

Podjęli przerwana przechadzkę. Nie zauważyli, że zaczął siąpić drobny deszczyk. Don Fèlix Amat upierał się:

– Nie można polegać na takim uczonym jak Dalmases. On podważa wartość prawd zapisanych w Biblii!

– Nie rozumiem.

– Biblia wyraźnie mówi, że Słońce krąży nad Ziemią.

– Tak. A w Księdze Rodzaju twierdzi, że Bóg stworzył światło, a parę dni później stworzył Słońce. Nadzwyczajne! – Don Rafel, po śmierci nieszczęsnego Perramona, znów odzyskiwał animusz. Ale księdzu Fèlixowi Amatowi to się nie spodobało i nagle się zatrzymał:

– Co pan insynuuje, don Rafelu?

– Że, jak twierdził kardynał Baronio, Biblia nie poucza nas, jakie jest niebo, tylko jak się do niego dostać.

– Efektowne słowa, które nie usprawiedliwiają bzdur wygłaszanych przez wielu soi-disant uczonych.

– Jakie na przykład?

– Bo ja wiem! Choćby twierdzenie o orbitach eliptycznych.

– Obserwacja i matematyka potwierdzają ich istnienie w sposób bezdyskusyjny – odparł jaśnie pan dotknięty do żywego.

– Nadmiar matematyki szkodzi fizyce, don Rafelu. W tej kwestii może pan na mnie polegać, bo zęby na tym zjadłem. I bez obrazy: nie jestem takim dyletantem jak pan w astronomii, tylko prawdziwym uczonym.

Spacerowali nadal w milczeniu... Don Rafel miał ochotę odpowiedzieć... To oczywiste, że był tylko amatorem. Ale nie był głupcem. Faktem jest, że on na niebie szukał nie tyle formułek matematycznych, ile pięknych opowieści. Istotnie, on patrzył na schematyczny asteryzm Andromedy i wyobrażał sobie piękną córkę Kasjopei rozłożoną lubieżnie na zimnym jesiennym niebie... I oglądał jej tajemniczy wzgórek łonowy, utworzony przez odległą, nierozpoznaną mgławicę, M31 według Messiera, puszczając wodze wyobraźni. Ale nie miało sensu mówienie o tym teraz. Don Fèlix by go nie zrozumiał, a może nawet wyśmiał. Lepiej było zamknąć temat. Dlatego wyciągnął zegarek z kamizelki i zrobił minę osoby bardzo zajętej.

– Niebawem będzie pora na obiad, a ja mam dziś po południu jeszcze tyle pracy, proszę księdza...

Najwyraźniej kos z pomarańczowym dzióbkiem w lot go zrozumiał, bo od razu wzniósł się w powietrze z miłym dla ucha świstem, który ześlizgnął się po omszałych kamieniach gotyckiego dziedzińca Trybunału.

Markiz de Dosrius uśmiechał się z dwóch powodów: bo panna de Foixà grała na pianinie z dużą elegancją oraz kiedy się ją obserwowało z tyłu, siedzącą przy instrumencie, można było docenić jej rozłożyste biodra. Wyglądały jak zaproszenie i pobudzały wyobraźnię. Wyciągnął dłoń za siebie, a Mateu, w odpowiedzi na ten gest, przybliżył fotel na kółkach aż do fortepianu. Haydn. Piękna, uduchowiona sonata w dobrej interpretacji. Markizowi aż się zaświeciły oczy, kiedy napotkał błyszczący

wzrok panny de Foixà. Allegro assai finale, bezbłędne i natchnione.

Kiedy muzyka wybrzmiała, markiz powtórzył ten sam gest, Mateu odsunął fotel i przygasły ogniki w oczach arystokraty.

– Bardzo dobrze, moje dziecko – powiedział. – Przepowiadam ci wspaniałą przyszłość, jeśli poświęcisz się temu instrumentowi.

Zadowoleni rodzice dziewczyny wymienili między sobą szybkie spojrzenia. Matka westchnęła, a ojciec zwrócił się jednocześnie do markiza i do don Rafela.

– Mamy zamiar prosić don Carlesa Baguera, żeby zajął się jej edukacją.

– Świetny wybór. A ty, dziecko, chcesz poświęcić się muzyce?

– Tak, panie markizie. – Uroczy ukłon panny de Foixà.

Markiz uderzył laską w podłogę i Mateu odprowadził go do kominka.

– Proszę o jeszcze jedną sonatę Haydna, panienko – rozkazał markiz, nie biorąc pod uwagę odpowiedzi odmownej. Dziewczyna spojrzała spłoszona na ojca, a ten ustami dał jej znak: beethoooveen. Panna się skupiła, a tymczasem jej rodzic podjął dyskusję z markizem.

– Drogi markizie. Clara zagra teraz sonatę Beethovena.

– Ach. A dlaczego nie Haydna?

– Bo... Bardzo jej zależy, by pokazać panu pełną gamę swoich umiejętności na kompozytorach takich jak Beethoven, Salieri, Vicent Martín i Soler...

– Ach. Proszę, proszę.

Najważniejsze to posłuchać muzyki. Najważniejsze to wypełnić czymś nudną codzienność popołudnia. Markizowi najbardziej doskwierała świadomość beznadziejnej powolności czasu. Nie grzeszył nadmiarem cierpliwości i oddałby swoją for... nie, połowę swojej fortuny, żeby tylko szybko dotrzeć do końca życia, ale nie dlatego, że chciałby umrzeć; nie w tym rzecz, po prostu w tej sprawie też wolałby pójść na skróty. Dlatego był wdzięczny, chociaż tego nie okazywał, za wszystkie wizyty, ponieważ przyspieszały ruch wskazówek zegara. A kiedy, tak jak tego popołudnia, spotykali się w jego domu ludzie tak różni, jak ci państwo de Foixà, którzy nie wiadomo skąd się wzięli, don Rafel Massó i wicehrabia de Rocabrana, bawiła go konfrontacja tych oryginałów.

Clara de Foixà zagrała jedną z wczesnych sonat Beethovena, wesołą i żwawą, pozostającą pod ewidentnym wpływem Mozarta. Dobrze grała ta dziewczyna. Jedyne problem, myślał markiz, to płęć; nie wyobrażał jej sobie, jak się włóczy po bożym świecie od jednej sali koncertowej do drugiej. Ale grała dość, a nawet bardzo dobrze.

– Czy mogę panu coś zaproponować, drogi panie Foixà?

Jaume de Foixà skłonił się, pokorny, zarumieniony, pełen nadziei.

– Z największą przyjemnością, panie markizie.

– Czy przyjmą państwo zaproszenie na bal Końca Roku i Końca Wieku?

Małżeństwo de Foixà wymienilo spojrzenia, oboje niespodziewanie poruszeni, bo nigdy by się nie spodziewali aż takiej uprzejmości.

– Ja... panie markizie... Moja żona i ja...

– Pod warunkiem, że panienska coś zagra.

– Może pan na nią liczyć. – Jeszcze jeden ukłon: tym razem męża, żony i córki. – To będzie dla nas zaszczyt.

Don Rafel przyjrzał się uważniej tym państwu de Foixà, którzy tak zręcznie wkręcili się na bal u markiza. Oszczędził sobie komentarzy przez uprzejmość, ale w duchu ocenił, że nie mieli klasy, nie potrafili się stosownie ubrać ani podtrzymać rozmowy. On, jasna sprawa, zrobi wszystko, żeby ich ominąć, jeżeli zauważy ich w jakimś kącie salonu podczas balu. Wyczerpał się repertuar. Beethoven bardzo się podobał, ale kiedy po muzyce przyszedł czas na rozmowę, markiz zwrócił się do don Rafaela. Jak zwykle z podchwytliwym pytaniem.

– No wie pan... – odpowiedział Massó, zbity z tropu. – Ja... co mam panu powiedzieć... Tak: naturalnie, don Jacint Dalmases jest dobrym astronomem. Oczywiście, że tak.

– Ale słyszałem, że nie zgadza się pan z nim w wielu sprawach dotyczących gwiazd...

– Owszem, owszem... – podchwycił ucieszony, że znalazł się w centrum uwagi. – Ja... ja jestem zwykłym pasjonatem. Pracuję rzetelnie, ale tylko w wolnych chwilach...

Kątem oka sprawdził, jaki efekt wywarły jego słowa na pannie de Foixà, która naprawdę miała miłą powierzchowność. Świetny tyłek, ocenił już chwilę temu. Świetny tyłek, mimo że taka młoda.

– Pan się nie zgadza z twierdzeniem, jakoby Aldebaran był podwójną gwiazdą.

– Mogę zaryzykować w tej sprawie cały swój autorytet astronoma amatora.

Jaki potrafił być błyskotliwy, kiedy chciał! A teraz, kiedy ten przekłety Perramon spoczywał w grobie, mógł się oddawać życiu towarzyskiemu. Teraz jest czas, by wykorzystać cierpliwość i inteligencję, dotrzeć do Kapitana Generalnego i wpłynąć na zmianę jego postawy. Teraz też mógłby jeszcze raz sprawdzić... czemu nie? jakie ma szanse u Gaietany...

– Przepraszam, panie markizie?

– Mówiłem, że skoro pan kładzie na szalę swoją reputację, musi pan być pewny swego.

– Oczywiście, panie markizie. Don Jacint opiera swoją tezę, że Aldebaran jest podwójną gwiazdą, na zmianie jasności, którą sam zaobserwował – podniósł palec z emfazą – którą zaobserwował pewnej nocy. Jednej nocy! Ale przyznał się, że nie udało mu się potwierdzić tej podwójności przez teleskop. Zapewniam pana, panie markizie, że nie można tego dokonać, bo mamy tu do czynienia z pojedynczym słońcem. Ileż ja nocy nad tym strawiłem!

I dalej rozmawiali o życiu i śmierci, o tym i owym, o sprawach boskich i ludzkich. Nawet temat don Fèlix Amata wypłynął w rozmowie. Markiz kręcił nosem, bo do tego myśliciela żywił pogardę i antypatię, ale don Rafel na wszelki wypadek wolał się nie wypowiadać. Nie wiedział, jak zagadnąć o Kapitana Generalnego. Przyszedł do domu markiza, żeby szukać dojścia do don Pera, żeby się dowiedzieć o towarzyskich planach wojskowego szefa. Gdzie mógłby się na niego natknąć niby przypadkiem, och, co za niespodzianka, ekscelencjo, nie wiedziałem, że pan... Dlatego wybrał markiza de Dosrius jako źródło informacji, bo ten, mimo że nie wychodził z domu, był najlepiej poinformowaną osobą w mieście. Lepiej niż konsystorz miejski w komplecie. Lepiej niż cała szlachta schyłku wieku, rozbita i wycieńczona. Lepiej niż wszyscy razem wzięci początkujący przemysłowcy, którzy nie mieli czasu na plotki, bo ci nieszczęśnicy musieli pracować, żeby się dorobić. I dzięki markizowi don Rafel dowiedział się, że don Pere Caro, jego ekscelencja Kapitan Generalny Katalonii, nie wybierał się na żaden z organizowanych teraz balów, wieczorków, podniosłych czy frywolnych uroczystości i dopiero w ostatnim dniu roku weźmie udział w Te Deum i w przyjęciu w domu markiza. Na które jest pan zaproszony, don Rafaelu, jak pan zapewne wie. Czyli że aż do końca roku. Dobrze... Ma dużo czasu na obmyślenie strategii, jak wykorzystać noworoczne przyjęcie.

Don Rafel Massó tylko na chwilę oderwał się od tych refleksji, kiedy całował rękę panny Clary de Foixà. Biodra i piersi. Ach, co za piersi. Z daleka trudno było docenić, ale jak masz ją na wyciągnięcie ręki, to całkiem inna sprawa.

Don Rafel, wracając z wizyty u markiza, obmyślił, jaki czas i strój będzie odpowiedni na samotny spacer, pieszo, bez Hipolita, bez Turka, bez powozu, jak pierwszy lepszy mieszczuch, prawie incognito. Włożył nawet kapelusz pamiętający czasy, kiedy studiował prawo, cudem oszczędzony przez mole. Może sprawiło to krótkie przejaśnienie czy z innej przyczyny, w każdym razie na ulicach tego popołudnia panował duży ruch: dzieci, biegając, rozpryskiwały kałuże i radośnie pokrzykiwały; kobiety niosły kosze pełne kapusty i brukwi; tragarze, czeladnicy, domokrażcy, producenci makaronu i handlarze zbożem rozprawiali o czymś, stojąc w drzwiach sklepów; masarze, bednarze i stolarze, każdy mówił o swoich sprawach i każdy hałasował, dokładając swoje do powszechnego harmideru. Jakby ludziom się spieszyło, by mimo zimna wrócić jak najszybciej do normalności, tej sprzed deszczu. Wysoki dźwięk piszczalki szlifierza przez moment zagórował nad tym rozgardiaszem i niejedna kobieta od razu skojarzyła, że należałoby naostrzyć nożyczki albo nóż do mięsa.

Don Rafel szedł pośród tej wrzawy i nie zwracał na nikogo uwagi. W ręce niósł podłużny rulon, a w głowie zgryzoty, które go dręczyły teraz, kiedy już odzyskał spokój. Don Rafel był idealnym dowodem potwierdzającym skłonność natury ludzkiej do zastępowania rozwiązanych problemów nowymi, żeby tylko cierpieć. Na ulicy Banys Nous zatrzymał się przed składem bławatnym Josepa Tersola. Ten lisek chytrusek nie przepuści nawet zielonym winogronom, pomyślał jaśnie pan, subtelnie przerabiając powiastkę umoralniająco-zoologiczną. Podziwiał umiejętność bogacenia się tego Tersola, który, podobnie jak dwudziestu innych równie rzutkich spryciarzy, wiedział, jak skorzystać na liberalizacji handlu z Ameryką nie po to, by przywozić perkal, ale po to, by sprowadzać bawełnę i produkować perkal w Barcelonie. I zgarniać pieniądze kosztami. A im więcej zarabiał, tym bardziej perkal był poszukiwany. Tym więcej pieniędzy dla niego. A najsprytniejsi, tacy jak Tersol, nie wydawali pieniędzy, tylko je inwestowali w budowę hal produkcyjnych, powiększanie załogi i zakup pojawiających się na rynku nowych maszyn. Bławatna gorączka ogarnęła nie tylko Barcelonę, ale też rozprzestrzeniła się na inne ośrodki, bardziej oddalone od morza, ale z dłuższymi tradycjami włókienniczymi, jak Feixes czy Sabadell, i cała Katalonia uczestniczyła w narodzinach małych fortun, których nie trwoniono na wygodne życie bez pracy, lecz inwestowano w przemysł, by przynosiły, koniec końców, pomnożenie bogactwa. Don Rafel kręcił nosem: ci cwaniacy dorobili się pieniędzy i dlatego domagali się głosu. Skierował teraz kroki w stronę placu Pi. Wybrał najlepszą porę na odwiedzenie tych miejsc bez ryzyka natknięcia się na energiczną dońę Mariannę, która uczyniła z placu Pi, gdzie znajdowała się bazylika Matki Bożej Sosnowej i siedziba Bractwa, swój drugi dom. Ledwo wszedł na plac, od razu wpadł na barona de Maldà, gdy ten rozglądał się w poszukiwaniu ploteczek, obrzucał spojrzeniem balkony, przechadzał się z rękami założonymi na plecach i od razu było widać, że cierpi na nadmiar wolnego czasu. Wiadomo, kto bąki zbija, splunął na niego w myślach don Rafel, kłaniając się uprzejmie, z uśmiechem, aż do szpiku kości przeniknięty zazdrością o szlachecki tytuł. Baron odpowiedział na pozdrowienie z równą uprzejmością, a w duchu pomyślał sobie, że też natura aż tak mogła się pomylić, stwarzając równie podłą kreaturę jak mój imiennik, ten Massó. Chciałbym mieć jego problemy: zwykły urzędnik, a na pewno udało mu się zgromadzić majątek trzy razy taki jak mój. Don Rafel przeszedł przez plac nieświadom wywoływanej u tego przebrzmiałego arystokraty zawiści, bo miał

głowę zaprzątniętą nowym problemem, który nabrał kształtu dziś rano w jego gabinecie w Trybunale. Minął plac i wszedł w ulicę Petritxol, wymijając dwóch chłopców, którzy się ścigali i przekrzykiwali. Skrzywił się z niesmakiem, kiedy zza zakratowanego okna dobiegł go smród gotowanej kapusty. Kapusta na kolację, biedni ludzie. Zatrzymał się przed księgarnią i obejrzał budynek jak ktoś, kto się zastanawia nad ceną przed podjęciem negocjacji. Napis na drzwiach wejściowych literami w kolorze zbliżonym do różu informował przechodniów, że w tym domu, przy ulicy Petritxol, zajmowano się kupnem i sprzedażą książek, druków, papieru oraz że mieściła się tam drukarnia Joana Galí. Mniejszymi literami, w rażącym jaskrawożółtym kolorze informowano, że księgarnia Galí to jedyna firma w mieście, która potrafi zrealizować każde zamówienie, choćby nie wiem jak skomplikowane. Don Rafel westchnął, oby to była prawda. Ten i ów twierdził, że księgarz Galí zaopatrywał w druki spragnionych lektury braci trzech łóz masonskich działających w Barcelonie. Podobno. Takie tam pogłoski. Mówiono też o doktorze Jacincie Dalmasesie, że jest masonem. A także chodziły słuchy, że masonami są Josep Tersol, fabrykant perkalu, i Jaume Serra, właściciel floty handlowej złożonej z ośmiu brygów w Barcelonie i kolejnych ośmiu czy dziesięciu w Canet. I że wśród artystów z Akademii Desconfiats, neufnych akademików, też zdarzali się masoni... Don Rafel jak tylko mógł unikał kontaktów z podobnymi ludźmi; jako ważny urzędnik na państwowej posadzie i sługa Jego Wysokości znajdował się blisko najwyższych szarż wojskowych i liczących się polityków, wolał więc nie zadawać się z jakimiś podejrzanymi tajnymi organizacjami zamierzającymi przede wszystkim dorwać się do władzy. A teraz przy władzy był on. Krzyki rozgniewanej kobiety strofującej jakiegoś smarkacza rozproszyły jego myśli i znów skupił się na księgarni i ogłoszeniach o jej wiarygodności i skuteczności. Jeszcze chwilę się zastanawiał: minęło wiele lat od czasów, gdy bywał w podobnych miejscach. Ten nieznany świat budził w nim respekt. Kiedy się wreszcie zdecydował przekroczyć próg, wprawiając w ruch wyszczerbiony dzwoneczek, znalazł się w pomieszczeniu, w którym panował senny półmrok. Poczul zapach wilgoci i chłód. Don Rafel dostrzegł księgarza Galí na drabinie, ze ścierką od kurzu w ręce, binoklach na czubku nosa, kapeluszu dla ochrony głowy przed kurzem i stosem książek w drugiej ręce. Odwócił się powoli na dźwięk otwieranych drzwi. Spojrzał na przybysza z obojętnością, którą okazywał wszystkiemu, co nie miało okładek i drukowanych liter w środku. Don Rafel, zaskoczony łatwością, z jaką pokonał pierwszą przeszkodę, westchnął i ograniczył się do obserwowania księgarza na drabinie.

– Słucham pana – odezwał się w końcu księgarz, żeby przerwać ciszę, i zaczął ostrożnie schodzić ze swojej uprzywilejowanej pozycji. Kiedy już stanął na ziemi, don Rafel stwierdził, że mężczyzna jest niższy od niego i musi zadrzeć głowę, żeby usłyszeć odpowiedź.

– Chcę... Chciałbym... – jaśnie pan podrapał się po głowie – jeden, jeden... nie wiem, jak to nazwać. – Rozejrzał się na boki, żeby sprawdzić, czy wypełniające półki książki przypadkiem nie mają uszu, i ściszył głos, kładąc na przeżartym przez korniki stole rulon. – Chciałbym spytać, czy nie wie pan może, jak mógłbym znaleźć pewnego grafika. Nazywa się... nazywa się Tobias. – Te ostatnie słowa wydusił z siebie cienkim, zawstydzonym głosikiem. Ale uwagę żywo zainteresowanego księgarza Galí przyciągnęła srebrna moneta, która jakimś cudem pojawiła się obok rulonu. Postanowił pomęczyć tego ważniaka i wycisnąć z niego więcej grosza.

– Tobias, Tobias... – Zamyślił się głęboko, sprawdzając kątem oka, czy już pojawiła się druga moneta obok pierwszej. – Mówi pan Tobias... A mógłbym wiedzieć coś bliższego? Czym się zajmuje? – bezlitośnie drążył temat.

– No więc... e... e... jak by to panu powiedzieć... To... to bardzo doświadczony rysownik, który...

W tym momencie pojawiła się druga srebrna moneta. Brzęknęła wesoło, spotykając się z koleżanką, ku radości księgarza. Don Rafel przeżywał katusze:

– Bo... bo wie pan, jestem lekarzem i chciałbym zamówić kilka rysunków... Ten Tobias jest autorem tych ilustracji...

– Niech no spojrzę... – przeciągał sprawę księgarz Galí. Ostentacyjnie zignorował srebrne monety na stole i sięgnął po podłużny rulon.

Po rozwiązaniu sznurka kolekcja rycin poprzedniego prezesa, Pàmiesa, które całymi latami przysypiały zapomniane w ukryciu sekretnej szuflady biurka, zaprezentowała się teraz na stole. Dorodna kobieta, świetnie zbudowana, śmiała się uwodzicielsko w towarzystwie dwóch panów, przed którymi demonstrowała swoje niewyobrażalne, niebiańskie piersi. Don Rafelowi serce stanęło w gardle z upokorzenia, na jakie naraził go ten przekłety księgarz, poddając go próbie.

– Naturalnie, naturalnie, panie doktorze – uspokoił go księgarz.

– Widzi pan? – Jaśnie pan medyk pokazał w rogu ilustracji podpis rysownika.

– Tobias... – przeczytał księgarz. Podniósł głowę, jakby chciał szukać natchnienia na suficie. – Tobias... Właśnie przyszło mi do głowy, panie doktorze... – Szybkie spojrzenie, żeby się upewnić, czy dwie srebrne monety pozostają na swoim miejscu, i nagle pamięć mu wróciła. – Ulica Canuda, obok kościoła Santa Anna. Trzeci dom, niski.

– Trzeci?

– Właśnie. Tobias... – Palcem stukał w rycinę, mierząc dokładnie w prawy sutek, jak gdyby otworzyła mu się klapka w pamięci. – Tobias... ma tam coś w rodzaju pracowni... Najlepiej pójść do niego po zmierzchu. – Mówił z lekką pogardą w głosie, jakby chciał się zdystansować od naukowej ciekawości jaśnie pana doktora, i wrócił do stołu, by zabrać stamtąd dwie srebrne monety, dumny ze swego sprytu, bo udało mu się wyciągnąć od tego szemranego doktora bardziej napalonego niż piec dwa razy więcej, niż przewidywał. A doktor Massó już zegnał się z księgarzem Galí, zabierając swoje obrazki, ponownie zwinięte w rulon, zawstydzony, ale w sumie zadowolony, bo jak na razie aspekt finansowy sprawy przedstawiał się pomyślnie: na księgarza zarezerwował pięć srebrnych monet.

Gdyby doña Marianna wiedziała, że jej mąż odwiedził dzielnicę Pi, bardzo by się zdziwiła. Zemdląłaby, gdyby wiedziała, jaki był powód jego wyprawy w tamte okolice. Ale gdyby zobaczyła męzowskie ryciny, po prostu padłaby trupem. Jednakże jej zdrowiu nie zagrażało raczej żadne niebezpieczeństwo. Właśnie kończyła wydawać polecenia służbie i zapytała Hipolita o pana, a ponieważ nie otrzymała żadnej konkretnej odpowiedzi, zamknęła się w domowej kaplicy z dołą Rosalią Ferreres, by odmówić różaniec przed obrazem błogosławionego Josepa Oriola. Przez całe popołudnie doña Marianna i jej przyjaciółka, obie bardzo zgorzone, omawiały najnowsze barcelońskie skandale, i doña Rosalia dała się namówić na dołączenie do Komitetu Dam Optujących za Zmianą Trasy Procesji Wielkiego Tygodnia, który to komitet zamierzał, z optymizmem na wyrost, osiągnąć w tym roku cel, do jakiego został powołany. Niech mi Pan Bóg wybaczy, że to mówię, ale przecież powszechnie wiadomo, że z księdzem biskupem nie da się dyskutować, a kanonik Pujals też nie jest skłonny do ustępstw, a ma w tych sprawach głos decydujący. Po wyczerpaniu tematu zajęły się analizowaniem możliwości socjoliturgicznych Te Deum Końca Roku, z którym doña Marianna wiązała wielkie nadzieje, zwłaszcza kiedy mąż zapewnił ją, że oboje będą siedzieć w pierwszym rzędzie, w stallach. A doña Rosalia,

zieleniejąc z zazdrości, będzie sobie stała w tłumie na środku katedry.

Siedziba rodziny Massó, pałac Massó, jak zwykle o wieczornej porze, przysypiała. Chłód i wilgoć, opanowawszy dom wraz z pierwszą słąką, nie zamierzały go opuścić, dopóki nie zakwitną migdałowce w dzielnicy Sant Martí de Provençal, gdzie rośnie najpóźniejsza odmiana. Dlatego Hipolit wydawał rozkazy pokojówkom i Celdoniowi, by napalili we wszystkich kominkach i trzech przenośnych piecykach z żarem, braseros, żeby choć trochę umilić życie w tym domostwie o zbyt wysokich sufitach. Ale nikt w całym domu, ani Hipolit, ani Celdoni, ani Turek, który uciał sobie drzemkę przed kominkiem w jadalni, ani Agnès, ani Eulàlia, ani Ramoneta, ani tym bardziej doña Marianna czy doña Rosalia, nikt nie zwrócił uwagi na tamtą kobietę. Już od dłuższego czasu spacerowała w górę i w dół ulicą Ample, spoglądała na dom Massó, rzucała spojrzenia na mur ogrodu, potem znów na drzwi wejściowe, z determinacją osoby, która już dawno podjęła decyzję, jak ukierunkować swoje życie, ale jeszcze nie zaczęła działać, nie wiadomo właściwie dlaczego. A tymczasem już się zrobiło ciemno. Ale ta kobieta z determinacją w oczach nie wydawała się lękać ciemności.

Wieczorem, kiedy cienie zmęczonego miasta zaczynają się stapiać z kamieniami budynków. Wieczorem, kiedy słońce się bawi w ciuciubabkę z górą Montjuïc i niebo maluje się na czerwono, jakby się szykowało na wielki bal. Wieczorem, kiedy sklepikarze składają fartuchy, ziewają ze zmęczenia i z głodu, i jeśli im dopisze szczęście, szczypią w tyłek pannę sklepową. Wieczorem, kiedy rolnicy z Horty, z Sant Adrià, z Sarrià czy z Hospitalet układają się do snu, bo skoro świt jadą do Barcelony z wozami pełnymi krzyków i sałaty, fasolki, kabaczków, papryki, pomidorów do sałatek, do chleba albo do suszenia, z pierwszymi zimowymi karczochami i z późnymi kasztanami, albo jak ten szczęściarz, któremu udało się wypełnić grzybami pięć koszy, z gąskami, rydzami, muchomorami cesarskimi i wodnicami. Wieczorem, kiedy w wysokich oknach katedry chronią się gruchające gołębie, nastawiając się na kolejną zimną, wietrzną noc. Wieczorem, kiedy latarnik zapala pochodnie przytwierdzone do murów, żeby Rambla mogła przysypiać w niepewnym świetle; wieczorem, kiedy matki podchodzą do okien i z niepokojem w głosie przywołują dzieciarnię do domu na kolację, gdzie już czeka gotowana kapusta albo maniok. Wieczorem, kiedy nocna straż opieszale przygotowuje się do obchodu miasta, a służący w domu Massó robią obchód w całym domostwie, zapalając świece, woskowe gromnice i ogień w kominkach, podobnie jak służący we wszystkich innych domostwach i pałacach przy Rambli czy przy ulicy Ample. Wieczorem, kiedy można zaglądać niby przypadkiem przez oświetlone okna, przechodząc obok jakiegoś domu, co tam się pichci. Wieczorem, kiedy ludzie opuszczają ulice, bo miasto staje się niegościnne i zbliża się pora niepewności, ciemności i niefortunnych spotkań, jaśnie pan don Rafel Massó i Pujades, cywilny prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie, kazał zatrzymać powóz w bezpiecznej odległości i pieszo dotarł do ulicy Portal de Santa Anna. Zwrócił uwagę na wyjątkowo pogodne niebo. Nie było jeszcze całkiem ciemno. Aldebaran puszczał oko ponad peruką jaśnie pana, ale on tego nie zauważył. Niecierpliwą laską zastukał trzykrotnie do skrzypiących drzwi trzeciego domu i, jakby tam na niego czekano, otworzyła się okiennica na górze i z hałasem uderzyła o ścianę. Jakaś starucha jak lisica obserwowała don Rafaela ze swojej jamy.

– Szukam malarza Tobiasa.

Kobieta zatrzasnęła okno, starając się zrobić przy tym jak najwięcej hałasu, jakby chciała zawiadomić całe sąsiedztwo, że kolejny doktor połknął haczyk. Żadnych znaków życia. Don Rafel prychnął zniecierpliwiony. Nie podobało mu się, że musi czekać w ciemnej ulicy. Kiedy zaczął rozważać

możliwość godnej rejterady, w końcu jeszcze nic się nie stało, otworzyły się drzwi od strony ulicy i ta sama starucha z okna wskazała go krzywym, oskarżycielskim paluchem.

– Tam w głębi. Tam, gdzie jest światło. Może pan wejść bez pukania. – I bezczelnie wyciągnęła rękę. Don Rafel, który nie był na to przygotowany, długo szukał odpowiedniej monety. Upuścił reala na ziemię, żeby zrekompensować sobie własne upokorzenie. Kiedy kobieta schylała się po pieniążek, don Rafel wszedł do długiego, ciemnego, nędznego korytarza. W jednej ręce trzymał podłużny rulon niczym listy uwierzytelniające, a w drugiej chusteczkę, którą zakrywał sobie nos. Dotarł do słabego światła i stosując się do wskazówek staruchy, wszedł do środka, nie pukając.

Znalazł się w dużym pomieszczeniu z wysokimi oknami. Za dnia musiało tu być bardzo jasno. Wszystko w tej norze trwało w nieładzie: płótna, tubki z farbą, pędzle, ołówki, węgiel, brudne szmaty we wszystkich kolorach, parę otwartych kufrów, z których wylewała się obfitość ubrań, i sznurki z rozwieszonym praniem. Nad wszystkim dominował silny zapach farby, papieru, gotowanej brukwi i nędzy, od czego wywracał się żołądek. Jednak to nie bałagan zaskoczył jaśnie pana ani nieprzyjemne wrażenie, jakie wywierały ściany, szczerzące zęby spod łuszczącej się farby, ani obecność malarza, który stojąc tyłem do drzwi, nie uznał za stosowne się odwrócić, zajęty pracą nad rysunkiem oświetlonym kandelabrem z dwunastoma świecami. Najbardziej zaskoczyła don Rafaela galeria rycin wychodzących gościom naprzeciw, przyczepionych spinaczami do jednego ze sznurków ciągnących się wzdłuż pomieszczenia. Ze dwanaście nagich kobiet w niewiarygodnych pozach czekało bezwstydnie na każdego, kto przekraczał próg włości Tobiasa. Jaśnie pan obrzucił je szybkim łakomym spojrzeniem, a następnie zwrócił się do artysty i pozdrowił go półgłosem. Wtedy zauważył rysunek leżący przed Tobiasem na stole: przedstawiał kobietę, która obiema rękami otwierała swój seks i uchwycona w tej pozycji śmiała się w niewyobrażalnie wyuzdany sposób. Don Rafel stwierdził, że nawet twarz nieszczęsnej Elviry w ich najlepszych dniach nigdy nie była aż tak obsceniczna. Łysina pod peruką zaczęła mu się pocić. Przełknął ślinę i spojrzał na malarza, lekko zezując.

– Czego pan sobie życzy? – padło czysto retoryczne pytanie ze strony malarza, który doskonale wiedział, czego u niego szukali ci przestraszeni panowie. Podobnie jak stara, ktoś w rodzaju portierki, która pilnowała, kierując się niezawodnym węchem, by nie wdarł się do pracowni żaden patrol straży ani nikt, kto ma jakikolwiek związek z prawem. Jak don Rafel.

– Wie pan, ja... Jestem lekarzem, rozumie pan?... I chciałbym...

– Oczywiście, panie doktorze. Może pan sobie wybrać którykolwiek z gotowych obrazków. Za jednego duro, te oba, a tamte po dwa...

– Nie chcę tych rycin. Poza tym są bardzo drogie.

– Proszę poczekać: w teczce mam jeszcze parę, za pół duro, które...

– Nie, Tobias, nie – zniecierpliwził się najwyższy autorytet w kraju w dziedzinie prawa.

– To czego pan tu do cholery szuka?

– Chcę, żeby mi pan namalował coś jak... – Rozejrzał się szybko po całej ekspozycji i zwrócił uwagę na kobietę na stole. – Żeby mi pan zrobił rysunek taki jak ten. Ale chcę, żeby był dwa razy większy i... – otworzył puzderko, które wyciągnął z kieszeni płaszcza – chcę, żeby miała tę twarz.

– Tak, panie doktorze.

Tobias wziął puzderko i przyjrzał się miniaturowemu portretowi doñi Gaietany. Wpatrywał się dłuższą chwilę, po czym oddał właścicielowi.

- Bardzo mały jest ten portret. Ciężko będzie go skopiować.
- Proszę podać cenę.
- Cztery duro za twarz i jednego za ciało. – Sprytnego Tobiasa nie zawiódł refleks.
- O cholera.
- To bardzo trudne zadanie, panie doktorze.
- Zgoda. Ale proszę zacząć rysować twarz od razu. Dzięki temu będę mógł ocenić podobieństwo.

Zgodził się. Kto by dyskutował w takiej sytuacji: widać, że gościa przypiliło. Ten doktor medycyny mógł się okazać prawdziwą żyłą złota. W mig skopiował, patrząc na portret w puzderku, twarz, która trochę przypominała Gaietanę. Gdy nad nią pracował, don Rafel, stojąc za plecami, niespokojny, dyrygował: tak, tak, dobrze; nie, nie, nie takie usta. Na to Tobias, ten portret jest bardzo mały: jakie ma usta, wydatne? pełne? zmysłowe? wyzywające? wilgotne? a jaśnie pan wpadł w rozpacz, bo nigdy wcześniej nie opisywał ust swojej Gaietany, mojej ukochanej. Wtedy Tobias zapytał, wie pan co, doktorze? I doktor medycyny Massó zapytał, co, a malarz Tobias zaproponował przygotuję szkice, po dwie pesety każdy. Na to doktor, dwie pesety? To mnie będzie kosztowało majątek. Na co malarz, czego się nie robi dla nauki, panie doktorze. Pan jest chirurgiem, prawda? A chirurg Massó zdziwił się jak pan to odgadł? Na co tamten: po zainteresowaniu, jakie pan przejawia, taką drobiazgowość zauważyłem tylko u uczonych. I doktor chirurgii Massó zgodził się płacić po dwie pesety za każdy szkic. Aż wreszcie godzinę później jaśnie pan miał dziesięć peset mniej w portfelu, opróżnianym w miarę powstawania kolejnych rysunków, ale nie osiągnęli twarzy, która by była naprawdę podobna do odległego, nieosiągalnego, ukochanego i upragnionego oblicza jego Gaietany, mojej ukochanej.

- Jutro dorysuję ciało.
- A nie mogłoby być od razu?
- Niemożliwe, panie doktorze. To mi zajmie parę godzin.
- Przyjdę sam jutro w południe. Albo... – zaczął fantazjować – przyślę któregoś asystenta.

Tak więc tej nocy doktor Massó, chirurg z dyplomem uniwersytetu w Bolonii, odkrywca techniki nacięcia klatki piersiowej i metody powstrzymywania podskórnych krwotoków, za rysunek węglem zapłacił tyle co kiedyś za swój portret olejny. I niespokojny przewracał się z boku na bok w łóżku obok dońi Marianny zatopionej w błogim śnie, w którym wyobrażała sobie wspaniałe dziękczynne Te Deum za miniony wiek, przez nią samą odprawiane – ach, siła snu – z wzorowym profesjonalizmem, przy głównym ołtarzu katedry w Barcelonie. A wszystkie jej przyjaciółki aż zzieleniały z zazdrości.

W sobotę o świcie, w dniu świętych Młodzianków, Nando Sorts, porucznik armii Jego Wysokości, ze spojrzeniem skierowanym w dal, próbował w cudowny sposób pokonać odległość i oczekiwał za każdym zakrętem charakterystycznego masywu góry Montserrat na horyzoncie, nieomylnego znaku, że do celu zostało tylko kilka mil. Ale nie mógł zmuszać do większego wysiłku biednego zwierzęcia. Och, gównu, gównu, gównu; ja mu o Novalisie, a on siedzi w więzieniu, o mój Boże! Było mu głupio, że się nie sprawdził jako przyjaciel. Jasne, że kiedy już się znajdzie w Barcelonie, poruszy niebo i ziemię, zgłosi się na świadka i ruszy z posad Trybunał, zaczynając od fundamentów budynku. Jeżeli zdąży na czas. Och, co za gównu!

Od paru minut walczył z przenikliwym, zimnym wiatrem z północy, który wiał mu w oczy i mroził ręce i twarz. Zastanawiał się gdzie do cholery wsadziłem rękawice, ale wolał znosić lodowate smagnięcia bory, ostre jak cięcie brzytwy, niż zatrzymywać konia, by przeszukać zawartość plecaka. Na szczęście nie padało. Brudną, poszarpaną chusteczką otarł pot z czoła, zanim wiatr zdąży go zamrozić. I żeby dodać sobie animuszu, pomyślał o Andreu. Ten biedak gnije właśnie w jakimś więzieniu i nie ma nikogo, kto by go wziął w obronę. Znów otarła czoło koronkową chusteczką i zastanawiała się, dlaczego jest tak gorąco w bazylice Matki Bożej Sosnowej. Doña Marianna uwielbiała zapach roztopionego wosku; dzięki niemu czuła się tu jak w domu. Ale obfitość zapalonych świec przed ołtarzem świętego Leonarda, przy grobie czcigodnego, ale jeszcze niebłogosławionego (nie wiem, na co oni czekają) Josepa Oriola i Bogunyà, przypawiła ją o uderzenie gorąca. Znów otarła czoło, w pełnej gotowości do uczestniczenia we mszy o dziewiętej, w ostatnią sobotę tego roku i tego wieku, razem z licznym gronem pobożnych duszyczek pragnących złożyć ten skromny hołd Matce Bożej, Królowej Niebios, której kultu doña Marianna nie przerwała ani razu w ciągu ostatnich trzech lat, nawet gdy latem wyjeżdżali do Santa Coloma. Wiedziała, że jakby wszystko podliczyć, zebrałoby się całkiem sporo odpustów zupełnych, a dzięki samej przynależności do Bractwa Krwi należało się jej parę tuzinów odpustów częściowych, które przeznaczała w pobożnej intencji dusz w czyścisku cierpiących. Ksiądz Prats przystąpił do ołtarza świętego Leonarda poprzedzany dwoma uśmiechniętymi ministrantami, a pobożne duszyczki nastawiły się na słuchanie w skupieniu mszy. Na zewnątrz padało jak co dzień, a w pobliżu Igualady lodowatemu wiatrowi północnemu zaczęły towarzyszyć drobne krople, które się wbijały w ciało jeźdźca i konia jak szpilki. Nando Sorts zaklął zdesperowany.

Don Rafel spędził spokojny poranek w Trybunale. Ale wewnątrz aż się gotował. Cała ta smutna historia znów przywołała wspomnienie nieszczęsnej Elviry, nie chciałem tego zrobić, uwierz mi, to się stało niechcący, chociaż sobie zasłużyłaś, puszczałaś się za moimi plecami, to się nie mieści w głowie. Ale ja tego nie chciałem. Od tej nieszczęsnej nocy żył w stanie permanentnego niepokoju. Oczywiście wyszedł z sytuacji obronną ręką, ale miał już śmierć na sumieniu. Albo nie: do prawdziwej rozpacz doprowadzała go możliwość, że ktoś się jednak dowie o tym wypadku, a to go trapiło o wiele bardziej niż sama śmierć nieszczęsnej Elviry, bo w tej sprawie nic już się nie dało zrobić. Dlatego kiedy okazało się, że ten nieszczęsny głupiec Perramon posiadał wiedzę na temat tamtej strasznej nocy opisanej ustami przeklętego Ciseta, ziemia usunęła mu się spod nóg. Wysłał do Mury sekretarza Rovirę, który potwierdził zgon dawnego ogrodnika jaśnie pana, jaśnie panie, i okazuje się, że jego żona też zmarła, kilka dni wcześniej, jaśnie panie. Don Rafel się ucieszył: skończył się ten ciągły upływ gotówki za milczenie

Ciseta i pomyślał, że śmierć czasami wie, co robi. Nie było innej rady jak uciszyć owego tajemniczego Perramona, ale fakt, że don Jerónimo Cascas de los Rosales też jest poinformowany o treści tamtych papierów, nie dawał mu spokoju. Jednak szef policji otrzymał swoją dółę za milczenie i uczestniczył nadzwyczaj aktywnie w rozwiązaniu sprawy Perramona. Och, gdyby tak dało się cofnąć czas, wrócić do tamtej przekłętej nocy, kiedy odkrył swoje rogi, i poszukać innego rozwiązania: nie wiem, może wypędzić biczem tę podłą dziwkę z gniazdka miłości albo wezwać na pojedynek tamtych dwóch libertynów; albo po prostu nie iść tam, kto mi kazał zaglądać do gniazdka miłości, zakątka umizgów i tak dalej, skoro wszyscy wiedzieli, że jestem w Santa Coloma? Don Rafel rozpamiętywał tamtą sytuację, a równocześnie załatwiał te nieliczne sprawy, które docierały aż do jego gabinetu: ależ tak, przyjmie starszego woźnego, niech mu raz wreszcie wyjaśni, jaki jest powód niezadowolenia woźnych z parteru Trybunału. A pierwszy audytor z Departamentu Kryminalnego przyszedł się upomnieć o wyznaczenie zastępcy chorego naczelnika straży. Na co don Rafel: ależ don Prudencio, wszystko w swoim czasie. Na co don Prudencio Zapata zagroził, że jeśli nie będzie naczelnika straży, nie będą się odbywać rozprawy, a wtedy don Rafel wściekł się, czym zaskoczył swoich podwładnych, przyzwyczajonych, że w takiej sytuacji starał się nie stawiać wszystkiego na ostrzu noża, i powiedział, cedząc sylaby jadowitym tonem, że jeżeli usłyszy, że w Trzecim Departamencie odwołano jakąkolwiek sprawę, don Marcel.lí Carbó, drugi audytor, stanie się ipso facto pierwszym audytorem i don Prudencio musiał opuścić gabinet prezesa, zgrzytając zębami i połykając iskry, bo w żadnym razie nie mógł dopuścić, by ten chłystek Carbó wyprzedził go w hierarchii awansów. A don Rafel, kiedy znów został sam, pomyślał z kim ja tu pracuję. I znów widział przed sobą jak żywą Elviretę, moje biedactwo, jak się śmieje i rzuca mu spojrzenie pełne wyrzutów. Ależ ja tego nie zrobiłem z premedytacją, moja Elvireto. Rysy Elviry nieco się zatarły, kiedy przypomniał sobie, że po południu będzie gotowy portret doñi Gaietany. I wtedy usłyszał pukanie do drzwi zapowiadające woźnego, który zapowiedział adwokata Terradellea, który zapowiedział burzę. Oto i Terradelles, ten wrzód na dupie, w towarzystwie kogoś nieznanego.

– Bardzo jestem ciekaw, czemu zawdzięczam tę przemiłą wizytę.

Don Antoni Terradelles poprawił perukę niemal zalotnym gestem, zanim rzucił mu w twarz z jadowitym uśmiechem, że jeśli jaśnie pan nie widzi przeszkód, on właśnie zamierza wszcząć przeciwko niemu proces. Don Rafel, zamiast wyśmiać ten absurdalny pomysł, zapytał a to z jakiego powodu, jeśli można wiedzieć. W ten sposób tylko ułatwił im zadanie.

– Z powodu morderstwa, jaśnie panie.

Musiał usiąść. Rozgniewał się, zaśmiał się, powiedział no coś takiego, co za bzdura, wzniosł oczy ku górze, mlasnął językiem, znów się zaśmiał, powiedział ja? co? ja? i wszystkiemu zaprzeczył, uznając tę historię za wstętne, podłe kłamstwo. Zapytał ich, czy rzeczywiście uwierzyli w jakieś bzdury, i aż spociła mu się łysina. Znienawidził ukochaną Elviretę i lodowaty uśmiech tego skurwysyna Terradellea. Wreszcie zapytał o dowody.

– Mamy spowiedź i testament niejakiego Ciseta – skłamał adwokat, a tymczasem towarzyszący mu notariusz Tutusaus dobrotliwie się uśmiechnął.

– On jest u mnie! – zaprotestował don Rafel.

– No, to znaczy, że istnieje. – Notariusz rzucał słowa jak kamienie. – Sam osobiście go zredagowałem. Niniejszym to potwierdzam. I zachowałem kopię – zmyślał.

– Ciseta był moim ogrodnikiem, tak. Ale cała reszta to kłamstwa!

Don Rafel zrozumiał, że musi zmienić taktykę. Żeby zyskać na czasie, wyciągnął tabakierkę. Że też musiały mu tak drżeć ręce. Próbował to pokryć uśmiechem i zaczął im insynuować różne możliwości, sondować ich żądania, przedstawiać wachlarz propozycji: pieniądze, władza, spełnienie marzeń, don Antoni, nie chciałby pan zostać pierwszym audytorem w Pierwszym Departamencie? Co? Ale z twarzy adwokata nie zniknął jadowity uśmiech. Don Rafel szybko się zorientował, że notariusz był gotów negocjować cenę, ale Terradelles wyglądał na niewzruszonego i trwał przy swoim zamiarze wszczęcia procesu.

– Zabraniam wam wnoszenia jakiegokolwiek sprawy do sądu. – Jaśnie pan uznał temat za zamknięty.

– No dobrze. – Adwokat podniósł się mimo widocznego niezadowolenia notariusza. – Pójdę z tym do Kapitana Generalnego.

– Nie radzę próbować. Jeszcze pan pożałuje.

– A właśnie że spróbuję.

Pilna audiencja, o którą don Rafel prosił Jego Ekscelencję, nie mogła dojść do skutku od razu w sobotę: don Pere zapraszał go w poniedziałek, bo według tego, co napisał w odpowiedzi major Cisneros, Jego Ekscelencję absorbowały teraz sprawy Dworu. Don Rafel zrozpaczony zmiął bilecik i poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Przez dwa lata żył z niepokojem w sercu, potrzebował dwu lat, żeby odzyskać względny spokój ducha, aż tu nagle jakiś dziwny osobnik zamieszany w morderstwo śpiewaczki zjawia się z niesłychanym wyznaniem Ciseta: osobnik został usunięty. Ale teraz sobie uświadomił, że to nie koniec; że pół Barcelony mogło znać jego sekret. A dodatkowo jego pozycję osłabiał fakt, że nie miał pojęcia, co kto może wiedzieć. Don Rafel wyszedł z Trybunału w południe z pustką w głowie. Zostawało mu chyba tylko paść na kolana przed Kapitanem Generalnym, wyznać całą prawdę, obiecać złote góry i błagać o protekcję.

Obiad w domu Massó zamienił się w monolog doñi Marianny, która informowała don Rafela, że jutro, najpóźniej pojutrze, będzie ostatnia przymiarka strojów na Te Deum i na bal na zakończenie roku. Żebyś przypadkiem nie zapomniał i nie wyszedł z domu. I nie zapomnij o zamówieniu nowej peruki. No i butów. Ksiądz Prats mówi, że chciałby siedzieć na naszym miejscu, pierwszy rząd, i to w stallach, Rafelu! Nawet ksiądz Prats nam zazdrości. Żeby tylko, broń Boże, nie padało w przyszły wtorek. A wiesz, że Rosalii nie zaproszono do markiza de Dosrius? Będzie musiała iść na bal do don Paciàna Garcii, ale gdzie mu tam do markiza. Można wiedzieć, o czym ty myślisz, Rafelu? Spojrzał na nią, ale nie przyznał się, że myśli o byłej kochance, którą zamordował w noc złego księżyca, ani nie wspomniał o portrecie szacownej sąsiadki, doñi Gaietany Renom, baronowej de Xerta, sporządzonym przez malarza Tobiasa, nie poskarżył się na złowieszczygo Terradellea i jego szemranego notariusza, którzy podszczyptywali go w tyłek z nadzieją, że go wykopią na dobre. Nie zająknął się ani słowem o jakimś Perramonie, którego lekką ręką skazał na śmierć, bo był przekonany, że tylko on ma dostęp do informacji niedostępnych dla innych. Niczym takim nie zawracał jej głowy: spojrzał na żonę nieprzytomnym wzrokiem i przełknął bez apetytu porcję makaronu. Na zewnątrz, na ulicy Ample, kapuśniaczek zdążył doszczętnie przemoczyć kobietę z determinacją w oczach, która już poprzedniego dnia spacerowała tą ulicą, a teraz schroniła się przed deszczem w drzwiach kościoła Świętego Franciszka i na pozór obojętnie przyglądała się domostwu rodziny Massó, ale wewnątrz wszystko się w niej gotowało, przez głowę przebiegały jej tysiące myśli i zaczynała się bać.

Po południu, w przyjaznej ciszy domowego gabinetu, don Rafel rozwinął sznurek i rozłożył rysunek na stole. Odczekał, aż doña Marianna wyjdzie gdzieś z rewizytą i rozkazał Hipolitowi, żeby mu nikt nie przeszkadzał, bo zamierza spokojnie popracować. Znów przesunął dłonią po obrazku i wstrzymał oddech. Doña Gaietana Renom, baronowa de Xerta, młoda kobieta niezrównanej urody, do której wielu wzdychało, która prowadziła z pewnością burzliwe, ukrywane w najgłębszej tajemnicy życie uczuciowe, wydana za nieznośnego safandulę, prawie dwukrotnie od niej starszego, idealny kandydat na rogacza, doña Gaietana Renom, baronowa de Xerta po mężu, uważana za jedną z najbardziej eleganckich przedstawicielek przywiedłej burbońskiej arystokracji Barcelony, z godnym pozazdrosczenia majątkiem i długą kolejką pełnych nadziei ewentualnych kochanków, którzy nigdy nie dostąpią tego zaszczytu; nieosiągalna, odległa, magiczna, enigmatyczna, upragniona doña Gaietana rozkładała przed nim nogi i pokazywała swoje sekrety z niewinnym uśmieszkiem, zawracając jaśnie panu w głowie. Gęste szuwały. Mocne uda. Och, co za piersi! Idealne, krągłe, wyzywające. Popatrz, popatrz, co za pępek. I ukochana twarz. Bezwstydną doña Gaietana, lubieżna ładacznica, która ma mniej wstydu niż kury w kurniku (co mu to przypominało?), leżała teraz na jego stole, z rozłożonymi nogami, eksponując pizdę. Będziesz teraz się ze mnie śmiała, co, ty przekłeta dziwko? Prawda, że nie wystawiała go teraz na pośmiewisko, prezentując wszystkie swoje wdzięki? Mojaskurwionagajetano, już mnie nie lekceważysz, bo mnie kochasz, prawda? bardzo mnie kochasz i dlatego mi się oddajesz, prawda? Serce don Rafaela biło szybko, niewielkim kosztem osiągnął całkiem niezłą erekcję, wyobrażając sobie, że ten szkic węglem to rysunek z natury. Marzył dobrą chwilę, że to ona go pieści z zaangażowaniem, oferując swoją tajemnicę. Temu nierealnemu marzeniu towarzyszył wytrysk. Kiedy ją wreszcie posiadał w niemal liturgicznym akcie, don Rafel Massó, cywilny prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie, poczuł się równocześnie żalony i szczęśliwy.

Po kolacji, poinformowany przez donę Mariannę ze szczegółami o zawiści kolejnych dwu przyjaciółek, kiedy już jej przyrzekł na wszystkie świętości, że będzie obecny na przymiarce z modniarką i krawcem, kiedy już zdecydował, że nowa peruka ma być w odcieniu niebieskawym, a nie żółtym, don Rafel zauważył, podchodząc do okna w jadalni, że niebo się roz pogodziło. Mimo że doña Marianna kręciła nosem przekonana, że to tylko strata czasu i okazja, żeby złapać zapalenie płuc, kazał Hipolitowi wyciągnąć teleskop i ustawić na klombie begonii.

– Na kwiatkach, jaśnie panie?

– Tak. Może dzięki temu Romà wreszcie je wymieni.

– Przypominałem mu już dwukrotnie, jaśnie panie.

– No to jutro z samego rana przypomnij mu po raz trzeci. Teraz jest sezon na chryzantemy. Kto to widział, begonie w grudniu! Ach, ten Romà...

– Tak, jaśnie panie.

Hipolit zabrał kinkiet i oddalił się ze światłem, a don Rafel został sam, sam na sam z niebem. Jego niepokój stawał się coraz głębszy, bo miał wrażenie, że od jakiegoś czasu zajmował się tylko łataniem dziur w swojej biografii, ale ledwo załatał jedną, natychmiast otwierała się druga w najmniej oczekiwanym miejscu. Trzeba było dotrzeć do Kapitana Generalnego, zanim to zrobi Terradelles; ze swoimi niebezpiecznymi oskarżeniami może się przyczynić do jego zguby. Wyobraził sobie, jak się spowiada przed don Perem. Czy zgodzi się zapomnieć o całej sprawie? W zamian za co? A może uzna, że to świetna okazja, żeby go rozdeptać jak pluskwę? Tylko jednego nie wolno mu robić: siedzieć

z założonymi rękami. Postanowił: zacznie działać jutro, z samego rana. Westchnął i spojrzął w niebo nieuzbrojonym okiem. Orion, fikcyjny myśliwy, zajmował sporą część ciemnego firmamentu. Jeszcze nie dogonił Plejad, biednych, wiecznie ściganych ofiar. Między te dwie konstelacje wcinały się rogi Byka, niczym bariera. Don Rafel nie widział siebie samego na niebie, bo nie umiał siebie interpretować: on jako żądny krwi myśliwy, a ofiary parę stopni dalej... Ale ofiary na niebie nazywały się Maja i Taygeta, Alkione, Celaeno i Elektra, Asterope i Merope, były córkami Plejone i Atlasa, w których Orion się zakochał... Tymczasem on wzdychał tylko do swojej słodkiej Gaietany, nie mniej odległej niż Asterope. Było niemożliwe, by don Rafel odczytał siebie na niebie. Tak samo niemożliwe było w tę noc świętych Młodzianków, blisko roku Pańskiego tysiąc osiemsetnego, który według nielicznych zamykał wiek, a według przeważającej większości otwierał nowy, by teraz, kiedy wycelował teleskop w stronę Aldebarana i Hiad, zobaczył zbłąkanego, odległego, zimnego i ciemnego Plutona w towarzystwie absurdalnie wielkiego Charona, jego księżycy, przesuwających się między Hiadami w powolnym, odwiecznym, niewidzialnym tempie... Pluton i Charon tańczyli nieporadnie taniec bez muzyki, obracając się jeden wokół drugiego. Było absolutnie niemożliwe, żeby don Rafel wiedział, że Pluton i Charon wędrowali po niebie nad jego ogrodem. Tak jak jest niemożliwe, by człowiek uświadomił sobie bliskość własnej śmierci.

Z satysfakcją mlasnął językiem, gdy pomarańczowy Aldebaran usytuował się w samym środku pola widzenia. Jakieś dwie Hiady (Eudora? Ajsyle?) też pojawiły się w polu, ale don Rafel chciał się skoncentrować na pomarańczowej gwiazdzie alfa Tauri. Don Jacint Dalmases przekonywał, że jest podwójna, a on, stanowczo i z godnością zakwestionował to w artykule napisanym kwiecistym stylem, który się ukazał w barcelońskiej gazecie „Brusi”, jakieś pięć czy sześć lat temu. Istotnie, nie ma mowy o podwójności. Poczł chłód i pomyślał, że lada moment doña Marianna każe go zawołać, żeby jej się nie przeziębził przed tą przekłętą uroczystością, i znów zacznie go atakować. (Rafel, nie słyszysz, co do ciebie mówię? O czym ty myślisz? Nie cieszysz się z uroczystości? No nie wiem, widzę, że jesteś jakiś niemrawy. Źle się czujesz? Już od paru dni mam wrażenie, że jesteś nieobecny duchem, Rafelu.) Przerwał obserwowanie Aldebarana (ale na pewno nie jest podwójny; co się będziemy oszukiwać) i przetarł oczy. Wróciły do niego zmartwienia. Potupał nogami, żeby rozgrzać zmarznięte stopy i nie zdając sobie z tego sprawy, ugniótł jeszcze bardziej te dziewięć piędzi ziemi, które przykrywały rozkładające się ciało nieszczęsnej Elviry, ja tego nie chciałem, a tymczasem za murem, na ulicy Ample, dziwna kobieta z determinacją w oczach zrezygnowała ze spacerowania w tę i z powrotem i ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę Ravalu, po drugiej stronie Rambli. Jej na pewno nie interesowało obserwowanie gwiazd.

Nando Sorts też nie zwracał uwagi na gwiazdy. Jechał ciemną nocą na koniu bliskim wyczerpania, odbijając sobie tyłek. Minął po lewej stronie bryłę klasztoru w Pedralbes i pędził przed siebie, mimo zimna, narażony na niebezpieczeństwo, że on i jego wierzchowiec rozbiją się gdzieś w ciemności.

Właśnie jaśnie pan zanurzał biszkopt w czekoladzie, gdy wszedł Hipolit z wiadomością, że na dole jest jakaś kobieta, która chce się widzieć z jaśnie panem, jaśnie panie.

– Kobieta? Co za jedna?

– Nie znam jej.

– Czego chce?

– Nie wiem. Chce rozmawiać z jaśnie panem osobiście. Mówi, że to ważna sprawa.

– Niech zaczeka. Moje śniadanie jest ważniejsze. Gdzie ją zostawiłeś? – Z niewiadomego powodu poczuł ukłucie lęku.

– W holu.

– Pilnuj jej. Może to jedna z tych, co mają oczy w palcach.

– Tak, jaśnie panie.

Don Rafel dopił czekoladę i spojrzał dyskretnie w stronę, gdzie krzątała się jego żona. Po dochodzących odgłosach rozpoznał, że właśnie chowała mantylkę i modlitewnik do mahoniowej komody. Don Rafel nie chciał, żeby Hipolit się domyślił, jak bardzo zaintrygowała go ta kobieta, ale też nie mógł dopuścić, by zbyt długo czekała, bo mogłaby ją zauważyć doña Marianna. Tak więc dokończył śniadanie i stanął przed lustrem, żeby założyć perukę. Odbiło mu się czekoladą, kiedy wkładał kamizelkę przed wyjściem do zimnego holu. Stanął na szczycie schodów, spojrzał na gościa i zmienił zdanie. Wycofał się i zawołał Hipolita.

– Powiedz jej, że jestem zajęty. Niech ci wyjaśni, czego chce. – Odszedł, mrużąc pod nosem, do czego to podobne, ja miałbym tracić czas dla pierwszej lepszej baby, której przyjdzie do głowy nachodzić mnie w domu. Hipolit wrócił z informacją, że chodzi o bardzo ważną sprawę i że może o niej rozmawiać tylko z jaśnie panem, jaśnie panie. Jaśnie pan znów wysłał służącego do holu ze zleceniem powiedz jej, że mój czas jest o wiele ważniejszy niż te jej ważne sprawy i że jeżeli chce czegoś w związku z wymiarem sprawiedliwości, niech się uda do Trybunału i tam wyłuszczy sprawę, a jak nie, niech się pocałuje w nos; zrozumiałeś? Hipolit pokonał ze trzy czy cztery razy drogę z holu na piętro, w górę i w dół, jak wiadro w studni, i powoli zaczynał tracić cierpliwość, kurwa, co to ja pajac jestem czy co, przecież i bez tego muszę chodzić w górę i w dół wiele razy w ciągu dnia, tymi przekłętymi schodami, ale wrócił jeszcze raz z odpowiedzią nieznamomej ona mówi, jaśnie panie, że to jest sprawa, która dotyczy bezpośrednio jaśnie pana i że chce rozmawiać o pewnej kobiecie, niejkiej Elvirze, jaśnie panie.

– O Elvirze?

– O Elvirze, jaśnie panie.

Don Rafel pobladł i zachwiał się. Usiadł w fotelu. Nie, nie – Marianny tam nie było, tylko Hipolit dostrzegł jego bladość. Hipolit i Turek. Ten ostatni, widząc, że jego pan zbladł, ziewnął i przewrócił się na drugi bok. Natomiast usłużny Hipolit podszedł i zapytał dobrze się pan czuje, jaśnie panie? coś panu dolega, jaśnie panie? mam wezwać panią, jaśnie panie? Don Rafel wstał i powiedział nie trzeba nikogo wzywać, cholera, cholera jasna; to tylko czekolada, szkodzi mi na wątrobę, chyba będę musiał z niej zrezygnować. I mimochodem dodał obojętnym tonem słuchaj, Hipolicie, nie ma sensu, byśmy cały niedzielny poranek spędzili na przekazywaniu wiadomości. Najlepiej będzie, jak wysłucham tę upierdliwą babę, bo inaczej jej się nie pozbędziemy. Hipolit pomyślał sobie trzeba było od tego zacząć;

rozumiał, że imię Elvira jest bardzo ważne dla jaśnie pana. Don Rafel schodził ze schodów ze ściśniętym żołądkiem. Chwiał się na nogach i powtarzał w myśli jak litanie kim może być ta kobieta, czego może chcieć ta kobieta. Don Rafel znów stracił spokój, bo komuś zależało na tym, by wygrzebywać spod ziemi zmarłych, o których należałoby zapomnieć raz na zawsze, co się stało, to się nie odstanie, i niech nas pan Bóg strzeże, żeby było inaczej. Czy ja nie mam prawa żyć spokojnie jak pierwszy lepszy śmiertelnik?

Kiedy Galana zobaczyła, że schodzi ze schodów, uśmiechnęła się, odsłaniając zepsuty ząb. Ona też drżała, ale w jednej chwili zdała sobie sprawę, że wszystko idzie po jej myśli, ponieważ imię Elviry otworzyło jej drzwi bez większych problemów. A to znaczyło, że zmierza w dobrym kierunku. Wstała i znów pokazała spróchniały ząb w czymś w rodzaju uśmiechu.

– Dzień dobry, panie Massó – odezwała się bezceremonialnie, nieświadoma zasad dobrego wychowania.

– Czego chcesz?

– Porozmawiać. Ja dużo wiem.

Dużo wie. Bładość. Dużo wie. Zawrót głowy. Ta kobieta dużo wie. Ktoś dużo wie. Wszyscy coś wiedzą, dużo wiedzą. On nie ma prawa do żadnego sekretu, bo wszyscy mogą się o nim dowiedzieć. Wszyscy znają jego sekrety. Wszyscy wiedzą to, co powinno pozostać ukryte i pochowane raz na zawsze. I po co łątać dziury? Zaraz powstają nowe. Komuś zależy na mojej zgubie. Co ludzie wiedzą? Co wiedzą o mnie takiego, czego ja sam o sobie nie wiem? Tak się nie da żyć.

– Co wiesz? – W tym pytaniu wyrażał się cały jego niepokój.

– Tu mamy rozmawiać?

– Jestem bardzo zajęty i nie mam dla ciebie czasu.

– Chodzi o Elvirę.

– Jaką Elvirę?

– Kobietę, która zmarła parę lat temu.

– A co mnie to obchodzi?

– Bo to pan ją zabił. Wiem jeszcze więcej.

Jaśnie pan instyktownie spojrział na ściany, żeby sprawdzić, czy się nie zgorszyły. A może by tak złapać tę kobietę za gardło i tak długo ścisnąć, aż przestanie powtarzać wiem jeszcze więcej. A razem z nią uciszyć całą ludzkość.

– Ani nie wiem, o czym mówisz, ani nie znam żadnej Elviry. Tylko tracisz czas.

Zrobił taki gest, jakby zamierzał odprowadzić ją do drzwi. Na chwilę oczy Galany przesłonił cień wątpliwości, jednak szybko zrozumiała, w czym rzecz. Ten człowiek chce ją przestraszyć; ale po czterdziestu ośmiu latach radzenia sobie w życiu nie było łatwo ją zniechęcić. Nie ruszyła się z miejsca.

– Wiem, że to pan ją zabił.

W tym momencie na szczycie schodów pojawiła się surowa postać doñi Marianny. Kiedy ją zobaczył, chciał się zapaść pod ziemię. Czy żona usłyszała to absurdalne oskarżenie (ja nie chciałem tego zrobić, to się stało niechcący, Marianno) rzucone przez tamtą kobietę, która nie wiadomo skąd się wzięła? Uśmiechnął się. Zimny pot spłynął mu po łysinie spod przekrzywionej peruki. Uśmiechnął się w kierunku schodów i spiorunował intruza wzrokiem pełnym nienawiści.

– Ponieważ chciałbym wyjaśnić to nieporozumienie – powiedział niemal szeptem, żeby go nie było

słysząc na górze – możemy się spotkać dziś po południu, o czwartej... w kaplicy Marcúsa.

– Nie wiem, gdzie to jest.

– To się dopytaj. Borią w dół. Na rogatkach Barcelony.

– Rafel – zawołała doña Marianna – przymiarka będzie gotowa na jutro.

– Jak pan powiedział? Marcús?

– Tak, kochanie, na jutro. – A po cichu: – Marcús, no, już cię nie ma. Po południu.

Kiedy Galana znikła, doña Marianna zeszła dwa stopnie niżej.

– Co to za jedna?

– Skąd mam wiedzieć!... Jakaś kobieta, która chce rozwiązać swoje problemy u mnie w domu, jakbym nie spędzał całego bożego dnia w sądzie.

– Niesłychane.

Nie rozumiał, co było niesłychane – czy nachodzenie kogoś w domu, czy spędzanie całego bożego dnia w sądzie. Ale nie miało sensu wyjaśnianie tego rodzaju wątpliwości. Don Rafel ruszył w górę po schodach. Bolał go brzuch i niepokój przyprawił go o zawrót głowy; co za nieprzyjemne uczucie, kiedy się nie panuje nad tym, co się dzieje, i nie wie się, jak daleko sięga wiedza innych o jego sprawach. To było najgorsze. O Boże, co za ciężki los.

– Dziś po południu idziemy z wizytą do państwa Masdexaxart.

– Dziś po południu?

– Ależ Rafel! Oni nas odwiedzili w ubiegłą niedzielę!

– Ale przecież ja...

Don Rafel zasapany przeszedł obok swojej żony, z trudem łapiąc powietrze.

– Nie szkodzi. I popraw sobie perukę.

– Ale ja już jestem umówiony.

– Jesteś Umówiony z Państwem Masdexaxart. Wiesz, że nie będą na Te Deum?

– A co mnie obchodzi jakieś Te Deum? – Don Rafel, zirytowany, najchętniej złapałby swoją żonę i spuścił ją po schodach.

– Ależ Rafelu! – upomniała go oburzona, zgorszona, zmartwiona, oj, coś tu się kroi, a ja o niczym nie wiem. – Można wiedzieć, co się z tobą dzieje? Kim była tamta kobieta?

– Jaka kobieta? – Coraz bardziej się pogrążał.

– Dlaczego mówisz, że nie możesz iść do państwa Masdexaxart?

– Nie powiedziałem, że nie mogę. Przyjdę trochę później.

– Kim była tamta kobieta?

Don Rafel dotarł już na piętro zasapany, myśląc mniej więcej tak: zaraz ci powiem, że ta nieznajoma właśnie mnie oskarżyła, w moim własnym domu! że zabiłem swoją kochankę. To nic takiego, Marianno, zwykła rutyna; po prostu masz męża mordercę.

– Jaka kobieta? – spytał jeszcze raz, znikając w korytarzu.

Mimo że wiedziała, jaki jest świat i jak się w nim poruszać, żeby zawsze wyjść na swoje, Galana trochę się przestraszyła i straciła animusz. Już od trzech dni rozglądała się po Barcelonie. Zatrzymała się w zajeździe po drugiej stronie Rambli i dała sobie tydzień na zadanie ostatecznego ciosu. Z początku cały plan wydawał się jej po prostu genialny, żadnych słabych punktów. Ale w miarę wprowadzania go w życie, zaczęła odczuwać lęk. I teraz, kiedy jej intryga zmierzała do punktu kulminacyjnego, coś jej

podpowiadało, że sprawy mogą przybrać zły obrót. Dla Galany wszystko zaczęło się wiele miesięcy temu, kiedy zaintrygowało ją, skąd do cholery brali pieniądze Ciset i jego żona, bo widziała gołym okiem, że nie z pracy. A ich pospolity wygląd wskazywał, że nie chodziło o rentierów. Galana, podejmując w domu Peric pracę służącej, miała wiele godzin, żeby zadawać sobie to pytanie przed każdym meblem ze szlachetnego drewna czy przed bibelotami niepasującymi do wiejskiego domu, ale sprawiającymi przyjemność Remei. Plotkowała i omawiała ten temat z miejscowymi kumoszkami. Nic do sprawy nie wniosły. Nawet zagadywała Tuietes, gospodynię proboszcza, mającej uprzywilejowany dostęp do informacji, ale Tuietes o niczym nie wiedziała i Galana musiała się pogodzić ze swoją niewiedzą i nadal służyć w domu Peric. Aż się stało nieszczęście, co za przykrość, i Ciset posłał ją po księdza Joana, a ten przez cały wieczór rozmawiał z gospodarzem, którego kaszel z każdym dniem rokował coraz gorzej. W dniu, kiedy przyszli ksiądz w samej rzeczy i notariusz z Feixes, mogła wysłuchać, wprawdzie z trudem, ale w całości, spowiedzi Ciseta. Nie dałaby mu rozgrzeszenia, ale z tego, co zrozumiała, gorący ziemniak, który wpadł jej właśnie w ręce, był ze szczerego złota. Jak na tamte czasy, Galana mogła się uważać za wykształconą. Nauczyła się czytać i pisać w szkole dla dziewcząt. Umiała też liczyć do tysiąca, dodawać i odejmować. Poznała katechizm, jak na chrześcijankę przystało. Nauczyła się wyszywać, cerować i szydełkować. A ponieważ okazała się sprytna, nauka nie poszła w las. Mogła zaimponować wszystkim w miasteczku, chyba tylko poza proboszczem, swoim obyciem, bo pracowała przez pięć lat jako pokojówka w domu adwokata Mira w Feixes, aż ją odprawili, kiedy najstarszy syn tamtego gryziopórka poczuł miętę do niej, okrągłutkiej, rezolutnej wieśniaczki. Ale Galanie to wystarczyło, żeby się przekonać, że ludzie bogaci, choć wykorzystują pieniądze jako argument, zawsze mają jakiś słaby punkt, który ich oddaje w ręce kogoś od nich sprytniejszego. Dlatego nie musiała się długo zastanawiać, żeby dojść do wniosku, że w spowiedzi Ciseta kryło się złote źródło, jeśli tylko uda się jej znaleźć tego człowieka, zanim zrobi to wymiar sprawiedliwości. Nie bała się. Pod wpływem impulsu dokonywała rzeczy, w które z perspektywy czasu jej samej trudno będzie uwierzyć. Jeszcze tego samego wieczoru pod byle pretekstem, niby że potrzebuje rozpałki, wybrała się na plebanię. Tuietes miała głowę zajętą czym innym. Wpuściła ją, ale była nieufna. Chciała wejść do pokoju notariusza, korzystając z tego, że obu mężczyzn zajmowała kolacja. Tuietes przestraszyła się. Przecież ona nie zamierza niczego ukraść, skądże znowu. O co mnie posądzasz? Chciałam tylko zobaczyć... i nie musiała nic więcej mówić, bo gospodyni już nie potrzebowała żadnej wymówki; jej oczy aż się śmiały do trzech złotych monet, które nagle – ryzyko inwestycji – pojawiły się na jej dłoni.

– Ale musisz mi obiecać, że nic panu notariuszowi nie ukradniesz.

– Przysięgam ci, Tuietes.

– Nie przysięgaj. To grzech.

– Obiecuję.

Pieniądze przeszły z ręki do ręki i Tuietes wpuściła Galanę do spiżarni, żeby poczekała na właściwy moment. Tam, w ciemności, ogarnął ją lęk, czy przypadkiem nie robi głupstwa, ale była zdeterminowana, by posunąć się dalej; jakiś bardzo wyraźny głos zapewniał ją, że zawsze może się wycofać. Po upływie długich trzydziestu minut Tuietes przyszła po nią ze światłem. W tym samym czasie ksiądz i notariusz atakowali wspaniałego dzika w marynacie, obojętni na wszystko, co nie miało związku z zawartością talerza. Obie kobiety udały się na górę do pokoju gościnnego.

– Zostaw mnie tu samą.

– Nie. Chcę widzieć, co robisz.

– To niemożliwe. Ktoś musi stać na czatach. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby teraz weszli na górę?

Ta ewentualność tak przeraziła Tuietes, że wolała czekać w ciemności na korytarzu. Kiedy Galana została sama, od razu zainteresowała się przenośnym sekretarzykiem notariusza, otworzyła go i zobaczyła zamkniętą i zalakowaną kopertę z ostatnią wolą i testamentem Ciseta (obyś szczęść, ty przeklęty Cisecie, toaletka z lustrem dla Galany, a mnie ona po co, ja chcę gotówki), a pod spodem mniejsza koperta, też zamknięta i zalakowana, a w niej spowiedź tego nieszczęśnika Ciseta, współnika zbrodni, który spędził ostatnie lata życia na czymś w rodzaju wygnania, w lęku i upodleniu. Galana przystąpiła do działania z pewnością siebie i z zimną krwią. Jakby nic innego nie robiła w życiu. Jakby były jej chlebem powszednim te papierzyska, budzące przerażenie niejednego wieśniaka, kiedy znalazł się w sytuacji wymagającej udania się do adwokata czy notariusza. Procentowały teraz lata spędzone na podpatrywaniu w domu adwokata Mira z Feixes. Tak więc Galana wyciągnęła kopertę ze spowiedzią i bez wahania otworzyła ją, łamiąc pieczęć. Wyciągnęła papiery i przeczytała. Szybko sobie przekalkulowała: trzy kartki zapisane drobnym, ale czytelnym pismem. Wszystkie trzy podpisane, na czym najbardziej jej zależało. Znowu przeczytała dokument i wyciągnęła z niego środkową stronę. Na jej miejsce włożyła czystą kartkę, jedną z tych, które leżały w sekretarzyku. Przeszukała szufladki tego mebelka, aż znalazła laskę laku i pieczęć. Zdrapała paznokciem stary lak i za pomocą świecy znowu zapieczętowała kopertę ze spowiedzią. Wszystko razem zajęło jej sześć i pół minuty, podczas których Tuietes zagryzała palce w ciemnym korytarzu, a ksiądz usłyszał jakieś szuranie na górze i podzielił się z notariuszem uwagą, znowu mamy myszy, w samej rzeczy, chciałem powiedzieć, a notariusz nie zareagował, bo co go mogły obchodzić jakieś myszy księdza w samej rzeczy, zresztą właśnie popijał mocne wino i na nim skupił całą uwagę. Galana obejrzała fioletową kopertę z zewnątrz. Prawie nic nie dało się zauważyć. Odłożyła ją na miejsce i wyszła z pokoju. Tuietes westchnęła, obie kobiety zeszły na palcach ze schodów i kiedy już znalazły się w przedpokoju, Tuietes przeszła do ataku, ale powiesz mi wreszcie, co ty tam na górze robiłaś? Na co ona, oj, Tuietes!... W końcu będę musiała ci powiedzieć, ale przysięgnij, że zachowasz to w tajemnicy.

– Obiecuję. Przysięganie jest grzechem.

– No dobrze. Zgoda. Sprawdzałam, czy notariusz nie przywłaszczył sobie pierścionka biednego Ciseta.

– Matko Boska Najświętsza!... Chcesz powiedzieć, że...

– Chcę powiedzieć, że zauważyłam brak pierścionka, a ponieważ biedny Ciset sam już nie może się bronić...

– I co, znalazłaś?

Galana wyciągnęła pierścionek z kieszeni. Biedna Tuietes oniemiała z wrażenia.

– Obiecałaś, że nic nie ukradniesz, Galano – powiedziała, przełykając ślinę.

– Nic nie ukradłam. Oddam Cisetowi, co do niego należy. A ty mi obiecałaś, że nie będziesz tego rozgłaszać.

Tuietes się przeżegnała, a Galana podziękowała jej za przysługę i pobiegła w te pędy do domu, bo nie chciała zbyt długo zostawiać umierającego Ciseta samego.

Jedno z praw fizycznych, bardziej uniwersalne niż prawa termodynamiki, głosi, że wczesne

niedzielne popołudnie jest najspokojniejszym momentem tygodnia. Tamta niedziela nie wyglądała na wyjątek od reguły – praktycznie każdy o tej właśnie porze trawił potrawę z ryżu czy z makaronu, więc ulice opustoszały. Dochodziła czwarta, a ona już naprawdę się bała, bo wiedziała, że posunęła się tak daleko, że teraz trudno byłoby się wycofać. Kaplica Marcúsa. Było zimno i siąpił kapuśniaczek, więc owinęła się szalem. Niewielki daszek nad drzwiami kaplicy posłużył jej za osłonę. Nie zauważyła, że parę metrów dalej, za hostelem, od dłuższego już czasu stał powóz. Woźnica siedział na koźle z obojętną miną i widać było wyraźnie, że interesuje go tylko zimno i deszcz, które musi znosić, czy mu się to podoba, czy nie. Minęło pięć minut, dziesięć, kwadrans i Galana zaczęła się niecierpliwić. W tym momencie laska stuknęła o sufit powozu, a woźnica popędził konia, żeby pokonał krótki odcinek w stronę kaplicy.

– No już, wsiadaj.

Galana zobaczyła przed sobą otwarte drzwiczki powozu i rękę, która zapraszała ją do środka. To była jej ofiara. Wsiadła, przekonana, że skoro już zaszła tak daleko, nie warto się wycofywać. Powóz ruszył, gdy tylko woźnica usłyszał stuknięcie drzwiczek.

– Teraz będziesz mogła spokojnie przedstawić, co masz do powiedzenia – usłyszała głos pana Massó. Ale ona tymczasem, przerażona, wpatrywała się w drugiego mężczyznę, o kanciastej, ponurej twarzy, który siedział spokojnie, jakby nie chciał na siebie zwracać uwagi.

– Kim... kim jest ten pan? – zapytała.

– Naczelnik policji – wycedził napastliwie jaśnie pan, a tymczasem na twarzy don Jerónima Manuela Cascala de los Rosales y Cortésa de Setúbal pojawił się niepozostawiający wątpliwości co do intencji groźny uśmiech.

– Chcę wysiąść.

– Ja ci powiem, co masz robić: teraz masz opowiedzieć, co wiesz i skąd.

– Nie przy tym panu. – Panika. Teraz wpadła w panikę.

– Właśnie przy tym panu.

Przez dłuższą chwilę wszyscy troje jechali w milczeniu, trzęsąc się na wybojach, przy akompaniamencie stukotu końskich kopyt i skrzypienia kół. Aż don Rafel ponowił atak:

– Ja nie mam nic do ukrycia. I nie mogę tolerować, by ktokolwiek, nieważne kto, zatruwał mi życie fałszywymi oskarżeniami.

Cisza. Powóz skierował się w stronę morza, stamtąd w kierunku Portal de l'Àngel i dalej przez Gràcię, cały czas opłotkami, żeby tylko nie przyciągać uwagi na opustoszałych ulicach Barcelony. Ciągle milczeli.

– No to chuj.

– Co?

– Mówię, że chuj – powtórzył Setúbal, alias Chuj. – Nie chcesz mówić, pójdziesz do więzienia i tam zgnijesz. – Galana, przerażona, próbowała nadrabiać miną.

– Jeśli mnie wsadzicie do więzienia, wyjdą na światło dzienne dowody, że pan jest mordercą.

– Nie wkurzaj mnie, jakie dowody?

– Część spowiedzi Ciseta, w której oskarża pana Massó.

– Nie wierzę! – bronił się pan Massó. – To kłamstwo! Co ty mówisz? Jaki Ciseta?

– Daj mi ten papier. – Setúbal i tak dalej okazał się bardziej praktyczny.

– Nie mam go przy sobie.

– Znajdę ten papier, choćbym miał ci go wyciągnąć z tyłka – oświadczył komisarz z uśmiechem.

I znów cisza. Don Rafel nie wiedział, gdzie podziąć oczy, bo jasno wynikało z rozmowy tego pieprzonego Cascala dos Colhoes, alias Chuja z Jajami, z kobietą, że uznawał jego winę za oczywistą. Zanim jeszcze dojechali do Sant Gervasi, Galana, ledwo żywa ze strachu, wpadła na pomysł.

– Mam jeszcze jeden dowód – powiedziała. – Nawet jak mi zabierzecie papier, mam inny dowód!

– Jaki?

– To.

Otworzyła zaciśniętą dłoń. Pierścionek z brylantem mojej biednej Elviry, ściągnięty przez Cisetę z ręki trupa, który notariusz zarekwirował Cisetowi, a notariuszowi ukradła Galana, teraz leżał przed tym, kto za niego zapłacił. Odruchowo don Rafel rzucił się po niego, ale kobieta okazała się szybsza. Siłą woli powstrzymywał łzy na widok pierścionka, moje biedactwo, co ci się stało! Musiał się opanować, żeby kontynuować rozmowę.

– Skąd go wzięłaś?

– Widzicie, że mam dowody? Widzicie, że nie kłamię?

– Mogłaś go ukraść gdziekolwiek.

– To pierścionek Elviry. Tak czy nie? To pan za niego zapłacił. Tak czy nie?

– Ach... – Don Rafel zamilkł. Moje biedactwo, niechbym chociaż zatrzymał pierścionek na pamiątkę... A tymczasem siedzę tu i nie mogę powiedzieć tej przekłętą dziwce, żeby mi go oddała. – To bardzo cenny pierścionek – wydukał.

– Wiem. To dowód.

Don Setúbal alias Chuj trącił łokciem don Rafaela, żeby już się odczepił od pierścionka. Galana brnęła dalej:

– Mam jeszcze więcej dowodów.

– Ach tak? – Obaj mężczyźni zareagowali jednocześnie.

– Tak. Trup – powiedziała. – Mam trupa.

Don Jerónimo dał znak jaśnie panu. Niech się zda na niego. Niech sobie idzie do państwa Masdexaxartów czy gdzie tam chce, a on tymczasem nad nią popracuje. Kazał woźnicy zawrócić do miasta.

Don Jerónimo Manuel Cascal de los Rosales y Cortés de Setúbal, alias Chuj, bez problemu wyciągnął wszystko od Galany, która tak się przestraszyła, że wyśpiewałaby mu nawet kołysanki z dzieciństwa, kiedy zdała sobie sprawę, że przeciągnęła strunę. Musiała mu oddać pierścionek, a ten przepadł na zawsze w jego kieszeni, i niech teraz ten chuj jaśnie pan się o niego upomina, jeśli ma jaja. Miał zamiar podarować go pewnej panience, całkiem niczego sobie, która zawróciła mu w głowie. I znów skupił się na Galanie. Kazał jej podać imię, nazwisko, adres i powód przyjazdu. Powiedziała też, gdzie schowała kartkę ze spowiedzią Cisetę. Nie dała się długo prosić, bo dwaj goryle po obu stronach uśmiechniętego Setúbala byli wystarczającą zachętą do mówienia. Ludzie Setúbala znaleźli papier, on przeczytał i mimo że już nie musiał jej pytać, gdzie jest trup, jednak kazał jej to zeznać, ot tak, niech sobie pogada. Wyśpiewała wszystko, jeszcze jak. Don Jerónimo alias Chuj uśmiechnął się zadowolony, bo w to niedzielne popołudnie porządnie zapracował na swoją pensję.

Policyjny loch, jeszcze bardziej ponury i wilgotny niż ten w więzieniu przy placu Blat, zamknął się za

nią na cztery spusty. Portugalczyk wiedział, że Galana może opuścić te cztery ściany tylko w sosnowej jesionce. Ach, trzeba było jeszcze poinformować o wszystkim jaśnie pana, jeśli już wrócił z wizyty.

Tej małej grupce, która wchodziła na cmentarz Pi, nie w głowie były dzwony ni uroczystości. Mokli na deszczu z rezygnacją, w ciszy. Na małej przestrzeni wypełnionej grobami woda tworzyła strumyki, te zaś spływały do kałuż. Nando, młody Sorts, stanął przed grobem przyjaciela i nie dopuszczał do siebie myśli, że to prawda. Mistrz Perramon i Teresa, po obu stronach młodzieńca, towarzyszyli jego milczeniu spojrzeniem, z którego jeszcze nie znikła konsternacja; oni wszyscy doszli już do kresu możliwości zrozumienia czegokolwiek. Kos zaświstał obok nich, ale nie zwrócili na niego uwagi, zwłaszcza Nando, bowiem powtarzał, nie wierzę, nie wierzę, i płakał w duchu, a taki płacz bez łez najbardziej boli, i patrzył na nagrobek, na którym ktoś niewprawną ręką napisał Andreu Perramon, tysiąc siedemset siedemdziesiąt dziewięć, tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć (mój Boże, nawet nie dali mu dożyć końca wieku), requiescat in pace i nic więcej, bo nagrobek był prosty i skromny. Nando nie mógł się pogodzić z tym, że śmierć nie zmienia zdania. Stwierdził, że życie jest niesprawiedliwe, że bez sensu są wszystkie te wyszukane argumenty, które Andreu i on sam, i jeszcze inni kamraci przytaczali, by uzasadnić sens istnienia (a kiedy tak rozprawiali, spoglądali za siebie dyskretnie, czy cień Goethego życzliwie nad nimi czuwa...). Nando, młody Sorts, poczuł się winny, że przeżył przyjaciela, i nagle przypomniały mu się listy.

– Co? Jakie listy?

– Napisałem do niego mnóstwo listów. Gdzie one są?

– Niczego nie otrzymaliśmy – odpowiedziała Teresa.

– Wysłałeś na jego adres?

– Tak.

– To muszą tam być.

Przez chwilę wsłuchiwali się w szum deszczu. Andreu Perramon, tysiąc siedemset siedemdziesiąt dziewięć, tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć, requiescat in pace. Nando wiedział, że kiedy odzyska listy, będzie musiał je spalić, bo teraz jak ironia losu brzmiały jego słowa, kochany Andreu, wybrańcu bogów, niech wiecznie trwa sztuka i piękno! a tymczasem Andreu gnił w lochu, umierał ze strachu i czuł się opuszczony, bo jego serdeczny przyjaciel uganiał się w najlepsze za wieśniaczkami w drodze do Madrytu i do Malagi. Potrząsnął głową, żeby odpędzić te myśli; nie chciał mówić o nich głośno, bo ci ludzie już nieśli własny, ciężki krzyż, przeżywając absurdalną, nie do pojęcia śmierć Andreu. I wtedy sobie uświadomił, że od wielu dni deszcz nie przestaje padać, a on cały czas jest przemoczony, jakby był dzieckiem deszczu. Wtedy obiecał sobie, że pomści śmierć przyjaciela.

– Elvira jest pochowana w moim ogrodzie?

Don Rafel Massó, cywilny prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie, poderwał się jak rażony piorunem z krzesła w swoim domowym gabinecie. Krew uderzyła mu do głowy i poczuł, że jakieś kolce wbijają mu się w skórę. Był przerażony. Tak bardzo, że aż zakręciło mu się w głowie. Siedzący przed nim srogi Setúbal nie tracił panowania nad sobą.

– Pod środkowym klombem, obok źródelka.

– Co... co... Ale przecież...

– Od dwóch lat.

– To... To kłamstwo! Ciset wrzucił ją do morza!

Znów usiadł. Teraz był bliski wylewu. Ta wiadomość naprawdę jest wielce niebezpieczna, sama w sobie i ze względu na tego, kto ją przyniósł.

– To kłamstwo – powtórzył, uderzając pięścią w stół. Don Setúbal i Tak Dalej w odpowiedzi pomachał mu przed nosem papierem.

– O tym jest mowa w tym fragmencie spowiedzi, który był w posiadaniu tamtej kobiety. Ciset nie miał powodu, żeby zmyślać.

– Owszem. Chciał mnie zgubić!

– Bajki, jaśnie panie... Jestem przekonany, że mówił prawdę. – Powstrzymał ziewnięcie, może chcąc zademonstrować, że wszystkie te sensacje nie zrobiły na nim wrażenia, i ciągnął dalej: – Jeśli wie pan na pewno, że to kłamstwo, poszukamy tego ciała w ogrodzie i będzie pan miał spokój.

– A co ja mam powiedzieć żonie i służbie, jak zaczniemy przekopywać klomby? Że kopię studnię? – Nagle poczuł, że oblewa go jakiś dziwny pot. Zdjął perukę i otarł łysinę koronkową chusteczką. – A jeżeli na dodatek okaże się, że ją znajdziemy...

– A więc nie wyklucza pan, że ona tam jest – wyciągnął wniosek Cascas de los Rosales.

– Skąd mam wiedzieć, o ja nieszczęsny... – Spojrzał spod oka na szefa policji i uświadomił sobie, że trzeba działać. Usiadł i zwrócił się do Portugalczyka, siląc się na stanowczość, chociaż w środku wszystko mu się gotowało: – Skoro przeleżała tam dwa lata, drogi przyjacielu... może leżeć i dwadzieścia.

Don Jerónimo nie mógł odpowiedzieć, bo pukanie do drzwi zmusiło ich do zmiany tematu rozmowy.

– O co znowu chodzi? – krzyknął jaśnie pan, zniecierpliwiony. Doña Marianna weszła, udając zaskoczenie.

– Och, don Jerónimo! Co za niespodzianka! Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

– Sprawy służbowe, Marianno – uciął don Rafel.

Ale szef policji już całował rękę gospodyni, składając jej energiczny, krótki ukłon.

– Przebywanie w pani domu to prawdziwa przyjemność – skomplementował ją, żeby coś powiedzieć.

– Dziękuję, don Jerónimo. Może ma pan ochotę na herbatę?

– Marianno...

– Albo kawę? Don Jerónimo pewnie woli kawę...

– Marianno... – z trudem nad sobą panował – don Jerónimo i ja jesteśmy bardzo zajęci.

– Dobrze, już dobrze. Ale musisz znaleźć chwilę, żeby zdecydować, w czym pójdiesz na Te Deum...

Właśnie przyszedł mistrz Dalmau i chce, żebyś przymierzył nową kamizelkę.

– Ależ Marianno.

– Ach! Conxa d'Alòs powiedziała mi, że don Manuel wybiera się na uroczystość bez peruki. Macie pojęcie? – I roześmiała się dyskretnie, szczerze rozbawiona.

– Don Manuel bez peruki? – Na chwilę don Rafel zapomniał o swoich zmartwieniach, żeby przetrwać tę wiadomość, która też usuwała mu grunt spod nóg. – Bez peruki?

Tak go to przeraziło, że gotów był interpretować każdy wymykający się jego kontroli gest jako frontalny atak na jego osobę; pewnie już wszyscy wiedzieli o jego nieszczęściu.

– Chce zwrócić na siebie uwagę – uspokoił ją don Cascas de los Jerónimos i mówiąc te słowa, odruchowo poprawił perukę.

- Właśnie, właśnie... Czasami don Manuel zachowuje się jak dziecko.
- Da się pan poczęstować kawą? – nalegała doña Marianna.
- Proszę pani, byłoby to dla mnie wielką przyjemnością, ale bardzo się spieszę i niestety nie mogę...
- Widzisz, Marianno? – triumfował.
- No dobrze. Zostawiam was samych. Proszę przekazać wyrazy... Chciałam powiedzieć dobranoc, don Jerónimo.

Kiedy zostali sami, obaj mężczyźni znów usiedli. Do don Rafaela wróciło wszystko naraz: ogród, trup, Galana, cały horror i strach.

- Co mam robić? – błagał o pomoc.

Setúbal uśmiechnął się do siebie i pozwolił, żeby upłynęło kilka sekund, zanim mu wyłuszczy swój plan.

- Dać mi osiemset tysięcy reali.
- Słucham? – przeraził się don Rafael i cały zdrętwiał.
- Mówiąc inaczej: polegać na mojej dyskrecji. Która naturalnie ma swoją cenę.
- Zgadzam się hojnie opłacić pańską życzliwość. Ale pan powiedział...
- Osiemset tysięcy reali.
- To wszystko, co posiadam. Cały mój majątek. Nie mogę, don Jerónimo!
- Dobrze obliczyłem.
- Nie widzi pan, że mnie pan zostawi z niczym? Nawet bez tego domu? Bez...

– Osiemset tysięcy reali, jasnie panie. Zostaje panu dom w Murze. I na pewno jeszcze różne inne posiadłości, o których nikt nie wie.

– Ale co ludzie powiedzą? Tego nie da się zatuszować. Będę musiał zrzec się urzędu... Chce mnie pan doprowadzić do ruiny...

– Nie. Ja tylko chcę ośmuset tysięcy reali za moje spolegliwe milczenie, rozumiemy się? Za moją protekcję. Albo każę odkopać trupa.

– To moja ruina! – krzyknął don Rafael ze łzami w oczach. – Ja nic więcej nie posiadam! Równie dobrze mógłby mnie pan zabić!...

Don Setúbal, alias Sarkastyczny Uśmiech, wstał. Jego zachowanie było coraz bardziej zdecydowane i obcesowe, jakby nie miało najmniejszego sensu ciągnąć dalej tej farsy.

– Don Rafaelu. Czy się to panu podoba, czy nie... jest pan w moich rękach. Wkrótce pana poinformuję, jak ma pan przekazać pieniądze. Przyjmuję również nieruchomości.

– Mogę złożyć na pana donos – atakował bez sensu don Rafael. Portugalczyk alias Szantażysta tylko głośno się roześmiał. Skłonił się szyderczo i opuścił gabinet, mruczając pod nosem grzecznościową formułkę nie musi mnie pan odprowadzać.

Don Rafael przez dobrą chwilę stał jak wryty. Od dwóch lat znosił katorgę z powodu nieszczęsnej Elviry, a to było niechcący. Dwa lata z duszą na ramieniu. Aż w końcu nadchodzi moment, kiedy już się z tym prawie pogodziłeś, bo wiesz, że o wszystkich nieszczęściach można zapomnieć i nie trzeba do nich wracać. Jednak teraz jego hańba miała wyjść na światło dzienne. Miało się okryć niesławą jego imię, jego opinia w oczach wszystkich, w oczach Gaietany, w oczach Kapitana Generalnego, w oczach całego miasta... Jego honor i cały majątek są teraz w rękach tego bandyty z Estremadury czy Portugalii, oby Bóg się go wyparł, do czorta. I jakby tego było mało, adwokat Terradelles i jego cień, notariusz Tutusaus, już

czekali w kolejce. Jak on to wszystko znieś? Wstał, włożył płaszcz. Kiedy przechodził przez salon pełen cieni, potknął się o drzemiącego Turka i zaklął. Pies warknął ostrzegawczo, bo już wiedział, że jego pan jest persona non grata, i przewrócił się na drugi bok. Don Rafel wyszedł do ogrodu. Odruchowo, jak zawsze, przypilnował, żeby Turek nie wybiegł na zewnątrz. Już dawno, a dokładnie... Uświadomił sobie przerażającą prawdę: dokładnie dwa lata temu przestali wpuszczać Turka do ogrodu, bo uparcie biegł prosto do klombu z fontanną i zaczynał go rozgrzebywać. Teraz don Rafel pojał upór zwierzęcia. Poczł wstręt. Setúbal miał rację i tamta odrażająca kobieta też; Ciset beczelnie sobie z niego zakpił, a teraz on czuł się samotny jak palec. Niczym błyskawica przeszły mu przez myśl wszystkie te godziny, które spędził przy klombie ze źródółkiem, obserwując firmament, śledząc Kasjopeę, Gwiazdę Polarną czy Oriona lub też przechadzając się wzdłuż gwiazdozbioru Pegaza albo Mleczną Drogą... a tak naprawdę czuwałem nad trupem mojej Elvirety, ja tego nie chciałem, czuwałem przy swojej zmarłej, przy kobiecie, która przyczyni się teraz do jego zguby, ze swojego cuchnącego gnojowiska, przekłetej nory zasranej śmierci, która mści się teraz, dwa lata po tym absurdalnym wypadku, to było niechcący, chociaż sobie na to zasłużyłaś, ty dziwko, ty przekłeta dziwko. Mało brakowało a zwymiotowałyby na chryzantemy. Na zasadzone w pośpiechu chryzantemy, w miejscu begonii, które celowo podeptał ubiegłej nocy. Och, jesienne chryzantemy, kwiat zmarłych, kwiat cmentarny, jak najbardziej odpowiednie w ogrodzie jaśnie pana, nie bez powodu pyszniły się na klombie. Było już ciemno, niebo się zachmurzyło, a don Rafel stał jak sparaliżowany przy fontannie, jak ktoś, kto modli się nad grobem serdecznego przyjaciela, targany od wewnątrz niepokojem, wstrętem i lękiem. A może by tak pójść do don Jerónima i upokorzywszy się przed nim, błagać o litość, prosić o niższy wyrok, negocjować cenę jego milczenia. Albo złapać go za szyję i udusić, zatopić pod wodą, wrzucić do ognia... Przychodziły mu do głowy inne, równie absurdalne pomysły. Ale don Rafel miał świadomość, że prawdą jest tylko to, że sekret, który ciążył nad nim od dwóch lat, choć jednak po paru miesiącach nauczył się z nim żyć, stał się teraz jego gwoździem do trumny, jak płynne żelazo, które ponoć może drażyć wewnątrz Ziemi i nawet ją unicestwić. Zaczął krążyć po ogrodzie, ze łzami w oczach. Może by tak upaść na kolana przed Marianną i wszystko jej wyznać? Czy by go było na to stać?... Nie: za dużo trzeba by wyjaśniać. To nic nie da. Zresztą łatwiej znieść obojętność Marianny niż jej pogardę.

Rozważając różne nieprawdopodobne rozwiązania, don Rafel skierował się do szopy z narzędziami. Pod wpływem nagłego impulsu chwycił szpadel i ruszył w stronę przekłetej klombu. Teraz ciemności ogarnęły już cały ogród i jedyne światło, bardzo słabe, dochodziło z domu. Nie przejmując się tym, że ktoś go może zobaczyć, jaśnie pan cywilny prezes zabrał się do kopania, żeby znaleźć zgniłą śmierć, nim ona go dopadnie. Jakże cię nienawidzę, ukochana Elviro. Pierwsze uderzenie szpadla od razu zniszczyło kilka chryzantem. To czyste wariactwo. Ale to było lepsze, o wiele lepsze niż czekanie, aż portugalski diabeł pograży go definitywnie.

Każdy ma prawo do szaleństwa i don Rafel właśnie egzekwował swoje uderzeniami szpadla. Po pięciu minutach zrobił się cały mokry, miał bąble na rękach, wybrudził się, peruka pokryła się ziemią, a posunął się tylko o jedną piędź w głąb i jeszcze mu zostało osiem. Kiedy użalał się nad swoją niezdarnością, usłyszał za sobą kroki. Niczym duch, niemal bezszelestnie, z założonymi rękami, nie szeleszcząc spódnicą, sztywna jakby połknęła kij, doña Marianna przyszła podziwiać niepojęte wyczyny swojego męża. Dostrzegł ją w ciemności, ale nie zareagował. Stała nieruchomo, niczym duch, milcząca jak zjawą. Jaśnie pan się wyprostował, zdrętwiały. Cały świat walił mu się na głowę. Nadszedł moment,

kiedy należało paść na kolana i powiedzieć Mariannie, że nie tylko utrzymywał kochankę, ale też on, przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości, udusił ją niechcący. A ponadto do ich własnego ogrodu ktoś mu podrzucił trupa, wyobrazasz to sobie, co, Marianno? W ciszy nabrał powietrza w płuca i kiedy już miał zamiar się odezwać – na szczęście nie widać było jego oczu – Marianno, przykro mi, to bardzo długa historia, ona go uprzedziła, mówiąc tonem oschłym i zdecydowanym.

– Co to za wariactwo, Rafelu.

– Ja... ja po prostu...

– Wczoraj postawiłeś teleskop na begoniach, bo chciałeś mieć chryzantemy, a dziś je niszczysz, ledwo Romà je posadził. Przecież ty w życiu nie brałeś do rąk takiego narzędzia. – Odetchnęła głęboko, żeby opanować wzburzenie. – Można Wiedzieć, Czego Ty Chcesz?

– Ja po prostu... (Jak jej to powiedzieć, jak powiedzieć... Od czego by tu zacząć...)

– Nie jesteś ogrodnikiem. Zakop to, co rozkopałeś, i to już. A jutro Romà zabierze chryzantemy i posadzi, co będziesz chciał... – Chwila ciszy, przerywanej tylko sapaniem jaśnie pana. – Szybko, wracaj do domu!

Powiedziała to takim tonem, jakim wydawała rozkazy Turkowi. Jakby z góry wiedziała, że on już jest przegrany. Don Rafel odstawił szpadel.

– I może byś wreszcie poświęcił trochę czasu mistrzowi Dalmau, który ma do ciebie anielską cierpliwość.

Don Rafel postąpił krok w stronę domu. Serce mu waliło bum-bum-bum, głośno jak bęben i rozgłaszało jego ból. Doña Marianna mogła dosłyszeć to bum-bum-bum. I służący, i sąsiedzi, i ta przekłeta doña Gaietana, i Elvira w swoim grobie; cała Barcelona mogła wsłuchiwać się w to bum-bum-bum człowieka winnego, który nie mógł się przyznać, bo istota jego prestiżu zasadzała się na sztuce wymierzania sprawiedliwej kary dla przestępcy; bo istota jego prestiżu brała się z wizerunku człowieka bezwzględnie w egzekwowaniu prawa. Dla dobra wszystkich.

– Niech tam posadzą prymule, Marianno – powiedział, rozpoczynając odwrót. Powiedział to drżącym głosem mordercy po wyroku.

– Zgoda. Ale teraz pójdziesz przymierzyć strój na Te Deum.

Ani prymulki, ani chryzantemy, ani begonie. Belki na suficie. Ferran Sorts miał przed oczami belki w pokoju Andreu w mansardzie przy ulicy Capellans. Poszedł tam pod pretekstem listów, ale przede wszystkim chciał się wypłakać, a teraz leżał na łóżku przyjaciela i łzy spływały mu do uszu. Postanowił zająć wczesnym rankiem do swojego domu, wykapać się i przebrać w najlepsze ubranie, bo był zdecydowany, teraz kiedy znał szczegóły, złożyć świadectwo, że Andreu przebywał w jego towarzystwie całą noc. Miał zamiar to oświadczyć komu będzie trzeba i gdzie będzie trzeba, choć jego przyjaciela nikt mu już nie zwróci. Gotów był nawet kłamać, gdyby to mogło pomóc. Bo on wiedział, że Andreu nie był do tego zdolny, biedny quiquoi, zadurzony w pewnej słowiczce! Starał się jak mógł myśleć o czymś przyjemnym, jak na przykład ta jasnowłosa dziewczyna z Calafu, tamten uśmiechnięty, milczący cień, który mu umilił życie i wspomnienia... i która mu posłużyła za inspirację do wielu teorii o sztuce uprawiania sztuki, kiedy pisał kochany Andreu, bla bla bla, a Andreu tymczasem siedział w więzieniu. Choćby nie wiem jak wyteżała pamięć, nie potrafił przywołać twarzy Rosy, blondynki z Calafu; pojawiała się w jego myślach tylko zmizerowana twarz Andreu, pochowanego za życia w cuchnącym lochu, a zaraz potem przerażająca, nieprawdopodobna wizja szubienicy, i już nie było mowy o śnie. Dlatego wpatrywał

się w belki, które odcinały się blado na białym suficie w pokoiku Andreu. Te ponure myśli zakłócał regularny, delikatny szum, sprzyjający komuś, kto leżał w łóżku. Padało coraz intensywniej. Szum zimowego deszczu zagłuszył jego troski, a monotonne kapanie kropel wody w końcu ukołysało go do snu.

Don Rafel pozazdrościł żonie spokojnego oddechu. Już dwie godziny temu położyli się do łóżka po irytujących przymiarkach z mistrzem Dalmau (co mnie, do cholery, może obchodzić Te Deum i Koniec Roku, kiedy chcę się zapaść pod ziemię ze wstydu. Tak, mistrzu Dalmau, oczywiście, jak pan uważa, mistrzu Dalmau, a wtedy Marianna, można wiedzieć, co się z tobą dzieje?), a on ciągle nie mógł zasnąć. Służący już dawno przestali się krzątać i tylko dzwony z Parafii Świętego Franciszka i Świętej Moniki, nieco ciszej niż zwykle, ze względu na porę, przypominały, że noc postępowała powoli do przodu, obojętna na nerwową bezsenność jaśnie pana. Przemyślał już chyba ze sto razy swoją sytuację i nie znalazł rozwiązania. Poczł niesmak w ustach, kiedy sobie przypomniał, że jeszcze dwa tygodnie temu uważał się za najniešťczęśliwszego człowieka na całej planecie, ponieważ doña Gaietana nie zaszczyliła go spojrzeniem... Gdybyż miał tylko takie zmartwienia... Gdyby można było wymienić na tamte obecne troski!...

Poruszył się w łóżku i przez moment przestał słyszeć równy oddech Marianny. Znieruchomiał, z przerażeniem w oczach, i zaczął się pocić. Pod żadnym pozorem nie mógł dopuścić, żeby się obudziła i zauważyła, że on nie śpi. Należała do tych ludzi, którzy uważają, że bezsenność jest skutkiem wyrzutów sumienia. Nie miał ochoty na małżeńską kłótnię o wpół do czwartej nad ranem. Och, Marianna znów oddychała beztrzesko i spokojnie. Prawdopodobnie udawała się we śnie z rewizytą do jakiejś przyjaciółki albo dziękowała Bogu za nowy wiek. Bóg? Modlitwa? Duchowe wsparcie? Myśli jaśnie pana pograżyły się w napiętej ciszy.

O czwartej jaśnie pan walczył z resztkami sumienia, które mu jeszcze pozostały, mimo że przez tyle lat pracował w wymiarze sprawiedliwości. Jak by na to patrzeć, zabił kobietę. I trzeba przyznać, że on swoim podpisem posłał na szubienicę człowieka, który z nieznaných powodów mógł rozgłosić tę wiadomość. Elviro, ja nie chciałem, możesz to zrozumieć? Byłem zaślepiony, bo ty zachowałaś się jak dziwka, moje ty ukochane biedactwo. Twarz Elviry odwoływała się do resztek jego sumienia. Och, Marianna sapała, a teraz zmieniła pozycję i zaczęła chrapać. No, w tych warunkach nie da się zasnąć. Czy był winny śmierci Elviry? Dzwon Świętego Franciszka wybił kwadrans na piątą. Nie. Ona zgrzeszyła przeciw niemu, okradając go z majątku, kpiąc z niego, robiąc z niego pośmiewisko przed całym miastem – to zasługiwało na karę. Marianno, na litość boską, nie chrap. Oczywiście, należało ją ukarać, ale zgodnie z prawem. Można by pomyśleć, że to nadużycie, natomiast on wiedział, że Elvira sobie zasłużyła, a ponadto to był wypadek. Rzecz w tym, że społeczeństwo nie potrafiłoby przyjąć tego argumentu i dlatego będzie lepiej, jeśli nigdy się nie dowie. Zgoda. Aż do tego punktu zgoda. Należało użyć wszelkich możliwych środków, by nie dopuścić do rozgłoszenia tej sprawy. Ten cel miał usprawiedliwić inne kontrowersyjne decyzje don Rafaela. Życie jest ciężkie. Natychmiast przestań chrapać, ożeż ty. Przez kilka minut don Rafael oddychał spokojnie; przyjemnie samego siebie rozgrzeszyć. Ale nagle do niego wróciła, niczym nieprzetrawiona treść żołądka, twarz zgniłej Elviry, mojego biedactwa, i jej błagalne, nieprzytomne spojrzenie, w którym mógł wyczytać nie zabijaj mnie, Falet, na chwilę przedtem, zanim padła martwa, ja tego nie chciałem, Elvireto. Żeby zatrzeć ten obraz, próbował się skoncentrować na obscenicznym rysunku rozkraczonej doñi Gaietany, popatrz, popatrz, jaka z ciebie świntuszka. Ale na niewiele to się zdało, bo wyrzuty sumienia wracały, a wraz z nimi strach, że stanie się głównym

bohaterem grubego skandalu, którym będą sobie wycierać gęby kręgi arystokratyczne, intelektualne, artystyczne i wszystkie inne w Barcelonie.

Wpół do piątej, a on leży z szeroko otwartymi oczami. Zaatakować Setúbala, oskarżyć go; równie dobrze mógł sikać pod wiatr. Prosić o pomoc Manuela d'Alòs, Carbó... Czekać, co wymyśli ta żmija Terradelles... Wyprzedzić bieg wydarzeń i paść na kolana przed Kapitanem Generalnym: oddam wszystko, co pan zechce, don Pere, byle tylko nie okryć się hańbą, Ekscelencjo... Nie. Może lepiej będzie poprosić o pomoc don Manuela. Może pan prokurator okaże więcej zrozumienia; w końcu byli kolegami, a między kolegami łatwiej się dogadać, można liczyć na pomoc... Ale skoro już naczelnik policji zarzucił wędkę, nikt nie będzie chciał stanąć mu na drodze. Może tak. Może nie. Koledzy. Szczerze mówiąc, jego koledzy byliby zachwyceni, widząc, jak się beznadziejnie pogrąża, i na pewno obserwowaliby beczynnie, z uśmiechem na twarzy, jego porażkę, bo w sądzie panują prawa buszu, a każdy prokurator, audytor czy adwokat to dzika bestia. No, a Kapitan Generalny. Zastanówmy się, idę do don Pere i mówię mu no więc, don Pere, Wasza Ekscelencjo, sprawa jest taka: pewnego dnia zabiłem kochankę, bo ja miałem kochankę, i teraz mam na karku policję, na co don Pere Caro mu powie mhm, no więc, don Rafelu, wreszcie ktoś pana złapał za jaja, don Rafelu, sam pan sobie tego piwa nawarzył. Tak właśnie by powiedział Jego Ekscelencja, na pewno. I jeszcze by dodał sam pan się o to prosił, a teraz proszę mnie nie wciągać w to bagno, don Rafelu, bo ja w Katalonii reprezentuję Koronę Hiszpanii, tam są drzwi. Cholera, dopiero piąta. Wtedy zaczął płakać. Bezgłośnie, ale jednak płakał. Usłyszał szum, przytłumiony, rytmiczny, delikatny. Ta sama deszczowa chmura, która przed chwilą ukołysała do snu młodego Sortsa, teraz stała się środkiem nasennym jaśnie pana. Na Barcelonę spadła ulewa, jakby woda chciała nie tylko umyć fasady domów, ale też przy okazji zmyć troski nocnych marków. Kiedy przychodzi sen, zrównuje wszystkich. Kwadrans na szóstą.

Don Rafel pojawił się w sądzie punktualnie o dziesiątej. Nie zjadł śniadania po nieprzespanej nocy, odpowiadał niezobowiązująco monosylabami na wygłaszane nieznoszącym sprzeciwu tonem polecenia Marianny, która uprzedzała go, że o czwartej przyjdzie krawcowa i mistrz Dalmau, a o piątej przyniosą nowe peruki. Bo don Rafel przymierzył tylko strój na Te Deum i nawet nie spojrzął na odświętny frak, a to już ostatni moment. Odpowiadał tak, Marianno, jak sobie życzysz, Marianno, będzie, jak każesz, Marianno, udając, że zanurza biskopt w czekoladzie. Był smutny, spanikowany, zagubiony i za nic w świecie nie chciałby, żeby ktokolwiek, Marianna, Hipolit, reszta służby, a choćby i Turek, zaczął snuć domysły. Dlatego od razu wyszedł do sądu, złożony wcześniej uroczystą przysięgę, że o trzeciej po południu będzie do dyspozycji mistrza Dalmau i mistrza szewskiego, tak, Marianno, jak sobie życzysz, Marianno, przecież mówię, że tak, a moje tak znaczy tak. Po drodze, skulony w kącie powozu, popadł w desperację, myśląc o swojej rozpacz. Dlaczego nie udaje mu się znaleźć jakiegoś rozwiązania; może dlatego, że rozwiązanie nie istnieje. Najsmutniejszy w życiu moment przeżył tego ranka, kiedy się obudził. Przez tę krótką chwilę, gdy udało mu się zasnąć, śniły mu się koszmary. I chociaż kiedy człowiek się budzi i uwalnia od snu, zazwyczaj odczuwa ulgę, w przypadku don Rafaela stało się odwrotnie: wolałby dziesięć tysięcy razy pozostać w tamtym koszmarze na zawsze niż się zmierzyć po ocknięciu ze świadomością noża na gardle, z przerażającą, nieludzką sytuacją nie do zniesienia, która go przygniotła niczym płyta nagrobna. A żeby jeszcze bardziej go przygnębić, znów się rozpadało; wredna żawka. Niszczy ubranie i defasonuje perukę. I było zimno. Miał przeciw sobie cały świat.

Sam już nie wiedział, czy to prawda, czy obsesja, ale odzwierny na dole spojrzął na niego porozumiewawczo, jakby dzielił z nim jakiś sekret... Don Rafel zasapał się, wchodząc po schodach, mimo że po tych stopniach stąpał już tyle razy z dumą i pewnością siebie. Kiedy szedł na górę, rozdrażniło go spojrzenie lokaja na podeście.

– A ty czego chcesz? – wymknęło mu się mimo woli.

– Nie rozumiem, jaśnie panie? – Woźny się usprawiedliwiał przestraszony, nie wiedząc, co właściwie zrobił nie tak.

Ale don Rafel już stał w drzwiach swojego gabinetu. Ominął wzrokiem twarz dyżurnego sekretarza, który czekał cierpliwie z teczką dokumentów do podpisu. Wszedł do gabinetu, nie zwracając uwagi na obu woźnych sądowych.

– Później się tym zajmę – rzucił, stojąc tyłem do sekretarza.

– Jaś... jaśnie panie... – zająknął się dyżurny sekretarz. – Pozwolę sobie panu przypomnieć, że ksiądz biskup czeka na odpowiedź... A Te Deum jest jutro wieczorem.

– Ksiądz biskup może poczekać. – Don Rafel nadrabiał miną. – W południe się tym zajmę.

Sekretarz odszedł. Dziś jaśnie pan wstał lewą nogą z łóżka, pomyślał, kłaniając się na odchodnym w drzwiach. Don Rafel, odwracając się w jego stronę, zauważył jakiś dziwny błysk w oczach dyżurnego sekretarza, jakby spojrzeniem oskarżał go o zbrodnię zabójstwa pierwszego stopnia, ukrycie zwłok, naruszenie prawa ze skutkiem śmiertelnym, ukrywanie dowodów i wprowadzanie w błąd wymiaru sprawiedliwości. To tak na początek. Wszystko to wyczytał we wzroku dyżurnego sekretarza, kiedy ten się uklonił przed wyjściem. Don Rafel przyglądał się, jak znika za drzwiami, i zastanawiał się, co ten człowiek może wiedzieć o jego zmartwieniach, co mogą o nich wiedzieć wszyscy pracownicy sądu... Dobrze by było się przygotować, zanim rzucą się na niego z zębami i pazurami... Nie żeby ich to gorszyło,

co zrobił, każdy tu miał na sumieniu jakieś grzeszki, mniejsze czy większe, ale będą się z niego wyśmiewać, wykorzystają jego upadek, wszyscy bez wyjątku, spadną jak sępy na padlinę, na ogryzione kości ofiary, na mnie, który przecież zrobiłem to niechcący.

– Don Ferran Sorts, jaśnie panie.

Zanim zdążył zapytać kto taki? co to za jeden? kto mu pozwolił... Nando już składał zdawkowy ukłon przed prezesem i wycedził cicho, przez zęby, jaśnie panie. Od razu powiedział, z czym przyszedł: chodziło o sprawę Andreu Perramona. Chodziło mu o to, że on powinien być zostać powołany na świadka, bo spędził wtedy całą noc z Andreu, a nie dostał wezwania. Chodziło mu o to, jak to jest możliwe, że nie zrobiono nic, ani obrona, ani sąd, by wyjaśnić zachowanie człowieka, któremu groziła szubienica. Chodziło mu o to, żeby prezes usłyszał, że skazany został człowiek niewinny. Chodziło mu o to, żeby powiedzieć głośno z całym szacunkiem dla reprezentowanej przez pana z taką godnością instytucji, jednak ktoś tu musiał działać w złej wierze, skoro sprawę zakończono z takim pośpiechem. Nando powiedział to wszystko, nie podnosząc głosu, na jednym oddechu, z rozpaczą, cały czas mając przed oczami Andreu, który został powieszony przez pomyłkę albo przez zaniedbanie.

– To pańska wersja, młody człowieku...

– Ferran Sorts, porucznik Jego Wysokości.

– Poruczniku Sorts... Nie znam dokładnie tej sprawy – zmyślił na poczekaniu – ale mogę pana zapewnić, że tak adwokaci, jak audytorzy i prokuratorzy są odpowiedzialnymi ludźmi o nieposzlakowanej opinii. A prokurator ograniczył się tylko do pełnienia swojej powinności. – Mówił szybko na jednym oddechu, żeby uniemożliwić kontratak temu antypatycznemu młodzieńcowi. – Dlatego zmuszony jestem uznać, że wszystko, co pan mówi, jest czystym wymysłem, i mogę tylko udać, że to nie dotarło do moich uszu. – Don Rafel pożałował, że nie ma pod ręką młotka, aby uderzyć w stół na znak, że przesłuchanie uważa za zakończone, wstać, oddalić się i jak najszybciej stracić z oczu tego namolnego oficera, który szuka dziury w całym, odsunąć od siebie wspomnienie Elviry i cały ten koszmar.

– Będę walczył do upadłego – powiedział młody Sorts, patrząc w niepewne, przestraszone oczy jaśnie pana – o rewizję wyroku w sprawie Perramona.

– Jak pan sobie życzy. – Udało mu się osiągnąć idealny ton całkowitego braku zainteresowania. – Nic mi do tego, co pan robi ze swoimi pieniędzmi. Ale pozwolę sobie przypomnieć, że Kapitan Generalny uprawomocnił swoim podpisem wyrok i odrzucił prośbę o ułaskawienie.

– Pójdę do Kapitana Generalnego.

– Och, naturalnie... Droga wolna. – Don Rafel pozwolił sobie na ironię. – Tylko niech pan sobie poszuka dobrych adwokatów.

Antypatyczny porucznik odwrócił się i odszedł bez słowa, demonstracyjnie obrażony. Jeszcze zanim drzwi się za nim zamknęły, wymamrotał pod nosem coś jakby wyobrażam sobie, że sąd nie przyzna się tak łatwo do tak kolosalnego błędu, ale zostanie do tego zmuszony. Zanim prezes znalazł odpowiednią ripostę, już go nie było.

Don Rafel poświęcił dwie minuty na przetrwanie informacji: otwierał się nowy front, nowa dziura, przez którą woda wlewała się do środka. Ten przeklęty nieznany młodzik groził mu teraz ni mniej, ni więcej tylko wymiarem sprawiedliwości. Oczywiście, ten porucznik Sorts jeszcze go nie oskarżał. Ale gdy zacznie drążyć... Zdał sobie sprawę, że pętla zguby zaciska mu się wokół szyi coraz mocniej. Wstał, wziął głęboki oddech, jakby postawa na baczność miała mu ułatwić konfrontację z tyłoma

nieszczęściami, i spojrzął na rozkład dnia na biurku, ale zanim zdążył się zorientować, kto następny ma zamiar dręczyć go tego ranka, usłyszał matowy głos woźnego stojącego w drzwiach:

– Pan prokurator, jaśnie panie.

Za niespodziewaną zapowiedzią pojawiła się wykrzywiona w nieszczerym uśmiechu twarz obmierzłego Manuela d'Alòs. Och, on na pewno zna całą historię. Ten diabelski porucznik Sorts miał czas, żeby go omotać i zarazić swoimi podejrzeniami. Na pewno. Jeśli nie, to skąd ten przypominający uśmiech grymas na jego twarzy?

– Słyszałem, że jutro wystąpi pan bez peruki – improwizował prezes, dumny ze swojego sprytu.

– To dobry moment na zmianę obyczajów. Peruki wychodzą z mody.

– Nie sądzę, drogi don Manuelu. – Wysilił się na uśmiech. – My już od stu lat będziemy wachać kwiatki od spodu, a ludzie nadal będą nosić peruki. No, ale cóż... Jeśli czuje pan potrzebę zmiany...

– Nowy rok, nowy wiek... Nie uważa pan, jaśnie panie, że to dobry moment na zmiany?

– Tak. Nowy rok w noworocznym prezencie – zażartował sobie.

– Och, tak! Mówi się, że prezenty będą nie byle jakie, jaśnie panie. Nie słyszał pan?

Tak, on też wie, upewnił się don Rafel. Zna wszystkie moje nieszczęścia. A to było jedno z najgorszych upokorzeń, jakie mogło mu się przytrafić. Ten tłusty d'Alòs czeka cierpliwie, aż mu się noga powinie, żeby w białych rękawiczkach przejąć stanowisko, o którym od dawna marzy. Wiedział, jasne, że wiedział. W przeciwnym razie nie wkroczyłby tak butnie. Setúbal wszystko już rozgłosił, żeby odciąć mu jakąkolwiek możliwość rozpaczliwej obrony. Najchętniej nie pozwoliliby mu nawet oddychać. Setúbal i porucznik Flors czy jak mu tam. Musieli być w zмовie.

– Co pana do mnie sprowadza, panie prokuratorze? – zdecydował się zapytać po chwili niezręcznego milczenia.

Powód jego wizyty okazał się czysto zawodowy. Omówili kilka spraw bieżących. Ale don Rafel miał głowę zajęta czym innym, mówił tak lub nie trochę na wycucie i bardziej niż słowami prokuratora był zainteresowany wszystkim innym, może uda mu się wychwycić jakiś komentarz, oświadczenie, słowo, znak, spojrzenie, wahanie, milczenie... coś, co go upewni, że don Manuel d'Alòs, prokurator Trzeciego Departamentu, czyli Departamentu Kryminalnego, tylko się z nim bawi w kotka i myszkę, wiedząc, że ma do czynienia z jawnym kryminalistą, któremu udowodniono zabójstwo pierwszego stopnia, ukrycie zwłok, naruszenie prawa ze skutkiem śmiertelnym, ukrywanie dowodów, wprowadzenie w błąd wymiaru sprawiedliwości i nadużycie władzy. I cudzołóstwo.

– A czego tak właściwie pan ode mnie oczekuje?

Młody Sorts patrzył niepewnie na adwokata Terradellesa; wydawało mu się, że już wszystko dokładnie wyłuszczył.

– Żeby pan udowodnił niewinność mojego przyjaciela, żeby pan doprowadził do rewizji wyroku, nie wiem, jak to się fachowo nazywa...

Adwokat westchnął, ale się nie odezwał. Nie chciał ranić uczuć tego chłopca ani podpaść jego rodzinie. To nie był dobry moment...

– Teraz jestem bardzo zajęty. Prowadzę pewną niesłychanie ważną sprawę i sam nie wiem, w co mam ręce włożyć.

– Ja, na nieszczęście, czasu mam w nadmiarze. – A mówiąc to, myślał o przyjacielu powieszonym dlatego, że on wyjechał, uganiał się gdzieś za wiejskimi dziewczynami i pisał frywolne listy. – I wiem, że

to musi potrwać.

– Bez wątplenia. Prawo działa powoli.

– W tym przypadku jeszcze wolniej. Bo będzie musiało się przyznać do błędu.

– Tak, tak... – Adwokat niecierpliwił się, bo młodzieniec oderwał go od pracy.

– Wiem, że będzie ciężko: właśnie dziś rozmawiałem z cywilnym prezesem.

– Tak? – Terradelles zamienił się w słuch.

– Tak. Okazał całkowite niezrozumienie dla mojej sprawy.

– A powiedział mu pan, że chce rewizji sprawy Desflors?

– Aha. Bardzo mu się to nie spodobało.

– A... jakie na panu zrobił wrażenie? Jak się miewa don Rafel?

– Jak się miewa? Nie mam pojęcia. Pierwszy raz z nim rozmawiałem, nie znałem go wcześniej. Był zdenerwowany. – Sorts się uśmiechnął. – I wydał mi się, w pewnym sensie... Nie, nieważne.

– Ależ proszę, proszę mówić – zachęcał go adwokat.

– Nie, nic, tylko odniosłem wrażenie, że mój zamiar rewizji wyroku był mu nie na rękę. Bardzo nie na rękę.

Adwokat Terradelles odchylił się na krześle i odruchowo zaczął się bawić obsadką, jak to miał w zwyczaju. Uśmiechnął się i wstał, dając do zrozumienia młodemu Sortsowi, że innym razem wróć do tego tematu.

– A więc jasnie pan jest zdenerwowany – podsumował na zakończenie. Patrząc, jak tamten odchodzi, kalkulował. Oczywiście, że był zainteresowany rewizją wyroku w sprawie Desflors! Chociaż sprawa nie rokowała pomyślnie, najważniejsze to zorganizować bezpośredni atak na tego szczura don Rafaela na nowym froncie.

Morale adwokata don Antoniego Terradellea znajdowało się na mniej więcej takim poziomie jak don Rafaela. Całe lata spędzone na korytarzach Trybunału, gdzie potykał się o nędzę ludzką, też go znieczuliły i pozbawiły współczucia; był jak lekarz, który przestał brać sobie do serca grymas bólu na twarzy chorego. Nie dlatego że serce ma z natury twarde, tylko dlatego że już mu się zahartowało, broniąc się przed tyloma atakami cudzego cierpienia. Dlatego Antoni Terradelles wiedział, że sytuacje są po to, by je wykorzystać, a urzędy – by coś z nich wycisnąć. To jasne jak słońce. Jedyna różnica między nim a don Rafelem polegała na tym, że ten ostatni wspiął się na samą górę i dopóki się tam utrzymuje, nie ma miejsca dla innych. I że trzy lata temu przez don Rafaela przegrał proces spekulacyjny (zajęcie i sprzedaż domu), na którym mógł zarobić dużo, bardzo dużo grosza. Ale ten skurwysyn do tego nie dopuścił. A kiedy sprawa przycichła, don Rafael sam, bez rozgłosu, przeprowadził transakcję kupna i sprzedaży i zgarnął całą kasę dla siebie. Tego adwokat Terradelles nigdy mu nie wybaczył. A teraz ma okazję złapać go za jaja.

– Zrobię z niego miazgę – oznajmił niemym księgom na półkach w swojej kancelarii.

Miał bardzo ciężki ranek. Naczelnicy audytorów wszystkich trzech departamentów i jeszcze jeden prokurator prosili o audiencję u jasnie pana. Wszyscy przyszli z rutynowymi sprawami, jakich może wysłuchać pierwszy lepszy audytor czy prokurator. Jednak don Rafael dostrzegł u wszystkich nowy błysk w oku, pogardliwe skrzywienie ust, jakiś lekceważący komentarz tam, gdzie w innych czasach normalne byłoby pełne szacunku milczenie. I przez całe przedpołudnie dręczył go niepokój, oczy miał rozbiegane, serce mu waliło jak młotem.

Bo don Rafel się bał, bardzo się bał. Ale też był całkiem bezradny wobec tego zmasowanego ataku, którego czuł się ofiarą. To wrażenie jeszcze się potęgowało, kiedy wyobraził sobie, jak ta katastrofa będzie wyglądała z drugiej strony, kiedy cała ta afera zostanie ujawniona, a ludzie zaczną wytykać go palcami i śmiać się w kułak; to dopiero będzie nie do zniesienia. Miotał się po sądzie z niespokojnym spojrzeniem, wypatrując wrogów za gobelinami. Odwołał audiencję naczelnika więzienia przy placu Błat i odłożył sine die odpowiedź na prośbę o interwencję w przypadku dwóch nadużyć popełnionych przez wojsko. Ze trzy razy rozważał możliwość wezwania do gabinetu szefa policji na oficjalną rozmowę na wiadomy temat. Ale po przemyśleniu przestraszył się, że to tylko rozzuchwali Setúbala dos Caralhos, tego portugalskiego chuja. A najbardziej mu zależało na tym, żeby skandal nie wybuchł w samym Trybunale. W żadnym razie. O dwunastej w południe poczuł, że zatrzymuje mu się serce, krew przestaje krążyć i ustaje oddech, kiedy przyszło pilne wezwanie od Kapitana Generalnego.

Jak zawsze, kiedy wybierał się do Kapitanatu, droga, którą musiał pokonać, była dla niego torturą. Czego może chcieć, skąd ten pośpiech, dlaczego nie otrzymałem wezwania z uprzedzeniem, dlaczego pismo podpisał pułkownik Villavicencio, a nie ten kretyn Cisneros; o tej godzinie audiencja będzie krótka, bo dla Jego Ekscelencji pora obiadowa jest święta. Będzie jakaś awantura? Zwykła nagana? Czy może chodzi o pochwałę? O gratulacje? Czy Terradelles już z nim rozmawiał? Na tym etapie rozważań powóz już wjeżdżał na plac Palau, pokonawszy krótki odcinek od placu Sant Jaume. Zawsze, kiedy mijał róg ulic Caputxes i Argenteria, serce biło mu szybciej. Ale w to smutne, deszczowe południe myśli don Rafela były czarniejsze niż chmury, zbierające się cierpliwie nad Barceloną. Pokropywały na razie od niechcienia, ale zapowiadało się na prawdziwy potop, który zatopi miasto w błocie, och, oby.

– Więc co tam, don Rafelu. Coś panu dolega? – Kapitan Generalny, najważniejsza osoba w Katalonii, zapytał uprzejmie jaśnie pana, zamienionego w kłębek nerwów.

– Nie, ekscelencjo. To tylko niedyspozycja, ekscelencjo... – Don Rafelowi wydawało się, że don Pere uśmiechnął się pod wąsem, na pewno, żeby dać do zrozumienia, że był na bieżąco, że wiedział, że ma do czynienia z pospolitym mordercą pierwszego stopnia, przestępcą ukrywającym zwłoki i manipulującym prawem ze skutkiem śmiertelnym, ukrywającym dowody, utrudniającym działanie wymiaru sprawiedliwości, nadużywającym posiadanej władzy, siejącym zgorszenie wśród ludu, niesubordynowanym poddanym i niewiernym mężem. Ale nie tylko to, wszak każdy orze jak może, ale tym uśmiechem don Pere również dawał do zrozumienia, że już wiedział, że don Rafel wpadł w macki tej niebezpiecznej, obmierzłej ośmiornicy, don Jerónima dos Colhoes e das Roseiras, alias Jaja, alias Róża, niech go piekło pochłonie i oby tam trafił jak najszybciej. Czy już cała Barcelona o tym wiedziała? Don Rafel gotów był paść na kolana i błagać o litość, o sprawiedliwość, prosić o powstrzymanie Portugalczyka, któremu zależało tylko na pozbawieniu majątku przyzwoitego człowieka, bo fakt, że komuś się przytrafił zły dzień, nie oznacza jeszcze, że jest prawdziwym mordercą.

– On jest z Estremadury, don Rafelu.

– Że co, przepraszam? – przestraszył się prezes.

– Naczelnik policji nie jest Portugalczykiem. Pochodzi z Estremadury.

– Ale ja... co...

– Musiał pan głośno myśleć. Tak przypuszczam.

– A co takiego powiedziałem?... – Jeszcze bardziej przerażony.

– Czyżby don Jerónimo zrobił panu coś złego?

– Nie, skądże! – Nieźle musiał się natrudzić, by wytrzasnąć skądś uśmiech, a potem jeszcze na siłę przykleić go sobie do twarzy. – Ale nie lubię tego typu.

– Mam wrażenie, że ten człowiek... może być niebezpieczny... Ale nie wezwałem pana tutaj, don Rafelu, żeby rozmawiać o komisarzy Setúbalu, lecz w celu wyjaśnienia pewnej sprawy, która zaczyna mnie niepokoić.

– Zamieniam się w słuch, ekscelencjo. – Ach!... Jakież nowe pęknięcie ziemi pod stopami wpędzi go w jeszcze głębszą desperację? Adwokat Terradelles musiał go ubiec.

– Sprawa Desflors.

– Słucham, ekscelencjo?

Wiedziałem, wiedziałem! Długoręki adwokat dotarł już do Kapitanatu.

– Otrzymałem gratulacje od don Manuela Godoya za szybkie rozstrzygnięcie sprawy. Niniejszym je panu przekazuję.

– Ach...

– Ale dotarła do mnie również skarga... powiedzmy, że oficjalna, na niedostateczne zainteresowanie Trzeciego Departamentu przesłuchaniem wszystkich świadków...

– Ależ ekscelencjo...

– A podobno jeden z nich mógł udowodnić niewinność skazańca w sposób niebudzący wątpliwości.

– Ale przecież... proszę mi pozwolić wszystko wyjaśnić, ekscelencjo...

– Zamiast tego pan i pański departament działaliście tak, jakby się wam bardzo spieszyło, żeby go skazać.

Kapitan Generalny zamilkł i przeszył prezesa wzrokiem. Prezes zlokalizował źródło ataku: młody porucznik. Ten chłopiec, przyjaciel skazańca. Z jaką szybkością dotarł na sam szczyt! Przeszło mu przez myśl, że groźby Setúbala to pestka w porównaniu z możliwościami działań Kapitana Generalnego. Żle wymierzył i zaatakował:

– To pan wskazał mi winnego. Pan nalegał, żeby jak najszybciej zamknąć sprawę.

– Don Rafelu... – Lodowatym, jadowitym tonem. – Proszę sobie zapamiętać raz na zawsze, że ja nigdy bym nie doradzał niczego, co byłoby sprzeczne z prawem, któremu służę każdym słowem i czynem. Proszę dokonać rewizji sprawy Desflors.

– Ekscelencjo, ja mogę wszystko wyjaśnić.

– Don Rafelu, audiencja skończona.

Prezes przełknął ślinę i skłonił głowę. Było oczywiste, że popadł w niełaskę. Było oczywiste, że trzeba będzie na nowo wszcząć postępowanie. Z Setúbalem osaczającym go z jednej strony i Terradellesem dobierającym mu się do tyłka.

– Zobaczymy się na Te Deum? – kokieteryjnie zapytała najważniejsza osoba w Katalonii.

Don Rafel znów przełknął ślinę i cofnął się o krok. Co miał mu odpowiedzieć.

– Tak, ekscelencjo.

– Doskonale. A w nocy na balu u markiza. – Kapitan Generalny puścił do niego oko. – Przypuszczam, że powitanie nowego wieku będziemy obchodzić radośnie i... że panienki będą dla nas miłe.

– Też mam taką nadzieję, ekscelencjo. – Wszystkie frywolne aluzje raniły dotkliwie don Rafela. W co z nim grał don Pere? Czyż audiencja już się nie skończyła? Czyż nie usuwał go z uprzywilejowanego kręgu swoich znajomych? Czyż nie wypowiedział mu wojny?

– Doskonale, doskonale... A pan nie będzie mnie więcej wkurzał, oddalając ode mnie dziewczyny, które mi się podobają.

– Ależ ekscelencjo... ja mogę wszystko wytłumaczyć. Niczego więcej nie pragnę, jak tylko panu służyć... Proszę nie myśleć, że chciałem zrobić panu na złość.

– Doskonale, doskonale. – Znów lodowaty ton. – Przypominam panu, że audyencja skończona.

Z podwiniętym ogonem, spocony, pokonany don Rafel wycofał się i złożył liturgiczny ukłon. Przyszło mu na myśl, że mógłby się rzucić głową w dół studni, jaką tworzyły szerokie schody w Kapitanacie, i poczuł dziką nienawiść do wszystkich, bo wszyscy, nawet Turek, stali się jego wrogami. Komu mógł się zwierzyć ze swojego nieszczęścia? Nikomu! Absolutnie nikomu!... Chyba tylko swojemu teleskopowi. Don Rafel był sam i doskonale o tym wiedział. Ale to się stało niechcący, Elviro. Przysięgam ci na cały wszechświat.

– Ależ... jak pan śmie?...

Jaśnie pan ściągnął perukę i poprosił mistrza Dalmau, żeby zaczekał, bo ma ważną sprawę do załatwienia.

– Jest już czwarta po południu, jaśnie panie... – odpowiedział krawiec.

– Co z tego? Czasu ma pan aż nadto, by przygotować z dziesięć ubrań.

– Ja? Ależ jaśnie panie...

Don Rafel, ściągając przymierzany właśnie frak, wbił sobie szpilkę w palec. Udało mu się nie zakląć i oddał ubranie krawcowi, który patrzył na niego zawiedziony. Don Rafel zauważył, że Hipolit przygląda mu się uważnie i specjalnie na jego użytek przywołał na twarz pewny siebie uśmiech, ale drżał na całym ciele jak osika. W drzwiach szwalni stał niejaki Setúbal alias Szantażysta i Osiemset Tysięcy Reali i obserwował go z uprzedzającą grzecznością. Przeprosił za najście:

– Powiedziano mi, że tu pana znajdę, don Rafelu... Nie chciałbym przeszkadzać...

– Jaśnie panie!... – zaprotestował Hipolit.

– Nie szkodzi, nie szkodzi. – Don Rafel otrzepywał jeszcze ubranie z nici. – Proszę za mną, don Jerónimo.

Zabrał go do swojego gabinetu w samej koszuli, wściekły i coraz bardziej, o ile to możliwe, owładnięty lękiem. Pewne było tylko to, że drżał. Trzasnął drzwiami i stanął twarzą w twarz z policjantem, nie zapraszając go, żeby usiadł.

– Czego pan chce? Można wiedzieć?

– Wszystkiego. Natychmiast.

– Nie rozumiem.

– Osiemset tysięcy reali. Albo dom i majątek.

– Złodziej! Jest pan złodziejem!

– Na pana miejscu nikogo o nic bym nie oskarżał, jaśnie panie.

– Chce mnie pan zabić. Morderca.

– Nie. Może pan wyemigrować i zacząć nowe życie...

– Nie mam tyle pieniędzy. Dam panu sto tysięcy reali i moją nieskończoną wdzięczność.

– Pańską wdzięcznością mogę podtrzeć sobie tyłek. Ja chcę wszystko.

– Sto pięćdziesiąt tysięcy.

– Chcę osiemset tysięcy w gotówce albo w nieruchomościach. A jeśli to wszystko, co pan posiada,

chcę wszystko, co pan posiada. Jeśli to dom ze służbą, niech będzie i tak. Ani grosza mniej, don Rafelu. Dokonamy transakcji w obecności zaufanej osoby, która oszacuje wartość każdej zaoferowanej przez pana pozycji. – Rozłożył ręce na znak przykładowej uczciwości. – Powiedziałem osiemset i tego będę się trzymał.

– Wie pan, że nie mogę tego zrobić.

– Zgoda. W takim razie jeszcze dziś składam na pana donos i oskarżam o zbrodnię zabójstwa pierwszego stopnia, ukrycie zwłok, nielegalny pochówek, naruszenie prawa, ukrywanie dowodów i wprowadzenie w błąd wymiaru sprawiedliwości. I może jeszcze coś się znajdzie.

– Nie odkopiecie żadnych zwłok! Już ich tam nie ma.

– Nieprawda. Moi ludzie pilnują pana od wielu dni... – Don Jerónimo się uśmiechnął. – I gdyby doszło do rozprawy, nieźle się ubawimy, słuchając, jak pan wyjaśnia publicznie tę swoją skłonność do rysunków przedstawiających rozebrane kobiety grzebiące sobie w tyłku... Wyobraża pan sobie, co będzie tematem towarzyskich rozmów przy herbatce? – Roześmiał się bardzo rozbawiony i rozejrzał się wokół siebie, jakby już szukał herbatników.

Don Rafel poczerwieniał, głęboko urażony. Wydawało mu się, że jego życie, nawet najbardziej intymne sprawy, były znane i komentowane przez całe miasto. Poczul ukłucie serca i zapragnął umrzeć na oczach tego diabła rodem z Portugalii. Albo z Estremadury. Ale los nie uczynił mu tej uprzejmości i nadal oddychał, stojąc twarzą w twarz z don Jerónimem, uważnie obserwującym wszystkie jego reakcje.

– Natychmiast pana zadenuncjuję!

Wystarczył wybuch śmiechu, żeby sprowadzić don Rafela na ziemię. Wiedział doskonale, że cokolwiek by zrobił, znajdował się na przegranej pozycji. Gdyby donos, szantaż, nienawiść pochodziły od kogo innego... mógłby poruszyć jakąś strunę. Ale don Jerónimo był panem strun, pianina i całej sali koncertowej. A na zewnątrz, na ulicy, już przebierali nogami Terradelles, notariusz, don Pere i młody porucznik. I kto jeszcze?

– A niech mnie osądzą, niech mnie skażą... Niech mnie upokorzą... Ale pan nie będzie miał z tego ani reala.

– Nie wierzę. Pańskie dobre imię jest ważniejsze niż wszystko inne. Chyba się nie mylę, prawda?

Don Rafel otarł chusteczką spoconą łysinę. Nie musiał odpowiadać. Estremadurczyk uśmiechnął się i zasiadł za stołem, nie pytając o pozwolenie.

– Przyszedłem po pieniądze, jasnie panie. Chcę zacząć rok i wiek jako bogacz.

Przez moment don Rafela Massó kusiło, żeby chwycić jakiś odpowiednio duży przedmiot, podejść z tyłu i rozwalić głowę temu szczerowi kloacznemu, który rzucił mu wyzwanie. Ale się nie odważył; może trochę za szybko przekalkulował, jakie komplikacje może na niego ściągnąć ta nowa śmierć. Wkrótce zabraknie mu klombów. Żeby jeszcze bardziej się upokorzyć, zaczął płakać. Don Jerónimo uzbroidł się w cierpliwość i przeczekał tę ulewę.

– Niech mi pan da jeszcze pięć dni. Dostanie pan tyle pieniędzy, ile tylko uda mi się zebrać, przysięgam.

– Don Rafelu, ja chcę maksimum tego, co mogę z pana wycisnąć. Chcę wszystko.

– Wszystko... Wszystko panu oddam.. Tu ich nie mam. Będę musiał je zebrać, podpisać weksle i czekać.

– To proszę zacząć działać. Tylko niech pan nie zapomina, że ja mam pana cały czas na oku.

A gdyby tak paść przed nim na kolana i błagać olitność? A gdyby mu obiecać nieograniczoną władzę i bezpośrednie dojście do króla? A gdyby... Zimne spojrzenie policjanta powstrzymało ten natłok głupich pomysłów.

- A kto mi zagwarantuje, że nie będzie mnie pan nadal szantażował?
- Jak mi pan da, czego chcę, nie będę pana już nigdy niepokoił.
- Jaką mam gwarancję?
- Szlacheckie słowo honoru.
- Aha.

Tak naprawdę wszystko już zostało powiedziane. Jasne, że nic więcej od niego nie wyciągnie, bo z pustego i Salomon nie naleje. Obaj dobrze wiedzieli, kto tu jest górą.

Don Jerónimo uprzejmie się zgodził na czterdziestoosmiodzinną zwłokę i umówił się ze swoją ofiarą o czwartej po południu, pojutrze, pierwszego stycznia nowego roku, nowego wieku, nowej ery, ery Setúbala. Po Te Deum, po kawalkadzie noworocznej. Chyba że wcześniej, na nieszczęście, dorwie go don Pere, żeby go załatwić. I don Rafel wrócił, z bólem serca i żołądka, do szwalni, gdzie teraz doña Marianna przymierzała spódnicę nowej sukni. Zobaczyła męża w lustrze.

– Gdzie ty się podziewałeś? Widziałeś, jaka spódnica? To na bal, wiesz? A do katedry założę tę... Popatrz, jaka piękna...

Niech się świat toczy, jak chce. Mogą sobie wymyślać Te Deum i niebiańską muzykę, jego i tak nic już nie uratuje. Nikt mu nie poda pomocnej ręki, bo nie mógł powiedzieć ani doñi Mariannie, ani Hipolitowi, ani don Manuelowi d'Alòs, ani nikomu wiesz, chodzi o to, że pewnego dnia zabiłem swoją kochankę; a że nie mógł tego powiedzieć, tym samym wkładał broń w ręce Setúbala i innych. Wszystkie jego wstydlive, intymne sprawy mogły zostać wystawione na pośmiewisko całego miasta. O mój Boże, Gaietana; ona też wszystkiego się dowie! Dowie się, że on, przypisując sobie kompetencje doktora chirurgii, żywił niezdrowe, perwersyjne zainteresowania, właściwe zboczeńcom, skandalicznymi obrazami; to było najgorsze ze wszystkiego. Ona, ta piękna jak anioł dziwka, która naśmiewa się z mojej miłości... ona też się dowie. A to było gorsze niż wieczny ogień piekła.

– Nie, Rafel, człowieku! To ten drugi frak, gdzie ty masz głowę! Wiesz, że doña Càndida nie przyjdzie? Leży w łóżku z gorączką, wyobrażasz sobie?

Don Rafel założył w końcu odpowiedni frak, potulny jak baranek idący na rzeź, i podszedł do lustra, by się oddać w ręce krawca. Jest o krok od utraty wszystkiego, a tymczasem każą mu przymierzać ubranie! Nie chciał oglądać swojego odbicia.

- Jest pan zadowolony, jaśnie panie?
- Tak, tak. Bardzo zadowolony, panie Dalmau.

– Jak możesz... – Doña Marianna przemierzyła pokój w kierunku męża. – Jak możesz mówić, że w porządku, skoro tu ci się robi fałda...

– Ależ proszę pani, to fastryga! – Mistrz Dalmau uniósł się honorem. Don Rafel wykorzystał ten incydent, by się wycofać, zostawiając przed lustrem tylko ciało, nad którym inni się znęcali, by je przygotować do uroczystości, ostatniej w jego życiu i w życiu żony, bo czeka ich skrajna nędza. Patrzył na kark mistrza Dalmau i uśmiechnął się w duchu na myśl, że ten człowiek nawet nie podejrzewa, że nie dostanie pieniędzy za swoją pracę.

- Proszę pani, będziemy pracować przez całą noc – odpowiedział krawiec na pytanie doñi Marianny.

– Jutro z samego rana na pewno wszystko dostarczymy. Prosto spod igły.

Don Rafel pozwolił zdjąć z siebie frak i przeszedł w ręce mistrza Ventury. Usiadł na krześle, żeby teraz z kolei przymierzać buty. Zadowolony mistrz dał mu siedem par do wyboru, czekając na decyzję, a on tymczasem myślał gdybym nie zrobił tego, co zrobiłem Elvirze, gdybym jej nigdy nie poznał, gdyby nigdy nie powstało gniazdko miłości... Mistrz Ventura przerwał te rozważania, podając parę butów z nazbyt okazałą sprzączką.

– Chyba nie ma pan zamiaru iść bosy, jasnie panie. Nie mam więcej modeli do wyboru, jasnie panie. Czy nie zechciałby pan jeszcze raz ich obejrzeć? Do jutra nie zdążę panu zrobić nic innego.

Już miał powiedzieć panie Ventura, wszystko mi jedno; jeśli o mnie chodzi, mogłoby się obyć bez żadnych uroczystości. Ale obecność Marianny uniemożliwiła mu publiczne przyznanie się do klęski.

Don Rafel Massó nie jadł kolacji. Zrezygnowany, znosił bombardowanie wiadomościami z ostatniej chwili, jakiemu go poddała podekscytowana doña Marianna. Zauważyła już, że coś się dzieje z jej mężem, ale wolała w to nie wnikać przed zakończeniem uroczystości, żeby sobie nie psuć humoru. Jeszcze się nie zdecydowała, na czym jej bardziej zależało: czy na Te Deum w stallach (pierwszy raz w życiu, najwyższy czas! Prawdziwy triumf nad całym Bractwem Krwi w komplecie), na balu w domu markiza czy na zaprezentowaniu dwóch nowych kreacji, a może jednak na kawalkadzie noworocznej. Na koniec wbiła sobie do głowy, żeby pójść na zielony jarmark w Born i tam kupić jakiś ładny dzban; prawda, że mi dotrzymasz towarzystwa?

Żeby zapłacić za dzban, pomyślał don Rafel, wstając od stołu pod pretekstem bliżej nieokreślonych problemów gastrycznych. Przerwał rozmowę i wyszedł z jadalni, prosto do ogrodu. Włożył płaszcz, bo zrobiło się zimno. W tym momencie nie tylko nie padało, ale chmury odsłoniły nawet fragment nieba, jak gdyby wreszcie miało się roz pogodzić, po pięćdziesięciu dniach nieprzerwanej ulewy. Odruchowo don Rafel zadarł głowę. Orion, myśliwy, w połowie ukryty za warstwą stratocumulusów, wyglądał tak, jakby porządnie nabroił i teraz wolał się schować przed ludźmi. Don Rafel nie był w nastroju do szukania symboli czy alegorii; czuł tylko lęk, paraliżujący lęk, bo przysłała jego kolej, aby wykonać ruch w tej śmiertelnej partii szachów, do której zasiadł wbrew sobie. Grał czarnymi. Czarne grają i przegrywają. A po przeciwnej stronie szachownicy jakieś nieokreślone cienie towarzyszyły don Jerónimowi Manuelowi Cascala de los Rosales y Cortés de Setúbal. Jego uśmiech mówił: szach i mat.

Przemyślał sprawę na dziesiątą stronę i ciągle wracał do punktu wyjścia: był w rękach Portugalczyka. Czy Estremadurczyka. Cokolwiek by zrobił, i tak się pograży. Bo jeżeli mu się podporządkuje, wyrzeknie się majątku na rzecz naczelnika policji... Rzecz jasna, może się bronić przed wymuszeniem, tylko że musiałby się nastawić na to, że w niespełną godzinę cała Barcelona dowie się, że jest mordercą; no, ale miałyby możliwość obrony, mógłby powiedzieć, że to nie było morderstwo, że to się stało niechcący... Nie, to bez sensu. A na dodatek Setúbal wiedział o skandalicznych rycinach i znał miejsce ukrycia trupa. Wszystko stracone. Najgorsze było to, że jeżeli ustąpi przed żądaniemi i odda wszystko, co posiada, dom i całą resztę, nie minie nawet pięć minut, a już ludzie zaczną się zastanawiać, co go doprowadziło do ruiny. Wszystko stracone, a Setúbal się wzbogaci na jego krzywdzie... Czy jest jakieś wyjście? A gdyby tak spróbował napuścić na siebie Setúbala i Terradelleśa?

Podszedł do tego przeklętego klombu. No proszę, Romà zdążył posadzić prymulki. Popatrzył na ten kawałek ziemi już bez takiej odrazy jak poprzednio... jakby parę godzin wystarczyło, żeby się oswoić z horrorem. Jakby to był chleb powszedni, trzymać zwłoki kochanki w ogrodzie, na głębokości

dziewięciu piędzi pod prymulkami. Lęk. Czuł lęk. To prawdziwy horror. Panika, strach, przerażenie mrozące krew w żyłach i w sercu... Bo to, czego najbardziej się obawiał w życiu, właśnie miało mu się przydarzyć. Ale bał się również dlatego, że w ekstremalnej sytuacji człowiek próbuje sprawdzać, na ile wyznaczone granice są nienaruszalne. Don Rafel mimo woli zaczął myśleć o życiu pozagrobowym. Mimo że nigdy nie należał do szczególnie gorliwych w praktykach religijnych, powszechny stan świadomości nie dopuszczał do jego głowy żadnej myśli, która by nie była zgodna z obowiązującą wykładnią, zakładającą bezwarunkowe przyjęcie nauczania Świętego, Powszechnego i Apostolskiego Kościoła Rzymskokatolickiego, naszej matki, czyli wiary w niebo, piekło, grzech, diabła i wieczny ogień. Jakże by chciał nie wierzyć w nic, jak podobno nie wierzy Jacint Dalmases! W gruncie rzeczy liczył się z tym, że pod koniec życia wystawią mu rachunek. Piekło, choć odległe, enigmatyczne jako pojęcie i trudne do udowodnienia, jednak budziło lęk. Piekło i inne sprawy, na przykład koncepcja wieczności. Punktem wyjścia tej idei była oczywista konstatacja, że życie mamy jedno. Co się więc dzieje, jeśli je zmarnujemy, popełniając jakiś błąd? Nic, musimy żyć dalej. A jeżeli błąd jest bardzo poważny, może się zdarzyć, że pozostanie nam przerażająca pewność, że pomyliliśmy się na wieki. Don Rafel uważał, że ludzie zawsze łączyli świadomość grzechu z niejasnym przeczuciem wieczności. Jego zdaniem koncepcja grzechu bierze się ze zderzenia idealnego wzorca życia, który człowiek sobie wytworzył, z rzeczywistością. Jeżeli w tej konfrontacji człowiek dostrzega słabości, błędy... ma poczucie, że źle postąpił. Dlatego ludzie zawsze wierzyli w grzech, ale pojęcie grzechu zmieniało się w miarę upływu czasu. Zależało od idealnego wzorca życia, jaki stworzyła konkretna epoka. Karę, piekło, co do tego nie miał wątpliwości, tworzyła świadomość. Jakie szczęśliwe były koty! Z tych rozważań don Rafel wyciągał wniosek, że pełne odpuszczenie winy jest niemożliwe bez przebaczenia osoby poszkodowanej... Jak mogła mu wybaczyć Elvira, moje biedactwo? Przecież ja nie chciałem. Poczucia winy nigdy się nie pozbędzie... Nigdy znaczyło wiecznie. Piekło będzie pełne takich Elvir i Andreu Perramonów czy jak tam do cholery nazywał się tamten nieszczęśnik. A może nawet zapełni się tuzinami wszystkich skazańców, którym z jego pomocą założono stryczek na szyję... Ejże, ejże, stop! Robił to jako funkcjonariusz wymiaru sprawiedliwości, więc to się nie liczy, jasne? Ale się zapędził... Grzechem, we właściwym rozumieniu tego słowa, była tylko śmierć Elviry, a i to przez przypadek, żeby była jasność. A grzechy cielesne? Które? Wszystkie. A kradzież? Wiadomo, człowiek nie kamień. Don Rafel zaczynał czuć wyrzuty sumienia dopiero teraz; nigdy wcześniej to, co robił, nie spędzało mu snu z powiek, poza przypadkiem Elviry, biedaczki. Owszem, tak, miał wyrzuty sumienia. Na parę godzin przed utratą wszystkiego, a przede wszystkim utratą honoru i dobrego imienia, zabawiał się refleksją na temat poczucia winy. Pewnie dlatego, że w żaden sposób nie mógł zmienić biegu wydarzeń. Mógł tylko rozłożyć ręce. O, Orionie, jaki masz spokój tam na górze, gdzie jest tylko noc i mróz. Chciałbym być na twoim miejscu.

Sylwester. Mimo że padało bez opamiętania, miasto obudziło się w świątecznym nastroju. Był wtorek, niby nic szczególnego, gdyby nie fakt, że to ostatni wtorek roku i wieku, co mu nadawało aurę wyjątkowości. Przytłumiony deszczem dźwięk dzwonów próbował się przebić przez gwar na ulicach, wypełnionych ludźmi, którzy nie bali się przemoknąć. Niejeden z pretensjami podnosił wzrok ku niebu, czemu nie zesałał godniejszego Końca Roku i Wieku, pogodnego i suchego, by nie narażać ludzi na wilgoć, zimno, a przede wszystkim błoto, które tak się rozpanoszyło tej jesieni, że jeszcze zima na dobre się nie zaczęła, a już barcelończycy chodzili utyłani po szyję. Sylwester, dzień żartów człowieka z długim nosem.

Adwokat Terradelles nie lekcewał żadnej informacji, nawet przypadkowej, jeśli jakoś się wiązała z prowadzonymi przezeń sprawami. Już dawno zdał sobie sprawę, że życie składa się z interakcji i powiązań, a inteligencja sprowadza się do tego, żeby odkryć znaczenie wszystkich elementów mechanizmu, który dla pozostałych śmiertelników pozostaje tylko zwykłym zbiegiem okoliczności. Dlatego przyjął młodego Sortsa czekającego od rana w jego kancelarii i dlatego zdecydował, że notariusz Tutusaus powinien wziąć udział w tej rozmowie. Nie przerywał Sortsowi, pozwolił, żeby się wygadał, powtarzając w kółko, że jest przekonany o niewinności Andreu, bo był on człowiekiem niezdolnym do popełnienia zła i dalej w tym stylu. Nawet dał mu do zrozumienia, że już go prawie przekonał do zajęcia się tą sprawą i doprowadzenia do rewizji wyroku. Tylko po to, żeby go zachęcić do mówienia; bo może z tego potoku słów uda się wyłowić coś, co może się przydać, by złapać tego Massó za gardło. Dlatego młody Sorts opowiadał po raz kolejny o ostatniej nocy: widziałem go, byłem z nim w czasie, kiedy popełniono morderstwo; o trzeciej nad ranem dałem mu pakiecik; kiedy wyszedł od Desflors, jeszcze żyła, widziałem ją wtedy w hotelu, czy pan mi wierzy, panie Terradelles? A kiedy mu wręczyłem pakiecik... A właśnie, był adresowany do pana.

– Jaki pakiecik? – notariusz i adwokat zamienili się w słuch.

– No... To było zlecenie od wicehrabiego de Rocabruna. Coś jakby...

Powiązali wątki. A Nando wpadł w rozpacz. Powiązali tyle wątków, że wreszcie stało się jasne, czemu Massó tak bardzo zależało na zniknięciu nieszczęsnego Andreu. Nando wpadł w jeszcze większą rozpacz. Don Antoni Terradelles natychmiast przestał się wahać, bo stało się oczywiste, że wszystkich trzech obecnych w kancelarii łączy fortuna zbieżność interesów, i oświadczył uroczyście, że przyjmuje tę sprawę, że gotów jest grzebać w błocie, żeby tylko doprowadzić do rewizji wyroku i jestem pewien, drogi panie Sorts, że zwyciężymy i obronimy pamięć pańskiego przyjaciela.

Ale Nando Sortsowi w tym momencie przestało zależeć na obronie pamięci. Czuł czarną rozpacz sięgającą dna duszy. Tę samą rozpacz, którą przeżywała Teresa, kiedy dowiedziała się, że podarowany przez nią medalion, znak miłości, zaprowadził Andreu na szubienicę. Życie czasem bywa podłe: Teresa i Nando, dwie osoby, które go kochały, przyczyniły się do jego śmierci. Andreu umierał w samotności, podczas gdy on zabawiał się z il bravo capitano Lupo.

– Świetnie się prezentujemy, prawda?

Doña Marianna z dumą podziwiała swoje odbicie w lustrze w stroju przygotowanym specjalnie na Te Deum i przy okazji spoglądała spod oka na męża, który patrzył w lustro ze smutkiem.

– Rafelu, wyglądasz, jakbyś szedł na rzeź. Można wiedzieć, co się z tobą dzieje?

Jestem mordercą, którego lada moment zniszczą ludzie bez skrupułów. Don Jerónimo, alias Gówno, chce mnie zrujnować za cenę swojego milczenia, w zamian za przemilczenie, że zabiłem moją ukochaną Elviretę, że interesuję się nieprzyzwoitymi rysunkami z dołą Gaietaną w głównej roli. A dziś w południe odwiedził mnie adwokat Terradelles i poinformował, że powinienem się uważać za człowieka bez honoru i że wznawia sprawę Desflors, by ujawnić moją zbrodnię, ale to nie była zbrodnia, tylko obrona konieczna. I jeśli będę bardzo się starać, mówi Terradelles, to może uda mi się powstrzymać młodego porucznika Sortsa, który chce mnie zabić własnoręcznie, by oszczędzić roboty katu. Chyba że pójdą od razu do don Pere, żeby mnie pozbawił urzędu i okrył niesławą. Za dwa-trzy dni będę pośmiewiskiem całej Barcelony. A ty ze mną, Marianno. Spalimy się ze wstydu, bo ludzie będą o mnie plotkować i śmiać się w kułak; będą powtarzać no kto by pomyślał, co za cwaniak, ja czułem, że coś się kroi; nieprzyzwoite rysunki, morderstwo. A przecież jest sędzią. Nie chcę, żeby ktokolwiek tak mówił, nie zgadzam się, żeby ktoś się ze mnie naśmiewał. W żadnym wypadku. To się ze mną dzieje, Marianno. I nie wiem, jak z tego wybrnąć. Właśnie to.

Ale zamiast wygłosić ten monolog, don Rafel stał i wpatrywał się w lustro ze smutną miną, jakby szukał porozumienia ze swoim odbiciem, bo po drugiej stronie lustra na pewno nie ma tyłu intryg ani takiej nienawiści. Na pewno, Marianno; nie chcę, żebyś mi tam towarzyszyła, wolę być sam: sam z moimi gwiazdami i moimi mgławicami, które niczego ode mnie nie chcą.

– Rafel, dobrze się czujesz? To by dopiero było nieszczęście, gdybyś coś złapał właśnie teraz, przed Te Deum, przed balem u markiza.

Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się czuję, Marianno... Zdrowy na ciele, chory na duszy. Na moment przed pogrążeniem się w przerażającym piekle wprost nie do pojęcia. Na moment przed tym, jak mnie wezmą na języki we wszystkich domach w mieście. Na moment przed nieuniknionym upokorzeniem.

– Chcesz się położyć do łóżka? – dopytywała się doña Marianna, zawiedziona. – Masz gorączkę?

– Nie. Chodźmy na Te Deum. – Wyciągnął kieszonkowy zegarek. – Już czas, musimy się stawić przed Kapitanem Generalnym.

– To jeden z najpiękniejszych hymnów w liturgii katolickiej – język podniosły, ale prosty, wzniosłe idee, eksplozja uczuć. Żarliwa poezja, boski dytyramb, który wznosi się na skrzydłach entuzjazmu aż do Aeterna fas cum sanctis tuis in gloria numerari. To uwielbienie Boga jedyne w trzech osobach.

– Wierne echo liturgii jerozolimskiej.

– No właśnie, księże Cascante. – Monsinior Díez Valdés kontynuował wątek liturgiczny, popisując się przed ważnymi gośćmi, z Kapitanem Generalnym na czele, podczas gdy oni zapijali słodkim winem ciasteczka podane w zakrystii, czekając na przybycie procesji. – Te Deum to uwielbienie wcielonego Słowa, przypomnienie najważniejszych tajemnic jego życia, a zarazem błaganie o najpilniejsze łaski.

Teraz biskup mówił, wznosząc oczy ku sufitowi zakrystii, jakby jego słuchaczami była doborowa reprezentacja teologów. Kanonik Pujals, milczący, przyglądał mu się z dyskretnej odległości.

– Te Deum to hołd składany przez wszystkie racjonalne istoty (aniołów, świętych i cały Kościół), korzące się przed Trójcą Przenajświętszą i wyznające Ojca, Syna i Ducha Świętego. Składa także hołd przez... przez... przez...

– Wysławianie przymiotów? – podpowiedział kanonik Cascante.

– Otóż to, drogi księże, no właśnie: przez wysławianie przymiotów Chrystusa, Króla Wiecznej Chwały, Wiekuistego Słowa Wcielonego, Odkupiciela i Najwyższego Sędziego. Jest to również żarliwe

bałaganie, by Zbawiciel przyjął nas do wiecznej chwały i zaliczył do grona świętych. O tym mówią słowa in gloria numerari. To wszystko jest w Te Deum, panowie...

Biskup Díez Valdés wypił łyk wina i wziął oddech. Korzystając z chwili ciszy, ważni goście trochę się rozluźnili. Ksiądz Cascante spojrział dyskretnie na kanonika Pujalsa, by mu pomógł pohamować retoryczne zapędy monsiniora, bo jak można było wnioskować z jego gestykulacji, zanosilo się na dłuższy wykład dla niezwykle zainteresowanych kwestią gości na temat różnic i podobieństw między dwoma hymnami pochwalnymi – Te Deum i Gloria in excelsis Deo... Ale kanonik Pujals nie rozumiał prośby ukrytej w spojrzeniu kolegi, bo właśnie przyszło mu do głowy, że Te Deum, z całym szacunkiem dla biskupa, to jeden wielki bałagan organizacyjny.

– Jeśli panowie pozwolą... – monsinior ocierał usta po winie – chciałbym teraz podkreślić dobitnie, jakie zachodzą różnice... nie: podobieństwa i różnice między dwoma hymnami pochwalnymi – Te Deum i Gloria in excelsis Deo...

Kanonik Cascante weschnął zrezygnowany, a Pujals dyskretnie wymknął się z zakrystii.

To było wspaniałe Te Deum, bez żadnych wpadek organizacyjnych, mimo że w ostatniej chwili do ważnych gości, którzy mieli miejsca zarezerwowane w stallach, dołączył ambasador portugalski, przejazdem w drodze do Madrytu, chyba tylko po to, żeby popsuć szyki kanonikowi Pujalsowi.

Podczas gdy cała Barcelona wychwalała Boga i dziękowała mu za nowy wiek (w wyszukany języku zwracając się do Boga jedyne w trzech osobach), don Rafel Massó dokonywał tytanicznych wysiłków nie po to, by się skoncentrować, ale by jego wrogowie nie zorientowali się, jak bardzo jest wewnętrznie rozdygotany. Niech widzą jego niewzruszoność, niech się lękają możliwej reakcji swojej ofiary, może się przestraszą i zrezygnują z polowania... Ten nadludzki wysiłek nie pozostawił mu czasu na wsłuchiwanie się w pochwalne hołdy składane Bogu Wszchemogącemu, Bogu dobroci i przebaczenia. A doña Marianna, cała w skowronkach, rozplýwała się ze szczęścia i obserwowała kątem oka, czy doña Rosalia i doña Agnès, w pierwszych rzędach ławek, doceniają jej honorowe miejsce w stallach dla ważnych gości.

Wspaniałe Te Deum, mimo niezadowolenia augustianek, które musiały ustąpić miejsca klaryskom; kapucynów upokorzonych przez zadzierających nosa franciszkanów; mimo skwaszonych min tych z Bractwa Opuszczonych, patrzących bezsilnie, jak ich konfratry z Bractwa Krwi nabierają coraz większego znaczenia, co za skandal. I dwudziestki potencjalnie ważnych gości, którzy zadawali sobie pytanie w trakcie całego Te Deum laudamus, dlaczego to don Rafel, a nie oni, dostał miejsce w stallach. Wspaniałe Te Deum, biel ornatów – nieskazitelna, bez zarzutu, kadzidło przyniesione w ostatniej chwili z kościoła Matki Bożej Sosnowej, ponieważ starszy zakrystian się zagapił. Organy na poziomie, chór dyskretny. Naprawdę, kanonik Pujals nie miał powodu do narzekania. I kiedy ważni goście, dumni i usatysfakcjonowani, zmierzali w kierunku wyjścia, westchnął z ulgą, bo jeśli w tym momencie nie zawali się katedra, to już nic złego nie może się stać. Przelotnie zatrzymał wzrok na twarzy don Rafaela Massó; miał taką minę, jakby to na niego spadł cały ciężar organizacji tak wystawnej kościelnej uroczystości.

Kiedy wychodzili na chłodny, mokry od deszczu plac przed katedrą, doñi Mariannie przemknęła przez głowę myśl, która często towarzyszy zakończeniu długo oczekiwanych wydarzeń. „To już koniec? To wszystko?”, pomyślała rozczarowana. Ale natychmiast upomniała samą siebie, gotowa przysiąc, że był to jeden z najważniejszych dni w jej życiu. A to dopiero popołudnie. Przed nimi jeszcze danie główne tego

świętowania.

Światło i ruch, kolory. Powitania, uśmiechy, pocałunki, nie całkiem zdawkowe, wiele mówiące, pełne ukrytego pożądania spojrzenia, złagodzone uniżonymi ukłonami. Służący zastygają nieruchomo na strategicznych pozycjach. Świece, świece i jeszcze raz świece. Zapach wosku i komentarze na temat możliwości artystycznych córki państwa de Foixà (tych Foixà z ulicy Argenteria), która zapewniła gościom rozrywkę, grając na fortepianie natchnione utwory markiza de Dosrius. Don Rafel unikał jak mógł wyrażania opinii na temat małej de Foixà, indagowany przez doktora Jacinta Dalmasesa i wicehrabię de Rocabrana, najbardziej zagorzałych entuzjastów talentu młodej pianistki. Usiłował ukryć niespokojny stan ducha pod wymuszonym uśmiechem.

Udawał, że pochłonięty wyborem kanapki nie zauważa stojącego obok barona de Xerta, żeby tylko z nim się nie przywitać. Kiedy droga była wolna, ruszył z kanapką w ręce do drugiego salonu. Na jego widok zamilkły panie (pani de Cartellà, de Sentmenat i jeszcze jakieś nieznane mu damy), zajmujące się właśnie przeglądem wydarzeń w całym mieście. Poczł się niezręcznie. Ukłonił się i poszedł dalej, cały czas z nienaturalnym uśmiechem. Wypatrzył ją, kiedy jadł kanapkę. Stała w drzwiach po drugiej stronie salonu. Nie dało się uniknąć spotkania, więc zrobił dobrą minę do złej gry.

– Doño Gaietano... – Pozdrowił ją ukłonem.

– Don Rafelu...

Było oczywiste, że nie mógł zapomnieć o tamtym śmiechu baronowej, który tak go upokorzył. A teraz piękna Plejada też sobie o nim przypominała. Nie wiedział, jak zejść jej z drogi. Nadrabiając miną, coraz szerzej się uśmiechał.

– Co za miłe przyjęcie.

– Tak, don Rafelu. Bardzo miłe.

Baronowa cofnęła się, żeby go przepuścić. I roześmiała się, przypominając tamtą niezręczną sytuację. Don Rafel zaczerwienił się aż po cebulki swoich rzadkich włosów. Najchętniej by ją udusił. Było oczywiste, że jego oczko w głowie, ulubienica jego teleskopu, najwyraźniej sobie z niego kpi. Było oczywiste, że ponownie go upokarzała. W innej sytuacji don Rafel nie pogodziłby się z tym tak łatwo. Ale teraz nie miał innego wyjścia; musiał udawać, że niczego nie zauważa i zdecydowanie minął ją w progu, jakby zmierzał do jakiegoś konkretnego celu.

Z dużego salonu dochodziły oklaski i doña Gaietana, na którą ten dźwięk podziałał jak miód na muchy, natychmiast zapomniawszy o don Rafelu i o piekle, jakie nosił w sobie. Panie plotkujące w małym salonie też się podniosły, zaintrygowane oklaskami. Kiedy salon opustoszał, don Rafel wrócił i przysiadł w fotelu. Potrzebował paru minut na refleksję, żeby choć trochę uporządkować swój wewnętrzny chaos. Jeśli to było możliwe. Jeżeli w ogóle istniała jakaś szansa, by temu złu zaradzić. Przy odrobinie zręczności, mógł się wyłgać od wznowienia procesu w sprawie Desflors. Liczył się z tym, że Terradelles to szczywany lis i nie odpuści tak łatwo, ale chodziło przede wszystkim o to, żeby zyskać na czasie. Don Jerónimo to całkiem inny problem. Zostało niewiele godzin do wygaśnięcia terminu wyznaczonego przez tego pirata. Gdyby don Rafel pozostawał w dobrych stosunkach z Kapitanem Generalnym... może mógłby go powstrzymać. Kapitan Generalny? A gdyby tak spróbować pozyskać don Pere?

Tak pochłonięty go myśli, że kiedy się zorientował, czyją uśmiechniętą twarz widzi przed sobą, aż podskoczył z wrażenia. Don Jerónimo Manuel Cascas de los Rosales y Cortés de Setúbal siedział naprzeciwko z uśmiechem od ucha do ucha.

– Don Rafelu... – zaczął. – Przypominam panu, że łączą nas interesy...

Prezes popatrzył na niego z odrazą i nie odpowiedział.

– A jutro po południu upływa termin. Czy już pan zaczął załatwiać kwestie ekonomiczne, które panu zleciłem?

Don Rafel uparcie milczał. Był osaczonym zwierzęciem i szczerzenie zębów w takiej sytuacji wydawało się niepoważne. Natomiast mógł się upokorzyć.

– Ja... będę panu wdzięczny do końca życia za jeden wielkoduszny gest.

– Nie ma mowy – brzmiała zdecydowana odpowiedź komisarza. – To chyba jasne, że chcę mieć wszystko.

Wstał i grzecznie się uklonił, jak osoba dobrze wychowana, żeby było jasne, że nie ma co liczyć na litość. Don Rafel zlekceważył zasady dobrego wychowania i nie wstał, ostentacyjnie ignorując obecność tej pijawki.

Punktualnie o jedenastej zaczął się bal. W rogu sali już czekała w pełnej gotowości orkiestra w zmniejszonym składzie, wystarczającym jednak, by narobić hałasu. Kilka pań, do których dołączyła doña Marianna, zajęło miejsce po przeciwnej stronie salonu, gdzie mogły spokojnie konwersować. Powoli, jakby przyciągani jakąś nieznaną siłą, wszyscy goście rozproszeni w siedmiu czy ośmiu udostępnionych na tę okazję pomieszczeniach, zaczęli się zbierać w wielkim salonie, bo nikt nie chciał przegapić pamiętnego balu. Tylko don Rafel pozostał w fotelu, tym samym, w którym go zaskoczył don Jerónimo. Ogarnęło go zniechęcenie wywołane oczywistością, że w sposób nieodwołalny zamykały się przed nim wszystkie drzwi. Wszystkie.

Ale nie było mu pisane spokojne napawanie się własnym bólem. Żeby uniknąć hałasu, jaki robiła orkiestra grająca pierwsze takty w dużym salonie, don Rafel poszedł szukać spokojnego schronienia w głębi pałacu. Wchodząc do małego, przytulnego, dyskretnie oświetlonego saloniku, spotkał się twarzą w twarz z don Antonim Terradellesem. Towarzyszył mu milczący, ponury notariusz, którego don Rafel miał już przyjemność poznać, i młody, muzykalny porucznik, który z taką łatwością dotarł do Kapitana Generalnego. Jakby tylko na niego czekali, żeby mu się rzucić do gardła. Terradelles zaczął z grubej rury:

– Wiemy, że to pan kazał zamordować Andreu Perramona.

– Nikogo nie kazałem zamordować – bronił się. – Po prostu sprawiedliwości stało się zadość, a Kapitanat odrzucił prośbę o ułaskawienie.

– Wiem już, czemu pan go zabił. – Adwokat nie przyjął do wiadomości jego wymówki. – I zapewniam pana, że narobimy wokół tej sprawy dużo szumu.

– To groźba? – Don Rafel jeszcze się zdobył na uśmiech. – Bo pomijając fakt, że nie mam nic do ukrycia... zawsze jestem gotów wysłuchać, czego chcecie w zamian za pozostawienie mnie w spokoju.

Zanim zdążył się odezwać notariusz, który najchętniej już by zaczął negocjować, Terradelles uciął krótko:

– Żadnych negocjacji. Jaśnie panie.

Obaj mężczyźni wyszli i don Rafel po przełknięciu kolejnego upokorzenia został sam na sam z milczącym do tej pory Nando Sortsem.

– A pan czego chce? – odezwał się zniecierpliwiony. – Już pan wie, że będzie rewizja procesu.

Młody Sorts poczekał, aż adwokat i notariusz znikną za drzwiami. I wtedy zaatakował:

– Jest pan mordercą. Zabił pan mojego najlepszego przyjaciela. Mam na to dowody.

– Powiedziałem, że... Niech pan posłucha – zreflektował się – nie muszę się przed nikim tłumaczyć z działań wynikających z mojego stanowiska.

– Świetnie. Jeszcze pan nie wie, czego od pana chcę.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

– Chcę pańskiego życia.

Ono nie ma już znaczenia, pomyślał don Rafael. Znalazł się w tak głębokiej studni, że niżej nie dało się upaść. Nawet go rozbawiła bezczelna propozycja tego narwańca. Gdyby był trochę spokojniejszy, może by się nią zainteresował.

– Jeśli chce mnie pan zabić, może to pan zrobić od razu – odpowiedział, zachowując zimną krew. – Ale bez złudzeń, skończy pan na szubienicy.

– Nie sędzę. Wyzywam pana na pojedynek.

– Ach, tak? – Stać go było jeszcze na ironię.

– Może pan wybrać broń.

Nie dał po sobie poznać, że się waha.

– Młodzińcze, proszę zejść mi z drogi. Chcę wziąć udział w toaście noworocznym.

– Powiedziałem – powtórzył, nie ruszając się z miejsca – że może pan wybrać broń.

– Nie mam zwyczaju się pojedynkować. A zwłaszcza z takim durniem.

Policzek wymierzony przez młodego Sortsa rozniósł się echem niczym śmiech Gaietany w pokrytych tapetą ścianach tego uroczonego saloniku. Poczzerwieniał ze złości i z upokorzenia. Zamykała się przed nim kolejna droga.

– Pistolety – odpowiedział. – Na śmierć i życie.

Od czasu do czasu każdy człowiek, choćby najbardziej zrównoważony, ulega porywom, a on nie należał do wyjątków. Dlatego w końcu zgodził się na pojedynek na śmierć i życie o szóstej rano, kiedy skończy się bal, na placu przed cmentarzem w Sarrià, z dala od niedyskretnych spojrzeń, tylko w towarzystwie dwóch świadków z każdej strony i lekarza. Niewiarygodne. Nie dlatego, żeby pojedynek był przestępstwem, ale po prostu był źle widziany. Zaskakujące, że prezes we własnej osobie dał się wplątać w taką aferę. Ale to było najmniejsze zmartwienie i don Rafael chciał tylko, żeby ten bezczelny młokos wreszcie zszedł mu z oczu.

Kiedy został sam w saloniku, zaczął się histerycznie śmiać. Śmiał się jeszcze głośniejszym niż kiedyś doña Gaietana, bo nie powodowała nim pogarda, tylko lęk. Śmiejąc się z przerażenia, miał oczy pełne łez. Gdziekolwiek się obrócił, wszędzie czyhał ktoś gotowy rozdeptać go jak pluskwę. Kiedy się uspokoił, wytarł oczy koronkową chusteczką. Wtedy poczuł mdłości. Blady jak ściana, osłabiony, rzucił się do kąta saloniku i tam zwymiotował. Razem z kawałkami nieprzetrawionych kanapek wypluwał na ziemię wszystkie swoje lęki i zmartwienia. Może któreś przyschnie do tapety tego zacisznego saloniku, świadka jego ostatnich upokorzeń. Kiedy poczuł ulgę, uciekł z tamtego miejsca, ponieważ ściany i krzesła widziały jego słabość.

W reprezentacyjnym salonie pałacu markiza de Dosrius doña Marianna już od jakiegoś czasu rozglądała się za mężem. Nikt nie wiedział, gdzie się podział, a ona trochę się dziwiła, bo czy to nie osobliwe, nie wiem doprawdy, co mu przyszło do głowy. A na dodatek nie czuł się najlepiej... Ale kiedy zobaczyła, że wchodzi do salonu, przestała się nim interesować i dalej dyskutowała o ideałach kobiecej peruki.

Ulotny moment zmiany roku i zmiany wieku jest niemożliwy do uchwycenia. Ze względu na swoją efemeryczną naturę w ogóle nie zaistniał, ponieważ przed dwunastą był oczekiwaniem, a po pierwszym uderzeniu dzwonu na dwunastą – już tylko wspomnieniem. Mimo to dla tej ulotnej, nieistniejącej chwili wyprawiono bal u markiza i mnóstwo zabaw w całej Barcelonie.

Dlatego im bliżej było dwunastej, tym głośniejsze stawały się śmiechy, tym więcej nerwowych spojrzeń wymieniano. Lokaje zajęli się rozdawaniem kieliszków białego wina i czekali cierpliwie, aż orkiestra skończy Salieriego. (Według markiza de Dosrius, który uważnie słuchał muzyki, siedząc w swoim fotelu na kółkach, ci prostacy wyposażeni w instrumenty już dawno wykończyli Salieriego, muzykę i jego cierpliwość. Ale grzeczność ma swoje prawa, a goście dzisiaj nie zwracali uwagi na niuanse.) Po fatalnym scherzo finale, które nastawiało każdego uważnego słuchacza wrogo do całej ludzkości, zapadła cisza. Don Pere Caro podszedł do markiza. Powoli, jak woda która się uspokaja, gdy przestaje wiać wiatr, rozmowy ucichły.

Z głębi salonu wyszedł jaśnie pan don Rafel Massó z kamiennym wyrazem twarzy. Był ciekaw, czy potrafi znieść tę burzliwą ceremonię w obecności wszystkich swoich wrogów. Nie odważył się spojrzeć w oczy Jego Ekscelencji. Ale tuż przy kominku rozpoznał don Jerónima, który mu się przyglądał. Blisko okna stał don Antoni Terradelles ze swoim nieodłącznym notariuszem i obaj śledzili uważnie każdy jego ruch. Nieopodal, niebezpiecznie blisko doñi Gaietany, ten młody głupiec, który go wyzwiał na pojedynek, też go pożerał wzrokiem... Należało się uśmiechnąć. Zrobił to. Całkiem nieźle mu wyszło. Wziął kieliszek i wyciągnął go w stronę markiza i Kapitana Generalnego.

– Drogi markizie, ekscelencjo – powiedział. – To prawdziwy zaszczyt móc wznieść toast za nowy wiek w waszej obecności.

Wszyscy mogli słyszeć jego słowa, ale tylko niewielu dosłyszało drżenie głosu. Kapitan Generalny wznosił swój kieliszek, podobnie jak markiz. Przez moment oczy wszystkich obecnych, skoncentrowane na wielkim zegarze w salonie, deprecjonowały niecierpliwie całą minutę życia, ostatnią w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym i najprawdopodobniej ostatnią minutę wieku osiemnastego.

Aż nadszedł ten moment i minął bezpowrotnie. Ludzie wznosili toasty, przyjmowali i składali życzenia, wruszali się i uśmiechali, żeby tylko nie myśleć o istocie czasu. Don Rafel wywiązał się należycie ze swoich reprezentacyjnych obowiązków. Tylko markiz de Dosrius, jeden z tych, którzy nic nie wiedzieli o jego nieszczęściach, dostrzegł, że za tą maską ukrywa coś mrocznego.

Dlatego kiedy znów rozbrzmiała muzyka, teraz w utworach Glucka, też w fatalnym wykonaniu, i wszyscy zaczęli podrygiwać w jej takt, tylko niepełnosprawny markiz de Dosrius zorientował się, że prezes dyskretnie opuścił salon. Być może wrócił do domu. Ale nic nie powiedział ani tego nie skomentował, bo było dla niego oczywiste, że każdy przeżywa swoje życie tak, jak uważa za stosowne. *Laisser vivre.*

Punktualnie o trzeciej nad ranem don Rafel kazał zaprzęgać. Przez Hipolita nakazał woźnicy, by o czwartej był już po śniadaniu, gotowy do wyjazdu. Nie spał tej nocy. Najpierw spacerował po ogrodzie i oglądał z bliska i z daleka tamten przeklęty klomb, a potem wszedł po omacku na górę, do swego gabinetu. Przejrzał papiery i napisał krótki list. Informował doñę Mariannę o pilnym wyjeździe do Sarrià. Żeby się nie martwiła, bo wróci na obiad; że pamięta o mistrzu Venturze, który ma przynieść parę butów z płaską sprzączką; pamięta o wszystkim, o wszystkich ważnych sprawach, ale musi osobiście porozmawiać z Miravittlesem w kwestii rodzinnego majątku. Ostatecznie list się wydłużył, bo nie oparł się pokusie użycia uroczystego tonu, wielkich słów i górnolotnego stylu, ileż to lat przeżyliśmy razem, szkoda, że nie mieliśmy dzieci, będzie nam teraz bardzo potrzebna ta harmonia, jaka między nami panowała, pozostawiając jednak sporo do życzenia, ale dziś po południu spokojnie o tym porozmawiamy... i zakończył słowami nie martw się, wszystko będzie dobrze, naprawdę alarmującymi. Zostawił list na stole, a z dolnej szuflady wyciągnął futerał obity aksamitem. Otworzył. Dwa połączone pistolety z kolbą z drzewa orzechowego, ułożone twarzą do siebie. Naboje na sześć strzałów. Autentyczne pistolety Belleviste z Lyonu, prawdziwe cacka, prezent od poprzedniego Kapitana Generalnego, z którym utrzymywał dobre stosunki, czego nie udało się osiągnąć z don Pere. Zamknął futerał i włożył do małej walizeczki.

Kiedy zamknął się w gabinecie, uczucie paniki powoli zaczęło ustępować miejsca czemuś w rodzaju obiektywnej ciekawości, jak gdyby wszystko, co teraz przeżywał, nie miało z nim żadnego związku. Bardzo był ciekaw, jak z tego wybrnie, jak przezwycięży piętrzące się przed nim przeszkody. Cała jego egzystencja polegała na pokonywaniu trudności, które ludzka zawiść rzucała mu pod nogi, i omijaniu zasadzek. Przyzwyczyił się do życia w tej dżungli i przyjął jej prawa jako nieuniknione. Ale w tym momencie nagromadziło się zbyt wiele problemów, nie istniała taka strategia, którą dałoby się zastosować w jego sytuacji. Don Rafel, pogrążony w tych myślach, zaczął krążyć po gabinecie. Przesunął wzrokiem po grzbietach książek, unikając wyniosłego spojrzenia mężczyzny z portretu. To był portret z czasów przed Elvirą, kiedy jeszcze potrafił się uśmiechać. Gdyby mógł powtórzyć pewne etapy życia... Gdyby mógł zasnąć, a po przebudzeniu stwierdzić, że wszystko zostało wymazane, że znikło jak sen... Z takimi myślami i z niepokojem w sercu spędził resztę nocy. Koło trzeciej przypomniał sobie o rysunku. Ostatnio zupełnie nie miał do niego głowy, zaaferowany czym innym. W najbardziej zakurzonej kącie gabinetu, tuż obok Tractatusa, do którego nigdy nie sięgał, ciągle stała tamta tuba. Wyciągnął z niej rysunek i położył go na stole. Zdradziecka, groteskowa, nieprzyzwoita, plugawa, obsceniczna, głupia, zepsuta, przekupna, czarna, brudna, odrażająca doña Gaietana uśmiechała się do niego szelmowsko, jednocześnie ukazując pizdę z niesłychanym wyuzdaniem.

– Tłusta świnia – wymamrotał pod nosem don Rafel. I zniechęcił ją z całego serca za tamto upokorzenie, które przeniknęło go dogłębnie, do szpiku kości. Człowiek osaczony staje się agresywny, rzuca się z zębami na wszystko, choćby to miała być czynność równie jałowa jak odgryzanie kawałka mgły. – Pieprzona dziwka – zakończył, wypluwając ostateczną zniewagę, żeby już nie pozostawiać ani cienia wątpliwości.

To był odruch. Ale wielkie ludzkie czyny biorą się często z takich odruchów, a ta noc stała się nocą porywów. Don Rafel pod osłoną ciemności zszedł do ogrodu z portretem doñi Gaietany. W mdłym świetle kinkietu przeszukał skład narzędzi. Gdy stamtąd wyszedł, udał się prosto do bramki i znalazł na

ulicy. Nigdy tego nie robił o tej porze. Może tylko w młodości, kiedy wychodził z kolegami i wracał podпиты. Pewnie by poczuł dreszczyk emocji towarzyszący zakazanej przygodzie, gdyby nie jego nastrój. Teraz już w całkowitej ciemności przebrnął przez kałuże prosto do pałacu baronostwa de Xerta. Wybrał furtkę, tę, która zawsze pozostawała zamknięta, mimo że wychodziła na ulicę Ample. Zachowując maksymalną ostrożność, jaśnie pan Rafel Massó niczym nowy Luter w Wittenberdze młotkiem owiniętym szmatą, by wyciszyć uderzenia, przybił jedyną tezę, jaką posiadał, tezę zemsty, nieprzyzwoity portret doñi Gaietany Renom, baronowej de Xerta, do drzwi jej własnego domu, pod osłoną deszczu, ku zgorszeniu wszystkich, jako rewanż za upokorzenie, które ugodziło go do żywego. Gaietano, ty kurwo, zgiń we mgle.

Oddychając ciężko, zły, że tak głośno dyszy, don Rafel spędził resztę nocy, chodząc po ogrodzie szybkim krokiem, w milczeniu, ostrożnie jak złodziej. Splunął chyba z dziesięć razy na podstępny grób Elviry, ty niewdzięczna dziwko, niszczysz mi życie, i natychmiast schylał się, by usunąć plwocinę, ze słowami Elvireto, moje ty biedactwo, ja nie chciałem, ale zasłużyłaś sobie na to, ty świntuszko. To był wypadek, Elvireto. Przepędziła go z ogrodu dopiero mżawka, delikatny, nieprzerwany szum wody. Aż do czwartej, kiedy zszedł na dół, don Rafel spalał się w swoim gabinecie podobnie jak świeca, która rzucała niedostateczne światło na jego zgniłe myśli.

Święto końca roku i końca wieku. Uroczystość Matki Bożej i Nowy Rok. Zalegały jeszcze ciemności, kiedy don Rafel wyjechał z domu powozem, tylko z niewielką walizeczką na dokumenty. Padało coraz intensywniej i konie, zrezygnowane, człapały powoli, bo gwiazdy rzucały niewiele światła i lepiej było zachować ostrożność. Stukot podków o bruk i skrzyp drewnianych osi powozu roznosiły się echem między mokrymi ścianami domów przy ulicy Ample. Z pałacu markiza de Dosrius dochodziły przytłumione dźwięki zabawy. Może doña Marianna jeszcze się nie zorientowała, że go nie ma. Don Rafel, skulony w kącie powozu, patrzył nieprzytomnym wzrokiem na fasady mijanych kamienic. Po bezsennej nocy zimno przeniknęło całe jego ciało, a duszę i tak miał zmrożoną od wielu dni. Wyjechali z Barcelony przez Portal de l'Àngel, w kierunku Sarrià, kiedy jeszcze było ciemno i pusto na drodze.

Kiedy pojazd wiozący jaśnie pana minął z lewej strony Sant Gervasi de Cassoles, dzień stał się już jaśniejszy, ale deszcz nie odpuszczał, też chciał uczestniczyć w uroczystości Matki Bożej, pierwszym dniu pierwszego roku przedostatniego wieku drugiego tysiąclecia. Nie chciał pozostawać w tyle za ludźmi. Mimo skrzypienia powozu, don Rafelowi wydawało się, że słyszy Antònię z kościoła Matki Bożej Sosnowej, która wydzwaniała godzinę daleko, w Barcelonie, o tak niezwyklej porze.

Niedaleko Sarrià don Rafel rozkazał woźnicy, by skręcił w stronę Esplugues. Mężczyzna wzruszył ramionami na tę zmianę zamiarów i wjechał w boczną drogę. Z tyłu, za kurtyną deszczu, majaczyły pierwsze domy Sarrià. Woźnica utrzymał to samo ślimacze tempo, co i tak było nie lada osiągnięciem, zważywszy na ilość błota, w którym pewnego dnia wszyscy się potopimy.

Powóz toczył się jeszcze przez kwadrans wśród deszczu, błota i stukotu końskich kopyt, aż zajechał przed klasztor w Pedralbes, gdzie don Rafel kazał się zatrzymać.

- Jedź do Sarrià, tylko się nie upij – powiedział, wysiadając, i wręczył kilka monet woźnicy.
- Dziękuję, jaśnie panie. Kiedy mam po pana przyjechać?
- Przed obiadem.

Po ziemi nie dało się przejść suchą nogą. Don Rafel stał i czekał, aż ucichnie echo powozu oddalającego się w stronę Sarrià. Wtedy dopiero przebrnął przez błoto aż do klasztoru. Zimno i deszcz

sprawiły, że w przyklasztornych ogrodach szukały schronienia ptaki, których przez cały rok było pełno w tych okolicach. Poza odgłosem swoich własnych kroków don Rafel słyszał wesoły szum strumienia wody deszczowej spływającej przydrożnym rowem. Westchnął ciężko i przez chwilę wyobraził sobie, że jest takim samym człowiekiem jak inni, bez jakiegoś Setúbala czy adwokata, dobierających się do jego wspomnień, i pomyślał, dlaczego nie mogłem czuć się szczęśliwy, przecież miałem to w zasięgu ręki. Don Rafel zadrżał z zimna. Zatrzymał się przed budynkiem, w którym mieszkała niewielka wspólnota franciszkańska, odpowiedzialna za obsługę liturgiczną żeńskiego klasztoru. Jeszcze przez chwilę się wahał, ale zimno skłoniło go do podjęcia decyzji. Przeszedł przez furtkę prowadzącą do niewielkiego wirydarza tego budynku. Teraz, gdy ucichł szum strumienia, słychać było tylko delikatne dzwonienie kropel deszczu o kamienną studnię na środku. Deszcz się rozpadał na dobre, a jego ogarnęło uczucie spokoju, bo przed wilgocią chroniły go arkady. Nie wiedzieć czemu skupił się na drzewach i kwiatach w klasztornym ogrodzie. Za gęsto posadzone, jak na jego gust. Ale cała roślinność, dzięki obfitości wody, była bujna, w pełni rozkwitu.

Oddychał z prawdziwą rozkoszą. Zawsze woń wilgotnej ziemi przenosiła go we wspomnieniach do szczęśliwszych dni. Zamknął oczy, żeby lepiej poczuć ten wspañały zapach. Jakiś szelest tuż obok zmusił go, by je natychmiast otworzyć. Nie był sam. Pewien przygarbiony braciszek w kapturze spytał go grzecznie, skąd się tu wziął. Odpowiedział, że wszedł przez otwartą furtkę, i wyjawiał mu cel swojej wizyty. Zakonnik, oszczędny w słowach, wskazał drzwi po drugiej stronie wirydarza. Jaśnie pan podziękował ceremonialnym ukłonem i niespiesznie ruszył w tamtym kierunku. Jednak zatrzymał się, kiedy tylko braciszek zniknął za drzwiami. Pożerał wzrokiem ten ogród, och, ogród bez ukrytych grobów i bez koszmarów. I wtedy dotarł do jego uszu przytłumiony odległością monotony, wysoki, czysty, pełen wdzięku, delikatny śpiew zaintonowany przez klaryski. Nie wiedział, że właśnie przerwały różne codzienne zajęcia, by wspólnie sławić Boga w porze tercji. Wydawało mu się, że te kobiety, jeśli nie są szczęśliwe, bo trudno mówić o szczęściu, gdy się jest zamkniętym w czterech ścianach, to na pewno nie są nieszczęśliwe. Podobnie jak koty. Poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Wyciągnął koronkową chusteczkę i otarł czoło. Pocił się mimo zimna, a może to tylko krople deszczu. Znów głęboko odetchnął, po raz ostatni obrzucił wzrokiem wirydarz i przekroczył próg świątyni jak ktoś, kto się pogrążył w ciemności. Rzeczywiście, wewnątrz małej kaplicy tonęło w ciemnościach. Mrugał, żeby przyzwyczaić się do mroku, i zdjął trójgraniasty kapelusz na znak szacunku. W głębi lampka oliwna z chybotliwym płomieniem, jak wabik na nocne ptaki, przypominała przybyszom o obecności tajemnicy. Don Rafel już zaczął rozróżniać bryły. Ławki. Dwa konfesjonały. Po przeciwnej stronie, obok ołtarza, otworzyły się drzwi z hałasem, który rozniósł się echem w całej nawie. Milczący cień skierował się w stronę konfesjonału i don Rafelowi mocniej zabiło serce, bo nie wiedział, czy cokolwiek z tego, co robił w ostatnich dniach, miało w ogóle jakiś sens. Zachęcony anonimowością, jaką dawała ciemność, podszedł do konfesjonału. Postawił walizeczkę na ziemi, obok siebie. Wstęp był krótki: ojczy, nie spowiadałem się już od dwóch lat, a potem nastąpiła cisza, poprzedzająca samooskarżenia. Ktoś musiał ją przerwać.

– Zabiłem kobietę, a teraz nie chcę mnie zostawić w spokoju.

Po tych słowach znów zapadła cisza. Braciszek w swojej drewnianej klitce poczuł zawrót głowy i musiał się oprzeć o ścianę. Zajęło mu to około minuty.

– Powiedziałeś...

– Powiedziałem, że zabiłem, ojczec. – Natychmiast uświadomił sobie, że tylko traci czas; czemu może służyć oczyszczenie duszy w jego położeniu? Czy ten robak, który nieustannie drążył jego sumienie od tamtej nocy z Elvirą... zniknie po zwykłej spowiedzi?

– To jakaś metafora, synu?

Po raz pierwszy dotarł do niego smród czosnku towarzyszący słowom zakonnika. Między mężczyznami rozpoczęło się dramatyczne przeciąganie liny. Przestraszony braciszek z poczucia obowiązku upominał się o bliższe informacje, żeby rozważyć okoliczności łagodzące i obciążające, upewnić się, czy może udzielić rozgrzeszenia, dlatego co chwilę domagał się od penitenta szczerego żalu za grzechy. A ten, skołowany i bezbronny, bo w końcu otworzył swoją duszę po miesiącach stawiania oporu, chciał rzucić się do ucieczki, biec, gdzie oczy poniosą. Ten franciszkanin, który na pewno zjadł na śniadanie grzanki z czosnkiem, uzależniał rozgrzeszenie od szczerego żalu za grzechy. Rozgrzeszenie. Absolutio, absolvere, solvere, wyzwolenie z pęt. Z jakich więzów mogło go uwolnić to rozgrzeszenie, czego tak naprawdę oczekiwał, po co wybrał się w tę podróż do jakiegoś nieznanego kapelana, który, sądząc po odosobnieniu, w jakim żył, nie mógł go znać?... Rozgrzeszenie... pojednanie z Bogiem, spokój duszy... Ale po słowach ego te absolvo absurdalnie nic się nie zmieni. On nadal będzie w rękach tych piekielników, swoich wrogów. Z katechizmu przyswojonego w dzieciństwie zapamiętał, że najważniejsze jest uzyskanie Bożego przebaczenia. Później, z czasem, przekonał się, że to, co w życiu człowieka najbardziej się liczy, to opinia innych; Pan Bóg jest wysoko, niewidoczny. Czyżby już nie wierzył w Boga?

– Mogę cię rozgrzeszyć tylko pod warunkiem, że żałujesz za grzechy – upierał się spowiednik.

Co innego mieć wyrzuty sumienia, a co innego przyznać się przed kimkolwiek, że on, autorytet w dziedzinie prawa, popełnił błąd. Ale braciszek nie bawił się w niuanse i wymagał skruchy.

– Tak, żałuję – wydusił w końcu z siebie.

– A więc, mój synu, teraz musisz działać konsekwentnie, jeśli chcesz, żeby Bóg ci wybaczył. Pan Bóg oczekuje zadośćuczynienia. Musisz się oddać w ręce wymiaru sprawiedliwości, ponieważ masz dług wobec społeczeństwa i zgrzeszyłeś przeciw Bogu.

To było jak policzek. Powiedzieć jemu – jemu! – że ma się oddać w ręce sprawiedliwości! On nie może mieć żadnych długów wobec społeczeństwa, bo wymiar sprawiedliwości to on... Któż śmiałby wątpić. Czym innym były subiektywne wyrzuty sumienia, ale naprawienie szkód, którego mogło od niego oczekiwać społeczeństwo, to całkiem inna bajka. Owszem, odczuwał skruchę, to się więcej nie powtórzy, na pewno, i sprawa zamknięta. Ale tylko ktoś, kto niczego nie rozumiał, mógł od niego wymagać, żeby się oddał w ręce sprawiedliwości. Don Rafel Massó należał do osób przekonanych, że są wyjątkowe i z tego powodu nie dotyczą ich prawa obowiązujące innych. „Masz dług wobec społeczeństwa i zgrzeszyłeś przeciw Bogu”. Dziesiątki razy adresował te protokolarne słowa do przestępcy, kiedy jako audytor ogłaszał wyrok skazujący... A teraz jakaś franciszkańska miernota z klasztoru, gdzie diabeł mówi dobranoc, kierowała do niego, do – ni mniej, ni więcej – prezesa sądu! te same słowa... Boże przebaczenie było czymś intymnym, wewnętrzną sprawą jego duszy, dlatego szukał pomocy kapelana. Ale publiczna pokuta nie była mu do niczego potrzebna. Posługując się tymi argumentami, próbował pertraktować ze spowiednikiem. Jednak ksiądz nie dał się przekonać. Boże przebaczenie wymagało zadośćuczynienia.

– Jak mam, ojczec, naprawić szkodę, skoro ta kobieta nie żyje? – mówił rozgniewany, podniesionym

głosem. Aż się przestraszył, że ściany mogą go usłyszeć. – No, jak?

– Synu, wobec przestępstwa, którego skutki są nieodwracalne... zadośćuczynienie polega na poddaniu się karze, jaką na ciebie nałoży ludzka sprawiedliwość.

– Kim są ludzie, żeby na mnie nakładać karę?

– Co powiedziałaś, synu?

– Kim są ludzie, żeby mnie karać!

– Grzeszysz pychą, synu. Po co w takim razie przyszedłeś do spowiedzi?

Cisza. Upłynęła długa minuta. Braciszek znów poczuł zawrót głowy. Bał się, bo jeszcze nigdy nie przytrafił mu się w konfesjonale horror zbrodni.

– Właściwie to nie wiem, po co przyszedłem...

– Wierzysz w Boga?

– Tak. Tak, wydaje mi się, że tak. Ale mnie jest potrzebne przebaczenie Elviry, tej biednej dziewczyny.

– Elviry?

– Kobiety, którą zabiłem.

– Wierzysz w Boga?

– Już mnie ksiądz o to pytał.

– Dlaczego, synu, przystępujesz do sakramentu spowiedzi?

– Nie jestem księdza synem. Proszę do mnie mówić przez pan... Nie życzę sobie takich poufałości.

Mało brakowało, a poruszyłby też temat czosnku.

– Proszę wybaczyć... – Cisza. To chyba jakiś beznadziejny przypadek, ten dziwny człowiek. – Chce pan, żeby Bóg panu przebaczył, ale bez zadośćuczynienia...

– Gdyby zadośćuczynienie mogło być dyskretne... Może da się to załatwić jakąś hojną ofiarą... byłbym skłonny...

– Na litość boską, na litość boską... – zgorszył się zakonnik. – Niech mi pan tu nie opowiada takich gorszących rzeczy.

– Nie chcę zostać ukarany przez ludzi.

– Nie wierzy pan w ludzką sprawiedliwość.

– Kiedyś wierzyłem. Teraz... nie, teraz już nie wierzę.

– Jasne: kiedy się zasłużyło na karę...

– Nie, ojczu. To bardziej skomplikowane. Sprawiedliwość ludzką znam od podszewki. Jest słaba, arbitralna, wymierzana przez ludzi... którzy sami mogą być przestępcami. – Przerwał, żeby wziąć oddech.

– Ludzka sprawiedliwość z definicji jest niesprawiedliwa. Człowiek nie ma mocy decydowania... albo tak, owszem, może wiedzieć, co jest dobre, a co złe... – Przerwał swoją mowę i spojrzał badawczo w ciemność konfesjonału. – Ale jaki ma autorytet, by decydować o rodzaju kary nakładanej na przestępcę?

– Ma władzę. Od króla. I od Boga.

– Król? Bóg?... Nawet nie wiedzą o naszym istnieniu...

– Musi się pan wypowiedzieć z bluźnierstwa.

– Właśnie się spowiadam. Nie o to mi chodziło...

– No dobrze, synu, chciałem powiedzieć, proszę pana. Nie sądzi pan, że potrzebny jest jakiś system,

dzięki któremu społeczeństwo może się bronić przed złymi czynami pojedynczych osób? Nie zgadza się pan ze mną?

– Nie wiem. Ale nie mam zaufania do ludzkiej sprawiedliwości. Nie mam zaufania do ludzi.

– Ci, którzy wymierzają sprawiedliwość, starają się zachować bezstronność... stosują prawo.

– Prawo! Wielki wynalazek! Ratunek dla tych, którzy pracują w sądach... Dzięki niemu nie muszą się zastanawiać nad każdym przypadkiem z osobna.

– Nie rozumiem.

– Prawo to zbiór arbitralnych decyzji spisanych w Kodeksie i uświęconych zwyczajem każdej epoki.

Czy ksiądz mnie rozumie? To wymysł profesjonalistów.

– Już się pogubiłem.

– Nie mam zaufania do ludzi. A to ludzie ustalają prawo, ojcze.

– Tak. Ale prawnicy są uczciwi. Musi pan zaufać ich poczuciu sprawiedliwości. Są honorowymi ludźmi.

– Niech ksiądz w to nie wierzy.

– A pan, jak może pan o tym mówić z takim przekonaniem?

– Jestem sędzią, ojcze.

Cisza. Wydawało się, że te ostatnie słowa ostatecznie pogrążyły biednego spowiednika. Na pewno chciałby uciec, gdzie oczy poniosą, i wołać ratunku, o ja nieszczęsny, skromny braciszek franciszkański wplątany w historię najeżoną trudnościami. Don Rafel, na klęczkach, w ciemności, zaczynał do siebie dopuszczać świadomość, że choć nigdy wcześniej nie przyszło mu to do głowy, jego haniebny postępek postawił go po drugiej stronie barierki na sali sądowej. Na pewno, gdyby miał więcej czasu, zaczęłyby się wczuwać w tych ludzi, których osądził i skazał w czasie swojej długiej, wspaniałej i owocnej kariery.

– Nie chcę być sądzony przez ludzi.

– Dlaczego przyszedł pan się spowiadać?

– Bo chciałem mieć poczucie, że przebaczyła mi Elvira, moje biedactwo.

– Pokuta jest logiczną konsekwencją odpuszczenia winy. Musi pan zapłacić za swoją zbrodnię.

Don Rafel myślał, że zaraz krew go zaleje. Ten człowiek nic nie pojmuje i nigdy nie pojmie. On tylko chciał, skoro już się zdobył na upokorzenie podczas spowiedzi, rozliczyć się z długiem z Elvirą, moim biedactwem. A społeczeństwu nic do tego, bo społeczeństwo nawet nie zauważyło jej zniknięcia.

– Żałuję, że zabiłem tę kobietę, koniec kropka. Proszę mi udzielić rozgrzeszenia i kończmy już.

Cisza. Widać było, że ta propozycja nie przypadła spowiednikowi do gustu.

– Czym się pan zajmuje?

– Ja? Już mówiłem. Jestem sędzią.

– Ale... w stanie czynnym?

– Tak. Zajmuję się sądzeniem ludzi.

Najwyraźniej biedny braciszek z trudem trawił to, co usłyszał. Przez parę minut milczeli. Don Rafel chyba już przestał czuć zapach czosnku, który na początku tak bardzo mu przeszkadzał. Jakiś dyskretny dzwon zawiadamiał o czymś niewielką wspólnotę franciszkańską. Braciszek westchnął i z tym westchnieniem wrócił czosnek.

– Jest pan cynikiem.

– Nie. Nie sądzę. Nie mam wyboru, ojcze. I bardzo mi z tym źle. Już księdzu mówiłem, że chcą mi

zaszkodzić.

Rozległ się odgłos kroków, spotęgowany echem w nawie kościoła, otwieranych i zamykanych drzwi. Don Rafel, instynktownie nastawiając się na obronę, odwrócił się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jakiś niewyraźny cień opadł ciężko na kolana w ławce.

– Nie stracił pan całkiem poczucia moralności, skoro przyszedł pan do spowiedzi.

– Być może. Ale wolałbym nie mieć skrupułów i żyć szczęśliwie.

– Nie miał ich pan, kiedy zabijał tamtą kobietę.

– Już mówiłem, że to się stało niechcący; kiedy to sobie uświadomiłem, była martwa. Poza tym, nigdy mnie ksiądz nie zrozumie: ja się boję, bardzo się boję. Bardzo się boję, ojcze.

– Teraz, kiedy jest już za późno?

– Nie chcę, żeby ta sprawa wyszła na jaw. Nie chcę, żeby mnie przyskrzynili... Aż do tej chwili udawało mi się to utrzymać w tajemnicy.

– Ja mogę pana wydać.

– Wysłuchał mnie ksiądz w spowiedzi.

Don Rafel próbował przekonać tego ograniczonego braciszka, że sprawiedliwość zawsze wycierała sobie gębę Panem Bogiem; poza tym momentem, kiedy zapadały decyzje, a te, jeśli nie zależały od niestrawności audytora, wynikały z bezdusznego kodeksu, który automatycznie ustanawiał związek między winą a wykroczeniem. Dlaczego nie można było tego załatwić jednym niech Bóg ci wybaczy i żebym cię tu więcej nie widział? Jednak nie: od tego społeczeństwo ma audytorów, sędziów, prezesów, adwokatów, prokuratorów... żeby orzekali, co jest dobre, co złe. Mimo że don Rafel chciał mu to wszystko wytłumaczyć, ciągle milczał. To nazbyt skomplikowana spowiedź. Mogłaby się ciągnąć całymi godzinami, przerywana długimi pauzami ciszy. Ostatnia przerwa była bardzo długa. Cień w ławce zakaszłał i don Rafel znów zaczął mówić:

– Teraz już tylko zależy mi na tym, by nie dać się złapać, żeby mnie nie wytykano palcami... i żeby ona mi wybaczyła...

– Może się panu uda uniknąć ludzkiej sprawiedliwości... Ale nie dostąpi pan przebaczenia tej kobiety, jeśli nie naprawi pan krzywdy.

Naprawić krzywdę? Don Rafel wiedział, jako osoba znająca się na prawie, że dla wymiaru sprawiedliwości grzechem jest tylko to, co wypłynęło na światło dzienne. Albo inaczej, grzech istnieje tylko wtedy, gdy zostanie wykryty. W świetle prawa zbrodnia doskonała nie jest grzechem. I tylko wyrzuty sumienia jednostki mogą doprowadzić człowieka przed sąd, jeśli sam szuka guza.

– Jeśli mnie powieszają... – wybuchnął nagle zirytowany – to Elvira zmartwychwstanie? Jeśli się stanę ludzkim pośmiewiskiem, to naprawię krzywdę?

Znów zamilkli. Milczenie trwało tak długo, że dało się usłyszeć rytmiczne kapanie kropel deszczu na kamiennych płytach wirydarza. Don Rafel znów naciskał:

– Niech mi ksiądz wyznaczy ciężką pokutę, ale nie kosztem mojego honoru i mojego życia.

– Musiałbym się poradzić. Ja nie... W takich przypadkach...

– Ale mnie się spieszy, ojcze. Bardzo mi się spieszy. Proszę o wyznaczenie mi pokuty.

– No dobrze... – Zakonnik znalazł rozwiązanie. – Za pokutę, synu, masz się oddać w ręce wymiaru sprawiedliwości, aby twoje przewinienie otrzymało zadośćuczynienie na tym świecie. Ego te absolvo a peccatis tuis. In nomine Patris, et Filii et Spiritu Sancti. Amen.

Don Rafel w tym momencie przemierzał już nawet szybkim krokiem, do głębi urażony i obrażony na tego pieprzonego braciszka, który nie potrafił wczuć się w jego sytuację. Kiedy znalazł się w wirydarzu, uwolniony wreszcie od oddechu zalatującego czosnkiem, cień klęczący w kaplicy bezszelestnie podniósł się z klęczek.

O tej samej porze w domu państwa Massó wyczerpana po balu doña Marianna wpadła w histerię, kiedy znalazła kopertę z listem męża. Wcześniej przeszukała cały dom i ogród, zdziwiona jego niewytłumaczalną nieobecnością. A nie mówiłam, od razu wydawał mi się jakiś dziwny. A jeżeli źle się poczuł? A jeżeli dopadła go choroba i leży teraz nieprzytomny w jakimś zakamarku? Jednak list, zamiast jej wszystko wyjaśnić, jeszcze bardziej ją skonfundował. Skupiło się na Hipolicie, który stosując się do polecenia pana, nie odezwał się ani słowem podczas tych poszukiwań. Doña Marianna, zamieniona w kłębek nerwów, postanowiła czekać do południa, zgodnie z instrukcją. Ten wariat Rafel uparł się, żeby jej zepsuć Nowy Rok. A może by tak od razu jechać po niego do Sarrià?

Jednak doña Marianna nie zrobiła nic. Osobą, która w tym czasie próbowała coś robić i walczyła z zimmem, kryjąc się w powozie, był Nando Sorts. Starając się nie myśleć o niczym, obojętnym wzrokiem gapił się na drogę prowadzącą do Barcelony, wypatrując powozu jaśnie pana. Jego dwaj milczący świadkowie, też zmarznięci, wyszli na zewnątrz, żeby rozprostować nogi, i mokli na deszczu. Pusty o tej porze plac przed cmentarzem w Sarrià był jedną wielką kałużą. Nando Sorts przetarł oczy. Piekły go od tego wpatrywania się w dal z niezłomnym zamiarem niemyślenia o niczym. Westchnął smutno. Zaczęło do niego docierać, że tamten tchórz nie stawi się na umówione spotkanie, a on nigdy nie odzyska spokoju, prześladowany wspomnieniem martwego przyjaciela. W tym momencie Nando Sorts poczuł się bezgranicznie samotny.

Tak, don Rafel już wiedział, że przegrał na wszystkich frontach... Jednak nie wyobrażał sobie, że odmówi się mu również spokoju ducha. I to w imię sprawiedliwości! Co on tam wie, ten pieprzony franciszkanin! Wciągnął w płuca powietrze przesycone zapachem mokrych kamieni. Kiedy tylko wyszedł z klasztoru, natknął się na tamtego mężczyznę. Już na niego czekali.

– Pan będzie uprzejmy, jaśnie panie. Don Jerónimo nie życzy sobie, żeby się pan zanadto oddalał od Barcelony. Czeką na pana w sprawie niecierpiącej zwłoki.

Don Rafel się odwrócił. Z kaplicy wyszedł jeszcze jeden milczący mężczyzna. Był to jeden ze zbirów Cascala dos Setúbais, alias Bicz na Prezesa. Zaczęło się polowanie.

– Skąd wiedzieliście, że tu jestem? – zapytał, przyciskając do siebie walizeczkę niczym tarczę.

– Jechaliśmy za panem, jaśnie panie. – Tonem głosu dał mu do zrozumienia, że czuje się zażenowany, tłumacząc coś tak oczywistego. A więc żadnych szans na samotną ucieczkę.

Zapanował spokój i nie było nic poza stukaniem kropel deszczu o kamienie. Nawet nie próbował schronić się przed deszczem. W milczeniu, zachowując resztki godności, zaczął schodzić po rampie w stronę bramy zamykającej teren klasztorny. Zamiast jego powozu stał tam jakiś inny, lżejszy. Wsiadł do niego bez zbędnych pytań i nawet nie zaprotestował, kiedy jeden zbir z drugim beczelnie zamknęli drzwi z zewnątrz. Przez chwilę miał wrażenie, że został uwięziony w jakiejś nietypowej trumnie. Pojazd ruszył, kołysząc się, i przez okienko zauważył, że ludzie Setúbala ze stoickim spokojem mokli na deszczu, eskortując go konno. Nie chcieli dzielić jego towarzystwa w powozie. Ale było oczywiste, że jaśnie pan jest osobistym więźniem don Jerónima. Czy miało sens nastawiać go teraz przeciwko adwokatowi Terradellesowi?

Przez zamglone szyby pokryte kroplami deszczu nie dałoby się zajrzeć do środka. Jechali już dość długo. Don Rafel siedział skulony, z twarzą w dłoniach, na próżno usiłując uporządkować to, co niemożliwie zagmatwane. Opuścił ręce, wyprostował się i uśmiechnął smutno, kiedy sobie uświadomił, że nie jest jeszcze aż tak przerażony, jak mu się wydawało, że powinien być w tej sytuacji... Otworzył walizeczkę. Znajdowały się w niej dokumenty, sakiewka ze złotymi monetami i futerał z pistoletami Belleviste. Otworzył. Jakie piękne. Ładując jeden z nich, przypomniał sobie o tym naiwniaku, który musiał już być zmęczony czekaniem i wkurzony z powodu zimna na cmentarzu w Sarrià. Ta myśl przyniosła mu złośliwą satysfakcję. Myśląc o Setúbalu i Terradellesie, nadal się uśmiechał. O dziwo, nie drżała mu ręka. Chwycił pistolet w dłoń. Nie widział niczego za oknami. Przypuszczał, że minęli już Sarrià i powinni dojeżdżać do Sant Gervasi. Nie zostało wiele czasu. Westchnął i przymknął oczy. Nagle zachłysnął się odgłosami codzienności: skrzypieniem kół powozu, człapaniem koni w błocie, urywkami rozmów i śmiechem ludzi Setúbala... Nie słyszał żadnego ptaka, tylko krople deszczu uderzające o dach trumny. Znów westchnął. Wtedy przypomniał sobie o swoich ukochanych gwiazdach: o wiernych Plejadach, wiecznych uciekinierkach, o niewzruszonym myśliwym Orionie, królu nieba, o leniwej Andromedzie, rozłożonej obojętnie, trochę bardziej na zachód, na tym zimnym zimowym niebie, wysmukłej, wiotkiej Andromedzie i o odległej nieznannej mgławicy w okolicy jej tajemniczego łona... Andromeda, Ariadna, Eurydyka, Gaietana, Elvira, jego kobiety, jego zawsze obecne gwiazdy... Ja tego nie chciałem, Eurydyko, moje biedactwo... Ponieważ łzy napływały mu do oczu, a nie chciał płakać, wymierzył w pierś, na wysokości, gdzie, jak sądził, dzieło zniszczenia powinno się bezwzględnie dokonać, i nie przeszło mu przez myśl, że *bel morire tutta una vita onora*, może dlatego, że to nie miała być piękna śmierć. Don Rafel podarował sobie jeszcze dwie, trzy, cztery sekundy życia, podczas których skoncentrował się na szumie deszczu, uporczywym, głośnym... Wystrzelił. Gwałtowny wstrząs strącił mu z głowy perukę i trójgraniasty kapelusz. Don Rafel Massó i Pujades, prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie, przestał słyszeć szum deszczu i nagle zrozumiał bezwzględnie znaczenie ciszy.

Matadepera, 1986–1990

Dramatis personae

Andreu Perramon – poeta
Mistrz Perramon – kapelmistrz, ojciec Andreu Perramona
Teresa – służąca mistrza Perramona

Josep Ferran Sorts (Nando) – muzyk, oficer, przyjaciel Andreu Perramona
Rosa z Calafu – Muza Nanda
Holender – towarzysz z celi

Jerónimo Manuel Cascal de los Rosales y Cortés de Setúbal – naczelnik policji
Pere Caro Sureda-Valero i Maça de Liçana – Kapitan Generalny
Jerónimo Girón de Moctezuma Ahumada y Salcedo, markiz de las Amarillas – poprzedni Kapitan Generalny
pułkownik Cobos
major Cisneros
porucznik Casares

Departament Kryminalny Trybunału Królewskiego w Barcelonie:
Prudencio Zapata – audytor
Marcel·lí Carbó – audytor
Manuel d'Alòs – prokurator
Rovira – sekretarz

Rafel Massó i Pujades – cywilny prezes Trybunału Królewskiego w Barcelonie
Elvira – kochanka Rafela Massó
Marianna – żona Rafela Massó
Rosalia Ferreres – przyjaciółka doñi Marianny
Hipolit, Celdoni, Gertrudis, Anton, Romà – służba w domu Rafela Massó

Ciset – dawny ogrodnik Rafela Massó
Remei – żona Ciset
Galana – służąca Ciset

Marie de l'Aube Desflors (słowik Orleanu) – francuska śpiewaczka
Monsieur Vidal – pianista, akompaniator francuskiej śpiewaczki
Arcs – pomocnik impresario teatralnego Banyulsa
Clara de Foixà – pianistka
Jaume de Foixà – ojciec pianistki

Jacint Dalmaes – chirurg i astronom
Fèlix Amat – ksiądz, uczonec
Doktor Pere Malla – chirurg, meloman
Joan Galí – księgarz
Tobías – autor rysunków pornograficznych

Barcelońska arystokracja:
wicehrabia de Rocabrana
markiz de Dosrius (don Ramon Renau)
baronowa Gaietana Renom
baron de Xerta – mąż Gaietany
Mateu – służący markiza de Dosrius

Kapituła katedry w Barcelonie:

Cascante – kanonik
Pujals – kanonik
Díez Valdés – biskup

Prats – proboszcz parafii Matki Bożej Sosnowej
Joan Terricabres – kapelan więzienny
Ksiądz Joan – proboszcz parafii w Murze
Tuietes – gospodyni księdza Joana

Arcybractwo Najświętszej Krwi Pana Naszego Jezusa Chrystusa:
Josep Coll – starszy brat, przełożony Bractwa
Pere Xicart – ksiądz, konsyliarz Bractwa

Antoni Terradelles – adwokat
Tutusaus – notariusz

[1] E.M. Forster, *Maurycy*, przeł. Maria Olejniczak-Skarsgård, Gdańsk 1994, s. 96.

[2] W przekładzie Adama Szcerbowskiiego, Lwów 1933, s. 34 i 36.